

ŚWIATOWY FENOMEN!



DOMINA

L.S. HILTON

L.S. HILTON

DOMINA

Z języka angielskiego przełożyła
Katarzyna Różycka



Hrabinie, z podziękowaniami

Prolog

Chciałam mieć to już z głowy, ale zmusiłam się, by działać powoli. Opuściłam żaluzje we wszystkich trzech oknach, otworzyłam butelkę gavi, nalałam do dwóch kieliszków i zapaliłam świece. Znajomy, rozpoznawalny, uspokajający rytuał. Kątem oka widziałam, jak odstawia torbę, zdejmuje marynarkę i nie odrywając ode mnie wzroku, wiesza ją na oparciu krzesła. Uniosłam kieliszek i w milczeniu pociągnęłam łyk wina. Jego oczy błędziły po obrazach, a ja pozwoliłam, by cisza między nami narastała. W końcu ją przerwał.

– Czy to...?

– Agnes Martin – dokończyłam za niego. – Tak.

– Bardzo ładny.

– Dziękuję. – Przez cały czas z ust nie schodził mi delikatny, filuterny uśmiech. Kolejna pauza. Głęboką ciszę weneckiej nocy zakłócił odgłos kroków niosący się z *campo*. Odwróciliśmy głowy w stronę okna.

– Długo tu mieszkasz?

– Jakiś czas – odparłam.

Pewność siebie, która biła od niego w barze, zniknęła. Teraz wyglądał na zakłopotanego i boleśnie, przerażająco młodego. Ewidentnie to ja będę musiała wykonać pierwszy ruch. Stałam z kieliszkiem w dłoni i drugą ręką wspartą na biodrze. Dzieliło nas półtora metra. Zrobiłam krok w jego stronę i popatrzyłam mu prosto w oczy. Czy potrafił w tym spojrzeniu odczytać moje intencje?

Uciekaj, mówiło. Uciekaj natychmiast i nie oglądaj się za siebie.

Podeszłam jeszcze bliżej i dotknęłam dłonią jego pokrytego kilkuniedniowym zarostem policzka. Powoli, nadal patrząc mu w oczy, zbliżyłam twarz do jego ust. Muskałam je nosem, pieściłam delikatnie jego wargi, aż jego język odnalazł mój. Nie smakował tak źle, jak się spodziewałam. Przerwałam pocałunek, odsunęłam się i jednym ruchem ściągnęłam przez głowę sukienkę. Rzuciłam ją na podłogę i sprawnie rozpięłam stanik. Odgarnęłam włosy z ramion i powoli dotknęłam sutków. Gładziłam je zmysłowo, stopniowo schodząc niżej, aż w końcu opuściłam ręce wzdłuż ciała.

– Elisabeth – wyszeptał.

Kiedy wyciągnęłam dłoń i poprowadziłam go wokół wanny umieszczonej w nogach łóżka zasłanego włoską pościelą od Frette, poczułam, jak zalewa mnie przytłaczające znużenie, poczucie braku tego, co kiedyś było tak naturalne. Nie miałam już w sobie wściekłości ani nawet cienia pożądania. Pozwoliłam mu zrobić swoje, a kiedy skończył, usiadłam, chichocząc, z błyszczącymi oczami. Nie mogłam pozwolić, by zasnął. Położyłam się na brzuchu na wilgotnej pościeli, upuściłam na podłogę sflaczałą prezerwatywę z jej żałośnie nikłą obietnicą życia i sięgnęłam do kranu z gorącą wodą.

– Mam ochotę na kąpiel. Kąpiel i skręta. Co ty na to?

– Jasne, niech będzie. – Teraz, kiedy już skończyliśmy się pieprzyć, porzucił swoje maniery. – Chcesz zrobić te fotki? – Udało mi się wyperswadować mu robienie selfie, kiedy piliśmy drinki. Już grzebał w porzuconych dzinsach w poszukiwaniu tego cholernego telefonu. Aż dziw, że nie próbował wrzucić na Instagram zdjęć, gdy szczytuje. Kiedy mnie posuwał, na kilka chwil zapomniałam, że jest kompletnym kretynem, lecz teraz to, co zamierzałam zrobić, wydało się nagle łatwiejsze.

– Pstrykaj, kochasiu. Tylko poczekaj chwilkę. – Podreptałam nago do garderoby po schowane w szufladzie bletki. Przy okazji na wszelki wypadek włączyłam zagłuszacz sygnału wi-fi. Koniec transmisji. Dolałam do wanny trochę zimnej wody i kapkę migdałowego olejku do kąpieli. Potem otworzyłam ciężką, antyczną bieliźniarkę i wyjęłam z niej dwa ręczniki. W pokoju wraz z parą unosił się słodki aromat migdałów.

– Wskakuj – rzuciłam przez ramię, wysypując tytoń z papierosa. Na pasku torebki zawiązana była moja turkusowo-granatowa apaszka od Hermèsa w czerkieski deseń. Przeszłam za jego plecami, gdy zanurzał się w wodzie.

– Pójdę po ogień – szepnęłam. – Proszę.

Włożyłam mu skręta do ust. Nie było w nim zioła, ale on nie zdążył się tego dowiedzieć. Kiedy się zaciągnął, owinęłam mu apaszkę wokół szyi i mocno zadzierzgnęłam od tyłu. Natychmiast zakrztusił się dymem, wymachując rękami w głębokiej wannie. Zapałam się stopami o krawędź i oparłam plecami o łóżko, zaciskając apaszkę jeszcze mocniej. Młócił stopami w wodzie, ale na śliskiej od olejku porcelanie nie miał się czego chwycić. Zamknęłam oczy i zaczęłam liczyć. Prawą ręką, nadal absurdalnie trzymając skręta w ustach, próbował chwycić mnie za nadgarstek, ale kąt był nieodpowiedni i jego palce ledwie musnęły moje. *Dwadzieścia pięć... dwadzieścia sześć...* Czułam tylko pulsowanie w moich zmęczonych szarpaniną mięśniach, słyszałam głośny szum powietrza wlatującego mi przez nozdrza. Jego ciało wciąż się miotало. *Dwadzieścia dziewięć... to nic takiego... trzydzieści... nic takiego...* Czułam, że słabnie, jednak po chwili zdołał wcisnąć palec, a potem pięść pomiędzy apaszkę a swoją grdykę i gwałtownie pociągnął mnie w przód, ale ponieważ poluzowałam uchwyt, zsunął się pod wodę. Nadal wsparta o brzeg wanny, położyłam lewe kolano na jego klatce piersiowej i przycisnęłam całym swoim ciężarem. Nie wiadomo skąd w moim oku, a potem w parującej wodzie pojawiła się krew. Widziałam wypływające na powierzchnię bąbelki powietrza. Wciąż się miotало, więc puściłam apaszkę i bez zastanowienia rzuciłam się do jego twarzy i szyi. Rozwierał szczękę i kłapał pożółkłymi, krzywymi zębami. W końcu bąbelki przestały wypływać. Powoli wyrównałam oddech i rozluźniłam zastygły grymas uśmiechu. W różowawomlecznej wodzie nie widziałam jego twarzy. Z wolna zaczęłam prostować biodra, gdy chlusnęła woda

i nagle wyrósł przede mną. Usiadłam na nim okrakiem. Desperacko próbowałam utrzymać głowę w górze, ale udało mi się łokciem zanurzyć go ponownie pod wodę, a potem nogami przygniotłam jego ramiona. Trwaliśmy tak długi czas, aż kropla krwi z mojej twarzy kapnęła do wanny.

Może sprawił to krystalicznie czysty ton tego jednego, cichutkiego plumknięcia, a może mgiełka migdałowego olejku w kłębiącej się parze albo jeszcze niedawno wzburzona, stygnąca woda, *ten zimny wieczór, ta bezkresna cisza, to pierwsze martwe ciało pod moimi rękami*. Coś we mnie pękło, poczułam pustkę i jakaś siła wypalająca mi resztki tchu wciągnęła mnie w otchłań. Czas nagle się skurczył, wydarzenia z zamierzchłej przeszłości skupiły się w jednym miejscu i uderzyły we mnie z impetem. Tak dawno ją porzuciłam. *Mówiłam sobie, że nigdy nie była częścią mojego życia, widziałam ją jakby po raz pierwszy*. Oszołomiona zanurzyłam rękę w głębokiej wodzie, ale znalazłam tam tylko ciało nieznanego. Wiedziałam, że to, co zrobiłam, było konieczne, ale nie potrafiłam sobie przypomnieć dlaczego. Jego ręka wypłynęła na powierzchnię. Dotknęłam jej i zamieszałam jego palcami w wodzie. Przez kilka minut, a może godzinę, oglądałam powstające fale. Wodny taniec dłoni. Ocknęłam się, gdy woda była już chłodna.

Kiedy w końcu wyciągnęłam go spod siebie, miał otwarte oczy. A więc ostatnie, co ujrzał na tej ziemi, to moja rozdziawiona cipa.

Jego śliska skóra była zaróżowiona, miękka i jędrna jak ciasto na chleb, lecz usta zaczęły już sinieć. Głowa zwisała mu do tyłu. W blasku świec na szyi nie widać było śladów duszenia. Chwyciłam się brzegu wanny i wyszłam z niej na drżących nogach. Gdy go puściłam, zsunął się natychmiast pod wodę i musiałam szukać korka pod jego falującymi włosami. Kiedy woda spływała, otuliłam się jednym z ręczników. Po chwili ukazała się jego klatka piersiowa. Położyłam dłoń na jego sercu. Nie biło. Wyprostowałam się i przeciągnęłam. Podłoga była zalana, a na brzegu wanny widniały smugi krwi i drobinki tytoniu. Będę potrzebowała więcej gorącej wody, by zmyć ślady szamotaniny.

Musiałam objąć go z boku i przerzucić martwe ciało przez krawędź wanny. Było bezwładne i wiotkie. Położyłam zwłoki na podłodze, przykryłam je drugim ręcznikiem i usiadłam obok nich po turecku. Siedziałam tak, aż zrobił się zimny.

Uniosłam ręcznik, by odsłonić jego twarz, nachyliłam się i wyszeptalam mu do ucha:

– Nie nazywam się Elisabeth, tylko Judith.

CZEŚĆ PIERWSZA
REFLEKSJE

Osiem tygodni wcześniej...

Ubierałam się, słuchając płyty Cole'a Portera. *Miss Otis Regrets* w interpretacji Elli Fitzgerald. Muzyka sprawiła, że na mojej twarzy zagościł uśmiech. Zmieniłam sypialnię w moim mieszkaniu przy Campo Santa Margherita w garderobę z markowymi szafami Molteni, w których wszystkie buty, torebki, apaszki, sukienki i żakiety są zawsze pod ręką. To był drugi powód, dla którego się uśmiechałam. Mieszkanie znajdowało się na *piano nobile* i rozciągał się z niego widok na plac z białego kamienia, dawny targ rybny. Zburzyłam ścianę w salonie, by uzyskać większą przestrzeń. Wannę umieściłam u stóp łóżka na masywnym cokole z zielonego marmuru, naprzeciw jednego z trzech łukowych okien. Łazienkę, wyłożoną antycznymi, perskimi kafelkami, urządziłam za garderobą, w miejscu, gdzie kiedyś znajdowała się klatka schodowa. To była jedna z wielu atrakcji domu Elisabeth Teerlinc. Architekt marudził coś o dźwigarach i pozwoleniach, ale w ciągu dziewięciu miesięcy, które upłynęły od mojego przyjazdu do Wenecji, zdążyłam odkryć, że odpowiednia sumka pozwala się wykupić od kary za dużo większe grzechy. Powiesiłam na ścianach nabyte w Paryżu obrazy – prace Fontany, *Zuzannę i starców* oraz rysunki Cocteau – i dodałam kolejne, współczesne dzieło: mały obraz Agnes Martin bez tytułu, w białe i jasnoszare linie, który kupiłam przez Paddle8, internetowy dom aukcyjny z siedzibą w Nowym Jorku. Pozostałe drobiazgi z mojego paryskiego mieszkania również przyjechały ze mną – z wyjątkiem bezgłowych zwłok niejakiego Renauda Clereta, które pozostały w zabitej gwoździem skrzyni w magazynie dzieł sztuki niedaleko Château de Vincennes. Bardziej od tego, czym mnie straszyl architekt, obawiałam się, że wspomniana skrzynia kiedyś zacznie przeciekać.

W rogu lustra tkwiło ręcznie wypisane zaproszenie na moją pierwszą wystawę. *Elisabeth Teerlinc zaprasza Panią/Pana do Galerii Gentileschi...* Upinając włosy, kolejny raz przebiegłam wzrokiem słowa. Udało mi się – teraz byłam Elisabeth Teerlinc, a Judith Rashleigh wydawała się zaledwie ułudą, nazwiskiem w nieużywanym paszporcie schowanym w szufladzie biurka. Musnęłam dłonią sukienki wiszące na wieszakach w idealnym porządku, podziwiając śliskość dżerseju i delikatny ciężar dobrego jedwabiu. Na wernisaż wybrałam dopasowaną sukienkę Figue z czarnego jak atrament szantungu, zapinaną z tyłu niczym *quipao* na maleńkie, turkusowe i złote guziki. Materiał błyszczał i wił się pod moimi palcami. Zdecydowałam się na typowy kostium statecznej właścicielki galerii, ale gdzieś w głębi mojej duszy maleńki jednorozec zarzucał grzywą. Powoli uśmiechnęłam się do swojego odbicia w lustrze.

Liverpool był bardzo daleko.

Jednym z dorywczych zajęć mojej matki była praca sprzątaczką niedaleko Sefton Park, w eleganckiej, wiktoriańskiej enklawie drzew i ogrodów zimowych w pobliżu centrum miasta. Z naszego osiedla trzeba tam było jechać trzema autobusami. Pewnego dnia, kiedy miałam około dziesięciu lat, po lekcjach zorientowałam się, że zapomniałam swojego klucza, i pojechałam szukać matki.

Domy były ogromne, z czerwonej cegły, z mnóstwem wykuszy. Kilka razy nacisnęłam przycisk dzwonka, ale nikt nie zszedł, więc nerwowo szarpnęłam za kłamekę. Drzwi nie były zamknięte. W korytarzu poczułam zapach woskowej pasty do mebli i delikatną woń kwiatów. Wokół jasnego, kwadratowego dywanu widać było drewnianą podłogę, a przestrzeń pomiędzy drzwiami i szerokim łukiem schodów wypełniały półki pełne grubych, ciężkich książek. Było bardzo cicho. Delikatnie zamknęłam za sobą drzwi. Nie słyszałam szumu telewizora, urywanych krzyków kłócących się par i bawiących się dzieci, huczących silników ani walczących zwierzaków. Tylko... cisza. Chciałam wyciągnąć dłoń i dotknąć grzbietów książek, ale się nie odważyłam. Ponownie zawołałam mamę i w końcu się pojawiła – ubrana w dres, który wkładała do sprzątania.

– Judith?! Co ty tu robisz? Wszystko w porządku?

– Tak, tylko zapomniałam klucza.

– Okropnie mnie przestraszyłaś! Myślałam, że to włamywacz.

Wyraźnie zmęczona, potarła twarz.

– Będziesz musiała poczekać, jeszcze nie skończyłam.

U stóp schodów stało duże krzesło, a obok niego wysoka lampa. Zapaliłam ją i pomieszczenie jakby się nagle skurczyło. Wszystko wokół mnie lśniło. Było cicho i przytulnie. Zsunęłam z ramion tornister, postawiłam go starannie pod krzesłem, a potem wróciłam do półek.

Wybrałam tę książkę chyba dlatego, że podobał mi się kolor grzbietu – żywy, jaskrawy róż, a na nim złote litery tytułu: Vogue. Paris. 50 ans. To była książka o modzie, ze zdjęciami kobiet w niezwykłych strojach i biżuterii, z pokrytymi idealnym makijażem twarzami. Powoli odwracałam stronę za stroną, urzeczona głębokimi kolorami. Jedna z fotografii przedstawiała kobietę w jasnożółtej sukni balowej z rozłożystą spódnicą. Pędziła przez ruchliwą ulicę, jakby chciała zdążyć na autobus. Byłam oczarowana. Przewracałam strony i patrzyłam, przewracałam i patrzyłam. Nie zdawałam sobie sprawy, ile czasu upłynęło, aż w końcu poczułam się głodna. Ze skrzypnięciem wstałam z krzesła i właśnie ostrożnie odkładałam książkę na siedzenie, kiedy drzwi otworzyły się z hukiem. Spłoszona skuliłam się w poczuciu winy.

– Co ty tutaj robisz? – W ostrym kobiecym głosie słysząc było nutkę lęku.

– Przepraszam, bardzo przepraszam. Jestem Judith. Zapomniałam klucza. Czekałam na mamę. – Niezdarnym gestem wskazałam drzwi, które pochłonęły moją

matkę, jak mi się wydawało, wiele godzin temu.

– Och, rozumiem. Jeszcze nie skończyła?

Kobieta gestem zachęciła mnie, bym poszła za nią korytarzem na tył domu, gdzie znajdowała się duża, przytulna kuchnia.

– Halo!

Za stołem stała kanapa, której jasne poduszki zostały zrzucone na podłogę, by zrobić miejsce dla mojej matki.

– Halo!

Obok sofy dostrzegłam butelkę, a rezygnacja w głosie kobiety uświadomiła mi, że nie był to pierwszy raz. Matka musiała podwędzić wino z lodówki.

– Położyłam się tylko na chwilę...

Myślałam, że się spalę ze wstydu. Kobieta podeszła zdecydowanym krokiem do kanapy i pomogła matce usiąść, stanowczo, ale uprzejmie.

– Już o tym rozmawialiśmy, prawda? Przykro mi, ale lepiej, żeby pani więcej do nas nie przychodziła. Jest tu pani córka. – Nacisk, z jakim wymówiła słowo „córka”, sugerował, że było jej mnie szkoda.

– Przepraszam, ja tylko... – Matka obciągała dres, próbując doprowadzić się do porządku.

– W porządku, ale niech pani już idzie – powiedziała kobieta bardziej stanowczo. – Proszę wziąć swoją torebkę, a ja pójdę po pieniądze. – Nie zachowywała się jak jędza. Była zażenowana tym, co robi, a jej opanowany, rzeczowy ton miał to zamaskować i sprawić, że znikniemy z jej domu wraz z naszą nędzą.

Wróciłam do holu i stanęłam przy drzwiach z plecakiem. Dość się już nasłuchałam. Kiedy kobieta wręczyła mamie dwa dwudziestofuntowe banknoty, musiała pochwycić moje spojrzenie wędrujące w kierunku książki.

– Może ją weźmiesz? Jako prezent. – Wcisnęła mi ją, już na mnie nie patrząc. Oddała mi książkę, jakby nic nie znaczyła.

– Pieprzona, snobistyczna krowa – mamrotała matka, ciągnąc mnie w stronę przystanku autobusowego.

Kiedy już dojeżdżaliśmy do domu, dała mi swój klucz i wysiadła przystanek wcześniej, obok pubu. Ze smutkiem pomyślałam o tamtych czterdziestu funtach. Wiedziałam, że już ich nie zobaczymy. Przyrzędziłam sobie fasolkę na toście i wyjęłam książkę. Na wewnętrznej stronie okładki widniała cena: sześćdziesiąt funtów. Sześćdziesiąt funtów za książkę, a kobieta ją po prostu oddała. Włożyłam zdobycz ostrożnie pod łóżko i przeglądałam tak często, że z czasem znalazłam na pamięć nazwiska wszystkich fotografów i projektantów. Nie chodziło o to, że chciałam mieć te stroje. Myślałam po prostu, że człowiek, który je posiada, czuje się inaczej. Jeśli ma się takie rzeczy, każdego dnia można wybierać, kim chce się być. Wyglądem zewnętrznym można kontrolować swoje wnętrze.

Wybrałam wysokie szpilki i przed włożeniem przetałam je szmatką. Być może jedyną rzeczą, która łączyła Elisabeth Teerlinc i Judith Rashleigh, był fakt, że żadna z nich nie zatrudniała służącej. W końcu przemiana w Elisabeth wymagała o wiele więcej niż tylko sprawienia sobie drogiej garderoby. Zbroja chroni prawdziwie tylko wtedy, gdy jest niewidzialna, i właśnie na tym polu toczyła się prawdziwa batalia. Ważniejsze od nauki i zdawania egzaminów było zachowanie wiary, że mogę wygrać, wyrwać się z nędznego osiedla, gdzie dorastałam. Musiałam się pilnować, by nie dać się wciągnąć w plugawe życie matki. Opierać się drwinom na szkolnych korytarzach, codziennym podstępny głoŝom szepczącym za moimi plecami „szmata”, „suka” – tylko dlatego, że chciałam więcej. Nauczyłam się nienawidzić innych dziewczyn, a potem je ignorować – bo czymże będą za kilka lat, jak nie zniszczonymi twarzami wyglądającymi znad dziecięcych wózków w kolejce do autobusu? To było łatwe. Trudniej było wypłenić z siebie wszelkie ślady żalostnej proletariuszki, jaką się czułam, kiedy wreszcie się dostałam na uniwersytet. Bo ludzie potrafią dostrzec wszystko: nie tylko smutne dziecko marzące pod kołdrą nad swoją drogocenną książką ze zdjęciami o modzie i małą kolekcją pocztówek z dziełami sztuki, ale żalostne, pełne tęsknoty serce w środku. Kiedy wsiadłam na Lime Street do pociągu jadącego na południe, postanowiłam, że ta dziewczynka ma zniknąć. Powoli, ale skutecznie pozbyłam się akcentu, nabrałam ogłady i manier, nauczyłam się kilku języków. I niczym rzeźbiarz obrabiający marmur uformowałam i wygładziłam swój pancerz.

To jednak wciąż był początek drogi ku przyszłej Elisabeth. Przez chwilę, kiedy zdobyłam posadę w prestiżowym londyńskim domu aukcyjnym, wierzyłam, że mi się udało, lecz szybko się okazało, że brak mi pieniędzy i koneksji, by się wznieść ponad poziom korporacyjnego popychadła. Dlatego zatrudniłam się dodatkowo jako hostessa w Gstaad Club. Byłam pewna, że lepszy strój i ładniejsza fryzura zapewnią mi sukces. Pozbyłam się tej wzruszającej iluzji, kiedy odkryłam, że mój szef Rupert jest zamieszany w fałszerski przekręt. Zwolnienie mnie zajęło mu mniej niż pięć minut. Wówczas James, jeden z klientów klubu, zaproponował mi weekend na Riwierze i od tego momentu na jakiś czas sprawy się trochę... skomplikowały. Koniec końców jednak wyszłam na prostą, gdyż znalazłam i sprzedałam falsyfikat, przez który zostałam zwolniona, a zarobione pieniądze spożytkowałam na wyjazd do Paryża, gdzie zostałam marszandką. Co prawda było po drodze parę ofiar. James nie wrócił do Londynu, chociaż nie całkiem z mojej winy. Podobny los spotkał Camerona Fitzpatricka, to jest marszanda, któremu ukradłam falsyfikat, moją dawną kumpelę ze szkoły Leanne i Renauda Clereta, policjanta rozpracowującego mnie pod przykrywką. A na koniec Juliena, chciwego właściciela paryskiego seksklubu. Stąd przeprowadzka do Wenecji i przemiana w Elisabeth Teerlinc – konieczna tym bardziej, że wołałam uniknąć zalotów niejakiego Romera da Silvy, inspektora policji i kolegi Renauda. Zatuszowanie

wszystkiego wymagało wielkiego sprytu, ale na szczęście maska, za którą się skryłam, spełniła swoje zadanie, gdyż ludzie widzieli we mnie wyłącznie to, co chcieli zobaczyć. Może więc to prawda, co mówią, że koniec końców liczy się wnętrze?

- Pani Teerlinc? Elisabeth Teerlinc?
- Tak, to ja.
- Nazywam się Tage Stahl. Mam nadzieję, że nie ma mi pani za złe, że się wdarłem bez zaproszenia, ale zafascynowały mnie wystawiane prace.
- Niezmiernie mi miło.
- Od dawna prowadzi pani tę galerię?
- Nie, dopiero od wiosny.
- Wspaniałe miejsce.
- Dziękuję. Życzę miłego zwiedzania.

Klient pożegłował w kierunku gości. Chociaż Gentileschi mogła pomieścić zaledwie około trzydziestu osób, miałam wrażenie, że kłębił się ich tu cały tłum. Owszem, może i moją galerię dało się przemierzyć piętnastoma krokami, ale każdy jej skrawek należał do mnie. Mieściła się na parterze opuszczonego budynku portowego na samym skraju wyspy, obok przystanku *vaporetto* San Basilio. Prosta, funkcjonalna, dziewiętnastowieczna budowla kontrastowała z przepięknym widokiem na wschodnią część wyspy Giudecca. Piękno Wenecji to nudny temat, skoro nie możesz powiedzieć nic, czego ktoś już przed tobą nie wyraził lepiej, ale właśnie dlatego moja galeria tak mi się podobała. Była ukłonem złożonym historii miasta, którego bogactwo i urok zbudowano na żegludze, znoju i orientalnych przyprawach.

Na swoją pierwszą włoską wystawę zaprosiłam serbskich artystów z Xaoc Collective, grupy tworzącej w belgradzkim squacie. Ich dzieła, wyszywane kolaże i płótna przedstawiające dziwaczne, tajemnicze przedmioty, nawiązywały do sztuki ludowej i były celowo apolityczne. Do tego miały równie przyjemne dla oka ceny. I sprzedawały się. Naprawdę się sprzedawały! Postanowiłam zacząć od skromnego wernisażu w sierpniu. Kiedy wiosną przez Wenecję przetoczyła się karawana Biennale, Elisabeth Teerlinc zdążyła poznać wiele osób, które wypada znać, ale musiało upłynąć jeszcze sporo czasu, by sobie zdobyła reputację. Względnie spokojne miesiące w okolicach festiwalu filmowego, kiedy miasto należy głównie do rzeszy turystów i niewielkiej liczby obsługujących ich mieszkańców, były idealnym czasem na kultywowanie kontaktów i ugruntowywanie nowej tożsamości. Wszystko w ramach przygotowań do mojej imprezy.

Spędziłam całe tygodnie na wypisywaniu zaproszeń na wystawę, formułowaniu krótkiego komunikatu prasowego, wybieraniu papieru do katalogu – zdecydowałam się na lnianą fakturę i idealny odcień szarości – i negocjowaniu z firmą malarską, by kolejny raz pobielili ściany galerii. (Nabywcy sztuki współczesnej oczekują białych ścian, tak jak oczekują, że prace będą prowokacyjne, wieloznaczne i wywrotowe). Z pozoru niewiele różniło się to od

harówki, którą odwalalam w domu aukcyjnym w Londynie, ale ta różnica była kluczowa. Przede wszystkim miałam porządne biurko, Poltrona T13, wzorowane na modelu Albiniego z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku, które naprawdę robiło wrażenie, przynajmniej na włoskich gościach. Mogłam przy nim siedzieć i nikt mi nie wyrzucał nieróbstwa. Nie dorobiłam się jeszcze asystentki. Zatrudniłam tylko kilkoro studentów uniwersytetu do rozdawania prosecco i odbierania okryć od gości. Nie spoufalalam się z nimi, więc zwracali się do mnie „*signora Teerlinc*”.

Przez chwilę żałowałam, że nie mogę się cofnąć w czasie i pokazać młodziutkiej Judith tego, co ją czeka w przyszłości. Goście i kieliszki były prawdziwe, podobnie jak ręcznie wypisane etykiety, którymi studenci oznaczali, jedna po drugiej, kupione prace. Stojąc tam, opanowana, elegancka i pewna siebie, nawet ja, Elisabeth Teerlinc, czułam się prawdziwa. Może i nie odniosłam Bóg wie jak wielkiego sukcesu, ale to nie znaczy, że spoglądałam na swe dokonania zawstydzona. Przeciwnie – czułam się wniebowzięta.

Po drugiej stronie sali mężczyzna o skandynawskiej prezencji i takimże nazwisku – Tage Stahl – kartkował leniwie mój starannie napisany katalog. Widziałam, jak przywołuje jednego ze studentów i wyjmuje portfel. Kupował. Chciałam podejść do niego, ale ktoś położył dłoń na moim ramieniu. Odwróciłam się. Starszy mężczyzna, pomimo upału ubrany w szykowną tweedową marynarkę. Uznałam, że musi być zagubionym turystą albo profesorem z pobliskiego uniwersytetu Ca’ Foscari, lecz akcent, który objawił się w pierwszych, ostrożnie wypowiedzianych po angielsku słowach, zasugerował mi, że jest Rosjaninem. Nerwowo spróbowałam powiedzieć w jego języku „dobry wieczór”.

– Mówi pani po rosyjsku?

– Niestety, niezbyt dobrze. – Przeszłam na angielski. – Czym mogę panu służyć?

– Pani Elisabeth Teerlinc, prawda?

– Owszem, to ja.

Wręczył mi wizytówkę – formalnie, z lekkim ukłonem. Widniało na niej jego nazwisko – dr Ivan Kazbich – i adres galerii w Belgradzie. W takim razie musiał słyszeć o Xaoc.

– Bardzo mi miło. Przyszedłem porozmawiać z panią w imieniu mojego mocodawcy. Czy poświęci mi pani kilka minut?

– Och, naturalnie – odparłam zaintrygowana.

– Wolałbym porozmawiać z panią w cztery oczy.

Zerknęłam na zegarek. Siódma dwadzieścia pięć.

– Oczywiście, jeśli zechciałby pan chwilę poczekać. Wernisaż zaraz się skończy.

Mężczyzna rozejrzał się po ścianach. Stahl najwyraźniej kupił trzy ostatnie

prace, ponieważ na wszystkich już widniały wypisane szkarłatnym tuszem etykiety „sprzedane”.

– Musi być pani bardzo zadowolona.

– Owszem. Proszę mi na moment wybaczyć.

Poszłam zamienić słowo ze Stahlem, który wyraźnie się ociągał, podczas gdy ostatni z gości gromadzili się już przy drzwiach, żegnając się i rozmawiając o planach na wieczór. Zapytał, czy chciałabym dołączyć do niego w barze U Harry’ego. To jedno zdanie powinno mi być powiedzieć wszystko, co w tamtym momencie potrzebowałam o nim wiedzieć. Skoro Wenecja jest najwspanialszym dziełem, jakie nasz gatunek kiedykolwiek stworzył, to z jakiego powodu ktoś miałby jeść kolację w jedynym lokalu bez widoku, gdzie jedyną rzeczą, którą można obserwować, jest ponura groteska odgrywana przez pozostałych gości? Ugryzłam się w język i wyjaśniłam, że mam spotkanie, po czym wyprowadziłam go uprzejmie, choć stanowczo na nabrzeże, gdzie zamglone niebo właśnie zaczynało zmieniać kolor z szafirowego na ciemnożółty. Podziękowałam pomocnikom, którzy złożyli na stos katalogi i uprzątnęli butelki i kieliszki, zapłaciłam im gotówką i zamknęłam za nimi drzwi, a następnie podeszłam do doktora Kazbicha.

– Przepraszam, że musiał pan czekać.

– Nic nie szkodzi.

Kazbich wyjaśnił mi, że pracuje dla kolekcjonera, którego interesuje wycena jego prac zgromadzonych we Francji, i spytał, czy świadczę takie usługi. Przez jakiś czas nie zajmowałam się tymi sprawami, ale kiedyś wyceniałam prace w domu aukcyjnym w Londynie, niektóre z zaskakującymi efektami.

– To... znaczna kolekcja – kontynuował Kazbich.

Wiedziałam, co to znaczy. Zapytałam, czy jego klient rozważał zatrudnienie jednego ze specjalistów z IFAR-u, czyli Międzynarodowej Fundacji ds. Poszukiwania Dzieł Sztuki, on zaś odbił piłeczkę, zapewniając, że nie chodzi tu o kwestię pochodzenia dzieł. Jego delikatny uśmiech sugerował, że każde z nas wie, co druga strona ma na myśli. To miała być wyłącznie prywatna wycena. Prywatna, więc podejrzana, o czym również oboje wiedzieliśmy. Była to oferta, której żadna szanująca się dziewczyna nie powinna przyjmować, przynajmniej do czasu, gdy pozna cenę. Na początek tajemniczy zleceniodawca oferował pokrycie wydatków i opłatę za konsultację w wysokości dwudziestu tysięcy euro, a po przedstawieniu raportu – kolejne sto tysięcy. Miałam go odwiedzić, by obejrzeć prace, a potem w ciągu dwóch tygodni skończyć wycenę.

– Byłabym bardzo zainteresowana – odpowiedziałam natychmiast.

Uznałam, że osoba oferująca takie kwoty nie byłaby zachwycona trwonieniem czasu na hamletyczne rozterki i dywagacje. Zupełnie mnie nie interesowało, co klient zamierzał zrobić z wyceną. Doktor Kazbich wręczył mi

sztywną, kremową kopertę i czekał niecierpliwie, aż ją otworzę. Wewnątrz znajdował się czek bankierski na nazwisko Elisabeth Teerlinc, opiewający na pierwszą z wymienionych kwot, oraz kartonik z nazwiskiem. Paweł Jermołow.

Przez chwilę wpatrywałam się tępo w nazwisko na wizytówce. Niezbyt często czuję się zszokowana, ale... Paweł Jermołow?! Miałam szansę zobaczyć obrazy Pawła Jermołowa! A raczej – Paweł Jermołow uważał, że jestem na tyle dobra, by obejrzeć jego obrazy. Kazbich chyba wiedział, że aby je zobaczyć, z chęcią oddałabym mu czek i jeszcze dorzuciła własny, z nazwiskiem Jermołowa.

Skład kolekcji Jermołowa był wielką tajemnicą, przedmiotem zarówno legend, jak i zawistnych plotek. Rosyjski oligarcha miał reputację poważnego nabywcy, ale nie pojawiał się w galeriach osobiście i wolał dokonywać zakupów poprzez rozmaitych anonimowych pośredników. Łączono go z wygranymi aukcjami dzieł Matisse'a, Picassa, a w ciągu ostatnich pięciu lat, co bardziej nietypowe – pracy Jacopa Pontorma. Również jeden z obrazów Pollocka z pewnością kupiono w imieniu jednej z jego spółek.

No i były medaliony Botticellego, czyli „Botticelli Jamesona”, bo tak je określano, od nazwiska amerykańskiego przemysłowca, który w dziewiętnastym wieku wywiózł je w podejrzanych okolicznościach z Włoch. Z czasem wieść o miejscu ich pobytu płynnie przeszła z poziomu plotek w sferę teorii spiskowych. Bliźniaczych medalionów zatytułowanych *Zwiastowanie* i *Madonna z Dzieciątkiem* nie pokazano publicznie przez sto pięćdziesiąt lat. Niektórzy domorośli eksperci, zwłaszcza internetowi, powątpiewali w ich istnienie, twierdząc, że spłonęły wraz z posiadłością Jamesona na północy stanu Nowy Jork. Inni jednak utrzymywali, że pożar był aranżowany, a odszkodowanie wypłacone za rzekomo zniszczone dzieła powiększyło gromadzony przez trzy pokolenia, a w ostatnim czasie kurczący się rodzinny majątek. Jeszcze inni znowu twierdzili, że widzieli dzieła w Katarze czy Korei. Nazwisko Jermołowa kojarzono z szemraną sprzedażą owych prac w Zurychu, dziesięć lat temu, ale nikt nie miał całkowitej pewności, że faktycznie weszły w skład jego kolekcji.

– Moja odpowiedź brzmi „tak”. Proszę powiedzieć panu...

Doktor przerwał mi teatralnym gestem, przykładając palec do ust.

– Mój mocodawca oczekuje pełnej dyskrecji.

– Oczywiście, proszę wybaczyć.

– Zatem... znakomicie, pani Teerlinc. Ma pani moją wizytówkę. Kiedy będzie pani gotowa do podróży, proszę się ze mną skontaktować, a ja poczynię stosowne przygotowania.

Doktor Kazbich nie miał na głowie kapelusza, ale kiedy drzwi galerii zamykały się za nim, byłam pewna, że dotknął w pożegnalnym geście wyimaginowanego ronda.

Wkrótce potem, wróciwszy do swego mieszkania na Campo Santa

Margherita, rozkoszowałam się w kąpielni kieliszkiem soave, ściskając w dłoni wizytówkę niczym talizman. Uwielbiałam tak leżeć wczesnym wieczorem i słuchać dzieci bawiących się w dole na placu. Dziewczynki skakały przez skakanki ze sznura do bielizny, chłopcy grali w piłkę i szaleli na deskorolkach, sprzedawcy pakowali skrzynki kałamarnic i małych krabów zwanych *moleche*, a kawiarnie wypełniały się turystami i studentami. Czułam się tak... swojsko.

Próbowałam wyobrazić sobie dzieła z kolekcji Jermołowa. Jediną rzeczą, jakiej brakowało mi z pracy w domu aukcyjnym, były same obrazy. Do tej pory udało mi się uniknąć zajmowania się pracami, którymi bym w rzeczywistości gardziła, ale też nie mogłam udawać, że obrazy, które Galeria Gentileschi właśnie sprzedała, były czymś więcej niż wielkoformatowym badziewiem. Brakowało mi nie tylko tego nagłego uderzenia czystego piękna, ale również przywileju spędzania czasu z obrazami, niemal erotycznego wyczekiwania wywoływanego przez powolne odkrywanie dzieł, tego, że można wpaść w zachwyt nad obrazem, patrzeć na niego po raz nie wiadomo który i nadal być poruszonym, zaniepokojonym, zdumionym. Nigdy nie zapomnę dnia, w którym z całą klasą po raz pierwszy odwiedziłam National Gallery. Ta wizyta zmieniła moje życie i od tego momentu jedyną rzeczą, która mnie nie zawiodła, były obrazy. No i fajki, chyba.

Rozmyślając o planach na jesień, zdałam sobie sprawę, że propozycja Jermołowa nie tylko nadzwyczaj mi pochlebiała, ale też pojawiła się w idealnym momencie. Wiedziałam, że zyski z wystawy bałkańskiej przez pewien czas wystarczą na pokrycie wydatków galerii, ale mieszkanie i prace remontowe pochłonęły niemal połowę moich funduszy. Bycie bogatą jest bardzo *drogie*. Kiedy przyjechałam do Wenecji dziewięć miesięcy temu, mogłam wynająć jakieś lokum, ale pragnienie posiadania mieszkania – a nawet domu – które należałoby bezspornie do mnie, było silniejsze niż rozwaga. Mieszkanie należało do firmy Gentileschi, a zapłaciłam za nie gotówką przez panamski bank obsługujący galerię. Miałam nadzieję, że w końcu przeniosę się na rynek wtórny i będę sprzedawała dobre obrazy z drugiej ręki, ale na razie nie miałam przepływu gotówki, by zajmować się czymś więcej niż dziełami „młodych artystów” poniżej pułapu stu tysięcy. Jednak sztuka nowoczesna, która nie miała żadnej wartości poza pieniężną, bywała niezmiernie lukratywna, jeśli towarzyszyła jej moda. Potrzebowałam więc na nowy sezon czegoś efektownego, odkrycia, które będę mogła kupić tanio i sprzedać drogo przyszłej wiosny. Zaciekawiała mnie na przykład pewna Dunka, absolwentka londyńskiej akademii Saint Martin's. Widziałam w sieci jej wystawę dyplomową, na której prezentowała serię prostych grafik – dziwnie frapujących złotawych okręgów na ciemnym tle, które bardzo efektownie prezentowałyby się oświetlone cklwym światłem Laguny. Gdyby udało mi się je zdobyć, mogłabym zorganizować wernisaż o zmierzchu. Musiałam też skupić się na nauce rosyjskiego. Ze względu na tłumy Rosjan kupujących dzieła sztuki na Zachodzie już dawno

wydawał mi się przydatnym narzędziem w mojej branży, ale teraz wyglądało na to, że będę potrzebowała go wcześniej, niż myślałam. Nie łudziłam się, że będę konwersować z Jermołowem w jego ojczystym języku (gdyby się raczył pojawić), ale zaczynałam coraz lepiej przyswajać rosyjską wymowę i uznałam, że powinnam się nauczyć podstawowych zwrotów grzecznościowych.

Znalazłam więc Maszę, była śpiewaczkę operową, która mieszkała na prawdziwej mansardzie za teatrem La Fenice i tam też udzielała lekcji rosyjskiego. Moja nauczycielka była rodowitą Wenecjanką, dzieckiem, jak twierdziła, pary rosyjskich śpiewaków operowych, którzy uciekli ze Związku Radzieckiego podczas tournée po Włoszech tuż po drugiej wojnie światowej. Mimo to nadal mówiła po włosku z silnym akcentem, a jej mroczna kawalerka, do której szło się po coraz węższych schodach aż na szóste piętro kamienicy, przypominała scenografię z amatorskiej inscenizacji Czechowa. Na każdej wolnej powierzchni, która nie była przyozdobiona chustami z ciężkimi frędzlami, poustawiano ikony. Był też prawdziwy samowar, półki z tomikami rosyjskiej poezji, a w powietrzu unosiła się nieprzyjemna woń gotowanej tłustej wieprzowiny. Masza musiała dobiegać osiemdziesiątki i choć jej noga nigdy nie powstała w rodzinnym kraju, twierdziła, że jest potomkinią „Białych Rosjan”, przedstawiała scenki z petersburskiego salonu swoich rodziców, które mogła zaczerpnąć jedynie z powieści, i kręcąc nosem, poprawiała błędy popełniane przez prezenterów rosyjskich stacji radiowych, które nastawiała, bym mogła ćwiczyć język.

– „Of” – rzucała z obrzydzeniem i przewracała oczami pod wielką broszką farbowanych na czarno, tapirowanych włosów. – Nie „ow”! Tragedia, tragedia. – Utyskiwała, jakby wszelkie zło stalinizmu ujawniło się w błędnym udźwięcznieniu końcówki *otczestwa*.

Jednym słowem: Masza była cudowną starą oszustką. Może dlatego tak ją lubiałam.

Okazało się, że mam mnóstwo czasu na dodatkowe lekcje, ponieważ przygotowania do wyceny dzieł Jermołowa zajęły ponad miesiąc. Bogacze traktują czas czysto instrumentalnie, czego dowiedziałam się od swojego przyjaciela Steve'a, specja od funduszy hedgingowych, którego jacht Mandarynka okazał się dla mnie kiedyś azylem, a potem trampoliną do stworzenia własnej galerii. Bogaci ludzie są odporni na wskazówki swoich podwładnych i zmieniają lub poszerzają swoje plany, kierując się wyłącznie własnymi potrzebami. Dr Kazbich dał mi numer do *madame* Poulhazan, asystentki Jermołowa, która przez kolejne tygodnie energicznie ustalała i przekładała termin spotkania. Poczułam ulgę, gdy powiedziała, że jej szef odda mi do dyspozycji swój samolot, a potem dwa razy odbyłam podróż tramwajem wodnym na lotnisko tylko po to, by się dowiedzieć, że Jermołow odwołał spotkanie. Był to w São Paulo, to w Nowym Jorku, to znów na nagłym spotkaniu w Londynie – wciąż nieuchwytny.

Wykorzystałam te dni, by ocenić potencjał kolekcji. Notowałam ostatnie znane ceny sprzedaży prac, które Jermołow podobno posiadał, zestawiałam je z porównywalnymi dziełami w Artprice Index i zbierałam informacje na temat obrazów, które oficjalnie zostały wprowadzone na rynek w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Kiedy wreszcie nadszedł dzień podróży i egzaminu, czułam, że już lepiej nie mogłam się obkuć. Z moich poszukiwań wynikało, że Jermołow posiada cztery samoloty, w tym Dassaulta, który wyróżniał się nawet jak na standardy obowiązujące w Aeroportu Marco Polo – nie z powodu koloru, ładnego, dyskretnego granatu, ale czterech stewardes, które w strojach służbowych czekały cierpliwie na pasie startowym, by mnie przywitać, jakbym przyjechała z wizytą państwową. Dwie z nich dzielnie przytrzymały na wietrze swoje małe czapeczki.

Podziękowałam za wódkę, szampana, kawior z blinami i wyciskany na zimno sok z jarmużu i z lekkim tylko skrzywieniem przyjęłam podczas startu wodę od Armaniego. Do momentu, gdy się przebiliśmy przez chmury, obserwowałam majaczące pode mną cudowne, różowe skały Dolomitów ze szczytami udekorowanymi pierwszym śniegiem, a potem usiadłam wygodnie, by przejrzeć notatki na temat szefa gorliwych stewardes. O Jermołowie, choć nazwisko to było powszechnie znane, wiedziałam tyle co inni, czyli w zasadzie nic. Pasował do obrazu nowoczesnego oligarchy: w młodości przeszedł szkolenie w KGB, przejawiał głębokie zainteresowanie minerałami i rolnictwem wielkoobszarowym, miał rozległe kontakty w kręgach rządowych, oficjalnie mieszkał w Rosji, ale posiadał domy we Francji, Londynie, Anguilli i Szwajcarii. W „Architectural Digest”, w artykule poświęconym Taïs Bean, pokazano żyrandol, który artystka zaprojektowała do górskiego domku Jermołowa. Dowiedziawszy się, że był też

politykiem – piastował stanowisko gubernatora na swoim rodzinnym Kaukazie – zrazu osłupiałam, ale gdy znalazłam informacje na temat innych oligarchów pełniących podobne funkcje, uznałam, że to dość popularny sposób okazania lojalności wobec starej dobrej Mateczki Rosji. „Forbes”, „Spears” i „Financial Times” nie ujawniły niczego kontrowersyjnego, przejrzałam więc archiwalne numery dziennika „Rossijskaja gazeta” oraz magazynu finansowego „Wiedomosti”, ale pomimo wysiłków – moich i Maszy – nadal miałam wrażenie, że posługuję się rosyjskim na poziomie podstawowym i szukanie informacji szło mi jak po grudzie. Jermołow pojawiał się na balach charytatywnych i cyklicznych, z natury jałowych spotkaniach przekonanych o własnej zajebistości ekspertów, organizowanych w Davos i na Yerba Buena. Jak można się było spodziewać, mój zleceniodawca pstrykał sobie fotki z Eltonem Johnem i Bono, ale w porównaniu ze swoimi poprzednikami z ostatniego pokolenia postsowieckich kowbojów był zdecydowanie mdły i bezbarwny. Mimo to niekwestionowane bogactwo sprawiało, że cieszył się powszechnym poważaniem. Jego kolekcję spowijał woal tajemnicy, ale ponieważ Jermołow nie pojawiał się na żadnej z modnych wystaw sztuki współczesnej i nie dał się sfotografować w mekce tejże, czyli moskiewskim Garage, uznałam, że może faktycznie lubi malarstwo.

Kiedy wylądowaliśmy w Nicei, stewardesa poprowadziła mnie ceremonialnie do czekającego maybacha, granatowego jak cała flota pojazdów Jermołowa. Przy otwartych drzwiach stał Shrek w garniturze eksponujący kaburę i byczy kark. Spodobał mi się ten swojski widok i pomyślałam, że moglibyśmy się zaprzyjaźnić, ale zastanawiałam się, czy zatrudnienie szofera i ochroniarza nie byłoby jednak zbytnią ekstrawagancją. Mięśniak usiadł z przodu i samochód pognął autostradą w kierunku Tulonu. Tuż za Saint-Tropez zjechaliśmy z głównej drogi i zatrzymaliśmy się przed podwójną bramą, gdzie kierowca musiał wstukać kod zabezpieczający. Potem ruszyliśmy dalej aleją wysadzaną platanami nakrapianymi złotem wczesnej jesieni. Zjeżdżaliśmy w dół i pięliśmy się w górę, a w oddali mrugała delikatnie roziskrzona tafla Morza Śródziemnego. Przed nami pojawiła się kolejna brama, ale tym razem kierowca skręcił z drogi i wjechał na betonową rampę, gdzie już podnosiły się drzwi garażu. Pojechaliśmy dalej w dół w niebieskawej poświacie, aż uniosły się kolejne drzwi i samochód zatrzymał się w ciasnym, niskim, betonowym pomieszczeniu. Kierowca otworzył drzwi i skierował mnie do okrągłej szklanej budki w załomie ściany.

– Proszę tutaj. Tylko na chwilę.

Zaokrąglone drzwi kabiny zamknęły się, a w suficie coś zabuczalo – skaner rentgenowski? Kierowca wypuścił mnie z budki, po czym z powagą powtórzył tę samą procedurę z moim bagażem, a następnie zaniósł go do windy na przeciwległej ścianie. W końcu cała nasza trójka pojechała w ciszy na górę. Gdy drzwi się rozsunęły, moim oczom ukazał się widok, który przyprawił mnie o głupkowaty

chichot.

Staliśmy na szczycie łagodnie nachylonego zbocza, ciągnącego się żwirowym łukiem w dół aż do otoczonej sosnami i topolami willi, za którą w dali połyskiwało morze. Dziewiętnastowieczny budynek był jasnoróżowy, pretensjonalny i wymyślny jak tort weselny. Albo dom kurtyzany Colette, przywodzący na myśl łóżka z baldachimem i schadzki wśród zapachu jaśminu. Kiedyś, licząc na szczęście, takie domki dawano pod zastaw w kasynach Monte Carlo. Po nieco ponurych procedurach bezpieczeństwa na dole kiczowata willa roztaczała wytworną, acz ulotną woń minionego, dekadentckiego świata złudy i marzeń. Kiedy zmierzaliśmy w kierunku podwójnych drzwi z jasnego wapienia opatrzonych wielką, mosiężną głową lwa, ze spryskiwaczy ukrytych pod żwirem po obu stronach drogi zaczęła tryskać woda, tak że szliśmy tęczowym tunelem. Po cichu liczyłam, że lada moment usłyszę walca. Tak, czasami bezguście bywa niezwykle rozkoszne.

Wyniosły kamerdyner wskazał pani Teerlinc apartament na pierwszym piętrze. Kolejne podwójne drzwi otworzyły się na mały, ośmiokątny przedpokój wyłożony palisandrową boazerią, z balkonem po jednej stronie i sypialnią po drugiej. Trudno mi było skupić się na wystroju, gdyż uderzył mnie intensywny zapach lilii. Jedyne, co mogłam zrobić, to wyszeptać „dziękuję”, a następnie opaść na łóżko, jako żywo przypominające mi inne łoże i inny pokój, w którym dawno temu próbowałam się uspokoić, znalazłszy w nim opuchnięte ciało, nagle bezbronne w obliczu śmierci. Teraz również czekałam, by krew przestała mi buzować i szumieć w uszach.

Może jestem pod tym względem powierzchowna, ale nie poświęcam wiele czasu na rozmyślanie o przeszłości. Rozumiem pojęcie „przypadkowej koincydencji”, ale ten sam intensywny kwiatowy odór przepelniał pokój w Hôtel du Cap, gdzie znalazłam zwłoki Jamesa. Nie myślałam o tym miejscu od bardzo dawna, lecz ta ogromna kompozycja z lilii o cienkich jak pergamin płatkach sprawiła, że przez chwilę miałam wrażenie, jakbym go nigdy nie opuściła. Czyżbym nadal tkwiła w tym bagnie, uwięziona na zawsze z drżącymi dłońmi w portfelu nieboszczyka?

Na szafce nocnej, obok wazonu zauważyłam znajomą kremową kopertę. Otworzyłam ją zębami i jedną ręką, podczas gdy drugą zaczęłam metodycznie odłamywać główki kwiatów, z każdym trzaskiem rozrywając łańcuch łączący mnie z tamtą chwilą. Pręciki uwolniły chmurę pomarańczowego pyłku, który brudził moje rękawy, gdy czytałam.

Pani Teerlinc,

mam nadzieję, że podróż była przyjemna i zdążyła się Pani rozgościć. Gdyby czegoś Pani potrzebowała, proszę pytać bez wahania. Kiedy będzie Pani gotowa, moja asystentka pokaże Pani kolekcję, a następnie z przyjemnością zjem z Panią

*kolację. Proszę przyjąć moje wyrazy wdzięczności za poświęcony mi czas.
Z poważaniem*

P. Jermołow

Przebiegłam tekst wzrokiem kilka razy, czekając, aż ostatnia lilia spadnie na podłogę. Wtedy się ocknęłam. Moja piękna jedwabna bluzka od Chloé była nie do uratowania.

– Cholera, Judith – powiedziałam na głos. – Ogarnij ten bajzel.

Powstrzymałam się jednak. Na dywanie było istne pobożowisko, ale wiedziałam, że ktoś się tym zajmie. W moim nowym świecie nie byłam już dziewczyną, która zмага się z życiem w dusznym pokoju. Byłam bogata, niezależna i wolna. I byłam tutaj. Na własnych zasadach, jako profesjonalistka. Czyż nie stanowiłam żywego dowodu na to, że jeśli tylko wierzysz w siebie i podążasz za marzeniami, możesz być, kim tylko zechcesz? O martwych dowodach lepiej nie rozmyślać. Liczyła się tylko potęga terażniejszości, moja potęga. Na nic zdadzą się dawne dzieje, a Proust i jego lipowa herbatka mogą się gonić. Znalazłam łazienkę i polałam nadgarstki zimną wodą. Potem wzięłam prysznic, umyłam twarz, włożyłam świeże ubranie i ciasno upięłam włosy. Dotarłam naprawdę daleko i trzeba było czegoś więcej niż znajomego zapachu, by zepchnąć mnie z mojej drogi. Czas iść do pracy.

Do czasu, gdy z chrzęstem ruszyłam żwirową dróżką do prostego, nowoczesnego budynku w kształcie sześcianu, w którym Jermołow przechowywał swoją kolekcję, zdążyłam już dojść do siebie. Ubrałam luźną, czarną sukienkę MaxMara, do niej dobrałam solidne drewniaki Marni. Były paskudne, ale pomyślałam, że w zestawieniu z gładkim jedwabiem nadadzą mi artystowski sznyt. W teczce miałam miarkę, notes z zapisaną wielkością poszczególnych obrazów oraz latarkę i lupę – to zaskakujące, jak wiele falsyfikatów przeoczono tylko dlatego, że eksperci zaniedbali podstawowe zasady. Wzięłam ze sobą również staromodnego polaroida, ponieważ podejrzewałam, że nie będzie mi wolno robić zdjęć telefonem. Wkrótce trafiłam w ręce skwaszonej Francuzki w garsonce podobnej do kostiumów noszonych przez załogę samolotu Jermołowa. Była to *madame* Poulhazan, asystentka, z którą się kontaktowałam. Mówiła konkretnie i bardzo grzecznie, ale powłóczyście spojrzenie, którym oceniła moje nogi i teczkę, dało mi jasno do zrozumienia, że darzy mnie bezinteresowną niechęcią. Byłam za młoda, czy tylko niewystarczająco strwożona? Kiedy *madame* przeszła skomplikowaną procedurę rozpoznawania tęczówki i wprowadzania kodów zabezpieczających, barwione szklane drzwi rozsunęły się i weszliśmy do przyciemnionego holu pachnącego ozonem i lakierem.

– *Alors, mademoiselle.* Oto klauzula poufności. Proszę podpisać tutaj, tutaj

i tutaj.

Dokument miał trzy strony tekstu po angielsku i był tak szczegółowy, że praktycznie rzecz biorąc, nie tyle zrzekłam się prawa do rozmawiania o kolekcji i opisywania w jakiegokolwiek formie jej zawartości, ile obiecałam, że ją wymażę z pamięci. Mimo to Elisabeth machnęła swój podpis. Następnie *madame* zeskanowała mnie od stóp do głów podświetlanym urządzeniem, które wyglądało jak luksusowy wibrator, pogrzebała podejrzliwie w moich dokumentach i z triumfem wyciągnęła polaroida.

– To zabronione.

– Potrzebuję go do wyceny.

– Nie ufa pani swoim oczom? – zadrwiła.

Mogłam odpowiedzieć, że to oczom Jermołowa nie wierzę, ale to by mi nie pomogło, więc uprzejmie zasugerowałam, by zadzwoniła do rezydencji i zapytała swego pryncypała o pozwolenie, a potem z przyjemnością obserwowałam jej zniesmaczenie, gdy mi go udzielono. Nastąpiła kolejna pauza, podczas której asystentka wprowadziła długi kod do ostatniego zamka, i w końcu znalazłam się w środku.

Podłoga wykonana była z malachitu, ale stukot moich masywnych drewniaków na szklistej posadzce nie sprawiłby mi większej przyjemności, nawet gdybym stąpała po szmaragdach. Owszem, na chwilę rozbroił mnie atak lęku wywołany zapachem lilii w sypialni, ale teraz przypominałam sobie kilometry, które mozolnie pokonywałam, brnąc niekończącymi się korytarzami domu aukcyjnego, miesiące żmudnej harówki, przemierzanie w tę i z powrotem londyńskich chodników. Jednym słowem: ujrzałam obłożony tapiseriami korytarz prowadzący mnie w przeszłość, do pierwszego razu, kiedy naprawdę *zobaczyłam* obraz w londyńskiej National Gallery, i przypominałam sobie cały szlak, który musiałam przejść, by stanąć tu teraz jako niezależna, może nawet ceniona ekspertka. Rzadko uświadamiamy sobie, że oto mamy dokładnie to, czego chcieliśmy. Przez kilka sekund czułam się jak w stanie nieważkości, unoszona w spirali czasu, zanurzona w swoim spełnieniu. *Nieźle, Judith. Naprawdę nieźle.* Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że *madame* wpatruje się we mnie pytająco. Nie chciałam sprawić jej przyjemności i pokazać, że jestem pod wrażeniem kolekcji, ale muszę przyznać, że chociaż zdarzało mi się bywać w niezwykłych miejscach, to nigdy nie widziałam czegoś takiego jak galeria Jermołowa.

Pomieszczenie było długie i wysokie, oświetlone delikatnie, jakby świecami. Dwie kanapy Breuera pokryte śnieżnobiałym zamszem stały pośrodku zwrócone do siebie plecami, a wokół nich kilka innych siedzeń: krzesła w stylu regencyjnym z rzeźbionym oparciem z błyszczącego buku i *bergère* z epoki Ludwika XIV pokryte szarym jedwabiem. Całość prezentowała się niczym tło scenki rodzajowej w oczekiwaniu na bohaterów. Zanim zrobiłam kolejny krok, rozpoznałam Pollocka

i Matisse'a – *Maison à Tahiti*, który pięć lat wcześniej wywołał sensację w Nowym Jorku, gdy anonimowy kupiec wszedł niemal z ulicy i wylicytował go za czterdzieści milionów dolarów – trzy Picassy, jednego Rembrandta, dwa Breughle, jednego Cézanne'a, Tycjana (kurwa, Tycjana! Kto dziś ma prawdziwego Tycjana?!) oraz *Portret młodego mężczyzny w czerwonej czapce* Pontorma. Byłam oszołomiona. Z trudem się oparłam pokusie wbiegnięcia między obrazy. Miałam ochotę wyciągnąć dłonie w kierunku połyskujących płócien i chłonać wywoływane przez nie emocje. Lewą ścianę poświęcono artystom rosyjskim: wijący się smok Wrubla, jakiś Grigorjew, Riepin, a dalej prace Poussina, seria pejzaży Klimta.

– A tutaj są rysunki. – *Madame* skierowała pilota na panel umieszczony poniżej Klimta. Z delikatnym furkotem otwarło się okienko i pojawił się stalowy pojemnik przypominający dawny stojak na płyty CD. Kobieta wciskała przyciski, a prace przesuwwały się kolejno niczym diabelski młyn szkiców węglem i akwafort, jedna lepsza od drugiej.

Moją euforię nagle zaprawiła gorycz, jakbym poczuła w ustach smak Caviar Martini. Spodziewałam się, że zadanie będzie onieśmielające, byłam nawet podekscytowana wyzwaniem, ale to... to było niewykonalne. Prac było po prostu za dużo, a dzieła zbyt wybitne! Potrzebowałam zespołu asystentów, drabin, rękawiczek, Bóg wie jakiego sprzętu. Ledwie odważyłabym się dotknąć tych dzieł, a co dopiero podjąć się ich wyceny. Zastanawiałam się, w co Jermołow pogrywa. Po co właściciel takiej kolekcji w ogóle rozważał zatrudnienie samotnej, nikomu nieznannej właścicielki galerii do wyceny prac, których piękno sprawiło, że się nagle poczuła jak proch?

Madame usiadła sztywno na jednej z kanap, wykrzywiając wyszminkowane usta w zaciętym, pełnym wyczekiwania uśmiechu. *Trzymaj fason.*

– Rozumiem, że są też renesansowe dzieła. – Na większą przekorę nie potrafiłam się zdobyć.

– Naturalnie. Tędy, proszę.

Gdy tylko się odwróciła, zwiesiłam głowę i poszłam za nią wzdłuż galerii. Ściana na końcu była pusta, co tylko podkreślało wartość skarbów, które się za nią kryły. *Madame* przyłożyła dłoń do kolejnego panelu, po czym rozsunęły się maleńkie drzwiczki, jakby prowadzące do celi średniowiecznego mnicha. Wewnątrz nie starałam się nawet ukryć zdumienia. Maleńkie pomieszczenie, całe wyłożone misternie intarsjowaną, drewnianą boazerią, było kopią słynnego *studiolo* księcia Urbino. Dzieła malarstwa iluzjonistycznego przeplatały się z portretami klasycznych filozofów czczonych w epoce renesansu. Błądziłam wzrokiem po pełnych blasku kompozycjach. A potem, tak blisko, że mogłam dotknąć ich obu za jednym wyciągnięciem ręki, zobaczyłam dwa medaliony, dwie lśniące, pokryte emalią twarze, dwie idealnie ukształtowane brody poniżej pytających, szarych oczu, dwie blond głowy zakryte siatką tak delikatną, że

zdawała się płynąć ku mojej zdumionej twarzy. *Zwiastowanie* i *Madonna z Dzieciątkiem*. Były tam. Obrazy, o których się uczyłam, ale których nigdy nie widziałam, których nie widział prawie żaden żyjący współcześnie człowiek. Teraz zaczęłam rozumieć, skąd tak szczegółowe zapisy w klauzuli poufności.

– Botticelli Jamesona... To oryginały? – Nie mogłam ukryć zachwytu.

– W rzeczy samej – odpowiedziała *madame*. Zaczynała się nieco rozluźniać, może więc niepotrzebnie udawałam zblazowaną. Tylko głupek nie stanąłby oniemiały. Ja ledwie się trzymałam na nogach. Trzeci obraz, na wprost nas, był przykryty ciężką, zieloną, aksamitną zasłoną. Uchyliłam ją delikatnie.

– Och.

Nazwałam swoją galerię na cześć Artemisii Gentileschi, malarki, w której się zakochałam, kiedy byłam nastolatką. Artemisia malowała, choć doświadczyła w życiu lekceważenia, biedy, a nawet gwałtu. Zdobyła się na odwagę i nie zgodziła się podporządkować światu, który ją zhańbił, a potem odrzucił. W tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku, kiedy była jeszcze małą dziewczynką, jej ojciec i nauczyciel Orazio spędził wiele szalonych nocy w towarzystwie zaprzyjaźnionego malarza z północy Włoch, Michelangela Caravaggia. To były złote czasy dla rzymskich niegrzecznych chłopców. Caravaggio i jego przyjaciele chodzili jak pawie, niczym współczesne gwiazdy rocka. Odurzeni winem i bielą ołowianą wszczynali bójki, zamawiali dziwki, wędrowali dumnie z rapierem u boku po ulubionych gospodach rzymskiego półświatka. Caravaggio, który otrzymał imię na cześć zbrojnego w miecz archanioła, namalował tamtego roku obraz o bezlitosnej wirtuozerii, emanujący druzgocącym wprost pogańskim blaskiem. Był to prezent od jego mecenasa, kardynała del Monte, dla Ferdynanda I Medyceusza, autoportret, na którym autor przedstawił siebie jako Meduzę. Obraz jest wypukłą tarczą z drewna topoli i przedstawia wykonany z brązu oręż, którego Perseusz użył, by odbić przerażające, gniewne spojrzenie Gorgony (gdyby Owidiuszowy bohater spojrzał prosto w oczy uwodzicielki, zmieniłby się w kamień). Caravaggio dał potworowi własną twarz, przedstawiając ostatnie, agonalne przebudzenie Meduzy, już po tym, jak jej głowa została we śnie odcięta od ciała przez miecz Perseusza. Artysta jakby wyczuł intuicyjnie, że przestrzeń nie jest trwała i niewzruszona, lecz się zakrzywia faliście niczym włosie norki na pędzlu, czas zaś przyspiesza lub zwalnia, w zależności od grawitacji. Na tarczy Meduzy wklęsłe cienie wijącej się, okolonej węzami głowy maskują wypukłość powierzchni. Tam właśnie przecinają się dwie płaszczyzny i czas na chwilę się załamuje. W momencie zetknięcia naszego wzroku ze wzrokiem Meduzy Caravaggio zatrzymuje Wszechświat w bezruchu, by uchwycić moment śmierci, a zarazem wykrzyczeć swój sprzeciw wobec obowiązujących kanonów sztuki. My jednak jesteśmy bezpieczni – możemy odwrócić wzrok, a potem znów spojrzeć na obraz, który przekracza intencje malarza i dzięki swej aroganckiej brawurze staje się tym, co przedstawia. Oto nic

nieznaczący Lombardczyk w odświętnym stroju, już postrzępionym i przechodzonym, na tym kawałku drewna udowadnia, że posiadał moc Boga. „Weź to, a zatrzymasz czas” – mówi malarz do swego mecenasa.

– Och.

Nawet kopia zapierała dech w piersiach. Gdybym nie widziała oryginału w Galerii Uffizi, pomyślałabym, że patrzę na prawdziwy obraz Caravaggia. *Czyżby Jermołow...? Nie, na pewno nie...*

– To kopia, ma się rozumieć. – *Madame* podała mi pomocną dłoń, nim wpadłam głębiej w króliczą norę. – Pan Jermołow szukał trzeciego obrazu do tego pomieszczenia.

– I tak jest piękny.

Zakryłam obraz i zaraz ponownie odsunęłam zasłonę. Twarz Meduzy ścisnęła mnie za serce. Odwróciłam się powoli i rozejrzałam po galerii. Mała salka była jądrem płomienia, wokół którego tańczyły i mieniły się wielobarwne obrazy.

– Dziękuję – powiedziałam szczerze. – Dziękuję, że mi je pani pokazała.

Ciężko mi się było oderwać od tych obrazów, ale z jeszcze większym zaciekawieniem czekałam na spotkanie z Jermołowem. Jakiegoż samozaparacia wymagało zgromadzenie takiej kolekcji! Posiadać Botticellego Jamesona i trzymać go w ukryciu? Poza tym ciekawiło mnie, po co naprawdę mnie tu zaprosił. Kiedy spotkałam się z doktorem Kazbichem, oboje wiedzieliśmy, że prywatna wycena nie jest prawdziwym powodem, dla którego Jermołow mnie zaprasza. W świecie artystycznym przekręty zdarzają się cały czas, nawet tak zacne instytucje jak dom aukcyjny British Pictures dokonywały podejrzanych wycen, zwłaszcza dla celów ubezpieczeniowych lub podatkowych, ale ja nie miałam doświadczenia w takich sprawach. Przynajmniej według Jermołowa. Założyłam, że Kazbicha sprowadziła do mojej galerii kolekcja z Belgradu – w końcu to tam działał, podobnie jak grupa Xaoc Collective. Może Jermołow zażądał znalezienia kogoś szybko i po prostu mi się poszczęściło? Nadzieja na obejrzenie prac Botticellego, nie wspominając o pieniądzach, wystarczyła, by mnie przekonać – nawet jeśli nie zostałam tu ściągnięta z najszlachetniejszych pobudek. Jednak teraz, gdy zobaczyłam, z jakiego kalibru kolekcją mam do czynienia, takie wyjaśnienie wydało mi się mniej prawdopodobne. Uważałam, że osoba, która *kocha* sztukę tak, jak najwyraźniej kochał ją Jermołow, zwróciłaby się do najlepszego eksperta. Jego obrazy na pewno na to zasługiwały.

Kamerdyner poinformował mnie, że pan Jermołow oczekuje mnie o ósmej na tarasie, gdzie chętnie wypije ze mną drinka, ale przebrałam się szybko i zeszłam na dół kwadrans wcześniej, w nadziei, że przyłapię go na przykład na sprzedaży atomowej łodzi podwodnej. W rzeczywistości jednak gospodarz oddawał się mało ekscytującemu zajęciu, jakim była lektura „The Economist”.

Jermołow był wysoki i miał wąskie ramiona, ale biła od niego siła. Miał

jasne włosy i bezbarwne oczy człowieka z północy. Z jego stroju biła nonszalancja, którą są w stanie osiągnąć tylko najwięksi bogacze: gładka koszula, granatowe chinosy, tani zegarek elektroniczny. Wstał, by się ze mną przywitać. Jego twarz miała dziwny wyraz, trochę pytający, trochę rozbawiony, jakbyśmy już się znali. Kiedy odsunął mi krzesło i zaproponował kieliszek szampana, zauważyłam, że było w jego ruchach jakieś opanowanie, elegancki spokój, który mógłby wydawać się ujmujący, gdyby nie dłonie. Długie i delikatne palce niczym odnóża pająka wędrowały po stopce kieliszka, skubały szwy lnianej serwetki, układały drobne przystawki z oliwek i korniszonów w spiralne formy. Te dłonie, w połączeniu z krótką fryzurą, która przypomniała mi o tym, że mój gospodarz odbył szpiegowskie szkolenie, wytrąciły mnie z równowagi, przywodząc na myśl duszne pokoje przesłuchań, wyciągane ze zniszczonych szafek pożółkłe akta, ołówki uniesiony z zamiarem złamania czyjegoś życia w mrozach Syberii i szklankę z gorzką, wystygłą kawą. Nerwowa energia tych dłoni przeczyła pozornemu opanowaniu ich właściciela, a w nieustannej potrzebie chwytania było coś zachłannego.

– Witam, pani Teerlinc. Bardzo się cieszę, że znalazła pani dla mnie czas w ferworze artystycznych wydarzeń. – Uśmiechnął się, rozbawiony własnym żarciem. Zaśmiałam się perliście.

– Och, jestem zachwycona, że mnie pan zechciał zaprosić.

Pijąc aperitif i gawędząc ze mną o mojej podróży i otaczającej nas scenerii, Jermołow mnie oceniał. Na kolację przenieśliśmy się do altany z widokiem na morze. Kelnerzy chodzili w tę i z powrotem, przynosząc sałatkę z owoców morza ze strzępielem, a potem homara zapiekanego w cieście filo, podczas gdy fale uderzały łagodnie o brzeg sto metrów pod nami. Wzdłuż ścieżki wiodącej na taras migotały świece. Ponad ramieniem Jermołowa widziałam ich blask ciągnący się aż na brzeg, w dół schodów wykutych w skale. Jermołow palił jak smok, ale w rozmowie silił się na uprzejmość. Chassagne-montrachet było wyborne, ale z jakiegoś powodu czułam się nieswojo. Dziwne, zważywszy na fakt, że siedział przede mną człowiek, który w niepozornym budyńeczku u stóp wzgórza urządził prawdziwą sztukamerę.

Przy pierwszych daniach trzymałam się etykiety i rozmowę o interesach zaczęłam dopiero, gdy sprzątnięto talerze. Wcześniej gawędziliśmy o tym, kiedy najlepiej odwiedzić Wenecję, a kiedy się wybrać na Karaiby, o remoncie francuskiego domu, który Jermołow nabył przed pięciu laty, i nowej architekturze Moskwy, o której czytałam artykuł przed lądowaniem. Dowiedziałam się z niego, że grupy straży obywatelskiej patrolują w nocy rosyjską stolicę, polując na podpalaczy, którzy puszczają z dymem stare budynki, by zrobić miejsce pod miliardowe inwestycje deweloperów. Potem dyskutowaliśmy o Lermontowie, gdyż mój gospodarz, jak każdy człowiek z Kaukazu, kochał tego poetę. Kiedy Jermołow

w rozbrajający, właściwy Rosjanom sposób zadeklamował długi fragment z *Demona*, zaczęłam go nawet lubić. Jego dłonie nieustannie się poruszały, kiedy podawano nam deser w postaci maleńkich, fioletowych porcji crème brûlée, którego żadne z nas nie tknęło, a ja zamilkłam, czekając na jego pytania.

– Rozumiem, że przed przyjazdem do Wenecji spędziła pani jakiś czas w Nowym Jorku. Czy może w Paryżu?

Zamarłam. Elisabeth Teerlinc nigdy nie była w Paryżu.

– W zasadzie pochodzę ze Szwajcarii.

– Proszę wybaczyć, musiałem coś pomylić.

Nagle zdałam sobie sprawę, że jestem zupełnie sama, z dala od domu, od świata. Nie mówiłam nikomu, dokąd się wybieram, ponieważ... Cóż, nie miałam komu powiedzieć. *Nie ma się czego obawiać, jest zajęty człowiekiem. Właściwie, jesteś jego pracownicą, jedną z wielu. Miał prawo się pomylić.* Uniosłam kieliszek z winem.

– Czy miała już pani chwilę, by zacząć wycenę mojej kolekcji?

– Tak, to był wielki przywilej, że mogłam ją zobaczyć.

– Sądzi pani, że będzie w stanie oszacować jej wartość?

Odstawiłam kieliszek.

– Panie Jermołow, powinnam być z panem szczerą. Niezmiernie schlebia mi fakt, że zaprosił mnie pan tutaj, i jestem bardzo wdzięczna za pana gościnność, ale kolekcja taka jak pana... Naprawdę, nie jestem odpowiednią osobą do jej wyceny. Uważam, że byłoby lepiej, gdyby zlecił ją pan któremuś z wielkich domów aukcyjnych w Londynie lub Nowym Jorku.

Jeśli był niezadowolony, nie dał tego po sobie poznać. Tylko jego ruchliwe dłonie splotły się razem i zastygły w bezruchu.

– Uważa się pani za... niekompetentną? Ale dlaczego? Wydaje się, że pani galeria odnosi sukcesy.

Właśnie miałam mu odpowiedzieć, gdy moją uwagę przyciągnął nagle ruch na ścieżce wiodącej w górę klifu. Mignięcie blond włosów w świetle świecy, blask nagiego kobiecego ramienia. Jermołow nie odwrócił głowy, tylko prawie nie otwierając ust, powiedział coś ostro po rosyjsku. Aż podskoczyłam, kiedy zza jednej z kolumn altany jak duch wyłonił się ochroniarz i ruszył schodami w dół. Nie miałam pojęcia, że tam stał, i nie byłam pewna, czy bardziej mnie to uspokajało, czy przerażało.

– Proszę mi wybaczyć. Czasami mamy tu kłopot z intruzami.

– Cóż, temu miejscu nie można się oprzeć.

Nie wierzyłam mu. Jego dom był chroniony lepiej niż Downing Street 10. Żaden intruz nie zdołałby podejść tak blisko.

– O czym mówiliśmy?

– Jest pan bardzo uprzejmy, ale nie powiedziałabym, że moja galeria odnosi

wielkie sukcesy. Jeszcze nie. – Zamilkłam, bawiąc się łyżeczką. Próbowałam wymyślić jakąś wymijającą odpowiedź. – Otworzyłam Gentileschi... dopiero rok temu. I zajmujemy się głównie sztuką współczesną.

– Myślałem, że zna się pani również na dawnych mistrzach. – Pytająco spojrział mi w oczy.

Co miał na myśli? Nic! Nie popadaj w paranoję!

– Kształciłam się w tym kierunku, ale w żadnym razie nie jestem autorytetem. Jak pan wie, kolekcja pańska jest wyjątkowa, zarówno jeśli chodzi o jej zakres, jak wartość dzieł. Nie czuję się na tyle pewnie, by oszacować ich wartość rynkową.

– Mimo to rozważa pani wykonanie tego zadania?

Owszem, rozważałam. Teraz, gdy wiedziałam, co zawiera kolekcja, mogłam przejrzeć raporty sprzedaży z kilku poprzednich lat, skonsultować się z Artprice i porównać szacunki dotyczące podobnych dzieł. Robiłam takie rzeczy przez cały okres swej pracy w domu aukcyjnym. Zadanie było onieśmielające, ale nie niemożliwe.

– Jeśli niepokoi panią autentyczność prac, to zapewniam, że ich pochodzenie jest bez zarzutu. Potrzebuję jedynie wyceny.

– Ja...

Doszły do nas głosy mówiące po rosyjsku – kobiety i ochroniarza. Usłyszałam, jak kobieta syczy „Chcę z nim rozmawiać”, a potem wypowiedziane niższym, łagodnym głosem słowa mężczyzny, których nie zrozumiałam, i na koniec: „niemożliwe”.

– Przepraszam, pani Teerlinc.

Jermołow wstał niespiesznie i zniknął w fioletowym świetle. Nie podniósł głosu, ale usłyszałam, jak mówi wyraźnie:

– Pozbądź się jej. Zajmę się tym rano.

Nie wiedział, że mówię trochę po rosyjsku, ale, z drugiej strony, nie pytał mnie o to. Zastanawiałam się, czy wieczorna spacerowiczka zdawała sobie sprawę, jak niebezpieczna mogła być jej przechadzka – i to bynajmniej nie z powodu nachylenia klifu. Fakt, że jeszcze nie widziałam w okolicy kałasznikowa, nie oznaczał, że ich tu nie ma, a po wizycie w galerii doskonale wiedziałam, że są tu wręcz nieodzowne. W lodowatym tonie Jermołowa było coś, co sugerowało, że nie zawahałby się użyć któregoś z nich osobiście.

– Jeszcze raz proszę o wybaczenie. – Jego dłonie chwyciły serwetkę, zamarły w powietrzu i odłożyły ją z powrotem na miejsce.

Zdałam sobie sprawę, że najbardziej przerażające w Jermołowie było to, że wcale nie sprawiał wrażenia przerażającego. Nie musiał ryczeć jak lew. W jego przypadku spokój nie tyle maskował okrucieństwo, ile stanowił jego potwierdzenie. Nagle wydał mi się z tego powodu seksowny, co mnie zirytowało.

– Na czym skończyliśmy? – zapytał.

Byłam pewna, że nie wybrał mnie z całkowicie uczciwych pobudek. Dlaczego, mając taką kolekcję, nie zwrócił się do najlepszych ekspertów w branży? Byłam pewna, że mając dość czasu, mogłam się wywiązać z zadania, jednak ranga dzieł sprawiała, że czułam wewnętrzny opór. Te obrazy zasługiwały na najlepszego eksperta i chociaż przyznawałam to przed sobą z ogromną niechęcią, nie byłam kimś takim. Jeszcze nie.

– Panie Jermołow, czy mogę zapytać, dlaczego wybrał pan do wyceny mnie?

– Polecił mi panią doktor Kazbich. Dokonuje dla mnie zakupów. – Najdrobniejsza sugestia, iż może marnować swój czas, wywoływała u niego zniecierpliwienie.

– Panie Jermołow, może pan być pewien, że zachowam dyskrecję, i jestem zaszczycona, że mogłam zobaczyć pana kolekcję, ale najzwyczajniej w świecie nie uważam, żebym była najodpowiedniejszą osobą do wykonania tej pracy. Potrzeba by zespołu ekspertów, asystentów... – Zamilkłam. Krótko mówiąc, znudziłam go. Jak się spodziewałam, poczynił kilka chaotycznych uwag, po czym oznajmił, że musi iść, gdyż ma do wykonania kilka telefonów. Nie byłam mu już potrzebna, więc przestałam go interesować.

Następnego ranka Jermołow nie pofatygował się nawet, by się ze mną pożegnać. Nie przypuszczałam, że kiedykolwiek go jeszcze zobaczę – ani tym bardziej, że wkrótce będę stawać na głowie, by się z nim spotkać.

Jak większość najgłupszych rzeczy, które zrobiłam, wyjazd na Ibizę był moją własną decyzją. Podczas sierpniowej wystawy nie poświęciłam Tagemu Stahlowi zbyt wiele uwagi, ale on nadal usilnie wydzwaniał do mnie i pisał. Okazało się, że jest Duńczykiem i zajmuje się czymś, co ma związek ze statkami. A potem urządził domową imprezę na swojej prywatnej wyspie niedaleko północnego wybrzeża Ibizy. Dla hecy zapytałam, czy przysłałby po mnie samolot, a on odparł „oczywiście”, więc grzeczność nakazywała przyjąć zaproszenie.

Szczerze mówiąc, bez żalu opuściłam na pewien czas Wenecję, bo po wizycie u Jermołowa La Serenissima nie wydawała się już taka spokojna. Nie żałowałam tego, że mu odmówiłam – rezygnując z wyceny kolekcji, okazałam lojalność wobec samej siebie, kimkolwiek jestem. Zachowałam swoją wiarę w sztukę i uniknęłam uwikłania się w tajemniczy plan Jermołowa. Dręczył mnie jednak sposób, w jaki rosyjski oligarcha na to zareagował. Nie czułam się tak nieswojo od czasu, gdy mnie wyrzucono z pracy w domu aukcyjnym. Elegancka impreza była dokładnie tym, czego Elisabeth Teerlinc potrzebowała, by odbudować swoje morale. Poza tym z jakiegoś powodu irytowało mnie moje mieszkanie. Zwykle przebywanie w nim, w otoczeniu pięknych przedmiotów, uspokajało mnie, ale ostatnio jakby przestałam je odkładać na miejsce. Filiżanki i szklanki piętrzyły się w dotąd nieskazitelnie czystej kuchni, a do tego – najwyraźniej przez roztargnienie – kupiłam tabliczkę czekolady. Znalazłam ją w szafce, obok przypraw. Dziewięćdziesiąt osiem procent kakao, z płatkami migdałowymi. Dziwne. Nienawidzę migdałów jeszcze bardziej niż ciemnej czekolady.

Po południu wylądowałam na Ibizie i ciemna, klimatyzowana furgonetka zawiozła mnie pędem z płyty lotniska do hali. Sądząc po stanie tłumu zgromadzonego w terminalu, nie była to najszczęśliwsza pora dnia. Bezdomne gromadki śpiących urlopowiczów trzęsły się obok zawiniętych w folię walizek na kółkach, grupka dziewczyn, którym kolorowe malunki na twarzach rozmazały się, tworząc coś na kształt ogromnych siniaków, kłóciła się anemicznie przy stanowisku easyJet, a dwóch niezmordowanych sprzątaczy w siatkach na włosach i turkusowych fartuchach pchało przed sobą szerokie mopy, rozmazując morze brzoskwiniowych wymiocin. Z każdego kąta, niczym skryty złowieszczko za ray-banami dyktator, gapił się na mnie David Guetta. Znalazłam kierowcę Stahla, który zapakował mnie do czarnego jeepa z odkrytym dachem. Samochód rzęził i dudnił, pędząc przez spaliny i cykanie cykad. Minęliśmy skręt do górującej nad portem białej cytadeli, kilka pizzerii, studiów jogi i kolejnych plakatów obiecujących didżejską nirwanę, aż autostrada się zwężyła i zaczęliśmy się piąć w górę po łagodnych, zielonych wzgórzach z niskimi, białymi zabudowaniami po obu stronach drogi. Pierwszy raz byłam na tej słynnej wyspie, ale stwierdziłam, że,

faktycznie, kiedyś musiała być piękna.

Zaczęłam rozumieć Ibizę jeszcze bardziej, kiedy się zatrzymaliśmy przy znaku wskazującym na plażę Agua Blanca. Zaparkowaliśmy na zakurzonej parkingu pełnym innych jeepów i skuterów. Kierowca zniósł moje bagaże stromą ścieżką prowadzącą do zatoki, gdzie nagie dzieci bawiły się na długich płycznach pomiędzy wysokimi kolumnami czerwonych skał. Zsunęłam ze stóp baleriny i poczułam delikatną falę rozkosznej wolności, która pojawia się za każdym razem, gdy czuję między palcami piasek. Dalej, na brzegu, grupa żonglerów z nagimi torsami i dredami na głowach podrzucała maczugi, podczas gdy plażowicze smażyli się na wysychającej, białej glinie z dala od morskich fal. Przeszłam między amatorami kąpiele słonecznych na pomost, gdzie mój kierowca odcumował szarą łódkę i popłynęliśmy w kierunku mniejszej wyspy, podskakując lekko, ilekroć trafiliśmy na boczny prąd. Przed nami, niczym rozcinające horyzont skrzydła motyla, rozpościerały się dwa biało-zielone klify.

Nowiutka willa Stahla urządzona była w stylu baru tiki, ale widok na cieśninę i leżącą na drugim brzegu plażę Agua Blanca był taki, że trudno sobie wymarzyć coś cudowniejszego, i prawdopodobnie dlatego Stahl kupił ten dom. Sześć pokoi – sześciennych kostek z mlecznego szkła i stali – ustawiono obok siebie w rzędzie na zboczu wzgórza, tak że każdy z nich wydawał się otwarty na morze. Kiedy zesłam na łąd, nie widać było żadnych gości, nie licząc wychudzonej kobiety w kaftanie Normy Kamali. Siedziała na końcu wielkiego, łukowatego tarasu, dzióbiąc bez przekonania w czymś, co wyglądało jak omlet z białek. Gospościa zaprowadziła mnie do pokoju i zaczęła mnie rozpakowywać, podczas gdy ja gmerałam niezdarnie wokół jej rąk w poszukiwaniu bikini i postrzępionych szortów. Na tarasie kobieta w kaftanie porzuciła swój omlet, więc wyłowiałam z pozostawionego na jej talerzu pobojuwiska morelę i wbiłam zęby w szorstką skórę, obserwując jasny, oddalony o kilometr brzeg. Drewniane schody z rzeźbionymi polinezyjskimi głowami prowadziły w dół, do wyludnionego basenu – ogromnego owalnego zbiornika z jasnoszarego marmuru. Woda wyglądała na cudownie gładką, ale zanim miałam okazję się w niej zanurzyć, pojawił się Stahl. Wracał prosto z kortu tenisowego i jego opalona, wysoka sylwetka, umięśniony tors i oczy w kolorze lapis-lazuli przypomniały mi rozkoszne popołudnie spędzone zaprzeszłego lata z pewnym Skandynawem. A że od tamtego czasu wiodłam w Wenecji stateczny żywot, pofolgowałam sobie i zanim pozostali goście skończyli wczesnopołudniowe śniadanie, uczciłam swój przyjazd w obszernym balijskim łóżku Stahla, który wykazał się nie tylko entuzjazmem, ale i niebagatelnymi umiejętnościami. Gdy skończyliśmy, świat wydawał się spokojniejszy i, ogólnie rzecz biorąc, byłam gotowa na pełen atrakcji weekend.

Kiedy się wyłoniliśmy z alkowy, uczestnicy imprezy raczyli się wokół basenu różowym winem i ziołem. Stahl przedstawił mnie typowej mieszance

szpakowatych panów i anorektycznych pań – kombinacji, którą poznałam podczas swojej pierwszej wyprawy po Morzu Śródziemnym. Odmówiłam zarówno trawy, jak i wina, za to dość ochoczo zaangażowałam się w rozmowę o odbytych i planowanych podróżach – póki dyskusji na temat wyższości Pantellerii nad Patmos bądź na odwrót nie przerwała położona na moim ramieniu dłoń.

– Cześć, skarbie, jestem Alvin.

Tym, co mnie zaniepokoiło, nie było bynajmniej wszechobecne „skarbie”. W odróżnieniu od pozostałych mężczyzn Alvin był mniej więcej w moim wieku, może nawet młodszy, lecz pod miłą powłoką jego amerykańskiego akcentu kryło się coś przebiegłego i dwuznacznego, co sprawiło, że przeszedł mnie lodowaty dreszcz.

– Elisabeth Teerlinc. Cześć, chyba się nie znamy.

– Nie osobiście.

– A to ciekawe.

– Jesteśmy znajomymi na Facebooku.

– Ach, tak...

Judith Rashleigh nie istniała w sieci, ale Elisabeth Teerlinc, przebojowa właścicielka galerii, sumiennie utrzymywała rozległe kontakty za pośrednictwem mediów społecznościowych. Brak takiej aktywności rzucałby się z nadto w oczy, dlatego co kilka dni z niechęcią spędzałam pół godziny na akceptowaniu zaproszeń od nowych „znajomych” i wrzucaniu banalnych postów – bez prywatnych zdjęć i zawsze związanych z Gentileschi. Nie byłam nadmiernie ostrożna w przyjmowaniu nowych znajomych. Odmowy bardziej zwracałyby uwagę. Alvin był patykowaty, rudowłosy i miał nieatrakcyjne, wilgotne usta. Nie rozpoznałam go, ale bez trudu się domyśliłam, dlaczego nie użył na profilu własnego zdjęcia. Miał aparycję lekko zapyziałego, bogatego ćpuna.

– Masz swoją galerię w Wenecji, tak?

– Zgadza się. – Uśmiechnęłam się ostrożnie.

– Właśnie skończyłem pierwszy rok w Instytucie Courtaulda. Mój ojciec pracuje z Tagem.

– Szczęściarz. Mam na myśli Courtauld. Chociaż jestem pewna, że twój ojciec jest równie wspaniały.

Kiedy odwzajemnił mój uśmiech, zauważyłam, że ma nierówne i zaniedbane zęby – pościskane i pokryte u nasady grubą warstwą kamienia.

– Tak, jest spoko, ale wiesz, tak naprawdę nie interesują mnie te wszystkie muzea. – Ogarnęła mnie przerażająca wizja, że zaraz zacznie mi opowiadać o apce, nad którą pracuje, więc przeprosiłam uprzejmie i poszłam sobie dolać mrożonej herbaty, jednak cień żółtawego uśmiechu pozostał ze mną przez całe gorące popołudnie.

„Imprezowa łódka” Tagego, Razan 47 z brązowym kadłubem, przewiozła

nas tego wieczora z powrotem na ląd, gdzie mieliśmy się przyłączyć do innej domówki i zjeść wspólnie kolację. Po przytłaczającym, gęstym upale Wenecji powietrze na Ibizie wydawało mi się przejrzyste i lekkie. Co prawda brzęczenie cykad zagłuszały kawałki Garrixa dobiegające ze wspinających się po wzgórzach jeepów, ale na szczęście muzyka nie była w stanie przyćmić zapachu sosnowej żywicy ani woni wiciokrzewu unoszącej się z bryzą wokół niskich, białych ścian domu. Kiedy przechodziliśmy przez dziedziniec wypełniony przez jeepy, ogromnego bentleya z otwartym dachem i czerwone ferrari, zobaczyłam gromadę obutych w koturny kobiet, wiszących z uwielbieniem na ramionach swych mężczyzn.

Z irytacją skonstatowałam, że w głębi duszy jestem zaskoczona i podekscytowana faktem, iż stałam się częścią tego żywego obrazu – i to bez tacy w rękach. Trudno jednak wykorzenić stare nawyki, a ja zawsze wychodziłam z założenia, że jeśli nie masz do czegoś prawa, musisz się odpowiednio przygotować. Przed przyjazdem sprawdziłam więc to i owo na temat Ibizy, toteż bez trudu rozpoznałam w przebudowanym wiejskim domu styl Blakstada, architekta naśladowanego przez projektantów najdroższych budowli na wyspie, i kiedy Tage przedstawiał mnie gospodarzowi, mogłam mu pogratulować znakomitego gustu.

– To jest Elisabeth. Sprzedała mi prace Xaoc, które mam w Kopenhadze.

– Jest pani marszandką?

– Poniekąd. – Uśmiechnęłam się. – Zdecydowanie początkującą.

– Ma wspaniałe oko – zachwycił się Tage, ściskając mnie za rękę.

Naszym gospodarzem był jego rodak, ociężały i łysiejący, z sygnetem i amerykańską żoną młodszą od niego o przynajmniej dwadzieścia lat.

– Cudowna z was para! – zapiszczała wspomniana Amerykanka do Tagego, którego najwyraźniej nie zmartwiło to nieporozumienie. – Jak się poznaliście?

– Och, jakiś czas temu, w Wenecji – odparłam.

– Uwielbiam Wenecję. O mój Boże, jak romantycznie. Zawsze zatrzymujemy się w Danieli. Znać Danieli? Uwielbiam Włochy. W zeszłym roku pojechalśmy na Sardinie. Gdzie się tam zatrzymaliśmy, Sveyn?

– Na łodzi Tagego.

– Och, oczywiście. Nie, myślałam o Toskanii. Gdzie się zatrzymaliśmy w Toskanii?

Wyglądało na to, że możemy utknąć w konwersacyjnej pętli i nieprędko dotrzemy pod austriacką granicę, więc delikatnie odciągnęłam kobietę na bok i zaczęłam się zachwycać ciągnącą się przez środek długiego stołu dekoracją – kompozycją z kwiatów pomarańczy owiniętych wokół czarnych fig.

– Jakie to pomysłowe! – ekscytowałam się. – Musisz być wykończona.

Już dawno odkryłam zasadę, według której im bogatszy mąż, tym bardziej

wykończona żona. To była bezpieczna zagrywka.

– O Boże, przygotowywałam tę kolację jakiś tydzień. Powiedziałam Sveynowi, że po tej imprezie koniec. Nie kiwnę już palcem. Nigdy. To było jakieś szaleństwo.

Spojrzałam ponad jej ramieniem na stół. Ustawiono go prostopadle do basenu, który zagłębiał się w klifie pomiędzy dwiema wielkimi, pomalowanymi na biało rzeźbami z wyrzuconego na brzeg drewna. Czterech kelnerów w ciemnych marynarkach wystawiało lodowe łódki z sushi, kolejny zapalał na brzegu tarasu misy ogniowe z brązu, dwaj inni nalewali szampana i różowe wino, a ostatni rozdawał maleńkie przystawki w postaci marynowanego imbiru zawiniętego w szynkę ibérico. Gospodyni musiała być padnięta.

– Wiesz, lubię proste rozwiązania. – Teraz już chichotała. – To znaczy... to jest Ibiza i wszyscy są bardzo wyluzowani, ale jednak...

– Przygotowywanie pięknych rzeczy wymaga wiele pracy – dokończyłam ze szczerym współczuciem.

– O mój Boże! Ty to rozumiesz, Elsie, prawda? Normalnie ją Kocham! – pisnęła do Tagego, który przybył mi na ratunek.

Przy kolacji, z uwagi na ogólne wyluzowanie, goście nie mieli z góry wyznaczonych miejsc. Tage klapnął obok mnie, a po drugiej stronie dosiadła się kobieta w zdobionej pomponikami letniej sukience od Vity Kin. Przez pewien czas rozmawiała przede mną z Tagem, nawet się nie przedstawiwszy. Zadawała szczegółowe pytania o miejscowy klub polo, co chwila wspominała o *stałych klientach* i opowiadała, kogo widziała w klubie golfowym Cowdray. A potem uznała, że jesteśmy bratnimi duszami, może nie charakterologicznie, ale na pewno pod względem stylu. Olśniło ją akurat w chwili, kiedy Tage włożył mi w usta kawałek tuńczyka z białą truflą, jednocześnie muskając nosem moją szyję. Bez wahania wsunęła swoją wytatuowaną henną dłoń w moją, pociągnęła pokazny łyk różowego wina i oznajmiła, że wszystkie zbiorniki w jej domu wypełniono „złotą wodą”.

– Słucham?

– Kojarzysz te spirale na skorupach ślimaków? Symbolizują złoty środek, możemy go znaleźć wszędzie w przyrodzie. Taka powinna być woda, nie nieruchoma i statyczna jak w kranie. Istnieje urządzenie, które przestawia cząsteczki w wodzie zgodnie z regułą złotego środka...

– Jak, ten... Zderzacz Hadronów?

– Właśnie. Dzięki niemu woda jest o wiele bardziej nawilżająca. Czuć różnicę w owocach i warzywach, które były nią podlewane. Po prostu czuć w smaku, że były szczęśliwe. To przemiana fizyczna, ale również duchowa.

– Holistyczna – wydusiłam ledwie, gryząc wewnątrz policzka.

– Tak. Możesz kupić sobie takie urządzenie i postawić w łazience, w kuchni,

gdzie chcesz. Firma czeka jeszcze na zatwierdzenie przez Agencję Żywności i Leków, ale wiesz, tyle jest formalności i biurokracji. Poczekaj, mam wizytówkę. – Zaczęła szperać w swojej wężowej torebce od Gucciego. – Mówię ci, to zmieniło moje życie.

– Dziękuję ci bardzo. Na pewno... hmm... zainteresuję się tematem.

– Cała przyjemność po mojej stronie, skarbie.

Kiedy goście zaczęli powoli odchodzić od stołu, kelnerzy zapalili pośród drzew maleńkie, kolorowe marokańskie latarnie. Do mis ogniowych wrzucono suszoną lawendę i delikatne, słonawe powietrze wypełniły kłęby zapachu.

– Narażasz się trochę staremu *vigile*, co, Sveyn? – rzucił Anglik w zapiętej na jeden guzik lnianej koszuli Vilebrequin.

Gospodarz zaśmiał się cierpko.

– Niestety, jak tylko ktoś zgłosi, że widział otwarty ogień, wlepiają ci dziesięć tysięcy grzywny. W zeszłym roku w San Juan spłonęła połowa wzgórza. Wolę im dać dziesięć tysięcy *z góry* – zwierzył się Sveyn i wraz z Anglikiem zaśmiali się konspiracyjnie.

Tagę zaprowadził mnie na kanapę z drewna tekowego udrapowaną orientalnymi szalami, otoczył mnie zaborczo ramieniem i przedstawił szwedzkiemu architektowi, któremu zlecono zaprojektowanie na przyszły rok letniego pawilonu Serpentine Gallery, oraz jego żonie, która zajmowała imponujące stanowisko o jeszcze bardziej imponującej nazwie w jakiejś sztokholmskiej firmie z branży medycznej. Podejrzywałam, że nie zachwyciłaby się specjalnie „złotą wodą”. Oboje byli inteligentni, czarujący i szczerze zainteresowani moimi planami rozwoju Gentileschi. Kiedy tak siedziałam z Tagem, a rozpuszczające się kostki lodu malowały w moim różowym winie maleńkie kwiatki, mogłam spojrzeć na błyszczące ściany domu i ciemną obietnicę ogrodu i kolejny raz ucieszyć się z wygnania Judith Rashleigh. Odsuńmy na bok duchowość i spójrzmy na sprawę trzeźwo: przecież tu właśnie chciałam być, prawda? A co najlepsze, sama sobie byłam sterem, żeglarzem, okrętem. Dostrzegłam Alvina leżącego na hamaku z dwiema dziewczynami i uniosłam kieliszek w geście uznania. Pomimo lekkiego rozczarowania niedoszlą wyceną kolekcji Jermołowa byłam nastawiona optymistycznie, a może nawet szczęśliwa.

Wkrótce miałam się przekonać, że to były ostatnie chwile, kiedy mogłam się jeszcze łudzić, iż sprawy zmiierzają we właściwym kierunku.

Wszystko zaczęło się psuć kolejnego wieczoru, podczas kolacji. Ponieważ nie lubię dzielić z nikim łóżka, jeśli nie jest to bezwzględnie konieczne, nie przeniosłam rzeczy do balijskiej alkowy Tagego i rano obudziłam się sama. Zrobiłam sobie przebieżkę wokół wyspy i zakończyłam trening kąpielą w kobaltowych falach, gdzie grube, szare ryby igrały u moich stóp, a następnie spędziłam dzień z resztą towarzystwa, relaksując się nad basenem. Tage zorganizował wycieczkę łodzią na pobliską Formenterę, ale ponieważ w wyspę uderzyła fala wrześniego upału, od którego aż drżało powietrze na horyzoncie, wolałam wrócić do chłodnego łóżka, gdzie czytałam i spałam, aż nadszedł czas, by przebrać się do kolacji.

Dziewczyny poszły się przygotować około dziewiętej. Z chichotów i tupotu stóp biegających między łazienkami wywnioskowałam, że poprawiały sobie humor drinkami. Wzięłam długi prysznic i włożyłam prostą, czarną, żorzetową sukienkę do kostek od Isabel Marant i proste, skórzane sandały, a do tego stare, stylowe kolczyki, które kupiłam na Murano – ogniste kostki marmurkowego szkła osadzone w delikatnej, złotej oprawie. Jednym słowem: postawiłam na artystyczną swobodę. Kiedy spotkaliśmy się ponownie na drinka, ze zdumieniem spostrzegłam, że Tage pojawił się w stroju, który w najlepszym razie można by opisać jako „imprezowy kaftan”, ale na szczęście nie musiałam sobie zawracać tym głowy. Kelnerki wystawiały półmiski z pitą i smakowicie pachnącymi albóndigas. Zaproponowałam pulpecik siedzącej obok kobiecie, w której rozpoznałam Miłośniczkę Omletów, lecz ona uszczypnęła mnie żartobliwie w udo z zażyłością, która, moim zdaniem, stanowiłaby uzasadniony motyw morderstwa.

– Żarcie to ściema, Elisabeth! Dziabnij tego.

Wręczyła mi maleńką, zdobioną emalią komórkową miseczkę z MDMA i zachęcająco wcisnęła czubek swojego małego palca do moich ust. Przełknęłam kulę wściekłości zamiast jej palca i wymamrotałam coś o tym, że potrzebuję węglowodanów, żeby się rozruszać, ale patrząc na stół z drewna tekowego udekorowany wąskim tureckim kilimem ze srebrnymi monetami, miałam ochotę się rozpłakać na myśl o czekającej mnie nudzie. Dlaczego ludzie, których stać na wszystkie rozrywki świata, są tak mało kreatywni w dogadaniu sobie? Nie jestem całkowitą przeciwniczką prochów, po prostu wolę, by drzwi mojego umysłu pozostawały solidnie zaryglowane. Kelnerki obojętnie stawiały kulinarne martwe natury, które goście równie beznamietnie ignorowali, radośnie grzebiąc palcami w białych granulkach. Wiedziałam, że za chwilę zrobi się tu naprawdę niezły bajzel. Zastanawiałam się tylko, jak szybko nastukają się tak, że będę mogła się dyskretnie wymknąć do łóżka. Chwyciłam kieliszek i papierosa i podeszłam powoli do krawędzi tarasu, gdzie jeden z kumpli Stahla wpatrywał się w morze

z melancholijną zadumą niczym Sylvia Plath kontemplująca Lyonesse.

– Już prawie po sezonie – szepnął ze smutkiem. Zostawiłam go z tą myślą i popędziłam z powrotem do stołu, w nadziei, że dopadnę jakiegoś pulpeta, ale Miłośniczka Omletów chwyciła mnie kościstą, mahoniową ręką i pociągnęła w swoją stronę. Potem włączył się profesjonalny sprzęt nagłaśniający Tatego i muzyka zadudniła tak głośno, że moja nowa kumpela praktycznie odgryzła mi płatek ucha swoimi licówkami, zaczynając przesycony nieświeżym oddechem wywód, dlaczego naprawdę, ale to *naprawdę* powinnam zrozumieć Ibizę, ponieważ jestem tak szczególna, kreatywna i *naprawdę* muszę to zrozumieć, bo dla tak wolnych i kreatywnych ludzi jak my *nie ma* lepszego miejsca. Kiedy jej oczy błyszczały coraz bliżej moich, zaczęłam się zastanawiać, co by się stało, gdybym oboma kciukami wcisnęła granulki szczęścia w jej gałki oczne, ale nasze małe, radosne spotkanie przerwał Stahl, któremu wystarczyła chwila, by się rozkręcić. Wskoczył na balustradę, a stamtąd zszedł na odwrócone do góry dnem, pobielone kanoje, po którym zwinnie pięła się bugenwilla. Zakotyssał się, łapiąc oddech, po czym sięgnął po jedną z zapalonych wzdłuż ścian bambusowych pochodni rozświetlających półmrok. Z czerwoną twarzą, rozszerzonymi porami i zgrzytającymi zębami wyglądał tak, że ledwie go rozpoznałam. Rozważny, dość atrakcyjny mężczyzna przeobraził się w Bestię Ibizy. Chroniąc wyszywany cekinami brzeg kaftana, uniósł pochodnię w kierunku brzegu. Z przystani, do której przybiłam dzień wcześniej, nadjeżdżały z warkotem dwa jeepy prowadzone przez mężczyzn w białych koszulach i ray-banach.

– Panie i panowie – wybełkotał Stahl. – Przyjechały kurwobusy!

Tłum zaczął wariować, wymachując w powietrzu pięściami w rytm ryczących klaksonów. W każdym z samochodów znajdowało się sześć lub siedem ubranych w bikini dziewczyn. Stały na siedzeniach i kręciły tyłkami najlepiej, jak potrafiły, nie spychając się przy tym nawzajem na drogę. Stahl odwrócił się do swojej widowni. Na jego znak muzyka ucichła, a on powoli wykonał gest, jakby przyciągnął czyjąś głowę do swojego krocza, i zaczął wyrzucać miednicę w stronę wyimaginowanych ust.

– Chłopcy i dziewczęta, zaczyna się zabawa! Zzza mnaaaaaaa!

Zeskoczył i poprowadził gości do szturm na basen, gdzie załoga pierwszego jeepa stuknęła szpilkami po schodach. Rzadko czegoś żałuję, ale kiedy tak szłam za nim, czułam niesmak, że w jego przypadku mój gust aż tak ze mnie zakpił. Co ja sobie myślałam? Dzięki Bogu użyliśmy gumki.

– Gotowa na imprezkę?

Znowu Alvin. Chwycił mnie za sukienkę. Pociągnęłam gwałtownie materiał, ale on trzymał go mocno. Poruszyłam się, ale tkanina naprężyła się między nami, tak że nie mogłam zrobić ani kroku dalej, nie ryzykując jej rozdarcia.

– Nie wiem, czy jestem już gotowa na Ibizę.

Alvin eleganckim ruchem otworzył dłoń i sukienka z trzepotem ponownie dotknęła mego ciała.

– Słyszałem o tobie co innego, Elisabeth.

– Może źle usłyszałeś.

Odwróciłam się do niego plecami i poszłam do swojego pokoju na pierwszym piętrze. Przechodząc obok opuszczonego stołu, nałożyłam sobie do pity porcję sałatki z quinoi i granatu. Okna sypialni wychodziły na wzgórza z tyłu domu, co cudownie tłumiło dudnienie muzyki. Zapaliłam papierosa i zerknęłam do służbowego telefonu. Oczywiście na swojej stronie znalazłam profil Alvina, zmyślnie opatrzony zdjęciem *Dawida* Michała Anioła. Byliśmy „znajomymi” od około miesiąca. Nigdy nie zwracałam sobie głowy czytaniem jego wpisów, ale teraz przejrzałam je, wyłapując zdjęcia. Alvin w galerii White Cube w Londynie, Alvin wcinający poimprezowego kebaba w Dalston, wychudzony Alvin w spodenkach kąpielowych obok bardziej zadbanej, kobiecej wersji siebie na plaży w Hamptons, a pod spodem napis: „Gratulacje, siostrzyczko J!!!”. Siostrzyczka demonstrowała pierścionek zaręczynowy, a obok niej puchł z dumy domniemany narzeczony, który, sądząc po bladości skóry i założonej do szortów rozpiętej, wygniecionej różowej koszuli, był Anglikiem. Natomiast obok narzeczonego, z biodrem wypiętym umiejętnie do zdjęcia i blond włosami sięgającymi paseczków bikini, leżała Angelica Belvoir. Natychmiast wyczułam, że Alvin ściągnie na mnie kłopoty. Dlaczego zignorowałam własne przeczucie, że cały ten wypad będzie jednym wielkim, potwornym kłopotem? Kiedy się w końcu nauczę, że wyższe sfery to naprawdę nie moja bajka? Wyrzuciłam papierosa przez okno i zapaliłam kolejnego.

Angelica Belvoir. Noż kurwa!

Angelica była nic nieznaczącą, typową młódką z wyższych sfer, która dostała moją posadę, kiedy zostałam wylana z British Pictures. Bo odkryłam, że mój szef jest zamieszany w fałszerski przekręt, i jak głupia zaczęłam węszyć wokół tej sprawy.

To było zanim wszystko się wydarzyło. Zanim się dowiedziałam, że to, co wpajano mi na temat wartości, talentu i ciężkiej pracy, jest stekiem bezużytecznych bzdur. Zanim wplątałam się w świat, którym pogardzałam. Zanim wyjechałam z Londynu na Riwierę, zanim pojawiły się zwłoki i krew, zanim przeszłam na dietę złożoną z wściekłości i nienawiści i stałam się nieugięta. Zanim zginęli James i Cameron, Leanne i Julien, zanim zabiłam Renauda. Zaszałam tak daleko. Myślałam, że Elisabeth Teerlinc skończyła z tym wszystkim, ale duchy przeszłości wciąż mnie prześladowały, dusząc jak zapach lilii w cichym pokoju. Ich wijące się ręce wciąż sięgały ku mnie, by ściągnąć mnie w dół, aż fale przeszłości nieuchronnie zamkną się nad moją walczącą o haust powietrza głową.

Otrząsnęłam się. To naprawdę nie był dobry moment na wspominki. Czy to

z powodu Angeliki Alvin zaprosił mnie do znajomych? Czyżby mnie rozpoznał? Przejrzałam jego kontakty, ale nie znalazłam odpowiedzi. Wśród naszych wspólnych znajomych było pięć osób związanych ze sztuką, których nigdy nie poznałam w realu. No i Tage Stahl. Mimo wszystko musiałam opuścić tę pieprzoną wyspę i oddalić się od Alvina na odległość kraju lub dwóch. Nie chciałam, by moja twarz znalazła się na którejś z jego cudownych fotek z Ibizy, które przecież mogły wpaść w ręce Angelice. Zrozumiałam, że obrosłam w tłuszczczyk samozadowolenia i z tego właśnie wynikł cały ten bajzel. Oto, do czego prowadzi szczęście.

Kilka razy bezsensownie okrążyłam pokój, czując, jak podłoga rezonuje w rytm muzyki. Nagle poczułam się jak w potrzasku. Brakowało mi tchu. *Uspokój się, Judith. To nic takiego.* Czy Alvin rzeczywiście stanowił zagrożenie? Przyprawiał mnie o gęsią skórkę, ale wydał się jedynie zbereźny i mało błyskotliwy. Prawie na pewno był nieszkodliwy, jednak wywołał we mnie coś, czego nie czułam od dawna i miałam nadzieję nigdy więcej nie poczuć – klaustrofobiczny przyływ adrenaliny spowodowany czystym, irracjonalnym lękiem. Nie mogłam dać po sobie poznać, że się boję. Elisabeth Teerlinc nie ma nic do ukrycia, nawet jeśli Judith Rashleigh miała w swej szafie wiele trupów. Pomyślałam, że pokażę się na chwilę na imprezie, ale zachowam dystans i wyjadę z samego rana. Dam sobie radę.

Kiedy wróciłam na taras, wieczorne przyjęcie Stahla zmieniło oblicze z tandetnego w groteskowe. Okrągłe, białe łóżka wokół basenu były pokryte nerwowo synkopującymi ciałami, a każdy z mężczyzn otoczony dwiema lub trzema wijącymi się kobietami. Dziwki angażowały się w swoje zadania z całym przekonaniem i entuzjazmem wodzirejów na bar micwie według Hieronima Boscha. Podnosiły się, by pomachać głowami w rytm muzyki, a następnie ponownie nurkowały, by włożyć język lub palec w wyczekujące ciało. Pozostałe kobiety wykonywały bardziej złożony manewr psychologiczny. Zastygłe od botoksu twarze próbowały jednocześnie wysyłać sygnały pod hasłem „Chętna i gotowa” oraz „Jestem lepsza niż te dziwki”. Stahl wyłonił się z tego zamieszania, podszedł do mnie i objął w talii.

– Dobrze się bawisz, kochanie?

– Nie bardzo.

– Poczekaj, aż zobaczysz to.

Kelnerki nadal chodziły pomiędzy grupkami gości, zmieniając popielniczki i napełniając kieliszki szampanem. *Z jakim politowaniem muszą na nas patrzeć,* pomyślałam. *Z jakim politowaniem.* Stahl klasnął i muzyka ponownie ucichła.

– Chłopcy i dziewczęta! Uwaga! Czas na kilka minut przestać się pieprzyć na zabój!

Kobiety z podejrzaną ochotą porzuciły swe zajęcia i rozłożyły się na łóżkach jak opalone sardynki. Stahl szperał w kieszeni kaftana.

– Po pierwsze, wielkie brawa dla tych pięknych pań, które przyjechały, by zabawić nas dzisiejszego wieczoru! A teraz wyzwanie, na które wszyscy czekacie.

Chryste, co ten gość brał? Wymachiwał znajomym, ciasno zwiniętym plikiem różowych banknotów.

– Dziesięć tysięcy euro! Tak, tak! Dziesięć tysi w gotówce dla dziewczyny, która najlepiej wcieli się w zadaną postać. Kto to ma być?

Kilka osób rzuciło swoje propozycje: celebryci, postaci historyczne. Co to miało być, pornokalambury? Jeden facet krzyknął coś po norwesku czy szwedzku i Stahl przyłożył rękę do ucha.

– Co takiego? Zwierzęta gospodarskie? Brzmi nieźle. Chodźcie tutaj, dziewczęta!

Dziewki zgromadziły się wokół niego, poprawiając włosy i to, co zostało z ich bikini. Przyjrzałam im się dokładniej i stwierdziłam, że Stahl nie robił niczego na pół gwizdka. Każda z dziewczyn miała figurę modelki prezentującej bieliznę, a spod warstw makijażu wyglądały wyjątkowo ładne twarze. Zastanawiałam się, skąd je ściągnął.

Tymczasem gospodarz wyjaśniał zasady gry.

– Okej, okej. Siedzimy wygodnie? Weźcie sobie drinka, wciągnijcie kreskę. Ty tam, zamknij usta i włóż fiuta z powrotem w spodnie. Jako pierwsza... Jak masz na imię, skarbie? Jako pierwsza Stefania zaprezentuje nam świnię!

Dziesięć tysi, grzywna za palenie ogniska w lesie. Z niedowierzaniem patrzyłam, jak w ciszy dziewczyna pada na czworaka, marszczy twarz w ryjek i zaczyna chrumkać.

– No, dalej, kochana, stać cię na więcej!

Stefania prawdopodobnie skupiała się na pieniądzach i śmiem twierdzić, że z tego powodu poszło jej gorzej, niż mogło, ale kiedy prychnąca, przeczołgała się do przodu i zanurzyła twarz między kolanami jednego z facetów, jakby szukała trufli, zrobiło mi się niedobrze. Rozległy się okrzyki radości i wycie zebranych. Dziewczyny jedna po drugiej padały na kolana i stawały się krowami, kozami, kurczakami. Becząc i skrzecząc, plątały się w świetle pochodni między kolanami gości. Nie mogłam na to patrzeć i jeśli potrzebowałam wymówki, by wyjść, to właśnie ją dostałam. Przeszłam nad dziewczyną, która ryczała jak osioł, podczas gdy jeden z facetów udawał, że posuwa ją od tyłu, i odciągnęłam Stahla na stronę.

– Wyjeżdżam. Czy mógłbyś, proszę, zamówić dla mnie łódź w porcie? Sama wezmę bagaże.

– Elisabeth! Co się dzieje? Nie twoja bajka? Nie ma się co spinać, kochanie, po prostu daj się ponieść zabawie.

– Nie jestem spięta tylko przerażona i dlatego wyjeżdżam. Baw się dobrze.

Dogonił mnie w drzwiach mojego pokoju. Ledwie się rozpakowałam, więc szacowałam, że zebranie rzeczy zajmie mi minutę.

– Kochanie, myślałem, że było nam wczoraj miło. Nie możesz po prostu wyjechać.

– Nie mogę? No to patrz.

Twarz Stahla próbowała przybrać wyraz pełen złości, ale po MDMA uśmiechał się tylko idiotycznie, co wyglądało naprawdę okropnie. Jego przekonanie, że zorganizował przyjemną imprezkę, było zarówno niezachwiane, jak przerażające.

– Nie lubię niewdzięcznych dziewczyn.

– Mam w dupie, co lubisz. Niech twój sternik przygotuje łódź, zanim zadzwonię na policję i powiem, że w swoim żalonym, małym rajku masz wystarczającą ilość towaru, by wypłacać gliniarzom emerytury przez następne pięć lat.

Wyglądał na zdeorientowanego.

– Coś ty, kochanie. Alvin mi powiedział...

Co Alvin mógł mu powiedzieć? Komu jeszcze ten idiota coś wypaplał? Miałam ochotę rąbnąć Stahla w nos kantem dłoni, tak żeby przez tydzień nie mógł rozmawiać z Alvinem ani z nikim innym, ale musiałam się stamtąd wyrwać. Natychmiast. Odpowiedziałam mu stanowczo, tłumiąc drżenie głosu.

– Nie znam żadnego Alvina. Po prostu przygotuj łódź. Dziękuję za gościnę.

Moja walizka leżała na łóżku. Sięgnęłam obok Tagego, by ją zapiąć, ale on chwycił mnie za ramiona i popchnął tak, że utknęłam twarzą pomiędzy walizką a kremową, skórzaną torebką Bottegi Venety. Stahl zachichotał i zaczął lizać moje ucho.

– Odpręż się, kochanie, po prostu się odpręż. No wiesz, daj się ponieść.

Zamknęłam oczy i pozwoliłam mięśniom się rozluźnić. Wyczuwając to, Tage wtulił się mocniej w moją szyję i wsunął mi dłoń między nogi.

– Właśnie tak, kochanie, właśnie tak.

Właściwie wcale mu się nie dziwiłam. Przecież wcześniej byłam bardzo chętna. Tyle że teraz pośród dobiegających z dołu dźwięków *Knights of the Jaguar* nadal słyszałam szaleńcze, infantylne wycie i parskanie. Stahl podciągał mi sukienkę, a ja pozwoliłam, by moje uda się rozchyliły, jednocześnie szukając w torebce szczotki do włosów. Zachęcony przylgnął kolanami do moich i zaczął szperać w cekinach. Wzięłam głęboki wdech, napięłam mięśnie i z całej siły walnęłam go szczotką w krocze. Nie ma to jak naturalne włosie. Zaskoczony jęknął, zatoczył się w bok, spadł z łóżka i zwinął się, pojękując i chichocząc. Nie zawracałam sobie głowy buziakiem na do widzenia.

Dwie godziny później siedziałam w barze w stolicy Ibizy. Za plecami miałam miasto otoczone starym białym murem i z torbą u stóp popijałam drugiego mocnego drinka trzecim mocnym drinkiem. Była dopiero druga nad ranem, wcześniej jak na Ibizę. Obok mnie chwiejnym krokiem przeszła grupa dziewczyn

przebranych za plastikowe mrówki, rozdając ulotki jakiegoś klubu, a następnie minęła mnie kolumna niewolników sado-maso połączonych jakąś skomplikowaną uprzężą ze smyczy i lateksowych podwiązek. Jeden z nich, piękny, wysoki, czarnoskóry mężczyzna z pomalowaną na niebiesko subsaharyjską cerą i białymi jak śnieg włosami posłał mi całusa. Na łodzi Stahla zamieniłam sukienkę na dżinsy, koszulkę i botki. Kapitan był najpierw nieco zmieszany, ale różowy superbanknot przekonał go, że muszę pilnie się dostać do miasta. Miałam nadzieję, że Stefania wygrała nagrodę.

Rozmyślałam właśnie nad zamówieniem drinka numer cztery i koniecznością znalezienia hotelu na noc, kiedy przy stoliku obok stłoczyła się banda dresów. Zdecydowanie „dresów”. Włoski na żel, tatuaże, wypracowane na siłce mięśnie, ciemna opalenizna. Wyprostowałam się, co zajęło mi więcej czasu, niż się spodziewałam. Taksowali mnie wzrokiem, a ja nagle poczułam, że z przyjemnością odwzajemniam ich spojrzenia. Pojawiła się kelnerka z dredami na głowie i panowie zamówili piwo – bardzo grzecznie, choć dżinsowe szorty ledwie zakrywały dziewczynie tyłek. To mi się podobało.

– Zapytaj panią, czy chciałaby drinka.

To też mi się spodobało.

– Dzięki, poproszę bourbona. Czystego.

Odsunęli krzesła, bym mogła się do nich przyłączyć, i stuknęliśmy się szklankami.

– Jak masz na imię?

– Liz.

– Dobra, Liz. No to zdrówko.

– Pierwszy raz na wyspie? – Spędziłam tu całe trzydzieści sześć godzin, ale postanowiłam udawać stałą bywalczynię.

– Ta. W zeszłym roku pojechałem do Grecji, ale było kijowo. Za dużo dzieciarni.

Przyjechali z Newcastle, co zachęciło mnie do wyznania, że też pochodzę z północy, czego nie ujawniałam publicznie od lat. Chwilę gawędziliśmy, postawiłam następną kolejkę, oni wypalili skręta i wkrótce jeden z nich prowadził mnie po nabrzeżu, trzymając za rękę, podczas gdy kumple żegnali go uśmiechami. Potem wsiedliśmy do taksówki i zaczęliśmy się całować. Jego usta były miękkie, słodkie i czyste. Ich apartament w jednym z hoteli przy Plącja d'en Bossa pachniał dymem papierosowym i świeżym, chłopięcym potem. Mój towarzysz znalazł pół butelki słodkiego białego wina. Piliśmy prosto z gwinta, podczas gdy on zdejmował ubranie najpierw ze mnie, a potem z siebie. W końcu jego język splótł się z moim. Wokół ręki chłopaka wił się szkarłatny wąż, rozdziawiając kły na jednym z gładkich ramion. Opadliśmy na rozbebeszone łóżko. Zamaszyście wyciągnęłam ręce nad głową, a on ułożył się na mnie. Jedną ręką złączył moje

nadgarstki, podczas gdy językiem odnalazł moją cipkę. Powiedziałam, żeby lizał mnie równo, miarowo, łagodnie, więc lizał i ssał, aż doprowadził mnie na skraj orgazmu, ale zrzuciłam go i usiadłam.

– Chcę na ciebie patrzeć.

Wstał, odsunął się od łóżka i ze spuszczonego wzrokiem, zawstydzony przeczesał dłonią włosy. Pod głową węża, po klatce piersiowej rozsypały się czarno-niebieskie kostki do gry. Miał piękną, smukłą talię, a mięśnie nad kośćmi biodrowymi zarysowane jak na antycznym posągu.

– Wyglądasz jak kuros.

– Co?

– Nieważne. Ile masz lat?

– Dziewiętnaście.

– Odwróć się. Podnieś ręce i połóż dłonie na karku. Tak, właśnie tak.

Przeczołgałam się do przodu po zmiętej pościeli i dotknęłam go, przesuując dłońmi po skrzydłach jego łopatek, dziwnie delikatnych i kruchych. Bliźniacze dołeczki na dole jego pleców pokrywał blond meszek. Pochyliłam głowę i polizałam jego pośladki. Maczałam czubek języka głęboko w jego ziemistym zapachu, aż wydał lekkie westchnienie, a potem pochylił się niżej, otwierając łagodnie, bym mogła wylizać mu odbyt. U nasady pośladków znajdowała się okazała konstelacja czerwonych krost, które w jednej chwili mnie rozczuliły. Lizałam go, aż jego jądra ociekały śliną. Potem go odwróciłam, umościłam się na plecach, rozłożyłam nogi i rozchyliłam cipkę dwoma palcami, by miał na co popatrzeć.

– Chodź tutaj.

– Chcesz mnie?

– Chcę.

Wsunął się we mnie i, czy to z powodu zioła, czy z zachwytu cudowną prostotą tej sytuacji, oboje wybuchliśmy śmiechem. Przez chwilę trzymałam go w sobie bez ruchu, słuchając pulsowania jego krwi, a potem owinęłam ciasno nogi wokół jego pleców. Przyjęłam na siebie jego ciężar i zaczęłam powoli zataczać biodrami kółka, jedno, drugie, trzecie, aż jęknął i pomyślałam, że mogę go stracić, ale on złapał mnie w kostkach i pociągnął do góry, tak że praktycznie stałam na łopatkach. Jednym, szybkim, przesywającym ruchem wbił we mnie całego fiuta i pieprzył mnie dalej, aż znowu byłam bliska szczytu i kazałam mu ruszać się szybciej. Poczułam, że zbliża się orgazm, głęboki i intensywny. Trzymał mnie tak mocno, że miałam wrażenie, jakby poruszał się tylko jego fiut. Doszłam tak, jak udawałam ze Stahlem, odrzucając głowę do tyłu i krzycząc.

– Gdzie mam ci się spuścić?

– Na cycki. Teraz.

Najpierw trysnął mi między żebra, a potem poczułam, jak jego sperma

ochlapuje mi sutki. Umoczyłam w niej palce i oblizałam, wzięłam więcej i rozmazałam po łechtaczce.

– Pycha.

– Wygląda na to, że twoja cipka została stworzona dla mojego fiuta.

– Powiedz to, gdy zerżniesz mnie drugi raz.

Nie kazał się dwa razy prosić.

Wenecja to miasto wyrafinowanych przyjemności, ale nastoletni kochankowie nie pojawiali się w moim mieszkaniu. Kiedy wróciłam na Campo Santa Margherita, wspomnienie o anonimowym kochanku niemal całkowicie przyćmiło pogardę, jaką czułam zarówno do Stahla, jak i do samej siebie. Niemal. W całej tej sprawie było coś dziwnego i bezsensownego, a to niemiłe wrażenie spotęgowała irytacja wywołana długim powrotem. Musiałam popłynąć promem do Barcelony, potem kolejnym do Genui, a następnie przejechać pociągiem w poprzek włoskiego buta. Nadal bałam się kontroli na lotniskach. Ostatni raz leciałam samolotem rejsowym do Rzymu i od tej pory nie korzystałam z usług linii lotniczych – głównie dlatego, że podczas tamtej wizyty zostawiłam w Tybrze martwego marszanda i uciekłam z miasta ze skradzionym falsyfikatem. Po powrocie z Ibizy byłam spięta i drażliwa i pomimo prób zajęcia się planowaniem nowej wystawy, po fiasku wyceny dzieł Jeremiasza wciąż czułam się lekko przybita. Dunka Liv Olssen zgodziła się sprzedać mi wszystkie dziesięć obrazów z serii *Dziwne pakunki* i teraz szukałam prac, które mogłyby z nimi kontrastować lub „wejść w dialog”. Musiałam się zanurzyć w semantykę jej dzieł, chociaż w moim obecnym nastroju rzygałam od nadmiaru artystycznego języka. Nie uspokajał mnie żaden z moich ulubionych rytuałów. Byłam nerwowa i nie mogłam usiedzieć w miejscu, chociaż przecież dopiero wróciłam. Częściej sprawdzałam Facebooka – zrazu przerażona, że dostanę wiadomość od Angeliki Belvoir, a potem irracjonalnie rozczarowana, kiedy nie pojawiało się nic poza typowymi, miłąkami wpisami. Kusilo mnie, by wejść w skórę Elisabeth i skontaktować się z Angelicą, ale świadomość niebezpieczeństwa, jakie mogłoby wyniknąć, gdybym nieopatrznie zwróciła na siebie uwagę, wzięła górę nad potrzebą zdobycia informacji. Chociaż było to frustrujące, musiałam powstrzymać się od działania.

Czas zawsze postrzegałam jako inwestycję, przez pryzmat przyszłych zysków, ale chociaż działałam obecnie intensywniej i pracowałam bardziej wytrwale, byłam... niecierpliwa. Nie wiedziałam tylko, z jakiego powodu. Jedyłą moją pociechą w owym okresie było towarzystwo Maszy. Nie przeszkadzała mi nieprawdziwość jej wspomnień. Wymyśliła swą postać tak jak ja. Czyż mogłam mieć jej za złe, że chciała, by świat był bardziej elegancki i ekscytujący niż otaczająca ją nędzna rzeczywistość? Doskonale znałam to uczucie. Uwielbiałam jej opowieści, jej schludne, ubrane na czarno ciało w za dużym fotelu i kłęby dymu wpłzające bezczelnie w jej natapirowane włosy. Nie znałam swoich dziadków, ale czułam, że podobałaby mi się babcia podobna do Maszy.

Po cotygodniowych zmaganiach z odmianą rosyjskich rzeczowników zwykle gawędziłyśmy przy papierosie. Masza, ma się rozumieć, uwielbiała sobranie ze złotym filtrem. Zazwyczaj kupowałam jej paczkę w drodze na lekcję. Kiedy

zasiadła w swoim głębokim fotelu z mocną herbatą bez mleka, zapytałam ją, czy słyszała kiedyś o Pawle Jermołowie.

– To obrzydliwy człowiek. – Mogłyśmy rozmawiać po włosku, ale Masza lubiła ćwiczyć swój angielski, który był zrozumiały, choć ekscentryczny. Twierdziła, że nauczyła się go w latach pięćdziesiątych od sławnego kochanka, który czasami był angielskim kompozytorem, kiedy indziej zaś amerykańskim pisarzem. Raz był Stanleyem Kubrickiem, ale potem chyba sobie przypomniała, że Kubrick mówił po rosyjsku.

– Dlaczego?

– Zrobił mojemu krajowi okropne rzeczy. On i ci bandyci.

– Co takiego zrobił?

– Wiem na pewno, że zabija ludzi.

Prawda szto-li?

– W Moskwie, lata temu, Jermołow zamierzał wybudować apartamentowiec. Pozabijał wszystkich lokatorów z dawnego budynku. Po kolei. Codziennie jednego. Aż ludzie tak się bali, że oddali swoje mieszkania za darmo.

– Zaproponował mi pracę – wyznałam w zadumie. – Odmówiłam.

– Miło mi to słyszeć. To gwałciciele, wszyscy oni.

Nie bardzo się przejmowałam oskarżeniami Maszy, zwłaszcza że nigdy nie była w Moskwie. Uznałam, że ta historia to jedna z ponurych plotek, które otaczają każdego bogatego Rosjanina. Próbowalam podpytać Maszę ponownie, ale już odpłynęła, opowiadając o wszystkich krzywdach, jakie wyrządzono jej ukochanemu narodowi. Z przyjemnością słuchałam jej bardzo osobistej wersji historii Europy, od czasu do czasu przeplatanej co ciekawszymi fragmentami z jej dawnego repertuaru. Głos Maszy był zniszczony przez czas i papierosy (zaczęła palić, kiedy zeszła ze sceny), a w okresie swojej świetności występowała najwyżej w chórze teatru operowego La Fenice, ale ja i tak uważałam, że nadal śpiewa przepięknie.

Jednak tego wieczora, kiedy wracałam do mieszkania, delektując się ostatkami ciepła kończącego się dnia, przypominałam sobie słowa Maszy. „Gwałciciele” – powiedziała, „bandyci”. Mocne słowa. Niemal upiorny spokój, z jakim Jermołow rozprawił się z kobietą, która wtargnęła na jego teren, wspomnienie pająkowatych dłoni... Byłam w stanie uwierzyć, że mógłby zlikwidować każdego, kto by mu stanął na drodze. Może dlatego tak mnie zaintrygował i dlatego nadal się czułam zirytowana, że nie udało mi się zrobić na nim wrażenia. Moje spekulacje przerwało wibrowanie prywatnego telefonu w torebce. Esemes od Steve’a, człowieka, który wprowadził mnie do branży. Po przykrym wypadku z Jamesem i ucieczce z Hôtel du Cap flirtem wprosiłam się na jacht Steve’a i odbyłam cudowny rejs po Morzu Śródziemnym. W zamian za informacje wykradzione z gabinetu Michaiła Baleńskiego, pierwszego rosyjskiego

oligarchy, którego spotkałam na swojej drodze, Steve pomógł mi otworzyć konto w Szwajcarii, na którym zdeponowałam gotówkę zabraną z portfela starego biednego Jamesa. Ledwie dziesięć tysięcy, ale wówczas była to dla mnie fortuna. Konto okazało się szalenie przydatne, gdyż wpłaciłam na nie pieniądze ze sprzedaży fałszywego Stubbsa, przez którego straciłam pracę w domu aukcyjnym i od którego zaczęła się potem moja kariera niezależnej marszandki. Nadal od czasu do czasu kupowałam dla Steve'a, dlatego pomyślałam, że może chce spytać o jakąś współczesną pracę, ale jego wiadomość brzmiała: *Właśnie dostałem bilety na Burning Man! Super! Carlotta prosila, zebym zaprosil Cie na jej slub.*

Steve był założycielem funduszu hedgingowego i, jak się już wcześniej zdażyłam zorientować z jego sporadycznych wiadomości, ostatnio uznał, że nadszedł czas, by „zacząć spłacać dług wobec świata”. A przynajmniej przekonał się do korzyści finansowych wynikających z filantropii. Za to ślub Carlotty był nowiną. Kiedy poznałyśmy się na jachcie Steve'a, ona i jej imponująco zrobione cycki były zaręczone z żalonym Niemcem o imieniu Hermann. Czyżby to on był szczęśliwym wybrankiem? Odpisałam: *Wspaniale! Gdzie i kiedy?.* Odpowiedź przyszła natychmiast, co było nietypowe, ponieważ pojedyncza wymiana zdań ze Steve'em potrafiła trwać tygodniami: *Monako. Sobota. Kolacja w piątek. Czyli jutro wieczorem.* Steve jak zwykle zakładał, że ludzie mogą po prostu skakać między krajami jak on.

Po chwili zawibrował mój służbowy telefon. Pieprzony Facebook. Pieprzony Alvin.

Hej, Elisabeth? Gdzie sobie poszłaś? Przegapiłaś niezły ubaw!!! Powinienem wpaść kiedyś do twojej galerii. Ciao x.

Pomyślałam, że powinniśmy nosić bransoletki na kostkach, jak amerykańscy skazańcy.

Podróż pociągiem na Riwierę byłaby męcząca, ale z drugiej strony byłoby miło mieć czas na czytanie. Poza tym, skoro Alvin planował wpaść, nie miałam zamiaru zostać w domu. Napisałam do Steve'a z pytaniem o szczegóły ślubu, otworzyłam stronę Trenitalia i zarezerwowałam bilet do Nicei.

Próbne przyjęcie Carlotty miało się odbyć w restauracji Joël Robuchon w Hôtel Metropole. Ponieważ odrzuciłam sto tysięcy Jermołowa, uznałam, że powinnam zaplanować oszczędną podróż, dlatego zarezerwowałam pokój w zwykłym hotelu w Cap d'Ail, tuż za francuską granicą. Jednak taksówkarz z dworca w Nicei ostrzegł mnie, że lepszym rozwiązaniem będzie złapanie autobusu do samego Monako. Autobusu, ponieważ jakieś dziwne prawo zabrania taksówkarzom wjazdu na teren księstwa pomiędzy szóstą a ósmą wieczorem. Jako że na ślubie Carlotty obowiązywały stroje w stylu *Riviera chic* (cokolwiek to miało znaczyć), dziwnie się czułam, stojąc na obskurnym przystanku w delikatnej, wyszywanej w kwiaty sukni od Erdem. Za to sama podróż była fascynująca. Kiedy

w końcu wsiadłam do białego autobusu, żadna z pasażerek nawet nie zerknęła na moje sięgające kostek falbany, ponieważ w swoich dziwacznych strojach same wyglądały jak uczestniczki wieczoru panieńskiego w Selfridges. Torebki z monogramem od Saint Laurenta ścierały się z pikowanymi kopertówkami od Chanel, gorsety Alaïa z tęczowymi wstążkami rywalizowały ze złotymi suwakami Balmaina, a do tego wszystkiego przynajmniej dziesięciocentymetrowe obcasy. Dopiero kiedy zaczęłam podsłuchiwać rozmowę usadowionej za mną pary, kobiety w sile wieku zajętej klikaniem na iPhone i oszalamiająco pięknej dziewczyny, z pewnością jej córki, zdałam sobie sprawę, że wszystkie pasażerki to dziwki w drodze na nocną zmianę. Drugiego sortu, ma się rozumieć, skoro nie posiadały mieszkań w najbardziej przygnębiającym rajku podatkowym Europy. Siedząca za mną kobieta była ewidentnie rajfurką swej córy i dosadną angielszczyzną bez zażenowania ustalała wieczorny grafik zleceń, podczas gdy oczy dziewczyny, ukryte pod równą grzywką prostych, platynowych włosów, wpatrywały się obojętnie w widok za oknem. Gdy autobus mozolnie pokonywał krętą, ciągnącą się wysoko wzdłuż wybrzeża drogę, zamknęłam oczy i słuchałam świergotania tego egzotycznego ptactwa. Czułam się tak, jakbym wróciła do Londynu, do starej pracy w Gstaad Club, i słuchała tych samych negocjacji pomiędzy urodą a pieniędzmi, które kiedyś stanowiły ścieżkę dźwiękową moich nocy. Różnica polegała na tym, że te dziewczyny były poważnymi profesjonalistkami. Po drugiej stronie przejścia dwie blondynki dyskutowały o skuteczności różnych tabletek antykoncepcyjnych w hamowaniu menstruacji („Z Saudyjczykami jest tak: krwawisz – odpadasz”), podczas gdy apetycznie zaokrąglona brunetka gaworzyła słodko przez telefon ze swoim klientem, wywracając oczami do chichoczącej koleżanki i udając, że wymiotuje.

To mogłam być ja, pomyślałam. To spokojnie mogłam być ja. Przez lata uczyłam się, jak zostać ekspertką od piękna, wierzyłam, że talent, zaangażowanie i inteligencja pozwolą mi zrobić prawdziwą karierę w świecie sztuki. A potem się dowiedziałam, że to nie wystarczy, że jedyne, co się liczyło dla mojego szefa Ruperta, to moje ciało. Dlatego postanowiłam to wykorzystać i zagrać ze światem, w którym się znalazłam, w jego własną grę. Wciąż jednak musiałam pamiętać, że sprawy mogły się potoczyć zupełnie inaczej.

Wyłożone dywanami korytarze i nieznajome twarze czekające w anonimowych apartamentach, klienci i złożone banknoty, bzykanko w gorącej kąpieli i powolna wędrówka do domu w piekącym porannym słońcu. Czułam jak portfel parzy mnie przez miękką skórę torebki. Miałam w niej zgrabny plik pięćdziesiątek, karty kredytowe, klucze do mojego pięknego weneckiego mieszkania, ale po raz pierwszy owe talizmany nie przyniosły mi ukojenia. Nie cieszyłam się z faktu, że nie jestem częścią tego świata. Przeciwnie – czułam się odsunięta, wyobcowana, a jasny szyfon sukienki okrywał mnie niczym całun.

Wesołkowatość tych dziewczyn, pogodzenie się z losem sprawiały jedynie, że czułam dojmującą samotność.

C'ôz, plus ça, kurwa, change, plus c'est, kurwa, la même chose... Weź się w garść Judith. Masz przecież przyjaciół, prawda? I to nawet kilkoro. Zaraz się spotkasz z Carlottą i Steve'em, nigdy nie widziałaś Monako. Kiedy autobus wypuścił zataczające się córę Koryntu, porzuciłam ponure myśli i ruszyłam pod górę w kierunku Hôtel Metropole. Uchyliwszy się po drodze przed ferrari, lśniącym, pomarańczowym bentleyem kabrio i czymś, co mogłoby być Johnnym Hallydayem, dotarłam szczęśliwie do lobby na parterze hotelu. Carlotta czekała na gości przy drzwiach prywatnej sali restauracyjnej. Miała na sobie twarzową sukienkę halkową od Pucciego, dodatkowo rozciętą po obu stronach, a imponujący brylant, który kiedyś widziałam na jej lewej dłoni, zastąpiła jeszcze większą kompozycją z żółtych kamieni. Przyglądając się bliżej postaci trzymającego kurczowo jej rękę łysego okularnika ze speszonym wyrazem twarzy, zauważyłam, że Hermanna również zastąpiła – może nawet jego własnym dziadkiem. Carlotta zamrugła w moim kierunku z niedowierzaniem, a następnie rzuciła mi się w ramiona jak niewidzianej od wieków siostrze. Popiszczałyśmy trochę i wycelowaliśmy się na odległość, a w trakcie powitania szepnęłam jej do ucha:

– Kim jest ten szczęśliwy młodzieniec?

– To Franz – syknęła w odpowiedzi. – Jest Szwajcarem.

– Co się stało z H.?

– Och, siedzi w więzieniu – zaświergotała z beztroską ekscytacją, szczerząc się przez moje ramię na widok kolejnych gości.

Wręczyłam swój prezent – zestaw delikatnych, weneckich, koronkowych serwetek, które zaraz wylądowały na stole pośród stosu butikowych toreb. Cokolwiek czekało Carlottę w małżeństwie, na pewno nigdy nie zabraknie jej popielniczki od Hermèsa.

Steve patrzył przez woskowane płatki ponurej, purpurowo-fioletowej orchidei, jak zwykle stukając w telefon. Jego transformację z bezwzględego kapitalistycznego finansisty w apostoła New Age sygnalizowała zmiana garderoby na rzecz bojówek i cienkiego czerwonego kordonka zawiązanego na lewym nadgarstku. Poza tym wyglądał w zasadzie jak dawniej, czyli jak zagubiony towarzysz bogacz. Przemknęłam obok oplecionej bluszczem kolumny, by znaleźć się na linii jego wzroku.

– Cześć, piękna – przywitał mnie. Na Mandarynce Steve znał mnie jako Lauren. To moje drugie imię, którego zaczęłam używać jako pseudonimu w Gstaad Club, a potem przy wielu innych okazjach. Musiałam mu powiedzieć, że z powodów zawodowych zmieniłam imię na Elisabeth, by dodać sobie nieco prestiżu, ale chociaż kilka lat temu spędziliśmy lato na jego łodzi, śpiąc obok siebie, wątpiłam, by pamiętał, że wtedy nazywałam się nieco inaczej.

- Jak leci?
- Wiesz, szaleństwo. Właśnie wróciłem z Peru, z pustelni Ayahuasca. Super.
- Cały Steve, zawsze trochę spóźniony. – Chcesz zobaczyć wideo?
- Nie, dzięki, jeśli mamy jeść kolację.

Nie miałam do powiedzenia nic zabawnego na temat omamów z wymiotami, więc zapytałam o jego organizację charytatywną. Podczas naszego ostatniego spotkania, na wiosennej wystawie sztuki współczesnej w Stambule, Steve powiedział mi o założonej przez siebie fundacji. Planował, że w ciągu trzech lat zdoła wyprowadzić trzy miliony ludzi ze stanu skrajnego ubóstwa. Zastanawiałam się, czy wymyślił algorytm, jak ich policzyć.

– Działa fantastycznie! Dostarczyliśmy tablety dla stu tysięcy dzieci w Somalii! – odpowiedział, pękając z dumy.

Pomyślałam, że pewnie wołałyby coś do jedzenia, zatrzymałam to jednak dla siebie, żeby nie mieszać mu w głowie, a widząc przechodzącego kelnera, sięgnęłam po ogromny koktajl – dokładnie w tym samym momencie co inna kobieta.

– Przepraszam, pani pierwsza.

– Nie, proszę.

Zanurzyłyśmy na chwilę nosy w wycinanych w spiralne kształty kawałkach arbuza, po czym się przedstawiłam.

– Mam na imię Elisabeth, jestem... dawną koleżanką Carlotty.

– Chyba już się poznałyśmy.

– Przepraszam, nie przypominam sobie.

– Och, proszę wybaczyć, musiałam się pomylić. – Spojrzała na mnie z zaciekawieniem. – Jestem Jelena.

– Znajoma panny młodej czy pana młodego?

– Znam Franza z St. Moritz. Mamy tam z mężem dom.

– Cudownie.

Jelena była parę dekad młodsza od Franza i kiedyś musiała być piękna, lecz teraz jej twarz była kolażem botoksu i wypełniacza, który można by zatytułować *Lęki żony bogacza*. Usta napompowane do granic wytrzymałości groziły odpadnięciem od szczęki, a naturalne kości policzkowe zniknęły pod dwoma zaokrąglonymi kawałkami plastiku, które ścisnęły jej oczy tak, że wyglądała jak kot. Z daleka prezentowała się jak trzydziestolatka, natomiast z bliska przypominała poczwarnego gargulca. W Wenecji przywykłam do takich twarzy. Rozglądały się przestraszone znad sobolowych etoli lub fularów Fortuny, a najbardziej szokujące w ich świadomej malformacji było to, jak bardzo stały się pospolite.

Kiedy widziałam Carlottę po raz ostatni, była jedną z tysiąca dziewczyn z Riwiery, tylko o stopień wyżej od dziwek z autobusu, torującą sobie drogę ku

dobrobytowi akrylowymi szponami. Jej perspektywy na przyszłość poprawiły się wraz z osiągnięciem statusu szacownej żony, ale wątpiłam, by była pierwszą – czy choćby trzecią – żoną Franza, i chociaż obecne na przyjęciu damy miały obowiązek przyjąć ją do swojego grona jak równą sobie, w oczach ich wszystkich można było wyczytać pytanie: „Która z nas następna pójdzie w odstawkę?”

Z trudem skupiłam uwagę z powrotem na Jelenie i zapytałam, czy pojawi się na przyjęciu weselnym.

– Tak, do zobaczenia – rzuciła na odchodne. Mówiła z rosyjskim akcentem, ale nie czułam się na tyle pewnie, by zaczynać jakąkolwiek rozmowę w jej języku. Wróciłam do gospodyni, która chwilowo wypuściła z uścisku narzeczonego.

– Gratulacje! – oznajmiłam z radością. – Cieszę się waszym szczęściem.

– Cóż, Franz ma siedemdziesiąt lat, ale naprawdę, no wiesz, leci na mnie.

– To oczywiste, kochana.

– I nie sprawia problemów, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Powinnaś sprawić sobie jakiegoś miłego staruszka. Mniej kłopotów – dodała konfidencko, nachyliwszy się w moją stronę. – Mamy dom w Szwajcarii, gdzie mieszkamy od listopada do lutego. Powinnaś nas kiedyś odwiedzić! Do tego mieszkanie w Zurychu i dom na plaży tutaj. Franz nie jest taki zły – stwierdziła w zadumie. – Ach, no i mamy jacht, oczywiście.

– Oczywiście.

Chwyliłam jej dłoń i mocno ją uścisnęłam.

– Dziękuję, że przyjechałaś. Jesteś jedną z moich najbliższych przyjaciółek. To wiele dla mnie znaczy.

Patrząc na mniej więcej czterdzieści osób brodzących ostrożnie w morzu orchidei, zastanawiałam się, jak bardzo musi brakować Carlotcie znajomych, skoro zaliczyła mnie do grona najbliższych przyjaciół. Pewnie kazała mnie zaprosić tylko po to, by sprawić wrażenie, że rzeczywiście ma koleżanki – drapieżniki takie jak ona zwykle polują w pojedynkę. Mimo to ją lubiłam, na swój sposób. Podziwiałam jej nieskrywaną bezwzględność, no i dobry gust w doborze restauracji.

Jednak kiedy następnego wieczora zebraliśmy się w domu Franza, w duchu pogratulowałam Carlotcie. Wspaniały budynek w stylu art déco był usytuowany na brzegu, pod słynną „Skałą”, na której wybudowano pałac księżąt Monako. Wąski hol prowadził do sześciokątnej bawialni, z której wychodziło się do ogrodu z widokiem na morze. Wewnątrz zdążyłam dostrzec dwie intarsjowane komody w stylu Ludwika XV i obraz Maxa Ernsta z jego surrealistycznego okresu, po czym profesjonalna organizatorka wesel z udręczonym wyrazem twarzy zaprowadziła mnie na piętro. Naga Carlotta stała bez skrępowania pośród dziesięciu znanych mi z przyjęcia kobiet, które z większą lub mniejszą gracją wciskały się w cieliste trykoty Eres.

– Komponuję żywy obraz – oznajmiła panna młoda, jakby to wszystko

wyjaśniało. – Na podstawie Botticellego. Franz bardzo interesuje się sztuką.

Zdjęłam jedwabny kombinezon, z żalem pozbyłam się własnej bielizny i zaczęłam wciągać na siebie kostium.

– To prezent ślubny dla Franza! – zaszczębiotała Carlotta i dopiero wtedy dostrzegłam, że na jej lewej dłoni lśni złota obrączka. Pomyślałam, że elastyczne stroje raczej uniemożliwią nam zrobienie prezentu świeżo upieczonemu mężowi.

– Więc ślub już się odbył? – zapytałam skonsternowana.

– Och, pewnie. Załatwiliśmy to rano w ratuszu. Franz jest teraz z chłopakami w kasynie. Uznałam, że wieczór kawalerski po ślubie to sensowniejszy pomysł.

– W Monako ostrożności nigdy za wiele! – dodała jedna z trykotowych dziewczyn.

– W takim razie to jest... – próbowałam się nadal dowiedzieć.

– Kiedy wrócą, zastaną nas ustawione w ogrodzie. Wy będziecie falami, a ja Wenus.

– Wenus?

– Boginią? – wyjaśniła z litością w głosie Carlotta. – Tą z obrazu? Z wielką muszlą?

– Kumam. Wenus. Wspaniale, Carlotto. Świetny pomysł.

Carlotta owinęła się długim kawałkiem białej żorżety i poprowadziła nas do ogrodu. Żony „chłopaków”, zdumione i posłuszne, podążyły za nią potulnie. Tylko jedna kobieta, ubrana konserwatywnie w beżową garsonkę, najwyraźniej stanęła okoniem. Gdy minęłyśmy ją, siedzącą pod obrazem Ernsta, Carlotta pomachała do niej, ale tamta ją zignorowała.

– Kto to?

– Moja pasierbica. Uwielbiam ją.

Na zewnątrz organizatorka wręczyła wszystkim ogromne wachlarze w różnych odcieniach błękitu – od turkusowego po granatowy – panna młoda zaś wspięła się na fontannę i uraczyła nas widokiem swojej weselnie ogolonej cipki. Następnie kazała nam się położyć na boku i oprzeć na łokciu, a organizatorka apatycznie zademonstrowała, jak poruszać wachlarzami, aby imitowały fale. Trawa mnie drapała i z pewnością chodziły w niej mrówki, ale rozumiałam, że z perspektywy domu będziemy wyglądały jak morze nagich, kobiecych ciał z Carlottą unoszącą się nad nami w roli bogini. Efekt był całkiem realistyczny, a pomysł panny młodej nieoczekiwanie wzruszający.

Organizatorka wraz z asystentkami zaczęła składać za fontanną styropianową muszlę, by zapewnić walorom Carlotty jeszcze lepszą oprawę.

– Zobaczyła to w „Harper’s” – szepnęła moja sąsiadka. – Idiotyczne.

Przyjrzałam się bliżej i zdałam sobie sprawę, że to Jelena. Miałam na obserwację sporo czasu, ponieważ musiałyśmy leżeć, pocąc się wdzięcznie w poliestrowych wdziankach, podczas gdy kwartet smyczkowy torował sobie

drogę między naszymi ciałami, by się ukryć za muszlą. Któraś z dziewczyn została dźgnięta nóżką wiolonczeli, Carlotta sarkąła, ponieważ białe róże i goździki zawieszane na niewidocznych nitkach wplątywały się w jej loki, nimfy wodne uciekły, gdyż niedawne zabiegi kosmetyczne uniemożliwiały im wystawianie się na działanie promieni słonecznych, i kiedy muzycy odegrali w końcu *Wiosnę* Vivaldiego, przypominałyśmy raczej Wenus Cranacha niż Botticellego. Tę ze wściekłymi pszczołami. Nic dziwnego, że na twarzach pana młodego i jego gości zamiast zachwyty odmalowało się przerażenie.

– Ludzie są tacy mało kreatywni – narzekała potem Carlotta, kiedy Franz poprowadził swoją ponownie ubraną małżonkę ścieżką usłaną płatkami róż do białego, jedwabnego, beduińskiego namiotu, w którym miały się odbyć tańce. – Taka Poppy Bismarck zamówiła tort weselny u Hestona Blumenthala i dostała tylko dwa tysiące lajków. – Stuknęła w telefon dla lepszego efektu.

Kilka dni po moim powrocie do Wenecji coś się ruszyło. A dokładniej: przedmioty w moim mieszkaniu zaczęły się przemieszczać. Najpierw bluza od dresu powędrowała z kosza na bieliznę na wezglowie łóżka. Potem filiżankę śniadaniową od Lalique, tę ze złotym liściem na kremowej porcelanie, znalazłam na siedzisku pod oknem, choć byłam przekonana, że przed wyjściem do galerii umyłam ją i odstawiłam na półkę. Miałam wrażenie, że ktoś pił moje wino, chociaż muszę przyznać, że w tym wypadku najbardziej podejrzewałam samą siebie. No i w szafce nadal leżała tajemnicza tabliczka czekolady, którą, jak mi się wydawało, kupiłam przez pomyłkę przed wyjazdem na Ibizę. Przyglądając się jej raz jeszcze, przypominałam sobie, że już wówczas czułam, iż w mieszkaniu dzieje się coś dziwnego. Duchy były równie zwyczajnym elementem życia w Wenecji jak maski i być może dlatego tak bardzo lubiłam to miasto. Jednak moje własne, osobiste zjawy trzymały się dotąd swoich rewirów. Cisnęłam czekoladę do kosza i z hukiem zamknęłam pokrywę, powtarzając sobie, że zachowuję się idiotycznie.

Potem jednak coś dziwnego zaczęło się dziać z książkami. Odebrałam pozycje zamówione w Libreria Toletta – kilka katalogów artystów z Pekinu oraz nową biografię Tycjana – i przed wyjściem na lekcję do Maszy zostawiłam torbę na biurku. Po drodze wstąpiłam do sklepu z pamiątkami, jednego z tych, które sprzedają wątpliwego pochodzenia bizantyjskie ikony. Na zapleczu właściciele mieli niewielką kolekcję rosyjskich specjałów, takich jak czerwony kawior i podwędzana czarna herbata. Kupiłam słoiczek konfitury z płatków róży, którą Masza ostrożnie nakładała na kryształowy talerzyk i po zakończeniu lekcji podawała razem z małymi biszkopcikami. Delektowanie się tymi drobnymi, luksusowymi smakołykami sprawiało chyba więcej przyjemności mnie niż Maszy.

Ku mojemu zdziwieniu zastałam swą nauczycielkę przed domem, siedziała na plastikowym krześle. Rzadko wychodziła na zewnątrz, nie licząc cotygodniowych, niespiesznych wypraw na Mercato di Rialto. Kilka razy wybrałam się z nią, by pomóc jej dźwigać torby. Teraz siedziała na maleńkim skwerze przed kamienicą i chłodziła się wielkim, czarnym wachlarzem, ściskając za ramię mężczyznę, w którym rozpoznałam kelnera z kawiarni na rogu. Kobieta w niebieskiej, nylonowej podomce, być może sąsiadka, podawała Maszy szklanek wody.

– Masza! *S toboj wsio w poriadkie?* – spytałam.

– Ktoś włamał się do mieszkania – odpowiedziała po włosku nieznajoma.

Pochyliłam się i spojrzałam z bliska na Maszę. Tusz z nadmiernie wymalowanych oczu całkowicie się rozmazał. Najwyraźniej płakała.

– *Signora* była w kościele – dodał kelner. – Kiedy wróciła, w mieszkaniu zastała mężczyznę.

– Mój Boże! Maszo, co się stało? Wezwałaś policję?

– Policjanci przyjechali i odjechali. Nic nie zginęło – wyjaśniła Włoszka z nutą rozczarowania. Pewnie się spodziewała większego dramatu. – Ale *signora* bardzo się wystraszyła.

Masza miała na rękach eleganckie, zapinane na guziki białe rękawiczki. Ujęłam jej dłonie i wydały mi się wzruszająco kruche i drobne.

– Maszo, wiem, że na pewno jesteś bardzo zdenerwowana, ale czy widziałaś tego mężczyznę? Włamywacza?

– *Niet, niet.*

– Przepraszam – odezwał się kelner – ale muszę wracać do pracy. Zostawiłem bar bez nadzoru.

– W porządku, jestem uczennicą Maszy. Zajmiemy się nią, prawda? – Skinęłam głową w stronę nieznajomej kobiety. – Zaprowadźmy ją do środka.

Sąsiadka wyjaśniła, że mieszka po drugiej stronie placu i usłyszała krzyk. Kiedy Masza stanęła w drzwiach frontowych, złodziej odepchnął ją i uciekł na dół po schodach. Nikt niczego nie widział.

– *Carabinieri* przyślą psychologa – dodała, pociągając nosem.

Pomogłyśmy Maszy wejść po schodach, a potem zadzwoniłam po ślusarza, podczas gdy sąsiadka parzyła herbatę. Masza w kółko opowiadała, co się wydarzyło: jak wsiadła na *vaporetto* i popłynęła, by zapalić świeczkę w kościele San Zan Degolà, jak po powrocie wyczuła, że coś jest nie w porządku, i jak włamywacz odepchnął ją i przycisnął do ściany, gdy go nakryła.

– Jesteś pewna, że niczego nie zabrał? Czy policja wszystko sprawdziła?

Zdziwiłam się, bo zazwyczaj w Wenecji rabują tylko turystów. Przyjechał ślusarz i zostawiłam go z Maszą, by mogli wszystko spokojnie ustalić. Gdy się pochylił nad zamkiem, dyskretnie zapłaciłam mu gotówką. Nie było żadnych zniszczeń i rzemieślnik zgodził się z opinią *carabinieri*, że Masza zwyczajnie nie domknęła drzwi i złodziej wykorzystał okazję.

– To pewnie jeden z Cyganów – zasugerowała sąsiadka, ciągle pociągając nosem. – Nikt z nas nie jest bezpieczny. A *questura* nic nie robi z tymi wszystkimi włóczęgami.

Zignorowałam ją.

– Chcesz odpocząć, Maszo? Ten pan naprawi wszystko, żebyś była bezpieczna. Odprowadzić cię do łóżka?

– *Spasiba*, Elisabeth. Taka z ciebie miła dziewczyna.

– Zadzwonię po kogoś, żeby z tobą posiedział.

Masza wyjęła cały stos rzeczy ze swojej przepastnej torby i wręczyła mi notes z telefonami. Miała niezliczoną rzeszę rosyjskich koleżanek, których krewni poznajdywali pracę w weneckich hotelach. Masza stale o nich plotkowała, tak że wydarzenia z ich życia składały się na kolejne odcinki opery mydlanej dla

babuszek.

W niezwykle krótkim czasie duszny pokój wypełniły starsze panie, które z prędkością światła przemierzyły miasto, wyposażone w wódkę i papierowe torebki pełne tradycyjnych herbatników. Wkrótce w ruch poszedł samowar, a gospodyni zaległa na otomanie w otoczeniu kłębow dymu papierosowego i rosyjskiej paplaniny.

– Jesteś pewna, że sobie poradzisz? – Nie chciałam się Maszy narzucać, ale nie chciałam jej też zostawiać samej. Wydawała się taka delikatna.

Staruszka na pożegnanie poklepała mnie po policzku i wyszłam razem ze ślusarzem. Kiedy zamykał drzwi, coś zauważyłam. Na ścianie przy wejściu wisiała jedna z wielu ikon – duży, wizerunek smutnej Madonny o migdałowych oczach. Oglądając drzwi, ślusarz zasłaniał obraz, lecz teraz zauważyłam, że gruby papier umieszczony w taniej, czerwonej ramie był porwany, a właściwie rozcięty. Owalna, blada twarz została rozplątana cienkim ostrzem. Wpatrywałam się w nią przez chwilę, myśląc, że może złodziej szukał w ramie ukrytych banknotów. Nie chciałam mówić o tym Maszy, żeby nie zdenerwować jej jeszcze bardziej. Zważywszy na miejsce, gdzie wisiała ikona, uznałam, że może przez jakiś czas nie zauważy zniszczenia. Zamknęłam drzwi i zesłam za ślusarzem na dół.

Kiedy wreszcie wróciłam do domu, książki leżały na łóżku. Zdziwiłam się, ale byłam tak zaaferowana Maszą, że nie potrafiłam sobie przypomnieć, czy przypadkiem sama ich tam nie zostawiłam. Jeden z tomów, duże, ilustrowane kompendium dzieł Caravaggia, był otwarty na reprodukcji *Meduzy*, której wspinałą kopię widziałam w galerii Jermołowa. Nie kupowałam tego albumu, więc uznałam, że może sprzedawczyni włożyła go do płóciennej torby przez pomyłkę. Sprawdziłam paragon – nie było na nim Caravaggia. Przez chwilę rozważałam, czy mógł to być popełniony w roztargnieniu akt kleptomani, ale nie miałam ostatnio problemów z samokontrolą. Następnego ranka zwróciłam książkę.

Kilka dni później, przed kolejną lekcją rosyjskiego, nie mogłam znaleźć podręcznika do gramatyki – starego, zaczytanego wydania Penguina z alfabetem wypisanym cyrylicą na czerwonej okładce. Szukałam, przeklinając pod nosem, ale przepadł – w ten sam wyjątkowo irytujący sposób, w jaki giną skarpetki. Musiałam pójść bez niego, a kiedy wróciłam do domu i otworzyłam drzwi, dostrzegłam go na karniszu nad ustawionym w wykuszu szezlongiem.

Tamten wieczór dłużył mi się niemiłosiernie. Spędziłam go na siedzisku pod oknem z butelką barolo, obserwując *campo*. Następnego dnia nie miałam ochoty iść do galerii, ale zmusiłam się i kiedy wróciłam, wszystko było na swoim miejscu. Poczulałam wstyd na myśl o tym, że poszłam do domu inną drogą, po schodach weszłam boso, a na koniec z hukiem otworzyłam drzwi. Po kilku dniach, kiedy wróciłam z targu i weszłam do mieszkania obwieszona niebieskimi torbami foliowymi z pomidorami, brzoskwiniami i kilogramem małży, album Caravaggia

leżał na środku podłogi.

Zostawiłam otwarte drzwi, po cichu postawiłam zakupy na ziemi, podeszłam do okna i otworzywszy je na oścież, długo nasłuchiwałam. Z salonu wychodziło troje drzwi: do kuchni, łazienki i garderoby z wnęką, w której były pralka i półki na sprzęt domowy. Sprawdzając kredens, wzdrygnęłam się, gdy nagle rozległ się dźwięk oznaczający koniec cyklu suszenia. Na szczęście tutaj nic nie zostało przestawione. Wielka, stara, orzechowa bieliźniarka przy ścianie naprzeciw wanny nadal była zamknięta. Klucz wisiał na breloku w mojej torebce, a zawiasów nietknięto. Obeszłam wkoło leżącą na podłodze książkę, próbując się zorientować, co jeszcze jest nie tak, dlaczego w pokoju nadal wyczuwałam ślad czyjejś niedawnej obecności. Wszystkie obrazy na ścianach zostały przekrzywione. Bardzo delikatnie, jakby ktoś musnął je ścierką do kurzu, ale wszystkie przechylnono lekko na lewo, tak że prawy górny róg znajdował się nieco wyżej. Ostrożnie podeszłam do książki i kucnęłam, by ją otworzyć. Jedna ze stron została zaznaczona. Nie musiałam sprawdzać – wiedziałam, że to *Meduza*. Rolę zakładki pełniła pocztówka przedstawiająca obraz George'a Stubbsa. Liściasty, romantyczny, osiemnastowieczny pejzaż z koniem i trzema postaciami – *Pułkownik Pocklington i jego siostry*. Pamiętałam go doskonale z czasów, kiedy pracowałam w domu aukcyjnym nad katalogiem Stubbsa.

Stałam na krześle i wyprostowałam obrazy, a potem usiadłam i zapaliłam papierosa. Po paru chwilach musiałam wstać, by wziąć popielniczkę, a kiedy się napełniła, nadal siedziałam w tym samym miejscu.

Ktoś wiedział.

Wiedział o falsyfikacie Stubbsa, który mój dawny szef Rupert próbował opchnąć jako oryginał. Wiedział więc też pewnie o jego spółce z Cameronem Fitzpatrickiem, któremu ukradłam obraz. I wiedział, co zrobiłam Cameronowi. Historię tę znało – w różnym zakresie – sześć osób. Jedną z nich byłam ja, trzy inne zaś były martwe: Cameron, Leanne i Renaud Cleret. Tym samym zostawały dwie osoby, które mogły mnie wydać: Rupert i Romero da Silva, policjant z rzymskiego wydziału do walki z mafią. To jednak nie miało sensu. Rupert nic na mnie nie miał, a nawet jeśli chciałby mnie wsypać, nie mógłby tego zrobić, nie rujnując własnego życia. Jeśli chodzi o niego, byłam całkowicie bezpieczna. Da Silva był policjantem, więc jeśli chciał mnie przesłuchać lub aresztować, powinien się stosować do procedur i oficjalnych zasad, a nie bawić się w takie gierki. Musiał być ktoś, kogo nie wzięłam pod uwagę. Wyjęłam pocztówkę spomiędzy kartek i dotknęłam zastygłej w krzyku twarzy Meduzy. Caravaggio. Jermołow?

Może sprawy z Alvinem potoczyłyby się inaczej, gdyby właśnie w tamtym momencie nie zadzwonił.

– Halo? – odebrałam ostrożnie służbową komórkę. Nie poznałam numeru.

– Cześć, Elisabeth. Elisabeth, to ty?

– To ja.

– Tu Alvin, jestem w Wenecji. Pomyślałem, że zatrzymam się tutaj i sprawdzę, czy jesteś.

– Cóż, jestem.

– Zabawię tu tylko chwilę. Przyjechałem pociągiem i jadę dalej do Rovinju.

Chorwacja.

– Fajnie.

Zamilkł. Wspominałam dość gwałtowne zakończenie naszej krótkiej rozmowy na Ibizie i gorączkowo kalkulowałam. „Nie to słyszałem, Elisabeth” – powiedział.

– Gdzie się zatrzymałeś?

– Dopiero przyjechałem, odpływam jutro z samego rana.

Bardzo wygodnie.

– Dzwonisz, żeby mnie zaprosić na drinka?

– Hmm, no... tak, jasne. Właściwie...

– Świetnie, mam wielką ochotę się napić. Może spotkamy się na Ponte dell'Accademia? Łatwo go znaleźć.

Przed wyjściem sprawdziłam rozkład promów wypływających do Chorwacji. Potem zajrzałam na swoje konta bankowe. Przez chwilę wpatrywałam się w cyferki. Z tego, co słyszałam, z pieniędzmi jest jak z miłością. W obu przypadkach obecność i brak odczuwa się bardzo podobnie: kiedy ukochany – lub kasa – jest pod ręką, równie dobrze mogłoby go nie być, a gdy go brak, stale o nim myślisz. I obie sytuacje poprzedza ostrzeżenie, które wszyscy ignorują. Moja czujność, wynikająca z faktu, że Alvin zna Angelicę Belvoir, osłabła, lecz teraz, gdy obok mnie na podłodze leżał album Caravaggia i pocztówka z obrazem Stubbsa, zdałam sobie sprawę, że tamta instynktowna reakcja nie była przesadzona. Dlaczego ze wszystkich właścicieli galerii na świecie Jermołow kazał Kazbichowi zatrudnić właśnie mnie? Ponieważ chciał, żebym to ja dokonała wyceny, właśnie ja! A ja odrzuciłam jego ofertę. Czyżby więc to, co się teraz wokół mnie działo, miało być ostrzeżeniem? Potrafiłam sobie wyobrazić, że człowiek pokroju Jermołowa nie przywykł do tego, by mu odmawiano, a gdy się to zdarzyło, nie jest z tej odmowy zadowolony. Kusiło mnie, by natychmiast zadzwonić do Kazbicha i zapytać go, co, u diabła, się dzieje, ale się powstrzymałam.

Elisabeth Teerlinc była prawdziwa, czyż nie? Jej galeria była prawdziwa, jej apartament i liczby na ekranie. Judith Rashleigh była nic nieznaczącym wspomnieniem i tak miało zostać. Bez względu na to, co wiedział Jermołow, najpierw musiałam się zająć Alvinem. Szybko ogarnęłam pokój, psiknęłam się perfumami i przeczesalam włosy, zawiązałam apaszkę na torbie i wyszłam na randkę.

Wypiliśmy aperitif w małym barze pod mostem. Cieszyłam się, że widzę

Alvina, a przynajmniej za wszelką cenę chciałam sprawiać takie wrażenie. Wieczór był gorący, dlatego tym bardziej trzymałam się swojej zasady, by unikać baru U Harry'ego, gdzie szanse na to, że Alvin wpadnie na przypadkowego znajomka były największe. Po drinku poszliśmy szukać taksówki wodnej, która miała nas zabrać do Paradiso Perduto, jednej z moich ulubionych restauracji, niedaleko Campo di Ghetto Nuovo, w dzielnicy, od której wzięły nazwę wszystkie żydowskie dzielnice świata.

Z doświadczenia wiedziałam, że – nie licząc chwili, gdy mężczyzna zlizuje ci z sutków stuletniego delamaina w prywatnym apartamencie Coco Chanel w paryskim Ritzu – nic nie daje takiego poczucia bogactwa jak zatrzymanie weneckiej taksówki wodnej. A tak właśnie Elisabeth Teerlinec miała ochotę się poczuć.

Po drodze przedstawiłam Alwinowi oficjalną biografię Elisabeth, która obejmowała naukę w międzynarodowej szkole w Londynie, emerytowanego, mieszkającego niedaleko Genewy ojca i kilka lat pracy w finansach – zanim poczuła, że jej prawdziwym powołaniem jest posiadanie galerii. Historia opierała się na solidnych podstawach. Po przyjeździe do Wenecji spędziłam na jej tworzeniu ładne kilka dni. Wspomnianą szkołę znalazłam w Internecie – mieściła się w zaprojektowanym przez Johna Nasha gmachu niedaleko Regent's Park, do którego bogacze z różnych krajów odstawiali swoje zaniedbywane potomstwo pomiędzy wypadami na narty. Dzięki temu nikt nie mógł namierzyć małej Liz w hermetycznym i cholernie dobrze poinformowanym angielskim systemie edukacyjnym. Serdecznie polubiłam starego ojca Elisabeth, emerytowanego prawnika specjalizującego się w ubezpieczeniach korporacyjnych, który poświęcił się zbieraniu rzadkich książek, młodo owdowiawszy po śmierci jej schorowanej na raka, świętej pamięci matki. Tak, śmierć matki skutecznie uciniała dalsze pytania. Na tapecie służbowej komórki Elisabeth miała zdjęcie domu rodzinnego w Szwajcarii – okazałej dziewiętnastowiecznej willi, którą osobiście zaprojektowałam, łącząc zdjęcia z kilku katalogów z nieruchomościami. Gabinet taty znajdował się na prawo od wejścia, za oknem, z którego rozciągał się widok na jezioro. Pracując „w finansach”, Elisabeth odbyła kilka staży w firmach konsultingowych. Praca stażysty jest mało konkretna, więc praktykantów trudno namierzyć i śledzić, chyba że jest się szczególnie dociekliwym. Każdy, kto chciał się dowiedzieć więcej, słyszał w odpowiedzi „Lehmans”, co zazwyczaj wywoływało większe współczucie niż informacja o śmierci jej biednej matki. Kiedy wreszcie uznała, że kariera w biznesie nie jest dla niej, spędziła kilka lat na duchowych poszukiwaniach w Indiach, w tym pół roku w aśramie (już zlikwidowanej) w Radżastanie. Jeśli rak nie był w stanie ukrócić dociekliwości rozmówcy, gwarantowała to joga.

W rewanżu Alvin wyjawiał mi, że rozważa dwie opcje: zostanie kuratorem

wystaw bądź wyjedzie do Berlina lub Los Angeles, gdzie scena współczesna jest, jak się wyraził, o wiele świeższa i „na czasie”. Pokazał mi zdjęcia z wernisażu swego kolegi w Silver Lake, gdzie „artysta” zaprezentował ordynarnie zerżnięte z Giacomettiego rzeźby ze stali nierdzewnej, na których nabożnie umieszczono bulwy rzodkwi japońskiej. Zareagowałam wymijającym „aha”, jednocześnie zapamiętując wpisywane przez Alvina na telefonie hasło. Potem zajęliśmy się Biennale. Dyskutowaliśmy, które pawilony były „niezwykłe” (w jego mniemaniu większość) i czy kolejnym „fascynującym” rynkiem sztuki będzie Baku czy Tbilisi (w mojej opinii ani jedno, ani drugie). Restauracja jak zwykle była zatłoczona, goście wylewali się na nabrzeże, grało trio jazzowe, a powietrze wibrowało od podekscytowanych głosów Amerykanów wymieniających się wrażeniami z europejskich wojaży. Dopiero gdy Alvin raczył się trzecim kieliszkiem białego wina, zapytałam go, dlaczego zaprosił mnie do swoich znajomych.

– Jest taka dziewczyna, Angelica. – Wstrzymałam oddech i zamieniłam się w słuch. – Jej brat zaręczył się z moją siostrą. On pracuje w Nowym Jorku, poznali się na Uniwersytecie Browna. Szukałem miejsca we Włoszech, gdzie mógłbym zdobyć doświadczenie, i Angelica rozpoznała twoją galerię. Przed wyjazdem na Ibizę napisałem maile do kilku innych marszandów. Angelica mi pomogła. Ona naprawdę zna się na sztuce. Pracuje w...

Doskonale wiem, gdzie pracuje, pomyślałam.

– Tak czy inaczej, miała wrażenie, że cię rozpoznała na zdjęciu z imprezy podczas Biennale. Angelica w pierwszej chwili pomyślała, że to jej znajoma, ale zaraz stwierdziła, że to nie może być tamta dziewczyna, tylko sobowtór! – wypowiedział trudne słowo z nieskrywaną dumą.

– I dlatego myślałeś, że już się spotkaliśmy?

– Tak, przepraszam.

Nadałam się.

– Nie pisałeś do mnie w sprawie pracy?

– Nie, w tej chwili bardziej mnie kręci L.A. Ale impreza była niezła, co? Szkoda, że musiałaś wcześniej wyjechać. Tęgie wie, jak rozkręcić niezłą bibkę. A ta dziewczyna, którą przypominasz, pracowała kiedyś z Angelicą, ale została zwolniona. Podobno miała romans z szefem.

– Naprawdę? To trochę niesprawiedliwe. Mam na myśli zwolnienie.

– Ta, sam nie wiem. Podobno wpakowała się w niezłe bagno.

Pięknie. Zastanawiałam się, skąd się wzięła ta plotka, ale uznałam, że teraz nie mam czasu na dalsze rozmyślenia. *Angelica uznała, że popełniła błąd, że cię pomyliła z kimś innym, to najważniejsze.*

– Powinnaś już lecieć. Zapłacę.

– Mogę pójść z tobą? Mam, hmm, trochę wolnego czasu.

– Spotykasz się ze znajomymi w Rovinju?

– Może. Wiesz, jak to jest. Może pojedę do Dubrownika? Znajomy ojca mieszka w Zagrzebiu, mógłbym się tam wybrać.

– Cholernie trudno utrzymać się w sztuce, co?

– Żebyś wiedziała! – odpowiedział bez cienia ironii. Uśmiechnął się szeroko, ukazując te swoje okropne zęby, i tak jak przy pierwszym spotkaniu przeszedł mnie dreszcz obrzydzenia.

Minęliśmy Ghetto i skręciliśmy w kierunku Casinò di Venezia, gdzie miałam zamiar wsiąść w *vaporetto* i wrócić do domu. Pokazałam Alwinowi bramy, za którymi co noc Żydzi byli zamykani przez swoich miłych gospodarzy, i maleńką, ukrytą synagogę zbudowaną ponad dachami niegdyś zatłoczonych kamienic.

– Rewelacja!

Sunęliśmy w milczeniu wzdłuż Canal Grande, aż dotarliśmy do mojego przystanku.

– Na pewno nie chcesz jeszcze jednego?

Może będzie okej. Może po prostu wypierdzieli do Dubrownika, pomyślałam. Ale wtedy wyciągnął telefon. Przez cały wieczór ledwie był w stanie utrzymać ręce z dala od niego i teraz gładził go niecierpliwie jak matka uspokajająca marudne dziecko.

– Może kawę?

Alvin skinął głową, zajęty telefonem, i poszedł za mną boczną uliczką biegnącą obok Ca' Rezzonico do najbliższej kawiarni. Płócienny plecak dyndał mu na ramionach, podczas gdy on zaaferowany przeglądał wiadomości.

– Próbowałam właśnie znaleźć zdjęcie tej dziewczyny, która wygląda jak ty. Angelica stwierdziła, że jesteście identyczne.

W sieci było kilka fotek Judith Rashleigh ze starych dobrych studenckich czasów, ale po przeprowadzce do Londynu żadna więcej się nie pojawiła. Co było o tyle łatwe, że nie zaprzyjaźniłam się z nikim nowym. Poza wizerunkiem na starej przepustce z domu aukcyjnego jedynym w miarę nowym zdjęciem Judith było to zrobione przez Leanne, jej dawną koleżankę ze szkoły. Ale Leanne nie żyła, a ja spaliłam tę fotkę w zsypie paryskiej kamienicy. *Jak długo będą trzymali te przepustki z domu aukcyjnego? Czy Angelica ma do nich dostęp?* – zastanawiałam się gorączkowo.

I wtedy, w momencie, gdy kelner przyszedł przyjąć nasze zamówienie, Alvin nachylił się do mnie i pstryknął selfie.

– Wyślę jej, tak dla hecy.

– Daj mi najpierw zobaczyć – zachichotałam. – Boże, wyglądam okropnie. Skasuj je, pstrykniemy lepsze. Alvin, nie możesz mi tego zrobić! – W udawanym, błagalnym geście położyłam mu rękę na ramieniu i przybrałam odpowiedni wyraz twarzy, podczas gdy jego kciuk kliknął ikonkę kosza na śmieci. Grzeczny chłopiec.

Nachylił się do mnie poufale.

– Słuchaj, mnie możesz powiedzieć. To ty, prawda? Angelica była niemal pewna.

– Jakim cudem?

– Cóż, jesteś bardzo seksowna.

Że też nie mógł sobie odpuścić. Żaloszny palant.

– No, powiedz, to ty, prawda? Widzę, że coś ukrywasz. Mam nosa do ludzi. Przysięgam, nie powiem Angelice ani słowa.

– Tu nie ma nic do opowiadania.

W jego oczach dostrzegłam tę samą arogancką pewność siebie, którą widziałam na wyspie.

– Co tak naprawdę się stało? Wtedy, w Londynie? No, dalej, mnie możesz powiedzieć.

Zrobi to. Jeśli pozwolisz mu odejść, powie, że cię odnalazł.

Położyłam na stole parę monet i naśladowując gest Alvina, nachyliłam się konfidencyjnie i spojrzałam na niego z poziomu jego pryszczatej brody.

– Naprawdę chcesz usłyszeć mój sekret?

– Jasne.

– Powiem ci u mnie w mieszkaniu. Jeśli chcesz, pozwolę ci tam pstryknąć inne zdjęcie. Może nawet kilka. Chodź.

Kiedy wstawaliśmy, zdałam sobie sprawę, że w zasadzie nie chcę tego robić. Po prostu nie chcę tego więcej robić.

Następny dzień zaczęłam superwcześnie. Zamaskowałam rozcięcie na twarzy korektorem i spojrzałam na swoje odbicie w lustrze: podkrążone oczy, udręczony wzrok. Nie skupiałam się jednak na ranach duszy. Załatać fasadę i naprzód, to się zawsze sprawdzało.

Prom do Chorwacji dla pasażerów niezmotoryzowanych odpływał o szóstej pięć rano. Rejs do Rovinju trwał cztery godziny, z postojem w Poreču. O piątej trzydzieści stawiałam się na przystani San Basilio z małą torbą i biletem Alvina w dłoni. Dowód tożsamości ze zdjęciem jest wymagany przy odbiorze biletów, ale nie przy wejściu na pokład. Steward ledwie zerknął na dokument, gdy wziął go ode mnie w natłoku pasażerów. Włosi po prostu nie rozumieją idei stania w kolejce. Poczekalam, aż wejdzie po mnie dziesięciu podróżnych, potem odegrałam scenkę, jakbym czegoś zapomniała, i zostawiwszy telefon Alvina na promie, minęłam zajętego stewarda, zbiegłam po trapie na ląd i po dziesięciu minutach byłam z powrotem w mieszkaniu. Dobrze. Alvin wszedł na swój prom. Żadnych śladów. Wsunęłam za sportowy stanik papierosy i dwadzieścia euro w banknocie i pobiegłam przez Dorsoduro, Ponte dell'Accademia i wzdłuż więzienia w Pałacu Dożów. Zatrzymałam się na rampie dla wózków inwalidzkich na Ponte dei Sospiri i delikatnie wypuściłam z ręki plecak Alvina, obciążony parą całkiem ładnych świeczników Oggetti. Czasem trzeba się poświęcić. Pobiegłam do parku Giardini na końcu wyspy, gdzie wykonałam serię mało dostojnych ruchów w postaci ćwiczeń fizycznych, a następnie wróciłam na plac świętego Marka, dokładnie w chwili gdy rozległy się dzwony. W porannej mgłę przedarłam się przez pierwszą grupę turystów, już lepkich od potu i kremów przeciwsłonecznych. Orkiestra jeszcze nie zaczęła swojej zmiany i słychać było jedynie gruchanie gołębi i kroki turystów przemierzających bez końca najpiękniejszy salon Europy.

Był to mój poranny rytuał, więc znałam już większość kelnerów. Zająłam miejsce przy zacienionym stoliku i skinęłam głową na Danila, a ten przyniósł mi świeży sok pomarańczowy, briozkę i cappuccino. Tym razem wzór na piance przedstawiał złamane serce. Po lekturze „Financial Timesa” i pysznym papierosie wróciłam pieszo do Ponte dell'Accademia i zanurzyłam się w wąskim tunelu uliczek wokół kościoła San Moisè, leniwie oglądając witryny skupionych jeden obok drugiego eleganckich sklepów. Mój wzrok przykuła para sandałów od Prady – czarna satyna na cienkiej, srebrnej podeszwie z cudownymi piórkami na obcasie, przypominającymi skrzydła Merkurego. Frywolne, fikuśne buciki, na które warto przepuścić pieniądze. Jaki jest sens w oszczędzaniu na czarnej godzinę, gdy posiada się takie buty? Nikt nie pozwoli, by dziewczynie w takich sandałach przydarzyło się coś złego. Mogłabym je mieć, gdybym chciała, mogłabym je mieć we wszystkich kolorach. Ale nie chciałam.

Światło nadal mieniło się na powierzchni laguny turkusowymi pociągnięciami pędzla, powietrze wciąż pachniało morzem i lodami, ale moje wnętrze przypominało raczej gnijące liście i ścieki. Wzięłam szybki, wiktoriański prysznic, obniżając temperaturę od letniej do lodowatej, ubrałam się elegancko i włożyłam do teczki książkę o Caravaggu i notes. Byłam umówiona w Marcianie. Budynek biblioteki stoi naprzeciw Pałacu Dożów, tuż obok kolumny świętego Teodora. Dawniej pomiędzy kolumną pogromcy karykaturalnie brzydkiego krokodyla a bliźniaczą kolumną świętego Marka stała gilotyna i Wenecjanie nadal uważają, że przechodzenie pomiędzy nimi przynosi pecha. Ja przeszłam. Okazałam paszport, podałam podstawowe informacje dotyczące galerii i naprędce przedstawiłam szkic mojego „projektu badawczego”. Apatyczna recepcjonistka gestem skierowała mnie do głównej czytelni z trzema wnękami i wyspami w postaci jasnych drewnianych stołów ustawionych na czerwonym dywanie. Działająca na najwyższych obrotach klimatyzacja dosłownie mroziła światło słoneczne na szklanym dachu i cieszyłam się, że, jak każdy rozsądny naukowiec, wzięłam ze sobą sweter. Podałam swoje zamówienie bibliotekarzowi i czekając na materiały, zajęłam miejsce i ponownie otworzyłam kompendium Caravaggia na Meduzie. Nie potrafiłam odczytać z niego żadnej szczególnej informacji, ale zaczęłam kartkować książkę i przyglądać się każdej ilustracji. Zatrzymałam się na Amorze Zwycięskim, wspaniałym portrecie, na którym Caravaggio przedstawił swojego kochanka Cecca jako boga miłości. Opuszką palca musnęłam łagodny kontur nastoletniego policzka. Nawet płaska, błyszcząca reprodukcja raziała bezczelną anarchią kompozycyjną i pulsowała pogańską energią. Pod ryciną zacytowano komentarz współczesnego artysty widza, który podziwiał obraz w kolekcji markiza Vincenza Giustinianiego, mecenasa Caravaggia, gdzie zawsze pokazywany był jako ostatni, schowany za ciemnozieloną, jedwabną zasłoną. Nawet bez tej informacji byłam w stanie zidentyfikować rezydującego w moim mieszkaniu złośliwego ducha, ale utwierdziłam się w przekonaniu, że Jeremołow ma przynajmniej poczucie humoru.

W terminologii szpiegowskiej nazywa się to „zmiękczeniem”, „podkopywaniem morale”. Takie metody stosowały z lubością KGB i Stasi, ale nie tylko. Sprytny i skuteczny rodzaj „miękkich tortur”. Niewidzialni goście w mniej lub bardziej delikatny sposób przesuwają przedmioty w mieszkaniu. To niepokojąco zagadkowe i absolutnie niemożliwe do udowodnienia działanie podobno doprowadzało ludzi do obłędu. Kto uwierzy, że miało miejsce włamanie, skoro jedynym dowodem jest to, że przełożono w inne miejsce mydło? Ponoć typowym zagranem wspomnianych służb było zostawianie w sypialni zdjęć pornograficznych. Nie wiedziałam, czy powinnam się czuć wzruszona, czy znieważona faktem, że nie wypróbowali go na mnie.

Co Jeremołow próbował mi powiedzieć? Wiedziałam, że powinnam się bać,

ale prawdę mówiąc, byłam raczej zaciekawiona. To mi niemal pochwlebiało. Jeśli tak bardzo chciał, bym ponownie rozważyła swoją decyzję, to po co mnie zastraszał? I dlaczego Caravaggio?

– *Ecco, signorina.*

Bibliotekarz pojawił się ponownie, trzymając w rękach parę białych bawełnianych rękawiczek i gruby, ciężki wolumin znajdujący się pomiędzy dwiema kartonowymi okładkami. Zamówiłam rękopis jednej z pierwszych książek o Caravaggio, biografie autorstwa Marianiego, ale nie chciałam studiować dziejów życia malarza, tylko przyjrzeć się notatkom nabazgranym na marginesach manuskryptu. Pismo było niemożliwie drobne, a siedemnastowieczne włoskie skróty trudne do rozszyfrowania, ale dobrze się bawiłam. Od niepamiętnych czasów nie prowadziłam poważnych badań. Szeptalam słowa pod nosem, gdyż brzmienie wyrazów pomagało mi zrozumieć ich sens, aż wreszcie znalazłam to, czego szukałam.

„Popelnili morderstwo” napisał zagadkowo Mariani. „Kokota, siłacz, kawaler. Siłacz rani kawalera. Kokota wycina nożem na skórze obelżywe słowo. Wezwani strażnicy chcieli wiedzieć, co współsprawcy... W więzieniu się nie przyznał, wrócił do Rzymu i więcej o tym nie mówił”. Oparłam się na krzesło i wpatrywałam w ściśnięte czarne litery. Słyszałam o „notatce na temat morderstwa”. Była źródłem wielu biograficznych spekulacji, dla tych, którzy lubią podobne historie. Ale blizna? To coś nowego. *Sfregio*, czyli znamię hańby wycinane ostrzem na twarzy ofiary, często stosowane jako kara dla kobiet wiarołomnych względem swych „opiekunów”. Poczulałam delikatny dreszcz ciekawości i ekscytacji.

W dwóch ze swoich najslawniejszych obrazów Caravaggio wymyślił nowy gatunek. Zarówno *Wróżenie z ręki*, jak i *Grający w karty* przedstawiają scenę iluzji, akt oszustwa. W obydwu jednocześnie obserwujemy dwie rzeczywistości. Artysta pokazuje nam, że malarstwo jest oszustwem, zaburza nasze postrzeganie równie skutecznie, jak czynią to kanciarze, oszukując zbyt pewnych siebie frajerów. Strzeż się tego, co ci się zdaje, że widzisz.

Jeśli Jermolow zadaje sobie trud, by mnie straszyć, to musi uważać, że posiadam pewną władzę, myślałam. Nie mogę powiedzieć, by mi się to nie podobało. Kim jesteśmy w tym układzie? Kto jest kawalerem, kto dziwką, a kto siłaczem? Jeśli mi grozi, to trzeba przyznać, że w elegancki sposób.

Resztę dnia spędziłam w galerii i około siódmej wróciłam do mieszkania, które zastałam w takim stanie, w jakim je zostawiłam. Przygotowywałam kąpiel, kiedy zadzwonił telefon, nie służbowy, tylko prywatny. Ten numer miały trzy osoby: Steve, Dave i moja matka, ale żadna z nich nie wyświetliła się na ekranie. Odebrałam i powiedziałam „Pieprz się” – tak stanowczo, jak tylko umiałam. Nie zdziwiłam się, gdy się okazało, że mówię w próżnię.

Musiałam wyjść. Miałam dość siedzenia i czekania na sztuczki, którymi Jermołow chciał mi namieszać w głowie. Musiałam poczuć się czysta, silna i pełna życia, dlatego uznałam, że czas złożyć wizytę Ukraińcom. Zostawiłam ciężką garderobę w spokoju i przeciągnęłam dłonią po ubraniach na wieszaku w sypialni. Wybrałam krótką, jaskrawopomarańczową sukienkę Missoni, a przynajmniej coś, co przypominało sukienkę. Powiesiłam ją nad lustrem i poszłam wziąć kąpiel. Dolałam do wody pół butelki Chanel Gardenia, potem włożyłam grafitowe koronkowe figi i jedwabną koszulkę Rosamosario, do tego miękkie, zamszowe balerinki w takim samym kremowym odcieniu jak słynne perfumy równie słynnej *Mademoiselle*. W Wenecji obcasy są obowiązkowe, ale płaskie buciki pozwoliły mi w ciągu ośmiu minut pokonać kilka maleńkich skwerów i pięć łukowych mostów i dotrzeć do San Polo.

Gdyby ktokolwiek z gości był wystarczająco trzeźwy, mieszkanie Ukraińców mogłoby stać się sławne jako miejsce imprez, którymi tak się ekscytują okropni, zasapani dziennikarze. Ale nawet, jeśli ktoś był na tyle przytomny, by je znaleźć, to wychodził w stanie gwarantującym, że nikomu nie zdradzi, co się tam dzieje. Tak naprawdę wiedzieli o nim tylko weneccjanie, ponieważ ci znają wszystkie sekrety swojego miasta. Mnie wyjawiała go Masza, która nie pochwałała tego rodzaju rozrywek. Zgodnie ze zwyczajem kupiłam butelkę okropnej grappy z pobliskiego chińskiego sklepu i zaprezentowałam ją, gdy tylko otwarły się niskie, wychodzące wprost na ulicę drzwi. Nawet jak na Wenecję ukraińska uliczka była wąska, co być może tłumaczyło posturę odwiedzających. Pasowali tu jedynie smukli i gibcy, co dzisiaj całkowicie mi odpowiadało. Ukraińcy (jeśli posiadali imiona, to nikt ich nie znał) byli parą. Wypacykowana blondyna i jej mąż twierdzili, że są artystami, chociaż, na szczęście, nigdzie nie było widać ich prac. Mieszkali na parterze, w wielkim mieszkaniu udekorowanym imponującymi, dziewiętnastowiecznymi portretami. Drzwi frontowe otwierały się prosto na kanał, co oznaczało, że zawsze ktoś wpadał do wody, a antresola przypominała targ arabski, pełen podniszczonych, starych jedwabi i zastawiony mniej lub bardziej obłożonymi przez gości otomanami. Zawsze znalazło się tam coś do jedzenia i towarzystwo, chociaż eklektyzm listy gości osiągał niepokojący poziom.

Ukraiński mąż przywitał mnie swojsko łamaną włoszczyzną i z błyszczącymi oczami poprowadził mnie i moją krzykliwą sukienkę wzdłuż oświetlonego świecami korytarza. Miał na głowie obudowę telewizora z lat osiemdziesiątych, twarz wystawała mu z miejsca po ekranie, a z tyłu ciągnęły się kable z wtyczkami, ale nie uznałam za stosowne tego komentować. Ukraińska żona usadowiła się na ulicy i z nogami zanurzonymi w śmierdzącym kanale paliła gigantycznego skręta, tłumacząc coś ze śmiertelną powagą niemieckiemu turyście o przerażonym wyrazie twarzy. Pomachała do mnie ospale, kiedy szperałam pomiędzy resztkami obiadu w poszukiwaniu najbardziej higienicznie wyglądającej

szklanki. Z antresoli zbiegła brunetka z ustami pomalowanymi na czerwono i cudownie lśniąca skórą.

– Czy ktoś widział Bruna? – wysapała po angielsku. Powtórzyła pytanie po francusku i po rosyjsku, ale nikt nie widział Bruna, więc dała sobie spokój, zerwała z jednej z lamp lekko przypalony szal, owinęła go sobie na biodrach i zasnęła na fotelu. Ukraiński mąż potrząsnął ją energicznie za ramię, ale ona poruszyła się tylko, by stracić jego rękę. Gospodarz złapał za jedną z gałek pod swoją szyją i przez chwilę regulował poziom dźwięku.

– Kuot – wyartykułował z rosyjska z nutą satysfakcji w głosie. Kiedy już doszliśmy do porozumienia w tej ważkiej kwestii, zaproponował mi talerz frittaty z cukinią. – Jak się masz, moja droga?

Pogawędziliśmy przez chwilę, żonglując słowami w rozmaitych znanych nam obojgu językach, po czym skubnęłam ostrożnie frittaty, a następnie zapaliłam papierosa, by odkazić po niej usta. Kiedy gospodarz ponownie zmniejszył pokręteł poziom dźwięku, poszłam na górę poszperać. Postawiłam szklankę na parapecie wolego oka nad drzwiami wychodzącymi na kanał i zanurzyłam się na chwilę w weneckiej zadumie. Delikatny plusk na dole sugerował, że ktoś odważył się wskoczyć do kanału.

– Mogę się przyłączyć?

– Nie ma to jak oryginalnie zagaić – odpowiedziałam, nie odwracając się.

Poczułam, jak ręka obejmuje mnie w talii, i oparłam głowę na ramieniu pachnącym znajomą, mocno cytrusową wodą kolońską. To było nasze drugie lub trzecie spotkanie tutaj. Czułam dotyk obrączki, kiedy jej dłoń wędrowała w kierunku mojej lewej piersi.

– Piękna jak zawsze.

– Dziękuję.

Jej prawa ręka gładziła moje biodro, a palce pieściły skórę pod krótką sukienką. Czekałam na wilgotny przyptyw pożądania. Na próżno. Odwróciłam się i pocałowałam ją intensywnie, szukając jej pulsującego języka. Bez skutku. Zdezorientowana otworzyłam oczy i na tle mglistej poświaty kanału dostrzegłam w jej oczach błysk.

– Gdzie mążulek?

– Z dziećmi na Rimini.

– No to mam szczęście.

Zatopiłam usta w zgięciu jej szyi i muskając obojczyk językiem, chwyciłam ją w talii, a potem przeniosłam dłonie na jej piękne, krągłe, sprężyste pośladki. Wciągnęła gwałtownie powietrze i zanurzywszy dłoń w moich włosach, zaczęła ssać moją szyję. Powoli uklęknęłam przed nią, pociągnęłam w dół jej bawełnianą spódnicę i drapnęłam paznokciami po brzegu koronkowych, jasnych majtek, odcinających się na tle jej letniej opalenizny. Miała piękny brzuch, zaokrąglony

lekką jak świeżo upieczony chleb. Wtuliłam twarz w jego pulchną krągłość i zaczęłam ściągać jej figi. Były zupełnie mokre. Gdy rzuciłam je na bok, zaczęła się do mnie kleić. Odwróciła moją głowę, by otrzeć mój policzek o swoje równo przystrzyżone włosy, przecięte twardą w dotyku blizną po cesarskim cięciu. Dotknęłam językiem jej łechtaczki i przez chwilę lizałam łagodnie, szukając szparki między wargami sromowymi.

– Rozsuń nogi.

Z rękami nadal wplątanymi w moje włosy, rozstawiła szerzej stopy. Wciąż dotykając językiem jej łechtaczki, wsunęłam jej w cipkę palec, potem drugi. Ślizgałam się po miękkim wnętrzu, drażniłam przednią ścianę pochwy i liżąc trochę szybciej, ssałam ją i skubałam, podczas gdy jej soki i moja ślina zalewały mi brodę. Próbowwała pociągnąć mnie w górę, do swoich ust, ale chciałam, żeby doszła. Chciałam zanurzyć całą twarz w tych aksamitnych wargach, poczuć jak skurcz orgazmu zaciska się na moich palcach i odnaleźć w nim zapowiedź własnej rozkoszy. Zaczęła jęczeć. Na chwilę się odsunęłam i w pełgających płomieniach świeczek spostrzegłam na schodach sylwetkę mężczyzny. Nie przeszkadzało mi, że ona go nie zauważyła. Zanurzona głęboko w jej cipce, sięgnęłam pod jej bluzkę, by uwolnić ze stanika sutek. Masowałam go w tym samym rytmie co język łechtaczkę. Lizałam mocniej, szybciej, a gdy poczułam na palcach pierwszy skurcz, gwałtownie ścisnęłam jej brodawkę, aż odplynęła w orgazmie. Zawyla przenikliwie i wbiła paznokcie w skórę mej głowy. Otarła się cipką o moje usta, rozmazując mi na twarzy swoje soki, a potem wydała z siebie głębokie westchnienie ulgi i wróciwszy chwiejnym krokiem na otomanę, legła na niej bezwładnie. Potarłam dłonią piekące usta i pod jej słonym smakiem wyczułam coś innego, soczystego, o ostrym zapachu. Włożyłam palec do ust, jednocześnie podchodząc do lustra w złotej ramie, opartego obok kanapy. Na brodzie miałam zaschniętą krew. Rdzawą, wampirzą kroplę.

– Przepraszam.

– Nic nie szkodzi. – Rozmazałam ją po brodzie, wpatrując się smutno we własne głębokie spojrzenie w lustrzanym odbiciu. Ze schodów dobiegł cichy odgłos tłumionego westchnienia.

Dziewczyna zachichotała.

– Chodź.

Pojawił się ukraiński mąż, już *sans téléviseur*, wkładając interes z powrotem w spodnie. Uśmiechnęła się szeroko i wyciągnęła rękę do nas obojga.

– Chodź, *cara*. Twoja kolej.

– Chwileczkę. – Zostawiłam ich i zeszłam na dół umyć nad zlewem twarz. Brunetka nadal leżała przewieszona przez oparcie fotela, z głową niemal do samej podłogi. Zdjęłam z poduszki brudną aksamitną poszewkę i okryłam delikatnie jej nagie ramiona. Potem zdjęłam buty, zostawiając na zamszu cholerny, krwawy

odcisk palca, i po cichu wyszłam na ulicę. Chciałam poczuć pod stopami chłodny, gładki kamień. Miałam nadzieję, że sprawiłam swojej przygodnej kochance przyjemność. Cieszyłabym się, gdyby tak było, ale to wszystko. Kręciło mi się w głowie i mdliło mnie, jakbym osuszyła całą butelkę podłej grappy. Okazałam się dobrą kumpelą, pozwoliłam jej dojść, ale nie oczekiwałam niczego w zamian. Czułam się pusta, otępiała i nieobecna. Aż tak. Zastanawiałam się, czy to mi w ogóle jeszcze sprawia frajdę. Poszłam do domu sprawdzić, co z duchami. *To tylko duchy*, powtarzałam sobie. *Tylko duchy*.

Każdego dnia jest moment, kiedy Wenecja wygląda, jakby ją wykonano z czystego srebra. Kiedy ostatni blask niknącego dnia ześlizguje się za lagunę, kamień i woda zlewają się w akwafortę, łącząc odcienie starej cyny, wibrującą, posrebrzaną czerń i błyszczące, białe złoto. Musisz szukać tej chwili, wyczekiwać jej nadejścia, a wtedy zobaczysz, jak miasto w tajemniczy sposób staje się całkowicie sobą. Ów moment następował teraz wcześniej, ale dni nadal były gorące i wieczorami na plażach Lido wciąż panował tłok. Pewnego popołudnia, jakiś tydzień po wizycie w bibliotece, miałam ochotę wsiąść w *vaporetto*, popłynąć na plażę i się wykapać. Pracowałam sumiennie w galerii nad przygotowaniem nowej wystawy, ale od trzeciej, w porze sjeisty, kiedy we Włoszech życie zamiera, czas zaczynał mi się dłużyć i to była jedyna rzecz, na którą miałam ochotę. Już zamierzałam się spakować, gdy usłyszałam pukanie do drzwi. Wywiesiłam rano tabliczkę „zamknięte”, ponieważ niczego nie sprzedawaliśmy, ale niespodziewany gość przeszedł zdecydowanie od wejścia do biurka po drugiej stronie galerii. Sądząc po odgłosie obcasów, była to kobieta.

– Elisabeth!

Rozpoznałam Rosjankę z przyjęcia Carlotty.

– Jelena? Uhm... Cześć. Jak miło cię widzieć w Wenecji!

Jelena miała na sobie kopertową sukienkę z granatowego jedwabiu, sandały na wysokich drewnianych koturnach, a do tego beżowy słomkowy kapelusz ze sztywnym rondem, by chronić przed słońcem resztki naturalnej cery. W ręce trzymała dopasowaną kolorystycznie torbę od Hermès'a i wielkie okulary przeciwsłoneczne od Toma Forda.

– Na długo przyjechałaś?

– Tylko na kilka dni. – Miałam wrażenie, że czuje się niezręcznie. – Właściwie to... przyjechałam, żeby spotkać się z tobą.

– Naprawdę? Cóż, niestety, jak widzisz, nie mam teraz żadnej wystawy, ale...

– Może miałabyś ochotę na kawę? Mogłybyśmy... porozmawiać.

– Och... tak, naturalnie. Gdzie się zatrzymałaś?

– W hotelu Cipriani.

– Oczywiście. Akurat jestem wolna. Może chciałabyś popłynąć na drugą stronę? Są tam piękne ogrody, możemy usiąść w cieniu. – Ponieważ Jelena sprawiała wrażenie zdenerwowanej, mimowolnie zaczęłam mówić takim tonem, jakim się mówi do przestraszonego dziecka.

Rosjanka dotknęła gardła i głośno przełknęła ślinę, a potem teatralnym gestem odwróciła głowę w prawą stronę.

– Wolalabym miejsce bardziej... odosobnione. Widzisz, mój mąż jest

niezwykle opiekuńczy. – Powiodłam wzrokiem w kierunku wskazywanym przez brodę Jeleny i przed galerią dostrzegłam obleczone w marynarkę szerokie ramiona i byczy kark. Ciasny, zapięty pod szyją kołnierzyk nie do końca zakrywał rękojeść sztyletu, wytatuowanego tuż pod linią szczęki godnej pitbula. Jeśli był to ochroniarz Jeleny, to doskonale rozumiałam, dlaczego wołała się z nim nie pokazywać.

Zebrałam swoje rzeczy i wzięłam klucze z górnej szuflady biurka.

– Jasne. Mogę na chwilę zamknąć galerię. Może przejdziemy się wzdłuż Zattere? To niedaleko stąd. Na nabrzeżu jest wiele kawiarni, możemy tam usiąść.

– *Spasiba*. – Podziękowała mi po rosyjsku i szybko wyszła do osiłka. Wskazała na lewo, gdzie miałyśmy się udać. Ochroniarz odszedł, a Jelena zaczęła, aż zamknę drzwi.

– Wróci za pół godziny.

Kiedy szłyśmy ramię w ramię w kierunku kościoła Gesuati, Jelena rozglądała się wkoło, sprawdzając, jak blisko jest jej ochroniarz. Wymieniłyśmy kilka uwag na temat uroczego wesela Carlotty, a potem zaczęłam kurtuazyjną pogawędkę. Tradycyjnie wspomniałam o pogodzie, a potem wskazałam kilka zabytków po drugiej stronie kanału, na wyspie Giudecca.

– Chcesz wejść do kościoła? – zapytałam, zatrzymując się przed białą barokową fasadą. – W środku można zobaczyć słynne freski Tiepola.

Jelena zgodziła się, a ja wyszperałam w torebce drobne na zakup dwóch biletów. Kiedy przechodziłyśmy przez kruchtę do nawy, zauważyłam, że Jelena przeżegnała się według obrządku prawosławnego: od prawej do lewej, trzema zgiętymi palcami. Ja się nie przeżegnałam. W kościele unosił się intensywny zapach kadzidła i wilgotnego kamienia. Obie ledwie zerknęłyśmy na wizerunek świętego Dominika wstępującego nad naszymi głowami do nieba i usiadłyśmy w ławce.

– Elisabeth, bardzo przepraszam za moje tajemnicze zachowanie.

– W porządku. Powiedz mi po prostu, jak mogę ci pomóc. – Tonem głosu maskowałam swoje zniecierpliwienie. *Czego też ta idiotka ode mnie chce?*, myślałam.

– Przepraszam też za swój angielski.

– Jest znakomity.

– Mam rosyjski akcent. My Rosjanie nigdy nie możemy się go pozbyć. Mój mąż mówi, że z powodu samego akcentu za wszystko płacimy trzy razy drożej.

– Twój mąż? – zagadnęłam.

Czy kiedyś przejdzie do sedna?, niecierpliwiłam się w duchu.

– Moim mężem jest Paweł Jermołow.

Tego się nie spodziewałam.

– Och, Jeleno, bardzo przepraszam za to, co się stało, ale nie rozumiem...

– Zaraz zrozumiesz. Pozwól mi wyjaśnić.

Powiedziała, że rozpoznała mnie podczas wizyty u Jermołowa, kilka tygodni wcześniej. Widziała, jak jadłam z nim kolację.

– Próbowałam z nim porozmawiać – wyznała smutno – ale ten... ten głupek mnie odprawił.

– To byłaś ty? Na klifie? Twój mąż powiedział, że to intruz. Tak cię traktuje we własnym domu?

– Wiem, to żałosne.

Jelena wyjaśniła, że od jakiegoś czasu Jermołow planuje się z nią rozwieść.

– Że się umawia z innymi kobietami? Phi! Co mnie to obchodzi? Ale mamy dwóch synów, uczą się w Anglii. W Harrow – dodała z dumą. Przerwałyśmy rozmowę. Jelena wyjęła z torebki telefon i przez chwilę zachwycaliśmy się jej dziećmi. – Potem widziałam cię na weselu Carlotty. Poznałam cię. Zapytałam Carlottę, kim jesteś, a ona powiedziała, że zajmujesz się sztuką, więc sama trochę poszperałam.

– Rozumiem. – Ręce trzymałam złożone na kolanach. Zacisnęłam je mocno. Nagle zrobiło mi się zimno, bynajmniej nie z powodu kościelnego chłodu. *Co ona wie? Czego chce?*, zastanawiałam się gorączkowo.

– Dowiedziałam się, że mój mąż poprosił cię o wycenę jego kolekcji. Czy chciał, byś zaniżyła jej wartość?

Zawahałam się, udając, że moją uwagę rozproszył przewodnik opisujący po niemiecku freski. *O co tu chodzi?*, myślałam. *Czyżby Jermołow próbował ponownie mnie zwerbować, wykorzystując solidarność jajników?*

– Nie wspominał o konkretnej kwocie. Tak czy inaczej, odrzuciłam jego propozycję. Uważam, że nie jestem wystarczająco doświadczona.

– On ci na to nie pozwoli.

To zdążyłam już zauważyć. Jermołow mieszał mi w głowie, ale byłam nieco zajęta. Od wizyty Alvina czas działał na moją niekorzyść.

– Co masz na myśli? – zapytałam, próbując się skupić.

– Nie zauważyłaś niczego dziwnego od powrotu do Wenecji? Czy do twojego mieszkania nie wprowadził się przypadkiem duch?

Skąd o tym wiedziała?

Jelena wyjaśniła, że Jermołow chciał, bym to ja dokonała wyceny właśnie z powodu mojego braku doświadczenia. Chciał, bym nie doszacowała kolekcji, ponieważ, jak wielu bogatych mężczyzn, próbował zaniżyć wartość swojego majątku przed złożeniem pozwu rozwodowego, aby wynegocjować niższą wartość ugody. Jelena podejrzewała, że Jermołow złoży pozew w Rosji, ponieważ rosyjskie sądy tradycyjnie bardziej sprzyjają mężom i jednocześnie są mniej rygorystyczne w kwestii ujawniania przez nich wartości majątku. Jednak ostatnio nawet tam kilka spraw spotkało się z zainteresowaniem mediów, więc mężczyźni tak bogatemu jak

Jermołow zależało na tym, by proces rozwodowy przebiegł jak najdyskretniej. Na wypadek zakwestionowania wartości kolekcji, chciał mieć pod ręką kozła, którego mógłby złożyć na ołtarzu sprawiedliwości.

To zabolalo. I to mocno. Własne przekonanie, że nie jestem wystarczająco dobra, by wycenić obrazy Jermołowa, to jedno, a świadomość, że on też mnie tak postrzegał, to już inna para kaloszy. Uważałam, że szczerze wyjaśniłam powód swojej odmowy, i pocieszałam się, że mogłam chociaż zobaczyć dzieła i zbliżyć się do nich bardziej niż ktokolwiek inny, a teraz się okazało, że on potrzebował jedynie figuranta, marionetki. Może źle znosił odmowę, może głupimi sztuczkami w moim mieszkaniu chciał mnie zastraszyć, ale to nie tłumaczyło pocztówki ze Stubbsem. Próbowałam skupić się na rozmowie.

– Czyli dla twojego męża bardziej korzystny byłby rozwód w Rosji. Ale dlaczego zadał sobie aż tyle trudu?

Jelena przewróciła oczami. Teraz ona się zniecierpliwiła.

– Mój mąż... ma dobre układy z władzami i chce, by tak zostało.

– Rozumiem. – Wiedziałam, że Jermołow ma powiązania polityczne. Może rozwód za granicą wywołałby skandal?

– Tak czy inaczej, nienawidzę go. Traktuje mnie jak więźnia, jak zwierzę! A teraz wyrzuca mnie jak stary but! Twierdzi, że nasz związek już „nie funkcjonuje”.

W moich oczach Jelena nie przypominała wcale starego buta. Za sam jej pierścionek zaręczynowy można by wynająć na rok mieszkanie w Mayfair.

– Doceniam to, że mi się zwierzasz, i szczerze współczuję ci z powodu tej sytuacji, ale nadal nie rozumiem, jak miałabym ci pomóc.

Jelena się rozejrzała.

– To miejsce przypomina mi o gęsią skórkę. Chodźmy stąd.

Poszłam za nią cierpliwie na nabrzeże, gdzie obie zaczęłyśmy mrugać i drzeć, oślepienie nagłym blaskiem słońca i uderzeniem upału.

– Lepiej wracajmy. – Jelena ruszyła powoli, trzymając mnie pod ramię, jakbyśmy były starymi przyjaciółkami. Jej twarz znajdowała się blisko mojej. Czułam jej zapach i widziałam delikatną siateczkę zmarszczek wokół ust, gdzie wypełniacz przegrywał z naturą. – Mój mąż myśli, że może się mnie pozbyć, tak po prostu! – Pstryknęła palcami. – I wie, że jeśli to zrobi...

– Jeleno, proszę, mów jaśniej. Nic z tego nie rozumiem.

Odwróciła się w moją stronę i chwyciła mnie za przedramiona.

– Jestem żoną Pawła od trzydziestu lat. Dużo widziałam i słyszałam. Po rozwodzie znajdę się w niebezpieczeństwie. Wiem to. Potrzebuję czegoś, co zapewni mi ochronę.

– Będiesz przecież miała pieniądze. Może nie tyle, na ile, twoim zdaniem, zasługujesz, po tak długim...

Wbiła mi paznokcie w skórę.

– Nie chodzi o pieniądze. Nie czytasz gazet? Rosja to nie Europa, bez względu na to, jakie pozory starają się stworzyć władze. Jeśli przestanę być żoną Pawła, dla wszystkich lepiej będzie, jak... zniknę. Ludzie, którzy sprawiają władzom kłopoty, kończą w więzieniu albo i gorzej. Nie widzisz, że jestem w niebezpieczeństwie?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, że widzę jedynie, iż jest niepoczytalna, Jelena odsunęła się na krok i ku zaskoczeniu mojemu i tłumowi wakacyjnych turystów wykonała na swoich wysokich koturnach idealny piruet.

– Kiedyś byłam świetną baleriną! – Ta kobieta była kompletnie szalona. – Przyjdę po ciebie wieczorem, pójdziemy razem złożyć hołd Diagilewowi. Spotkajmy się tutaj, przed kościołem, o siódmej.

– Jeleno, proszę. To nie jest dobry pomysł. Przykro mi, ale nie mogę ci pomóc.

Odwróciła się. Kruchy, radosny uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Ależ możesz. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam cię z Pawłem, pomyślałam, że jesteś...

– Dziwką?

– Tak, prostytutką. Ale kiedy Carlotta wyjaśniła mi, czym się zajmujesz, sprawdziłam twoją galerię. Gentileschi, ładna nazwa.

– Hmm, dziękuję.

– Głupio zrobiłaś, wspominając o niej francuskiej policji.

Wpatrywałam się w nią z otwartymi ustami jak przebita dzidą żaba.

Był ranek ostatniego dnia mojego pobytu w Paryżu. Stałam na stopniach Sacré-Coeur otoczona zapachem miasta: smrodem rozrzuconych śmieci i spalin autokarów turystycznych, wonią marihuany i kawy. Ja z telefonem Renauda w ręce i cały oddział żandarmerii czekający na lotnisku Charles'a de Gaulle'a na dziewczynę z fałszywym paszportem, która miała nigdy nie wsiąść do samolotu. *Jestem w drodze. Mówi Ci coś nazwa Gentileschi?* – napisałam do nich. Częściowo kierowana ostrożnością, częściowo tupetem i głupią, nieodpartą pokusą. Zajął się Renaudem, więc skąd Jelena mogła o tym wiedzieć? *Czy pocztówka ze Stubbsem to jej sprawka? O co tu do diabła chodzi?*

Jelena najwyraźniej cieszyła się ze swojego odkrycia. Minęłam ją i ruszyłam wzdłuż nabrzeża, walcząc z pragnieniem wepchnięcia jej do wody i poczuciem duszącej klaustrofobii, jakby splot okoliczności, który mnie tu przywiódł, ścisnął mnie jak sycząca, niezmordowanie podnosząca swe łby Hydra. Myślałam, że w Wenecji jestem bezpieczna, wolna od przeszłości, nawet jeśli Alvin nadal... Stop. Nie myśl o Alwinie. Skup się na tej wścieklej suce, która chce ukraść ci życie.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odparłam sztywno.

– Och, myślę, że wiesz doskonale. Potrzebuję twojej pomocy w związku

z pewnym obrazem.

Nachyliła się jeszcze bardziej, zbliżając usta do mojego ucha, jakby chciała się podzielić szczególnie pikantną plotką. Czułam, że osiłek obserwuje nas z daleka.

– Myślę, że znasz się na obrazach, Judith.

Resztę popołudnia spędziłam na łóżku, przygnieciona lodowatym ciężarem w sercu. Jermołow wiedział, Jelena też. Może po prostu zamieszczę ogłoszenie w „Corriere della Sera”? Może wtedy ciężar spadłby mi z serca i przestałabym zerkać pod łóżko, by sprawdzić, czy nie czai się tam Romero da Silva. Wiedziałam, że to się nie skończy. To się nigdy nie skończy! Co miałam zrobić? Wrzucić Jelenę Jermołow i jej ochroniarza do laguny? Zabawne. Przynajmniej byłoby trochę śmiechu. Wymierzyłam sobie w myśli kuksańca. Jelena użyła mojego prawdziwego imienia, co potwierdziło wcześniejsze przypuszczenia, że „zmiękczenie” to robota Jermołowa. Jak się dowiedzieli? Odtwarzałam w pamięci rozmowę z oligarchą podczas kolacji w jego letnim domu. *Czy wspomniał coś o Paryżu?* Z frustracji wbiłam zęby w knykcie. Wiedział, zanim jeszcze mnie tam zaprosił. A ja byłam taka dumna i szczęśliwa. Jednak to nie był moment, by tulić swoją zranioną dumę. Niezborna opowieść Jeleny o rozwodzie miała sens. Jermołow chciał, bym zaniżyła wartość kolekcji, myślał, że może wyrzucić na mnie nacisk – tak, to brzmi szalenie wiarygodnie. Ale co z „zagrożeniem” czyhającym na jego żonę? Nie przywiązywałam wielkiej wagi do jej niejasnej historii, ale zniecierpliwienie Jeleny sugerowało, że – przynajmniej jej zdaniem – rzeczywiście groziło jej niebezpieczeństwo, i naprawdę była gotowa sprzeciwić się mężowi. Wspomniała też o jakimś obrazie. To kolejna niewiadoma: obraz. Jaki? Nie mogłam się bronić, nie posiadając potrzebnych informacji. Musiałam się z spotkać z Jeleną i powoli wyciągnąć z niej wszystko, co tylko się da.

Do siódmej zdołałam odzyskać równowagę. W porcie zaprowadzono mnie na jacht typu Riva, bym dołączyła do pani Jermołow na dolnym pokładzie. Czerń wydawała się odpowiednim kolorem na wycieczkę na cmentarną wyspę San Michele, więc włożyłam czarne jedwabne spodnie Equipment i gładką bluzkę z okrągłym dekoltem, ale w ostatniej chwili uznałam, że zbyt przypominałabym ninja, i owinęłam się turkusowym szalem z ciężkiego kaszmiru, który miał mnie chronić przez wieczorną bryzą znad laguny. Ruszyliśmy w milczeniu po mętnej, zielonkawej wodzie, podziwiając cudowne widoki na Canal Grande. Dwie kobiety na dziwacznej, romantycznej wycieczce. Osilek stał na dziobie razem ze sternikiem, łąpczywie zaciągając się papierosem. Jacht natychmiast obrał kurs na Cannaregio i po kilku minutach poczułam, jak kołysze się na większych falach powstających na otwartej lagunie. Sama miałam ochotę na papierosa, ale w połowie drogi Jelena zaczęła mieć lekkie mdłości, więc z życzliwości nie zapaliłam. Kiedy zacumowaliśmy na San Michele, stała przez kilka minut z głową pochyloną do kolan, co nie było łatwe w wieczorowej sukience z gorsetem od Versus Versace i na dziesięciocentymetrowych obcasach, po czym oznajmiła uroczyście:

– Łódź na nas poczeka. Byłaś tu kiedyś?

Nie byłam. Może i Henry James powiedział, że Wenecja jest najpiękniejszym grobowcem na świecie, ale ostatnio nie miałam ochoty weryfikować podobnych twierdzeń.

– Diagilew leży w greckiej części. Chodź.

W odróżnieniu od reszty miasta, San Michele była zadbana, a korony cisów podkreślały pomarańczową barwę ceglanych balkonów. Szpilki Jeleny koślawiły się na żwirze, ale moja towarzyszka brnęła przed siebie wyprężona jak struna – z szacunku dla Diagilewa.

– To tutaj. – Wskazała na kamienny pomnik w kolorze kości słoniowej z wyrytym połączoną cyrylicą epitafium. Jelena usiadła wygodnie na sąsiednim grobie i wyjęła z torebki trzy szklanki do herbaty i butelkę stolicznej.

– Jedna dla ciebie, jedna dla mnie i jedna dla Mistrza – wyjaśniła, napełniając szklanki. Wzniosłyśmy toast i wypiliśmy, a następnie Jelena wylała zawartość trzeciej szklanki na pomnik. Zastanawiałam się, czy to dzięki regularnym libacjom pozostawał tak lśniący. Zapaliłam papierosa, którego już wcześniej planowałam, i wyciągnęłam rękę po dolewkę.

– Nie proponujemy szklaneczki Strawińskiemu? – zapytałam swobodnie, wskazując na położony jednaście kwater dalej nagrobek. Uznałam, że taka uwaga będzie jak najbardziej w duchu tej szalonej imprezy.

Jelena parsknęła.

– Ha, stary plagiator.

Uuu, to nie była moja najlepsza zagrywka.

– A więc byłaś tancerką? – spróbowałam z innej beczki.

– Kiepską. Przez kilka lat chciałam się dostać do akademii baletowej Teatru Bolszoi, ale nie byłam wystarczająco dobra. A potem poznałam Pawła. – Prychnęła ponownie, zajrzała do szklanki i wypła do dna. – Pomyślałam, że tutaj mogłybyśmy porozmawiać.

– W porządku. Tamtego wieczoru, w waszym letnim domu, nie widziałas mnie po raz pierwszy, prawda, Jeleno? Nie poznałyśmy się też na ślubie Carlotty. Pierwszy raz widziałas mnie na jachcie Michaiła Baleńskiego.

„Człowiek ze Stanu”, bo tak w skrócie prasa nazywała pochodzącego z Uzbekistanu oligarchę, był owianym złą sławą handlarzem bronią, ostatnio „przekwalifikowanym” na biznesmena, który w trakcie mojego pobytu na Mandarynce zaprosił Steve’a na imprezę. Carlotta udawała narzeczoną Steve’a, podczas gdy ja bawiłam się pod pokładem w szpiega. Mam dobrą pamięć do twarzy, a twarz Jeleny, mocno opalona i niegustownie umalowana, stanęła mi przed oczami, jak tylko sobie przypomniałam tamto zdarzenie.

– Właśnie. Dlatego założyłam, że jesteś dziwką.

Dzwony w małej, pękatej bazylice wybiły właśnie ósmą i dźwięk

rozchodził się wzdłuż alej między grobami.

– Czy nie zamykają za chwilę cmentarza?

Jelena uśmiechnęła się cierpko.

– Jako żona Pawła cieszę się specjalnymi względami. Korzystam, póki mogę. A więc?

Wzięłam głęboki oddech.

– W dwa tysiące siódmym roku w jednym z największych domów aukcyjnych w Londynie wystawiono na aukcji kolekcję Rostropowicza. Sprzedaż odwołano w ostatniej chwili, ponieważ pewien rosyjski nabywca kupił wszystkie prace za bodaj dwadzieścia pięć milionów dolarów. Obiecał je zwrócić Rosji, a ów patriotyczny gest przysporzył mu wielkiej popularności. Mam mówić dalej?

Jelena słuchała mnie jednym uchem. Znowu szperała w torbie.

– Chcesz mnie nastraszyć, ponieważ sama jesteś przerażona – kontynuowałam. – Chcesz zrobić to samo, co tamten biznesmen zrobił z pracami Rostropowicza, prawda? Zdobyć jakiś obraz, który będziesz mogła przekazać państwu rosyjskiemu jako rękojmię swego bezpieczeństwa?

Jelena podniosła wzrok i z uśmiechem podała mi kilka zadrukowanych kartek.

– Jesteś naprawdę szybka.

– Jeśli nie jest się szybkim, jest się martwym.

– Co? – Wyglądała na kompletnie zbitą z tropu.

– Nic, przepraszam.

Spojrzałam na papiery: wydruki z internetowych wydań dwóch gazet – francuskiej i włoskiej. Artykuł na temat zamordowanego w Rzymie angielskiego marszanda Camerona Fitzpatricka i krótka informacja o trwającym dochodzeniu w sprawie tajemniczej śmierci w hotelu niedaleko paryskiego Place de l’Odéon. Znałam obie te sprawy.

– Wygląda na to, że obie umiemy wyszukiwać informacje. Możemy kontynuować? Zimno mi.

– Napij się jeszcze – powiedziała Jelena, po czym zaserwowała mi rewelację, po której niemal się zakrztusiłam. – Mój mąż ma rysunek Caravaggia.

Może nie wyróżniała się jako balerina, ale miała prawdziwy talent aktorski.

– To niemożliwe, wszyscy wiedzą, że Caravaggio nie rysował.

– A jednak.

– To musi być falsyfikat. Cokolwiek ci powiedział...

– Nic mi nie mówił. Kupił go na spółkę z Baleńskim. Właśnie tę grafikę chcę dostać.

– Widziałam obraz Caravaggia, ale to kopia. Mistrzowsko wykonana, ale kopia. Twój mąż o tym wie.

– Nie o tę pracę mi chodzi. To rysunek wykonany tutaj, w Wenecji.

– Jeleno, Caravaggio nie rysował i nigdy nie był w Wenecji. Nie wiem, skąd masz takie informacje, ale jeśli myślisz, że pozwolę się wplątać w tę aferę, to jesteś w błędzie. Całkowicie. Przykro mi, że masz kłopoty, jeśli naprawdę je masz, ale nie chcę z tym mieć nic wspólnego.

Wstałam i ruszyłam zdecydowanym krokiem w kierunku portu.

– Poczekaj. Przepraszam. Zaczekaj, proszę. – W gasnącym świetle, w tej swojej niewygodnej sukience i z ręką na gardle sama wyglądała jak posąg cementarny. Coś w jej głosie sprawiło, że się zatrzymałam. Zapadał zmierzch, powietrze stało bez ruchu. – Naprawdę, nie próbuję ci grozić. Nie obchodzi mnie, kim jesteś ani co zrobiłaś. Wiem, jak mój mąż cię znalazł. To miało coś wspólnego z tym mężczyzną w Paryżu. – W głosie Jeleny pojawiła się nuta szaleństwa. Zdałam sobie sprawę, że zaczęła pić wódkę znacznie wcześniej, niż to zauważyłam. I to mimo że miałam wystarczająco duże doświadczenie z matką, by rozpoznać sygnały. Rozplakała się, wycierając nerwowo oczy, podczas gdy łyzy żłobiły ścieżki w jej podkładzie.

– Proszę, Jeleno, robi się zimno. Pójdziemy do mnie i zrobię ci kawę. – Moje mieszkanie było ostatnim miejscem, do którego chciałam ją zaprowadzić, ale jej stan nie pozwalał, by zabrać ją między ludzi. Chwyciłam ją zdecydowanie za ramiona i powiedziałam łagodnie, acz zdecydowanym tonem, jak to robiłam za każdym razem, gdy musiałam zaciągnąć matkę do łóżka: – Chodź, wracamy.

Jelena wiedziała. Jermołow wiedział. Było jasne, że jeśli jakoś tego nie załatwię, nie będę mogła żyć dalej jako Elisabeth Teerlinc. W dodatku Jermołow mnie upokorzył. Zabawił się mną i ta myśl rozpałała we mnie maleńki, dawno zapomniany płomień. Ponieważ nie mogłam się Jeleny pozbyć, musiałam ją wykorzystać. Wiedziałam, że jeśli tego nie zrobię, Jermołow mnie zniszczy. I ona też o tym wiedziała.

W drodze powrotnej Jelena zwymiotowała za burtę motorówki, co najwyraźniej ją otrzeźwiło. Poprosiłam sternika, by wysadził nas jak najbliżej placu Świętego Marka, i wyjaśniłam osiłkowi, że pomogę pani Jermołow przebrać się w czyste ubranie, ponieważ źle się czuje. Cerber został na dole, przed drzwiami do mojej kamienicy. Zastanawiałam się, czy był tu po raz pierwszy. Gdy wchodziłyśmy do mieszkania, kilka razy podejrzliwie pociągnęłam nosem, ale poczułam jedynie aromat świec zapachowych Spiritus Sancti z manufaktury Cire Trudon. Zapytałam Jelenę, czy jest głodna, ale zniecierpliwiona potrząsnęła głową, więc zaparzyłam kawę i do jej filiżanki dosypałam cukru. Wyjęłam spodnie od dresu, skarpetki i sweter i kazałam jej się w nie ubrać, a potem usiadłyśmy obok siebie na szeszlengu. Jelena umyła twarz. Bez makijażu i w prostym stroju wyglądała znacznie młodziej. Kolejny raz uświadomiłam sobie, że kiedyś musiała być piękna.

– Byli tutaj – zaczęłam. – Ludzie twojego męża. Poprzekładali moje rzeczy.

Nie miałam zamiaru wyjawić, co konkretnie ruszali, ani co, moim zdaniem, mąż Jeleny chciał mi przez to zakomunikować.

– Tak myślałam. Od tego zwykle zaczynają. On i Baleński.

– Kupili ten rzekomy rysunek Caravaggia na spółkę? Są przyjaciółmi?

– Byli przyjaciółmi i wspólnikami, ale już nie są. Dawniej, w Moskwie, zarobili razem dużo pieniędzy na nieruchomościach. – Przypomniałam sobie opowieść Maszy o tym, jak Jermołow rozprawiał się z niewygodnymi lokatorami. Świadomość, że był związany z Baleńskim, który dorobił się dość paskudnej reputacji, dała mi do myślenia.

– Mów dalej.

– Ale od tego czasu przestali się przyjaźnić. – Stopą przysunęła do siebie po podłodze torebkę, sięgnęła po nią i wyjęła z niej notatkę z francuskiej gazety.

– Ten mężczyzna, który zginął w pokoju hotelowym, pracował dla mojego męża i dla Baleńskiego.

– Znałam go pod nazwiskiem Moncada. – Udawanie, że nie wiem, o czym mówi, nie miało większego sensu. Zwłaszcza że to nie ja go zabiłam.

– Byłaś tam tej nocy, kiedy zginął, tak?

Przytaknęłam z wahaniem.

– Sprzedawałam mu obraz. Zabrałam go do hotelu na Place de l’Odéon, ale wyszłam przed... morderstwem.

– Mój mąż o tym wiedział. Jego ludzie obserwowali hotel. Był tam też inny obraz. Moncada miał go komuś przekazać w imieniu mojego męża i Baleńskiego. Ale został zamordowany. A kiedy mój mąż próbował odnaleźć obraz, okazało się, że zniknął. Myślałam, że Baleński oszukał go, spiskując z tobą.

– Chwileczkę. Twój mąż myśli, że zabrałam Caravaggia? Dlatego mnie śledził?

– Tak mi się wydaje. Uważa, że go oszukaliście. Ty i Baleński.

– To wariactwo. Poza tym nie zrobiłam tego. Naprawdę.

– Udało mi się co nieco dowiedzieć na twój temat. Kobieta o nazwisku Judith Rashleigh jest przesłuchiwana przez włoską policję w związku z morderstwem marszanda Camerona Fitzpatricka. Potem ta sama kobieta otwiera w Paryżu galerię pod nazwą Gentileschi. Jeszcze później ktoś ją widzi, jak wynosi obraz z hotelu, gdzie zamordowano kolejnego mężczyznę. A potem... Param! W Wenecji pojawia się galeria Gentileschi, teraz zarejestrowana na nazwisko Elisabeth Teerlinc. A obraz zaginął.

– Skąd to wszystko wiesz, Jeleno? Trochę to dziwne, bo wspomniałaś, że żyjecie z mężem w separacji.

– Oddaliliśmy się od siebie, ale oficjalnie jesteśmy małżeństwem. Mąż przygotowuje pozew. Na razie jeszcze mi *wolno* – prychnęła pogardliwie, wypowiadając to słowo – mieszkać w naszych domach. Ale trzymamy się od siebie

z daleka. Tamtego wieczoru, we Francji, pojawiłam się niespodziewanie. Chciałam z nim porozmawiać.

– I dowiedziałas się o tej... sprawie?

– Dobry ze mnie szpieg. Jestem przecież Rosjanką, prawda? Kiedy się zorientowałam, że Paweł chce się ze mną rozwieść, potrzebowałam informacji – dodała i zaśmiała się gorzko.

Chociaż wiedza Jeleny była zadziwiająca, to po tym, co powiedziała, poczułam niemal... ulgę. Skoro stosowane przez Jermołowa techniki zastraszania miały na celu zmuszenie mnie do oddania obrazu, którego nie mam, szybko mogłam wyjaśnić nieporozumienie. Do hotelu na Place de l'Odéon zaniósłam mały obraz Gerharda Richtera, legalnie kupiony na aukcji przez Gentileschi. Szkoda, że nie uczestniczyłam w niej osobiście. Ponieważ aukcje są filmowane, mogłabym udowodnić Jermołowowi, że to ja go wylicytowałam. To jednak nie problem, bo pochodzenie obrazu widniało w oficjalnych dokumentach. Musiało tak być, ponieważ dałam go w prezencie Dave'owi, koledze z domu aukcyjnego, gdzie pracował jako ochroniarz w magazynie. Po wyrzuceniu mnie z pracy nie zerwaliśmy całkowicie kontaktów, co przyniosło korzyści obu stronom: ja wykaraskałam się z tarapatów, a Dave przeniósł się razem z żoną do ślicznej, małej wioski niedaleko Bath, gdzie przekwalifikował się na nauczyciela historii sztuki. Obraz Richtera sprzedał, by opłacić przeprowadzkę na wieś.

Opowiedziałam tę historię najzwięźlej, jak potrafiłam.

Jelena znowu rozprostowała swoje wydruki. Najwyraźniej miały w jej oczach magiczną moc.

– Przyjmuję twoje wyjaśnienia, *Judith*, ale chcę Caravaggia. Masz swoje tajemnice, ale powiedziałam ci, nie dbam o nie. Mojego męża one też, prawdopodobnie, nie interesują, o ile nie jesteś złodziejką. Moja propozycja brzmi tak: znajdź dla niego ten obraz, a potem powiedz mi, gdzie jest. To wszystko.

– Co to jest? *Ocean's Eleven*? Dlaczego miałabym to zrobić?

– Jeśli się nie zgodzisz, powiem mu, że tu byłam. – Skinęła głową w kierunku okna, przypominając mi o czekającym na dole osiłku. – Cóż za zbieg okoliczności, prawda? Obie jesteśmy przyjaciółkami drogiej Carlotty! Powiem mu, że widziałam obraz, a on cię najpierw zabije, a potem zacznie go szukać. Mogłabym też zasugerować włoskiej policji, by wznowiono śledztwo w pewnej sprawie i zapytano cię, dlaczego posługujesz się fałszywym dowodem tożsamości. A poza tym, i ten argument podoba mi się najbardziej: ponieważ uważam, że to zrobisz.

Groziła mi, ale równocześnie proponowała swoistą grę. Prawdę mówiąc, myśl, że mogłabym pomóc Jelenie odegrać się na Jermołowie, nawet mi się podobała. Nie zrobiłabym tego dla niej, ale dla własnej satysfakcji. Na razie udawałam, że zgadzam się na jej warunki – chociażby dlatego, że rozpaczliwie

potrzebowałam czasu do namysłu.

– W porządku, Jeleno. Szach i mat. Wygrałeś. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego twój mąż chce się z tobą rozwieść. Jesteś wspaniała.

– Tak – odpowiedziała ze smutkiem. – Kiedyś byłam.

Zgodziłam się spotkać z Jeleną następnego dnia na lunchu w kawiarni nad Peggy Guggenheim Collection. Większość nocy spędziłam pochylona nad laptopem. Co jakiś czas podskakiwałam na dźwięk trzeszczącej deski lub odgłos drapania w tynki (ech, te wszędobylskie weneckie szczury), ale teraz, kiedy wiedziałam, z czyjego poruczenia działają straszące mnie „duchy”, już się nimi nie przejmowałam. Martwiła mnie inna sprawa, mianowicie tożsamość osoby, która zidentyfikowała mnie w Paryżu.

Tego wieczoru, kiedy spotkałam się z Moncadą na Place de l’Odéon, mój włoski kontrahent pracował też dla Jermołowa i Baleńskiego – miał im dostarczyć rzekomego Caravaggia. Już wcześniej wiedziałam, że Baleński to szemrana postać, a teraz, dowiedziawszy się, że również przeszłość Jermołowa nie jest tak nieskazitelna, jak się wydawało, nie byłam specjalnie zaskoczona. Moncada należał do włoskiej mafii, transportował podejrzane obrazy, a rysunek Caravaggia zdecydowanie był podejrzany. To Moncada mógł poinformować oligarchów, że ma się ze mną spotkać, ale Jelena wspomniała również, że ktoś jeszcze widział, jak wychodzę z hotelu z obrazem. To nie mógł być Moncada, który przebywał wówczas w pokoju na czwartym piętrze, duszony przez Renauda. Tę osobę musiałam znaleźć, a Jelena mi w tym przeszkadzała. Mogłam się zwyczajnie skontaktować z Jermołowem i poinformować go, że nie mam Caravaggia, ale wiedziałam, że to bez sensu. Po pierwsze dlatego, że Jermołow nie miał powodu, by mi wierzyć, a po drugie dlatego, że musiałam znaleźć jego informatora, by zatrzeć ślad, który zostawiłam w postaci tego głupiego esemesa.

Problem z realizacją planu Jeleny polegał na tym, że sam fakt istnienia rysunku wydawał mi się kompletnie nieprawdopodobny. Wszyscy eksperci, z którymi się konsultowałam, jednogłośnie twierdzili, że Caravaggio nigdy nie szkicował – mógł najwyżej robić dziurki w płótnach, by zaznaczyć ustawienie modeli. Zdania na temat tego, czy kiedykolwiek odwiedził Wenecję, były podzielone. W internetowym archiwum Biblioteki Londyńskiej znalazłam artykuł weneckiego profesora, który kwestionuje tę hipotezę. Skopiowałam tekst na telefon, by go pokazać Jelenie. Musiałam się jej pozbyć, skontaktować się z Jermołowem i wyjaśnić nieporozumienie, a następnie zacząć szukać tajemniczego świadka. Jakikolwiek myśli o zemście na oligarchach byłyby niepotrzebnym folgowaniem swoim słabostkom, chociaż po drodze do Peggy Guggenheim pozwoliłam sobie na małą fantazję o tym, co bym im zrobiła.

Kiedy dotarłam do ulokowanej na dachu muzeum kawiarni, Jelena zdążyła już wypić pół butelki pinot grigio i znów miała na twarzy godny pożałowania wyraz pewności siebie. Nalałam sobie trochę wody w nadziei, że pójdzie za moim cnotliwym przykładem.

– Gdzie twój towarzysz? Plądruje moje mieszkanie?

– Misza? Poszedł coś załatwić, więc świętuję – odpowiedziała prowokująco, nalewając sobie kolejny kieliszek. Wzięłam od niej butelkę i wylałam jej zawartość do wiaderka z lodem, a następnie zrobiłam to samo z jej kieliszkiem.

– Napij się wody, Jeleno. Kiepski z ciebie pożytek, kiedy jesteś pijana, bez względu na to, jak bardzo się nad sobą użalasz.

Jej protesty przerwało nadejście kelnerki. Ja zamówiłam bruschettę z miętą i fenkułem oraz porcję ravioli. Jeśli chodzi o węglowodany, lubię żyć na krawędzi. Jelena poprosiła o zieloną sałatkę bez dressingu.

– Przemyślałam to, Jeleno – zaczęłam, kiedy kelnerka przyniosła jej depresyjny lunch. – Naprawdę nie sądzę, bym mogła ci pomóc. Po pierwsze, obie wiemy, że... cokolwiek się wydarzyło w Paryżu, nie mam tego obrazu. Wiem, że mi wierzysz. To musiała być sprawka Baleńskiego. Po drugie, to, co Baleński podobno ukradł twojemu mężowi, i tak nie może być nic warte. Nawet jeśli mogłabym znaleźć dla ciebie tę pracę, to musi być falsyfikat. Nie spałam pół nocy, drążąc ten temat w sieci, i nie natrafiłam na żadną wzmiankę o podobnym rysunku. Potwierdziłam to u ekspertów. Gdybyś nawet była w stanie zdobyć to dzieło, nie pomoże ci ono w przypadku rozwodu. Nic dzięki niemu nie zyskasz.

Jelena walczyła z liściem rukoli, który zwisał jej z kącika ust.

– Dlaczego mnie po prostu nie zabijesz? – warknęła na mnie.

Do tej pory zdążyłam już przemyśleć jakieś pół tuzina sposobów na wprowadzenie w życie tego pomysłu. Co prawda Jermołow mógłby mi zaoferować za to jakąś nagrodę, ale każdy z rozważanych przeze mnie scenariuszy zmusiłby mnie do ujawnienia się. A może to dwie szczerze twarze synów Jeleny pod słomkowymi kapeluszami tak mnie wzruszyły na stare lata? Tak czy siak, siedziałam w milczeniu, a ona dalej chrupała sałatę.

– Nie wiem, co masz na myśli – powiedziałam w końcu.

Odpowiedziała z przesadną artykulacją:

– Jak ty to mówisz? *Za dużo wiem!* – Dostała ataku śmiechu i zaczęła parskać w talerz.

Rozmowa zaczynała się robić nudna, ale przynajmniej dynia i likier migdałowy w śliskich pierożkach były przepyszne.

– Przestań się wygłupiać, proszę. Twój mąż posiada niezwykle obrazy, na przykład Botticellego. Z pewnością by się nadały do twoich celów. Mogłabyś je zdobyć i przekazać władzom rosyjskim.

Jelena stłumiła swoją wesołość i w końcu pociągnęła łyżeczek wody.

– On nic mi nie da. Jestem pewna, że ten rysunek istnieje i jest prawdziwy. I jestem pewna, że mi pomożesz. Proszę, spójrz.

Dzięki Bogu nie był to kolejny wydruk z Internetu. Jelena podała mi swój telefon, na którym widać było zdjęcie. A raczej zdjęcie zdjęcia.

– Zrobiłam je w gabinecie męża tego dnia, gdy zabronił mi korzystać z domów w tym samym czasie co on. Kazał spakować i wynieść moje rzeczy, jakby zwalniał służącą.

Znałam to uczucie. Może dlatego sięgnęłam po telefon Jeleny i zaczęłam przesuwać palcami po ekranie, powiększając i pomniejszając obraz. Na oryginalnym zdjęciu widać było sepiowy salon z wielkim łukowym oknem, z którego rozciągał się widok na, najprawdopodobniej, Canal Grande. Pod oknem stała ciężka komoda, a obok niej kanapa ze sztywnym oparciem pokryta wzorzystym materiałem, który wyglądał na jedwab. Nad kanapą wisiał oprawiony obraz. Przyjrzałam mu się bliżej i zobaczyłam portret kobiety z twarzą zwróconą lekko w bok i łokciami skierowanymi na zewnątrz, jakby się na czymś opierała. Włosy miała związane od niechcenia, a wzrok utkwiony w oddali. Powiększyłam zdjęcie i przyjrzałam się oszczędnym liniom i sugestywnemu tenebrystycznemu przedstawieniu głowy, najwyraźniej wykonanemu innym kolorem niż czerń czy biel, chociaż na starej fotografii trudno było to dostrzec.

– To zdjęcie zrobiono w latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku w pewnej *pensione*, tutaj, w Wenecji. To ten rysunek.

– Ten słynny Caravaggio? – Wpatrywałam się uważnie, zbliżając ekran telefonu do oczu, oddalając go i zbliżając ponownie. – Wykonany na płótnie? – Miałam wrażenie, że nierówność powierzchni dzieła to wynik użytego materiału.

– Na płótnie. Tak było napisane w notatkach, ale miałam niewiele czasu.

– W notatkach?

– Był też list, ale nie miałam czasu go sfotografować. Jednak zdjęcie pokazuje, że obraz istniał, ponad sto lat temu. Jest prawdziwy. – W jej głosie słychać było bolesną pewność.

– Pamiętasz coś jeszcze?

– Obraz opisano jako szkic wykonany kredą i olejami. Zapamiętałam tę informację, ponieważ „oleje” brzmiały dziwnie.

– Przykro mi, Jeleno, ale to nic nie znaczy. Zdjęcie poświadczające istnienie rysunku mogło zostać sfalszowane. Pewna niemiecka para zajmowała się tym bezkarnie przez lata. Aranżujesz fałszywą wiktoriańską scenerię i pstrykasz fotkę, by udowodnić, że dany obraz istnieje od dawna. A nawet jeśli zdjęcie jest prawdziwe, to niemożliwe, by portret był autentyczny. Może wszystko zostało zrobione w dobrej wierze, może to niezamierzony błąd, ale, proszę, musisz dać sobie z tym spokój. Spójrz. – Podałam jej telefon ze zdjęciem artykułu weneckiego profesora.

Choć wysuwano hipotezę, że Caravaggio odwiedził Wenecję podczas swojej podróży z Rzymu do Mediolanu w tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym drugim roku (Provorsi et al. 2001, Filicino 1990), twierdzenie to zostało definitywnie odrzucone (Raniero 2003) i uznane za wynik wpływu, jaki na artystę wywarł jego urodzony

i wykształcony w Wenecji nauczyciel Peterzano (Raniero, ibidem). Krótko mówiąc – nie ma dowodów na obecność Caravaggia w Wenecji.

Jelena przez dłuższą chwilę patrzyła mi w oczy, a potem spuściła wzrok. Pożałowałam, że tak bezceremonialnie wylałam jej wino.

– Dzisiaj wyjeżdżam z Wenecji, ale, pozwól, proszę, że ci prześlę to zdjęcie. Możesz też zapisać mój numer telefonu.

– Przykro mi, Jeleno. Naprawdę ci współczuję.

Wraz z oznakami spożycia alkoholu z twarzy Jeleny zniknęła również wszelka łagodność. Nachyliła się do mnie i powiedziała zachrypniętym, lodowatym tonem:

– Nie, to ja współczuję tobie. Chyba wiesz, co cię czeka, jeśli nie znajdziesz rysunku. Jesteś młoda, masz przed sobą wiele lat życia. Gdzie chciałabyś je spędzić? Tutaj – wskazała wenecki pejzaż, zawsze znajomy i zawsze zadziwiający – czy w więzieniu?

– Nic na mnie nie masz, Jeleno.

– Może tak, może nie. Ale wierz mi, to, co mogę ci zrobić, będzie pestką w porównaniu z tym, co może ci zrobić mój mąż.

Poczułam, jak rozszerzają mi się źrenice. Brzęk sztucców i odgłos wielojęzycznych rozmów nagle zagrział mi w uszach. To było to – ten sam gwałtowny impuls, który poczułam podczas randki z Alvinem, niemal ekstatyczne oderwanie od rzeczywistości, które miało trwać, dopóki się wszystko nie skończy i nie spojrzę z góry na to, co zrobiłam. Wbiłam paznokcie we wnętrze dłoni. *Pomyśl o konsekwencjach.* Celowo zamknęłam oczy, z ponurą miną podałam Jelenie swój służbowy telefon i pozwoliłam jej przesłać bluetoothem zdjęcie, a potem wpisać do niego swój numer.

Jelena sięgnęła po torebkę i kapelusz przeciwsłoneczny.

– Myślę, że zostaniemy w kontakcie. Zobaczysz. Uważaj na siebie.

Patrzyłam, jak odchodzi pełnym skupienia, stabilnym krokiem doświadczonego pijaka. Ignorując ostentacyjne wyrazy dezaprobaty ze strony amerykańskiej pary zajmującej sąsiedni stolik, zapaliłam papierosa. Palce drżały mi nad telefonem jak jakiejś pieprzonej nastolatce. I wtedy, czekając na rachunek, spojrzałam na zdjęcie, a potem wygooglowałam mapę Canal Grande. Przyjrzałam się widokowi z okna i zauważyłam, że jedynymi łodziami na kanale były gondole. Miejsce przypominało róg Palazzo Grassi, co sugerowałoby, że *pensione* mieści się w jednym z budynków naprzeciwko. Nietrudno go znaleźć. Namierzyłam nazwy *palazzi* i sprawdziłam je po kolei. Same hotele. Może nie tak trudno będzie zlokalizować apartament ze zdjęcia, choćby po to, by się upewnić, że taki rysunek nie istnieje? Nie zaszkodzi to zrobić. Kiedy się skontaktuję z Jeremim, dowód na to, że ten pieprzony Caravaggio to falsyfikat, może się okazać niezłą kartą przetargową. Jest szansa, że w ten sposób zdołam się pozbyć Jeremima. Muszę

przyznać, że sama myśl o tym, że miałabym mu przekazać tę informację, sprawiła mi sporą przyjemność.

Pomyślałam o Maszy i jej gromadzie starych rosyjskich plotkarek. Wszyscy z ich niezliczonych krewnych pracowali w hotelarstwie. Może Masza zna kogoś, kto mógłby mi pomóc znaleźć hotel ze zdjęcia?

Masza nie odezwała się, gdy wcisnęłam guzik domofonu, więc znalazłam w torebce skrawek papieru, uklęknęłam niezgrabnie i napisałam liścik. Nie chciałam jednak zostawiać go pod drzwiami kamienicy, które od momentu włamania były zamykane na klucz, więc zaczęłam dzwonić do sąsiadów, aż w końcu któryś mnie wpuścił do środka, i ruszyłam po schodach na górę.

Każda cisza brzmi nieco inaczej – cisza w pustym domu przzerwana dzwonkiem telefonu, cisza pokoju, w którym ktoś śpi. Cisza na półpiętrze kamienicy, w której mieszkała Masza, miała w sobie napięcie, jakby z powietrza za lekko uchylonymi drzwiami wycisnęto wszelki dźwięk. Była to cisza niezauważalnego braku.

Masza leżała na brzuchu na swoim sfatygowanym perskim dywanie, z jedną odzianą na czarno ręką wyciągniętą w stronę okna. Może próbowała się przeczołgać przez pokój i wezwać pomoc? Fioletowa rana na jej prawej, mocno upudrowanej, bladej skroni wyglądała jak namalowana róża. W swoim ciasno zawiązanym, kolorowym szalu sprawiała wrażenie bardzo drobnej – jak stłuczona matrioszka upuszczona przez nieuważne dziecko. Podczas upadku spódnica podwinęła jej się do góry, odkrywając pomarszczone nogi w grubych, beżowych rajstopach. Przez duszny zapach liściastej herbaty i tłuszczu – typowy dla tego mieszkania – przebijał się teraz ostry odór moczu. Bezradnie patrzyłam na Maszę przez kilka dłużeńych się w nieskończoność chwil, choć wiedziałam, że nie odetchnie już ani się nie poruszy. Ktokolwiek to zrobił, dokończył dzieło. Widywałam już ziejącą pustkę śmierci.

Nacisnęłam łokciem klamkę, weszłam do mieszkania i cicho zamknęłam za sobą drzwi. Uklęknęłam obok Maszy i pociągnęłam delikatne rąbek jej halki. Przynajmniej będzie wyglądała przyzwoicie. Leżała na czymś twardym, częściowo schowanym pod czarnym nylonem. Wyciągnęłam to, a potem cofnęłam rękę, jakbym się oparzyła. To była ikona, Madonna zniszczona podczas włamania. Połowa jej twarzy została wydarta.

Ominęłam ostrożnie biedną Maszę i poszłam do jej ciasnej kuchni, skąd wzięłam ścierkę, by owinąć swą prawą dłoń. Poczułam drżenie pod żebrami, ale stłumiłam je jak wzbierający kaszel. Używając ścierki, ostrożnie otworzyłam wypchaną, popękaną torbę Maszy stojącą na pomalowanym stołku przy drzwiach i wyjęłam z niej zniszczony, niebieski notes. Widziałam, jak używała go, umawiając się z uczniami, i zapisywała w nim należności za lekcje. Zawsze płaciłam gotówką, więc jedyną rzeczą łączącą mnie z Maszą był mój numer

telefonu w jej notesie. Nie mogłam go tam zostawić. Zaczęłam drżeć i z trudem łąpałam powietrze w dusznym pomieszczeniu, ale spokojnie włożyłam notes do własnej torby i odniosłam ścierkę do kuchni. Byłam na siebie wściekła, że mi to przyszło do głowy, ale pomyślałam, że biednej Maszy już nic nie pomoże. I że w końcu ktoś do niej przyjdzie, choćby z powodu upału.

A potem zaczęłam biec. Omijając kolejki pasażerów wchodzących na statki wycieczkowe, stopy podrabianych markowych torebek, plastikowych świecidełek, stoiska z maskami i szkłem, przeklinając brak taksówek i śliski morski osad na weneckich uliczkach, pędziłam znajomą trasą do galerii. Myśli dotrzymywały tempa stopom. Gdy minęłam przystanek *vaporetto* San Basilio, wyciągnęłam z torebki klucze. Z impetem otworzyłam metalowe okiennice, ale widok wnętrza zaparł mi dech w piersiach i zataczając się, zrobiłam krok w tył, by dojsć do siebie. Po chwili ostrożnie weszłam do środka i zamknawszy okiennice, zanurzyłam się w iście podmorskiej poświacie. Na podłodze kłębiła się masa papierów, wśród których połyskiwały fragmenty szkła z blatu mojego pięknego biurka. Teraz mniej urodziwego, gdyż wymazanego świeżą farbą do ścian i granatowym atramentem, którego używałam do wypisywania pokwitowań. Jak wspomniałam, lubię porządek, więc nie mieli do dyspozycji zbyt wiele rzeczy, ale wśród kawałków szkła dostrzegłam też fragmenty małych, delikatnych filiżanek do espresso, w których podawałam kawę klientom, pomarańczowych szklanek do wody i dzbanka marki Venini. I cały mój zestaw: miarkę, młotki, pinezki – wszystko zniszczone i zdeptane. Spustoszone wnętrze, które jeszcze niedawno lśniło skarbami mojego prywatnego królestwa, zamieniło się w szyderczy obraz nędzy i rozpacz. Odruchowo zatrzymałam się i podjęłam daremną próbę sprzątnięcia, lecz szybko się poddałam. Porozrzucane i zniszczone, wszystkie pieczołowicie wybierane przeze mnie przedmioty w jednej chwili stały się śmieciami. Obeszłam je, niepewnie otworzyłam dolną szufladę biurka i z uczuciem ulgi zamknęłam oczy – broń nadal była na swoim miejscu.

Wyglądało to na szybką robotę. Nie przeszukanie, ale próbę zastraszenia. Pistolet Moncady leżał na swoim miejscu, w podwójnym dnie dolnej szuflady. Wyjęłam go ostrożnie, by nie pobrudzić rąk lepłą farbą, i wsunęłam do torebki. Przez dłuższą chwilę stałam i patrzyłam na szczątki wszystkiego, co wydawało mi się spełnieniem marzeń. Widywałam gorsze instalacje. Może lepszy właściciel galerii wymyśliłby jakiś chwytliwy tytuł, nabazgrał go szminką na jednym z podartych katalogów, przyczepił go do drzwi i opchnął ten cały bajzel, ale ja straciłam ochotę na sprytne, artystyczne wygłupy. Słabo oświetlone sztucznym światłem pomieszczenie atmosferą przypominało londyński magazyn, w którym Dave i ja spędziliśmy z obrazami tak wiele czasu. I to sztuczne światło było tu jedyną prawdziwą rzeczą, która pozostała.

Oswojenie się z tą niespodziewaną i zdumiewającą myślą zajęło mi dobrą chwilę. Patrząc na ten obraz zniszczenia, nie poczułam gniewu, lecz ulgę. Korzystając z okazji, podświadomość wymierzyła mi kolejny cios. Szczerze mówiąc, byłam cholernie zmęczona udawaniem Elisabeth Teerlinc. Ludzie

Jermołowa zniszczyli jej pancerz i nagle z zadziwiającym poczuciem ulgi zobaczyłam, jak była pusta i nieprawdziwa. Elisabeth Teerlinec mogła przekonać kilku głupich nabywców sztuki, ale nigdy nie przekonała mnie samej. Chociaż bardzo starałam się wejść w jej skórę, zawsze mnie coś uwierało. Elisabeth wiedziała, czego się od niej oczekuje, ale Judith nie miała ochoty się temu podporządkować. Postać, którą wymyśliłam – elegancko i dyskretnie bogata Europejka, starannie wykształcona, z dyplomem – była kwintesencją wszystkiego, czym Judith Rashleigh pogardzała. Z przykrością uświadomiłam sobie, że moim wzorem przy kreowaniu przyszłej siebie od początku była Angelica Belvoir.

A wykreowałam nową siebie tak znakomicie, że nie mogłam patrzeć na rezultat swoich wysiłków.

Po czymś takim reaktywacja galerii była mało prawdopodobna. Mimo to nie czułam się jeszcze gotowa, by zakomunikować światu ten fakt. Spędziłam chwilę na upychaniu szczątków kariery Elizabeth do trzech worków na śmieci, a następnie, jak przystało na porządną obywatelkę, wystawiłam je do zabrania przez pływającą śmieciarkę. Przymknęłam okiennice i wywiesiłam tabliczkę „zamknięte”. Ludzie Jermołowa wyłamali zamki, ale sięgnęłam do środka przez szparę na listy i zamknęłam drzwi na dolną zasuwę. Z zewnątrz nie było śladów włamania, niczego, co mogłoby kogoś zaniepokoić.

Następnie poszłam do banku. Zrealizowałam czek prywatny na dziesięć tysięcy euro i drugi w imieniu galerii, na tę samą kwotę.

Wcześniej jednak zamontowałam lufę. Caracal F kaliber 9x21 to pistolet, z którego Moncada mierzył do Renauda w noc morderstwa na Place de l’Odéon. Planowałam pozbyć się go razem z innymi dowodami – a dokładniej: razem z głową Renauda, którą wrzuciłam do Sekwany w sportowej torbie z Decathlonu – ale w ostatniej chwili go wyszarpnęłam. Z Renaudem rozprawiłam się glockiem 26, który zdobył dla mnie nieoceniony Dave, i ta sama broń pozwoliła mi również pozbyć się Juliana, właściciela klubu dla swingersów. Wyrzuciłam ją z nocnego pociągu do Amsterdamu. Caracal nie jest zbyt ciężki, waży niewiele ponad siedemset gramów, a co ważniejsze, ma specjalną konstrukcję umożliwiającą szybkie rozmontowanie. Trzymam go od tamtego czasu w galerii, z pełnym magazynkiem na osiemnaście naboji. Renaud udusił Moncadę, zanim ten zdążył oddać strzał. Na półpiętrze włożyłam z powrotem magazynek i wycelowałam w drzwi, wyobrażając sobie wyglądającą zza nich wytatuowaną głowę Rosjanina. *Wyceluj i pociągnij.* Najpierw wydawało mi się, że duchy zrobiły sobie wolne. Kiedy wyciągałam z bieliźniarki stary paszport, niemal się uspokoiłam, bo przynajmniej zjawa z jego kart była znajoma. Spakowałam oba dokumenty – postanowiłam, że Elisabeth może zabrać się na przejażdżkę, ale przez jakiś czas ponownie będę Judith.

Nie musiałam się długo pakować. W garderobie czekały dwie czarne,

emaliowane walizki Rimowa, na czterech kółkach. Były ciężkie, ale miały zapinane na suwak wyściółki, przydatne do chowania różnych rzeczy. W każdej walizce mieścił się uniwersalny kompaktowy zestaw ubrań, pozwalający dobrać stosowny strój do każdej okazji, a do tego identyczne zestawy odzieży sportowej i kosmetyków. W jednej znajdowały się wdzianka w stylu króliczka „Playboya”, których mogłam potrzebować, gdybym miała uciekać z Tagem Stahlem, w drugiej natomiast ubrania poważniejsze i bardziej praktyczne, przynajmniej na tyle, na ile pozwalały zasoby mojej szafy. Otworzyłam tę drugą, uniosłam złożone ubrania, by wsunąć broń i plik banknotów pod wyściółkę, i zamknęłam walizkę na szyfrowy zamek. Potem przeszłam się mechanicznie po mieszkaniu, zamknęłam okiennice, opróżniłam lodówkę, wyniosłam śmieci. Tymi przyziemnymi czynnościami odgrodziłam się od rzeczywistości. Przerwałam na chwilę, by napisać esemes do Dave’a:

Potrzebuję zaufanego hakera, asap. Dzięki jak zwykle. J.

Może Dave wiódł teraz sielankowe życie, ale nadal miał kontakty. Po wspólnych przejściach rzadko zawracaliśmy sobie głowę kurtuazją. Czekaając na jego odpowiedź, dokończyłam pakowanie.

Spoko. Daj mi dzień. Mam nadzieję, że wszystko gra. D.

Nie mam dnia.

Więc postaram się jak najszybciej. Czekaj na info.

Nie byłam pewna, czy kiedykolwiek zobaczę jeszcze swoje obrazy, ale mogłam spróbować je ocalić. Przeniosłam z salonu do garderoby osuszacz kupiony ze względu na wenecką wilgoć, okryłam obrazy bawełnianymi pokrowcami na ubrania, a potem zdjęłam jeden po drugim, pieszcząc każdy wzrokiem i muskając płótno opuszkami palców. Dopiero kiedy doszłam do *Zuzanny*, zorientowałam się, że duchy jednak nie próżnowały.

Na obrazie niemal naga kobieta odwraca głowę w prawo, a na jej twarzy widać pogardę dla dwóch starców spiskujących za ścianą, przy której przycupnęła. Historia *Zuzanny* to opowieść o zwycięstwie cnoty nad występkiem. Dwaj podglądacze zalecają się do dziewczyny, gdy ta bierze kąpiel, i próbują szantażem zmusić ją do seksu. Zuzanna opiera się starcom, a ich próba fałszywego oskarżenia dziewczyny przynosi odwrotny skutek i mężczyźni zostają straceni. Jednak, jak w przypadku wielu kanonicznych tematów, przedstawienie *Zuzanny* stanowi zazwyczaj pretekst dla przemycenia w obrazie elementów pornografii. Po co pokazywać, jak dziewczyna demaskuje swoich oskarżycieli, skoro można namalować ją nagą, w wodzie? Prawdziwym tematem obrazu nie jest obrona niewinności, ale nieokiełznane pożądanie. Malarz przedstawia pociągające ciało *Zuzanny* tak umiejętnie, że widz jest zmuszony wbrew sobie opowiedzieć się po niewłaściwej stronie. Dostrzegamy siebie w spisku starców, ich zadurzeniu, i ta świadomość nas obezwładnia.

Jasne oblicze Zuzanny zostało pocięte. Kolejne *sfregio*. W rozcięcie włożono dolną połowę ikony z mieszkania Maszy. Jakby Jeremołow nie przedstawił już wystarczająco dobitnie swojego stanowiska. Wyjęłam skrawek kolorowego papieru i dotknęłam rozcięcia, które nie tylko oszpeciło Zuzannę, ale pozbawiło ją życia. Została jedynie płaska grudka oleju i barwnika, już nawet nie obraz. Jak zahipnotyzowana wpatrywałam się w ruch własnych rąk. Patrzyłam przez dziurę na ciemne drewno blejtramu i wodziłam palcami po brzegach rozcięcia. Pusto. Obserwowałam, jak palce wsuwają się pod postrzępione płótno, napinają się i rozdzielają, jak obraz wybrzusza się i ugina, aż werniks pęka i odpada płatami, jak palce zwijają się w pięść, podczas gdy ciało Zuzanny zostaje wyrwane z ramy, ręce chwytają szaleńczo jej skórę, wprowadzając w życie pragnienie starców, by zerwać z niej szaty, by drżała przerażona. Patrzyłam, jak moje dłonie mną i miażdżą jej ciało, aż z obrazu zostają jedynie strzępy.

Po chwili zauważyłam, że mam pozadzierane paznokcie, a na rękach długie zadrapania. We włosach i na rzęsach osiadły mi płatki farby, a strzępy płótna walały się wokół mnie niczym barłóg bezdomnej. W głowie majaczył mi obraz Maszy i przez chwilę pomyślałam, jak spokojnie bym się czuła, gdybym mogła położyć się na podłodze i pozwolić im przyjść, tym wszystkim duchom, i leżeć cicho, podczas gdy one wyciągałyby ze mnie to, co jeszcze zostało, aż stałabym się tak pusta jak rama po *Zuzannie*. Ale nie, jeszcze nie. Na widok bieliźniarki skoczyłam na równe nogi i zaczęłam sprzątać.

Kiedy skończyłam, mieszkanie przestało sprawiać wrażenie azylu. Pomyślałam, czy nie zafundować sobie sjesty i chwili orzeźwiającej zabawy z samą sobą, ale nie miałam już na to ochoty. Po masturbacji często czuję się wykorzystana. Co dziwne, bałam się, że jeśli spróbuję, doświadczę jedynie dojmującej pustki. Ostatni raz rozejrzałam się po mieszkaniu, by sprawdzić, czy niczego nie pominęłam, zostawiłam walizki przy drzwiach i dla zabicia czasu poszłam na *campo*. Niedaleko domu zamówiłam kawę, ale nadal nie mogłam wysiedzieć w miejscu, więc ruszyłam wzdłuż kanałów Dorsoduro. Nie bacząc na potrąconych turystów, ścisnęłam w dłoni telefon, co pięć minut zerkając na ekran. W końcu Dave przysłał mi snapcode i godzinę. Siódma wieczorem. Dobrze. Usiadłam w kolejnej kawiarni, zamówiłam następną kawę i butelkę wody, wyjęłam notes Montblanc i zaczęłam sporządzać listę.

Musiałam się dowiedzieć, co Jeremołow mógłby zrobić, gdyby naprawdę chciał uprzykrzyć mi życie, i w jaki sposób by się do tego zabrał. Większość ludzi może pomyśleć, że martwa nauczycielka stanowi wystarczający kłopot, ale ja wiedziałam, że to dopiero początek, strzał ostrzegawczy. Caravaggio musiał być falsyfikatem, ale Jeremołow najwyraźniej wierzył, że to autentyk i że jest u mnie. Nawet gdybym się z nim spotkała i przysięgła na wszystkie świętości, że nic o tym nie wiem, to nie zamknęłoby sprawy. Z opowieści Jeleny wynikało, że Jeremołow

wiedział, iż byłam wtedy na Place de l’Odéon i że coś mnie łączy ze śmiercią Camerona Fitzpatricka. *Niedługo do moich drzwi zapuka policja, o ile wcześniej nie dorwą mnie zbiry Jermołowa.* A co z Baleńskim? Jeśli Jermołow uważał, że byłam w zмовie z Człowiekiem ze Stanu, Baleński na pewno będzie chciał się od niego odciąć. Nie miałam pomysłu, jak dotrzeć do Baleńskiego, nie ryzykując życiem. Chyba że używał Tindera. Zorientowałam się, że mój długopis rysuje w rogu kartki maleńki sztylet. W kryminalnej symbolice rosyjskiej wydzierany na szyi sztylet oznacza, że właściciel tatuażu zamordował kogoś w więzieniu. Wiedziałam, że nieprędko znowu zobaczę Miszę, ale musiałam się zorientować, ile czasu mogę zyskać i jak daleko uciec.

Trzecia trzydzieści. Z niesmakiem w ustach po wypiciu zbyt dużej ilości kawy ruszyłam dalej. Niedaleko Campo San Polo usłyszałam odgłos sygnału karetki wodnej. Zawsze wydawało mi się to niezmiernie komiczne, że w Wenecji do nagłych wypadków pędzą łodzie, ale zważywszy na to, dokąd mogły zmierzać, nie było to już takie zabawne. Musiałam się jednak skupić na własnych sprawach. Kolejny stolik, kolejne espresso. Dokładnie w momencie, gdy zegar na placu wybił siódmą, wprowadziłam kod.

„Białe kapelusze” to programiści pracujący legalnie, badający wirusy lub luki w systemach, podczas gdy „czarne kapelusze” nadużywają swojej wiedzy i umiejętności – czasami z chęci zysku, a często dla hecy. Logicznie rzecz ujmując, „szare kapelusze” plasują się pomiędzy tymi grupami. Takich ludzi nierzadko zatrudnia się w armii, stąd moja prośba do Dave’a. Kiedy tylko połączyłam się ze swoim „kapeluszem” przez Snapchat, od razu zaczęłam zadawać pytania. Żadne z nas się nie przedstawiło.

Dzięki za pomoc. Chcę się dowiedzieć, czy można zhakować zagraniczne konto.

Nie, chyba że CIA, lol! – odpisał.

Naprawdę? Nawet jak ktoś może słono zapłacić?

Takie rzeczy to w filmach.

Nawet Rosjanin?

Rosjanin? To raczej stara szkoła.

To znaczy?

Rządy mogą wchodzić i grzebać w kontach. Systemy na zewnątrz nie istnieją. Choć ludzie tak myślą, prywatne osoby nie mają tak zaawansowanych możliwości. Chcą ci tylko dopieprzyć.

Jak?

Normalnie. Fizycznie.

Trafne spostrzeżenie. Chyba mogłabym określić zabicie staruszki mianem „starej szkoły”.

A inwigilacja?

IMHO (o co mu, do diabła, chodzi? Dlaczego oni nie używają całych wyrazów?) *nie masz się czym martwić, chyba że uciekasz :)*

Jezu.

Problemem mogą być karty płatnicze, nawet jeśli ich nie używasz. Na to uważaj.

Dzięki. Telefon?

Kup jednorazowy, na kartę.

Dziękuję. Jakbym Cię jeszcze potrzebowała?

Prześlę kod.

Dziękuję.

Nie ma sprawy.

Napisałam wiadomość do Dave'a. Szary b. pomocny. Gdzie go znalazłeś?

Nairobi. Trzymaj się.

Kenia. Ekstra.

Spełniły się moje obawy: musiałam zostawić karty. Chociaż zadziwiająco długo radziłam sobie bez plastiku, nie czułam się bez nich bezpiecznie. Mimo to wyjęłam je z torebki i wyciągnawszy z portfela, zaczęłam wrzucać po kolei do wody, co bardzo zainteresowało grupę przechodzących obok Niemców. Przy ostatniej się zawahałam. Dyskretny, czarny numer i delikatna linia ręcznego podpisu. Karta Kleina Fenyvesa z mojego ukochanego banku w Panamie. Po tym, czego się właśnie dowiedziałam, użycie jej zakrawałoby na kompletną głupotę, ale równie idiotyczne byłoby pozbawienie się wszelkiego zabezpieczenia w razie nagłej potrzeby. Włożyłam kartę z powrotem do portfela, a potem, ciągnąc za sobą walizkę, podeszłam do *tabaccaio* po fajki i bilet na tramwaj wodny. Spokojnie poszłam na przystanek, wyteżając czujność i kątem oka obserwując otoczenie. Walizka była rodzajem kamuflażu, gdyż Wenecja pełna jest zagubionych kobiet ciągnących za sobą bagaż. Z torby wystawała mi książka o Caravaggu. Kiedy tramwaj sunął powoli pomiędzy brzydkimi warsztatami szkutniczymi i gigantycznymi statkami wycieczkowymi, zaczęłam ją czytać. Na stacji kolejowej zrezygnowałam z pomocy bagażowego z wózkiem i sama przyciągnęłam walizkę do kasy, gdzie, po chwili wahania, kupiłam bilet w drugiej klasie. *Witaj z powrotem, Judith.* Usadowiłam się wygodnie na siedzeniu w rogu i przygotowałam na długą podróż: czekała mnie przesiadka w Monachium, a potem w Utrechcie.

Autorem nastawy w kościele Świętej Ireny w Lecce jest Guido Reni, a jej tematem – Archanioł Michał, imiennik rywala Reniego, czyli Caravaggia. W roku tysiąc sześćset drugim Reni opuścił Rzym, by wrócić do swojej rodzinnej Bolonii, a przyczyną podróży – jak zwierzył się przyjacielowi – była „porażka” w konfrontacji z Caravaggiem. Bolończyk wierzył, że obrazy powinny przedstawiać jedynie piękną wersję świata, wieczny i niezniszczalny ideał. Jak

wielu innych, poczuł się dezorientowany i wzburzony na widok brzydoty kryjącej się w pracach Caravaggia, odrzucenia przez Lombardczyka „ugrzecznionego piękna”. Na początku owego roku Caravaggio stworzył obraz, na którym widać trzech mężczyzn jedzących kolację w rzymskiej tawernie, w której artyści zwykli pić i plotkować. Obrus na ich stole jest czysty, ale potrawy bardzo skromne: małe bochenki czerstwego chleba, miska z owocami nie pierwszej świeżości, żylasty kurczak. Mężczyzn obsługuje surowy kelner, który być może zastanawia się, czy goście są wypłacalni. Kiedy jednak przyjrzymy się bliżej, zauważymy, że obraz przedstawia scenę cudu. Młodzieniec siedzący pośrodku to Chrystus, a wieczerza odbywa się w Emaus, gdzie Mistrz ukazał się uczniom po zmartwychwstaniu. Nie ma tam listków złota ani śpiewających aniołów. Obraz jest spowity w półmroku, nachylająca się postać kelnera rzuca za głowę Chrystusa cień wyglądający jak aureola, a cytryna i winogrona na wykrochmalonym obrusie przypominają rybę, symbol chrześcijaństwa. Boskość skrywa się w tym, co przyziemne, i dostrzec ją mogą tylko „ci, którzy widzą”.

Oglądałam ilustracje, wbijając paznokcie w dłoń, podczas gdy pociąg sunął przez gorącą równinę Wenecji Euganejskiej. Cienie za sylwetkami przypominały mi ponury widok rozpostartej sukni Maszy. Raz za razem przyglądałam się postaciom na obrazie, szeroko otwartym oczom i rozłożonym ramionom. Chciałam zapłakać nad staruszką, ale łzy się nie pojawiły, nawet kiedy zmusiłam pamięć, by powoli przyjrzała się zwłokom Maszy z lotu ptaka. *To nie twoja wina, Judith. Nie jesteś niczemu winna.* A jednak czułam, że to wszystko moja wina. Mijały kolejne godziny, a ja siedziałam w słońcu, które połykiwało w żaluzjach, i miałam wrażenie, że pustka tego wagonu to jedyna łaska, jakiej kiedykolwiek zaznam.

A potem zrobiło się ciemno i przestałam cokolwiek widzieć. Nogi już dawno mi zdrętwiały, lecz pomimo bolesnego mrowienia poszłam przez niemal puste wagony do baru. Nie miałam ochoty na jedzenie, ale wyprawa po banana i butelkę tropicany dała mi przynajmniej jakieś zajęcie. Zegarek pokazywał jedenastą dwadzieścia, miałam przed sobą całą noc. Kiedy płaciłam za sok, otworzyły się drzwi prowadzące do pierwszej klasy i wszedł młody chłopak. Dżinsy, biała koszula, gruby, granatowy kaszmirowy sweter. Niezły. Skinął uprzejmie głową w stronę kelnerki, zerkając również na mnie.

– *Buonasera.*

– *Buonasera.*

Spojrzał mi w oczy ponownie, gdy płacił za macchiato. Jego spojrzenie mówiło: „Podróżuje pani sama?”. Wyobraziłam sobie dotyk jego ciepłej, jedwabistej skóry, która po długim okresie włoskiego słońca wciąż miała kolor pianki na jego kawie.

– *Sei da sola? Jesteś sama?*

Plastikowy stolik chybotął się delikatnie w rytm kół pociągu, podczas gdy ja

rozważałam odpowiedź na zadane przez chłopaka pytanie.

Bossun był drobnym dilerem. Kręcił się pod bramą mojej szkoły, rozdając maleńkie paczuszki trawy i amfy w zamian za podkradane piątki. Jeździł starym, białym bmw, które na naszym osiedlu uchodziło za tak eleganckie, jak przystojny był jego właściciel – jeśli ktoś gustuje w wielkich Nigeryjczykach. Nigdy nie chciałam jego szajsowatego towaru, ale czasami dawał mi papierosa lambert & butler i gawędził mi chwilę. Pewnego razu, gdy mama miała swój kolejny zły dzień, znowu odcięli nam prąd, a w lodówce nie było nic poza wyskrobany do dna pojemnikiem po margarynie, Bossun zapytał, czy nie chciałabym dostarczyć za niego towaru. Piętnaście funtów. Zawiózł mnie pięknym, ciepłym samochodem do dużego szeregowca na Hope Street, niedaleko katedry. Do plastikowej reklamówki, która służyła mi za tornister, kazał mi włożyć zniszczony podręcznik. Towar był przyklejony w środku, na wstępie do eseju Waltera Benjamina.

– Studenci – wyjaśnił z pogardą, odjeżdżając. – Pamiętaj, żebyś go przyniosła z powrotem.

Wiał wiatr i kiedy czekałam pod drzwiami, szkolna spódniczka przylgnęła mi do ciała, ale nie czułam chłodu. Byłam napompowana adrenaliną, czułam, jak buzuje mi w mięśniach i płynie w żyłach niczym prąd. Nigdy wcześniej nie złamałam prawa. Byłam przekonana, że wystarczy najmniejszy błąd, a policja odwiezie mnie na komendę, i strasznie mnie to ekscytowało. Przyciskałam książkę do siebie, starając się przybrać spokojny, poważny wyraz twarzy, na wypadek gdyby ktoś mnie obserwował. Facet, który w końcu otworzył drzwi, z pewnością kupował coś mocniejszego niż zioło. Wyglądał młodo, był pewnie niewiele starszy od mnie. Jego oczy, schowane pod skołtunionymi, mysimi włosami, były żółte, a kiedy sięgnął po książkę, na jego przedramionach, pod podartym swetrem zobaczyłam ślady po igłach. Stałam w przedpokoju pomiędzy dwoma przeciekającymi workami na śmieci, podczas gdy on odkleił pakunek, włożył zamiast niego kilka pomiętych banknotów i zamknął ostrożnie okładkę.

– Dzięki. Hm... do zobaczenia.

Z zaskoczeniem zauważyłam, że ma głęboki głos, i pomyślałam, że musi być wykształcony.

Bossun był chyba ze mnie zadowolony, bo dał mi dodatkowe pięć funtów. Potem zaczęłam dostarczać dla niego towar dość regularnie. Szkolny mundurek pomagał, bo – jak wyjaśnił z powagą mój nowy szef – „nie wzbudza podejrzeń”. Jego zawsze dręczyli gliniarze. Ponieważ był czarny, zakładali, że jest dilerem.

– Może to dlatego, że faktycznie jesteś dilerem? – zasugerowałam bez emocji i przez chwilę myślałam, że trzepnie mnie w ucho, ale on zaśmiał się tylko i powiedział, że dla własnego dobra nie powinnam się tak wymądrzać. Bossun miał mieszkanie w Toxteth, dwa paskudne pokoje śmierdzące stopami i kadzidelkami, ale był tam przynajmniej piecyk gazowy i jaskrawe afrykańskie narzuty na

kiepskich meblach. Przy zasłoniętych zasłonach i grającej muzyce było tam całkiem w porządku. Po jakimś czasie Bossun zasugerował, że mogę się u niego przekimnąć, jeśli będę potrzebowała, pod warunkiem że przed snem zrobię mu łaskę. Ponieważ w wieku piętnastu lat niczego jeszcze nie przeżyłam, nigdzie nie byłam i nic nie widziałam, a okazanie choćby odrobiny zainteresowania czy uwagi może rozjaśnić cały świat, jeśli się wystarczająco mocno udaje, zgodziłam się. Nazywałam go swoim chłopakiem, przynajmniej w myślach, i przez chwilę byłam nawet dumna, kiedy podjeżdżał pod bramę szkoły swoją beemką. Nie chciał ode mnie niczego oprócz robienia loda, na szczęście, gdyż miał fiuta jak składana parasolka, ale kiedyś zastałam siedzącego obok niego na kanapie chudego blondyna w brudnym dresie ortalionowym, z trawą i do połowy opróżnioną puszką piwa.

– Co tam, mała? To jest Kyle, stary kumpel. A to Judy.

– Hej. – Kyle nie podniósł wzroku. Plastikową łyżką pozerął tikka z kurczaka, jakby nigdy nie widział jedzenia.

– Usiądź tutaj, co? Ja muszę gdzieś wyskoczyć.

Bossun zostawił nas pośród odgłosów żucia. Po chwili zapytałam Kyle'a, czy chce, żebym włączyła telewizor, ale on dalej jadł. Zastanawiałam się, gdzie Bossun go znalazł. Wyglądał na niezbyt rozgarniętego. Kiedy ostatnie resztki okropnego tłuszczu zostały zeszkrobane z folii, wyniosłam sterty tacek do paskudnego kosza obok dawno nieużywanej kuchenki i, jak przystało na porządną małą panią domu, otworzyłam Kyle'owi kolejne piwo. Zastanawiałam się, czy niegrzecznie się zachowam, wyjmując książkę.

– Bossun powiedział... – odezwał się nagle.

– Co?

– Powiedział, że ty mi...

– Co ja?

– Widzisz, ja dopiero wyszedłem. Dzisiaj, znaczy. – Pociągnął duży łyk, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Wyszedłeś?

– No... z więzienia.

– Och, w takim razie, gratulacje. – Oczywiście chciałam zapytać, co takiego zrobił, ale takie wścibstwo wydawało mi się niegrzeczne. Wymyśliłam coś innego. – Więc zatrzymasz się tutaj?

– No, na chwilę. Aż się ogarnę, znaczy.

– W takim razie lepiej już pójdę.

– Ale Bossun powiedział...

I wtedy zrozumiałam, co miał na myśli i dlaczego Bossun wyszedł, i gdzieś w wychudzonej twarzy Kyle'a dostrzegłam tak dobrze mi znaną nadzieję. Spojrzałam na niego i zobaczyłam, że trzymająca piwo ręka z poobgryzаными paznokciami lekko drży. Wtedy zrozumiałam, że rozpaczliwie chce mnie dotknąć,

gdyż to, co skrywam pod plisowaną spódniczką i brzydką, szkolną bluzą, ma moc.

Tak nas oswajają. Ponieważ, kiedy masz piętnaście lat i nigdzie nie byłaś i nic nie widziałaś, nawet odrobina tego poczucia mocy jest w stanie zawrócić ci w głowie, przekonać cię, że wszystkie popularne piosenki mówią prawdę i że to właśnie jest miłość – nieważne, że w formie przymusu albo i gorzej. Więc robisz to, a dziesięć lat później budzisz się z trójką dzieci i jakimś grubym frajerem obok ciebie w łóżku i zastanawiasz się, gdzie ta moc się podziela i dlaczego zrobiłaś z niej taki kiepski użytek. Dlaczego roztrwoniłaś tę siłę na sentymenty, chęć bycia zauważoną. Ale ja taka nie byłam. Nawet wtedy myślałam inaczej. Miłość nie była dla mnie. Miałam zamiar dowiedzieć się, do czego mogę zmusić mężczyzn, i pewnego dnia to wykorzystać. To było konieczne.

Wyciągnęłam rękę i opuszkami palców dotknęłam jego ust. Potem wstałam i poszłam do zimnej sypialni, opuściłam najniżej, jak się dało, zepsute żaluzje i zdjęłam z siebie wszystko z wyjątkiem majtek. Wsunęłam się pod znajomą kołdrę z emblematami Evertonu i przez chwilę leżałam nieruchomo na plecach. Kiedy mnie pocałował, poczułam smak curry i klopsów. Powiedział mi, że jestem śliczna. Kiedy położył się na mnie i zanurzył się w wilgotnym zaduchu naszych chudych ciał, pożałowałam, że nie wypaliłam wcześniej jointa, ale już kilka sekund po tym, jak wepchnął we mnie swojego fiuta, sapnął: „O, kurwa, dziewczyno! O, kurwa!” i zastygł bez ruchu z twarzą pomiędzy moimi piersiami, obejmując mnie tak mocno, że ledwo mogłam oddychać. Zasnął w takiej pozycji, a ja nie chciałam go ruszać, więc kiedy wrócił Bossun i wśliznął się obok nas do łóżka, byliśmy nadal złączeni.

– W porządku, gotłabczki?

Rozłożyłam ramiona i oba ciała, ciemne i blade, zwróciły się w moją stronę, dwie ręce oplotły moje ciało. Leżeliśmy tak całą noc, wtuleni w siebie jak szczeniaki w pomarańczowym świetle latarni przebijającym się przez okropną żaluzję. Słuchałam ich oddechów, sapania i jęków i z bólem uświadomiłam sobie, że są jeszcze tacy młodzi i że zbyt wcześnie utracili niewinność. Brudne prześcieradło pod moim nagim tyłkiem było wilgotne od spermy Kyle’a i mojej krwi. Nie znalazłam odpowiedniego momentu, by wspomnieć, że jestem dziewicą. Przez chwilę, zanim zasnęłam, widziałam nas leżących razem, tak niewinnych, tak brzydkich.

Chłopak uniósł brew – zdezorientowany, pełen nadziei, pewny siebie. W jego spojrzeniu widziałam wyraźnie propozycję. Musiałam jedynie powiedzieć „tak”. Mógł pieprzyć mnie aż do zapomnienia, podczas gdy mgła oplatałaby pasmo Alp jak bandaż wokół mojego serca. Nic prostszego.

– Nie – odpowiedziałam, wskazując korytarz prowadzący do drugiej klasy. – *C’e... C’e qualcuno.* Jestem z kimś.

Skończył kawę z uśmiechem.

– *Allora, buonasera, signorina.*

– *Buonasera.*

Wróciłam na swoje miejsce sama i przesiedziałam całą noc, podczas gdy pociąg toczył się w kierunku Morza Północnego.

Cztery tysiące euro to wysoka cena za kawałek papieru, ale nie mogłam sobie pozwolić na kupno taniego badziewia. Rozwahałam paszport amerykański, który w indeksie najbardziej przydatnych dokumentów na świecie ma taki sam status jak brytyjski, ale ponieważ nie byłam pewna, czy uda mi się podrobić akcent, musiałam się pogodzić z tym, że pozostanę Angielką. Dotarłam do Amsterdamu rano, połamana i nieświeża po podróży, i pojechałam metrem do Nieuwmarkt, gdzie coffee shopy na obrzeżach dzielnicy czerwonych latarni były już otwarte. Mijając grupki czerwonookich, strojących miny ogierów, zajrzałam do kilku tanich hoteli, aż znalazłam nijaki, ale dość przyzwoity pokój. Zapłaciłam gotówką i po luksusowo gorącym prysznicu pozwoliłam sobie na trzy godziny snu, a potem ruszyłam do mieszkania Alexa, niedaleko Vondelpark.

Kiedy mieszkałam jeszcze w Paryżu i byłam na tyle głupia, by sądzić, że wiele rzeczy może ująć mi na sucho, za pieniądze ze sprzedaży skradzionego obrazu otworzyłam galerię Gentileschi. Uważałam, że fakt, iż dzieło Stubbsa jest falsyfikatem, usprawiedliwia moje działanie, ale pojawienie się Renauda Clereta, włoskiego policjanta kreującego się na odzyskiwacza długów, pozbawiło mnie całkowicie poczucia bezpieczeństwa. Byliśmy kochankami i w pewnym sensie przyjaciółmi, przynajmniej do momentu, gdy odkryłam, że planuje wydać mnie Romerowi da Silvie, swojemu koledze z wydziału do walki z mafią. W imię zasad fair play musiałam się pozbyć Renauda, który zostawił mi w spadku kilka drobiazgów – w tym zamiar na Alexa, swojego amsterdamskiego „drukarza”.

Renaud chwalił mi się swoimi powiązaniem z fałszerzem paszportów, ale przy pierwszym spotkaniu z Alexem mocno się rozczarowałam. Kiedy moja koleżanka Leanne zginęła w paryskim hotelu, Renaud, mój działający pod przykrywką kochanek, wysłał jej paszport Alexowi, a ten zastąpił oryginalne zdjęcie moim. Ten dokument miał mi posłużyć tylko raz – w drodze do więzienia, lecz Alex wcale się nie zdziwił, kiedy wkrótce potem pojawiłam się, prosząc o kolejny. Swoje obowiązki zawodowe wykonywał ze spokojem i pełnym profesjonalizmem, choć jego miejsce pracy odbiegało od moich wyobrażeń. Podczas owej pierwszej, nocnej podróży z Paryża wyobrażałam sobie warsztat oświetlony jedynie światłem świecy, jak na obrazach La Toura, być może w piwnicy lub w labiryncie dickensowskich poddaszy, gdzie zgarbieni rzemieślnicy pracują z użyciem pęset i lup jubilerskich. W rzeczywistości Alex, brodaty, świeżo upieczony ojciec w okropnych rurkach i trampkach, mieszkał ze swoją rodziną w malowniczym, dziewiętnastowiecznym domu na jednym z najbogatszych przedmieść Amsterdamu i przyjmował interesantów w pokoju gościnnym.

W podobnych sytuacjach grzecznościowa pogawędka wydaje się kompletnie

absurdalna i nie na miejscu, lecz Alex i ja trzymaliśmy się etykiety: wypiliśmy po filiżance herbaty w jego pomalowanej luksusowymi farbami kuchni i zamieniliśmy kilka zdań na temat ostatnich wakacji. Rozmowa była tak niewinna, że równie dobrze mogłam ją prowadzić z dilerem koki. Weszliśmy na górę i ustawiłam się przed obiektywem aparatu. Przed zrobieniem zdjęcia, Alex zapytał mnie:

– Ile już zrobiliśmy?

– Dwa. Ten będzie trzeci.

Zamilkłam na chwilę, ustawiając obiektyw.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– W porządku. Dobra, nie uśmiechaj się! – Ostatnim razem zażartował tak samo.

Cały sprzęt znajdował się w trzech kwadratowych, stalowych, szarych szafkach. Nie miałam pojęcia, jak działa, ale szumiał uspokajająco, kiedy Alex zapisywał informacje, które mu podawałam.

„Drukarze” zwykle składają paszporty z innych, skradzionych. Rynek jest duży, więc zawsze znajdzie się praca dla tych, którzy mają odpowiednie umiejętności i są w stanie zadbać o wszystkie elementy: dane do odczytu maszynowego, odczytywany elektronicznie tekst na dole paszportu, który musi się zgadzać z drukowanymi danymi, zachowanie odstępów co do milimetra, jednakową grubość wszystkich kartek, gładkie i równe krawędzie i odpowiednią ilość kleju. Ostatnio Alex dobrze się spisał. Pamiętając o deptającym mi po piętach Jermołowie, miałam nadzieję, że i tym razem będzie idealnie.

– To wszystko. Możesz go odebrać około ósmej, w tym samym miejscu.

– Jasne. Numer?

– 212B.

– Pasuje?

Posłał mi uśmiech urażonego profesjonalisty.

– Cóż, jeśli nie, to masz przechlapanie, prawda?

Dałam mu gotówkę owiniętą w chusteczki higieniczne, Alex zaś odprowadził mnie do drzwi, wręczył mały kluczyk i grzecznie się pożegnaliśmy. Zastanawiałam się, jaką miał przykrywkę – szukałam fałszywej tabliczki gabinetu lekarskiego albo siedziby małej organizacji wyznaniowej – ale teraz jedynymi miejscami, które udają, że pełnią inną funkcję niż w rzeczywistości, są kiepskie hipsterskie bary. Jeśli masz laptopa, to jesteś freelancerem i nikt cię nie pyta, czym się zajmujesz. Klucz pasował do skrytki pocztowej na drugim końcu miasta. O ósmej miałam wyjąć z niej kopertę z nowym paszportem i zostawić kluczyk w środku. To tego czasu mogłam się zająć Caravagiem.

Okno mojego ponurego pokoju było umieszczone najwyżej, jak się dało, a wieczorem powietrze pachniało trawą, gorącym asfaltem i hormonami.

Wczesnojesienny wieczór w Amsterdamie powinien kipieć erotyzmem – nie żeby lubieżne rozkosze dzielnicy czerwonych latarni oferowały jakieś szczególne emocje – ale zauważyłam, że nie mam nawet energii, by wyjść na poszukiwania, chociaż znalezienie towarzystwa na pewno nie stanowiłoby żadnego problemu. Rijksmuseum było już zamknięte, więc pomyślałam o joincie, by się trochę znieczulić. *Ta, jasne. Spójrz prawdzie w oczy, Judith. Jesteś starą, wypacykowaną dziwką, która zawsze będzie sama.* Dobrze, że sobie to wyjaśniłyśmy. Zasiadłam z książką do wczesnej, ciężkostrawnej, malezyjskiej kolacji, ale natłuszczenie tętnic sosem orzechowym i olejem palmowym powodowało u mnie obrzydzenie. Zostawiłam talerz i ruszyłam pieszo wzdłuż kanałów do Lauriergracht.

Mówi się, że szybki spacer to skuteczny antydepresant, ale przecież mówi się wiele bzdur. Jednak podczas drogi poczułam zmianę, ulgę, jakbym wszystko, co przeżyłam w Wenecji i wcześniej, wrzuciła od niechcienia do jednego z tych łagodnych, starych kanałów. Nie chodzi o to, że zniknęło mnóstwo spraw, których teoretycznie mogłam się obawiać, ale po prostu nie byłam w stanie wykrzesać z siebie odpowiedniego poziomu lęku. Przyznaję, że zamknięcie interesu nie okazało się tak zabawne, jak się spodziewałam. No bo co zrobić, kiedy się nie ma pomysłu na kolejny krok? Ekstremalny windsurfing ani alpinistyka charytatywna nie były w moim stylu. Cóż, może znudzenie jest stanem romantycznym, ale wciąż nudnym.

Usiadłam nad wodą ze spuszczonej nogami, w zadumie zapaliłam papierosa i zaciągnęłam się pysznym dymem tak mocno, że aż przeszły mnie ciarki. Może się starzałam, ale wiele z rzeczy, których kiedyś pragnęłam, jak bezpieczeństwo, ochrona, anonimowość, nagle wydało mi się niewarte zachodu. Kanały wiły się łagodnie pomiędzy wysokimi, wąskimi domami, jak roztopiona autostrada złota. Powściągliwy, skryty Amsterdam przepuszczał przez swe żyły bogactwo całego świata. Pomyślałam o obrazach w muzeum po drugiej stronie miasta, stertach *rzeczy*: naczyń, wachlarzy i krabów, globusów, gałki muszkatołowej, jedwabnych zasłon, klawikordów, owoców, skrzyń, parasoli od słońca, portmonetek, rozrzuconych w artystycznym nieładzie, by mieszczanie mogli je kontemplować znad swoich starannie namalowanych kryz. Martwa natura, oprawiona na zawsze w ramy i wystawiona na pokaz. Zdziwiło mnie, że się zatrzymałam, uwieźiłam w postaci Elisabeth jak owad w bursztynie, przemieniłam w bogatą dyletantkę bawiącą się w biznes. Dlaczego tak długo zajęło mi zrozumienie, że moje miejsce jest na obrzeżach świata? Mogłabym winić za to Caravaggia, bo przecież mamy wiele wspólnego. Po pierwsze: morderstwo. Słynny malarz upodobał sobie włoskie wybrzeże, lecz większość życia spędził jako zbieg, ścigany przestępca. Był awanturnikiem ze słabością do krzykliwych strojów, pragmatykiem, który nie bał się skrajności i rozumiał, że większość występków, nawet morderstwo, da się usprawiedliwić w imię piękna. Wiedział, że honor to

język ran. Chociaż trafniejszym byłoby chyba stwierdzenie, że większość problemów Caravaggia powodowała przesadna ambicja i pogarda dla ryzyka. Albo przeciwnie – upodobanie do niego. Ta skłonność do ryzyka leżała również w mojej naturze, tyle że na bardzo długo wypadłam z gry. Na zbyt długo. I teraz, pomimo żalu po śmierci Maszy – a może właśnie z jego powodu – chciałam sprawdzić, czy nadal potrafię grać.

Archiwum Hafkenscheida znajduje się w Teylers Museum w Haarlemie. Znalazłam je w tradycyjny sposób, posługując się miniaturową mapą z biura informacji turystycznej. Dawniej przechowywano w nim kolekcję dziewiętnastowiecznego handlarza barwnikami z Amsterdamu, a dziś jest ono jednym z głównych zbiorów do badań nad spoiwami i minerałami stosowanymi ongiś przy mieszanii pigmentów. Pomyślałam, że skoro muszę przyjechać do Amsterdamu po paszport, to przy okazji mogę się dowiedzieć, jak wykonać „rysunek” Caravaggia na tyle wiernie, by zwieść Jermołowa. Domyślałam się, że przed zakupem kazałby Kazbichowi zebrać niezbędne informacje, więc musiałam wiedzieć, *jak* można dokonać tak niezwykłego oszustwa.

Chociaż znad morza wiał nad portem chłodny wiatr, nadal było gorąco, toteż ubrałam się bardzo przemyślnie: założyłam praktyczne ciężkie buty, które nadały moim udom gazelą delikatność, i dzinsową tunikę Margiela MM6. Pod spód włożyłam stanik push-up i rozpięłam kilka górnych guzików, tak tylko, dla przewiewu. Nie umówiłam się na wizytę w muzeum, ale podejrzewałam, że kustosz starych terpentyn może nie gościć zbyt wielu zwiedzających. I miałam rację – kiedy się przedstawiłam i opowiedziałam o swoim „projekcie”, patrząc na starszego przewodnika tak, jakbym nigdy wcześniej nie widziała mężczyzny, wpuścił mnie. Wyjaśniłam, że piszę pracę magisterską o Tintoretcie, i na poparcie swych słów zacytowałam fragment z „Biuletynu Technicznego” londyńskiej National Gallery na temat użycia przez artystę konkretnego barwnika – żółcieni neapolitańskiej – który zaczęto stosować we Włoszech w szesnastym wieku.

Wenecja zawsze była miastem iluzji, a jej światło odbijało się w takiej ilości szkła, że migotała niczym ogromne lustro – obraz raj na ziemi. Zastanawiałam się, czy to możliwe, by Caravaggio pomiędzy wyjazdem z Mediolanu a przybyciem do Rzymu odwiedził Wenecję. Który artysta, bez względu na to, z jakim zapałem pędził drogą ku sławie, przegapiłby takie miasto? Definitywne odrzucenie tej hipotezy przez wspomnianego weneckiego profesora pozostaje w sprzeczności ze słowami Belloriego, biografy Caravaggia, który utrzymywał, że artysta odwiedził Wenecję, „gdzie podziwiał kolory (...), które później naśladował”. Mieszkałam w Wenecji wystarczająco długo, by znać te kolory, owo migotliwe światło, w którego blasku cienie wydają się jeszcze głębsze. Nikt nie potrafił malować ciemności tak jak Caravaggio, tak jak on wydobywał jej skrajnych cech, dzięki czemu jasność jego obrazów poraża jak błyskawica. Była więc w tej historii

intrygująca luka – malarz naprawdę mógł odwiedzić Wenecję. A jeśli nauczyłam się czegoś o dowodach, to tego, że ich brak nie oznacza, że wydarzenie nie miało miejsca.

Barwniki wystawiono w długim pomieszczeniu pełnym kasetek, z których każda zawierała pojemniki z próbkami i karty z wydrukowanymi numerami seryjnymi i opisami. Rzuciłam uśmiech w stronę szwędającego się przewodnika, z nadzieją, że zasugeruję mu tym samym wspólny lunch, i zaczęłam pracę. Wiedziałam już, że żółcień neapolitańska była jednym z trzech oryginalnych pigmentów wprowadzonych do użytku przed początkiem siedemnastego wieku w celu powiększenia ograniczonej palety malarstwa średniowiecznego. Pierwszy przepis na barwnik został przedstawiony przez Cipriana Piccolpassa w roku tysiąc pięćset pięćdziesiątym szóstym, w tekście na temat wykonywania ceramiki. W jego skład wchodziły sól, grafit, antymon i „fusy”, czyli osad pozostały na dnie butelki z winem. *Ale czaad!* Piccolpasso pochodził z Umbrii, ale podróżował do Wenecji, która była wówczas centrum innowacji w dziedzinie farb, i w swojej pracy zawarł nawet rozdział *Colori alla Veneziana*. Wspomina w nim między innymi o żółcieni neapolitańskiej. Przy pomocy mikrospektralnej analizy laserowej (czymkolwiek jest) odkryto, że barwnik ten został użyty w kilku obrazach Tintoretta. Pomimo sceptycznej opinii wspomnianego już weneckiego profesora, kilku innych uczonych sugerowało, że Tintoretto miał wpływ na Caravaggia. Możliwe więc, że jeśli Lombardczyk był w Wenecji, to zgłębiał nie tylko artystyczne walory wielkich dzieł Tintoretta, ale również zapoznawał się z użytymi do ich stworzenia składnikami.

Szłam wzdłuż gablot, aż dotarłam do pojemnika z różnymi kredami. Uznałam, że gdyby Caravaggio miał wykonać rysunek, użyłby kredy, być może połączenia czerwonej, białej i czarnej, czyli techniki *trois crayons*, którą pod koniec piętnastego wieku wielki Leonardo przejął od Francuzów w Mediolanie – mieście, w którym wiele lat później Caravaggio studiował malarstwo. Jednak kredą nawet Caravaggio nie uzyskałby tak ostrych linii ani takiej głębi kolorów jak na obrazie przedstawionym mi przez Jelenę. Poza tym jakim cudem ktoś miałby rysować kredą po lnie? Len to płótno, które zasadniczo wymaga nałożenia nań warstwy wiążącej, specjalnego rodzaju kleju zwanego *gesso*. Następnie do wykonania szkicu używano kredy, która zniknęła pomiędzy warstwą gruntu i farby olejnej. Żeby szkic przetrwał tak długi czas na lnianym podłożu, autor musiałby nakładać farby olejne bezpośrednio na płótno, co z kolei zgadzałoby się z naszą wiedzą na temat stosowanej przez Caravaggia techniki malarskiej.

Poza tym Caravaggio był biedny. Pomimo wielu lukratywnych zleceń, które otrzymywał, nim okrył się hańbą, zdawał się niemal gardzić pieniędzmi. Jego używane stroje były krzykliwe i przykuwały uwagę, ale nosił je do zdarcia i, nie licząc akcesoriów malarskich, nie posiadał prawie nic. Kilka żalonych sprzętów

domowych i pełen rozgoryczenia podziw rywali stanowiły całe jego bogactwo. W podróż zabierał niewiele. A len, w przeciwieństwie do żółcieni neapolitańskiej czy cienkiego papieru welinowego, był stosunkowo tani.

Może więc „rysunek”, o którym mówiła Jelena, to coś więcej niż tylko jej pijackie fantazje?

Z zatroskaną miną zadałam przewodnikowi kilka poważnych pytań, po czym musiałam znieść entuzjastyczny dwudziestominutowy wykład na temat ucierania farb, zanim w końcu zdołałam zapytać, czy muzeum dysponuje księgą gości.

– Z przyjemnością bym się wpisała. Byłby to dla mnie zaszczyt. Mogłabym sfotografować swój podpis i dołączyć do pracy. Egzaminatorzy są bardzo restrykcyjni w kwestii badań własnych.

Kustosz wyjął długopis i grubą, oprawioną w skórę księgę. Kartkowałam ją z zaciekawieniem i nadzieją, że archiwum jest mało uczęszczane i szybko przejrzę nazwiska gości. I znalazłam. „Doktor Ivan Kazbich”, napisane alfabetem łacińskim, a obok autograf cyrylicą i data z dwa tysiące jedenastego roku. Bingo. Złożyłam własny, nowy podpis i gorąco podziękowałam staruszkowi.

Przeszył mnie dreszcz emocji, ale szybko się otrząsnęłam. Nie miałam zamiaru na nowo studiować Caravaggia. Bez względu na to, czy obraz był prawdziwy, czy nie, pilnie musiałam go zdobyć. Byłam niemal pewna, że wiem, gdzie się znajduje.

Bo chyba go jednak faktycznie ukradłam.

CZEŚĆ DRUGA
REFRAKCJA

Podczas służby wojskowej Dave stawiał czoło snajperom z Al-Kaidy, ale nigdy nie widziałam go tak wzburzonego jak wtedy, gdy zobaczył mnie pochyloną nad whisky z winem imbirowym w pubie Golden Lion w Combe Farleigh. Przyjechałam pociągiem Eurostar przez Lille, potem kolejnym z Paddington do Bath, a następnie taksówką do wioski, w której stał nowy dom Dave'a. Zdziwiło mnie, jak bardzo sentymentalnie wpłynęła na mnie wizyta w Anglii po tak długiej nieobecności. Zaniedbane tłumy na dworcach, znajome szyldy Pret a Manger, natarczywe brukowce, gołębie. Prawie się rozplakałam, kiedy właściciel pubu podał mi pierwszą od lat filiżankę porządnej herbaty, ale musiałam przyznać, że nie najlepiej szło mi bratanie się z miejscowymi. Było, ma się rozumieć, lodowato, więc w hali dworca St. Pancras kupiłam kurtkę polarową i dodatkowo włożyłam praktycznie wszystkie pozostałe ubrania, jakie miałam ze sobą. Barman spojrzał podejrzliwie na mój cygański strój, ale gotówka rozwiązała jego wątpliwości i wynajął mi pokój. Zadzwoiłam do Dave'a z telefonu stacjonarnego w pubie.

– Co się dzieje, Judith? Po co przyjechałaś?

Skrzywiłam się. Współodczuwanie to rzadka cecha, a przynajmniej ja rzadko się z nią spotykam. Poczucie, że ktoś cię rozumie bez słów, że tak wiele was łączy, że żadne tłumaczenie nigdy nie będzie konieczne. Być może podobne więzi spajają członków rodziny. Widząc jednak przerażenie Dave'a, natychmiast zrozumiałam, że radość, jaką poczułam na jego widok, jest jednostronna i wręcz niestosowna. Tak naprawdę zawsze przysparzałam mu tylko kłopotów.

– Kupiłam ci piwo – oznajmiłam, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Próbowałam cię złapać. Co się dzieje z twoim telefonem? – W jego głosie słysząc było troskę, ale jednocześnie dystans i rodzaj znużenia, który mnie zmartwił.

– Pójdziemy zapalić?

Uspokoił się trochę.

– Okej, na tyłach mają grzejniki.

Lion nie był eleganckim pubem z dobrymi piwami i wykwintnym jedzeniem, tylko brzydkim, sześcienne, ceglany klockiem z lat pięćdziesiątych – z meczem piłkarskim w telewizji i tajskim jedzeniem z mikrofalówki, a do tego ostrym smrodem wybielacza i moczu dochodzącym z toalety w kontenerze na parking, gdzie znajdował się również plac zabaw dla dzieci, kilka ławek i grzejnik ogrodowy. Ja niosłam napoje, a Dave kuśtykał z tyłu ze swoją laską. Na zewnątrz zastaliśmy tylko paru nastolatków palących jointa na górze zjeżdżalni. Skinęli głowami w stronę Dave'a, zjechali i odeszli w mrok.

– Czyli to nie jest wizyta towarzyska?

– Przenikliwy jak zawsze. – Bardzo się cieszyłam, że miałam okazję go

zobaczyć, nawet w takim stanie. Mogłam mu powiedzieć, jak bardzo za nim tęskniłam, ale poczułby się tylko zakłopotany. Zielonoszare wzgórza, delikatny deszcz, pochmurne angielskie niebo. *To nie twoja wina, Judith.*

– Judith?

Otrząsnęłam się.

– Przepraszam, Dave. Głupio mi, że zwałam ci się na głowę. Wiesz, że nie robiłabym tego, gdyby...

– W porządku, wiem.

Wzięłam głęboki oddech. Ostatecznie najlepiej przedstawić sprawę krótko i zwięźle. Chciałam porozmawiać z Dave'em o Caravaggiu, zwłaszcza że doskonale zdawałam sobie sprawę, jaką przyjemność sprawiłoby mu wysłuchanie tej całej historii, ale im mniej wiedział, tym lepiej.

– Dostałem maila – odezwał się, zanim zdążyłam coś powiedzieć.

– Co?

– Właściwie dwa, spójrz.

Pokazał mi telefon. Pierwsza wiadomość przyszła kilka dni temu, dokładnie wtedy, kiedy wyjeżdżałam do Amsterdamu. Nie było w niej żadnego podpisu, a adres nadawcy niczego nie sugerował – po prostu ciąg liter i cyfr na Gmailu. Treść brzmiała:

Pilnie potrzebujemy skontaktować się z panią Judith Rashleigh. Jeśli może Pan nam pomóc w tej kwestii, prosimy o kontakt.

– Myślałem, że to spam. Albo przekręt, jak maile, w których proszą cię o przesłanie pieniędzy do Nigerii.

W pomarańczowej poświacie grzejnika zbliżyłam ekran do twarzy. Mail z dzisiejszą datą:

Gdzie ona jest, Dave?. Nic więcej.

Zamówiłam wino tylko dla formalności, ale teraz cieszyłam się, że to zrobiłam. Dave patrzył na mnie wyczekująco, gdy pociągałam duży łyk.

– Co tu się, kurwa, dzieje?

Skoro Jermołow był w stanie znaleźć adres mailowy Dave’a, prawdopodobnie znalazł też jego adres zamieszkania. A wątpiłam, by Misza albo jego odpowiednik zabijał czas, przesiadując w pijalni wód z drożdżówką i powieścią Jane Austen.

– Gdzie twoja żona, Dave?

– Teraz? Poszła na zumbę. Powiedziałem jej, że idę do pubu, żeby sprawdzić wynik meczu. Wróci za jakąś godzinę. Dlaczego pytasz?

– Musisz wrócić do domu. Natychmiast. Musisz wziąć coś dla mnie z mieszkania i przynieść prosto tutaj. Pokrowiec. Ten, w którym przysłałam ci pocztą Richtera. Masz go jeszcze?

– Co to ma wspólnego z moją żoną? Nie chcę, żebyś...

Nie musiał kończyć. *Nie chcę, żebyś się do niej zbliżała.*

– Proszę. Jeśli nie będzie jej w domu, wszystko się uda. – Modliłam się, żeby to była prawda. Dave wstał z trudem.

– Nie wiem, czy nadal go mam. Kiedy sprzedawałem obraz, kupiłem nowy, bo...

– Po prostu idź. Teraz. Musisz się pospieszyć. – Głupio mi było to mówić. Wiedziałam, że z powodu protezy Dave będzie miał problem z szukaniem, na przykład z wejściem po drabinie, ale nie śmiałam zasugerować, że mu pomogę. Jego żona mogła wrócić do domu, a gdyby ich mieszkanie było już obserwowane, moja obecność tam zagroziłaby nam wszystkim.

– Nie podoba mi się to.

– Wiem.

– Ale chyba nie mam wyboru. Wrócę jak najszybciej. – Nie tknął piwa. Starłam się zachować na twarzy pokrzepiający uśmiech, kiedy stukając laską, opuszczał parking obok pubu.

Jak długo mu zejdzie? Jak szybko Jermołow kogoś tu przyśle? A może już tu są? Objęłam kolana rękami i zwinęłam się w kulkę, żałując, że nie mogę po prostu się skurczyć i zniknąć.

Powtarzałam sobie w głowie możliwości. To musiał być Richter. Chciałam kupić obraz od Moncady, co zwabiło Renauda Clereta. Wzięłam to niewielkie płótno, gdy Renaud zamordował Włocha, a potem sprzątnęłam Renauda z załatwionego przez Dave’a glocka 26. Na koniec „sprzedałam” Dave’owi obraz, dzięki czemu zdobył fundusze, by zacząć nowe życie. To było zadośćuczynienie za to, że przeze mnie stracił pracę w domu aukcyjnym, ale również, muszę to

przyznać, zapłata za milczenie. Dave nigdy nie pytał, co zamierzałam zrobić z bronią, i nigdy mu o tym nie mówiłam, ale oboje wiedzieliśmy, że obraz jest zapłatą za jego pomoc i dyskrecję. Skoro Jermołow w jakiś sposób dowiedział się o Gentileschi, o paryskim życiu Elisabeth Teerlinc i o śmierci Moncady, to równie dobrze mógł wiedzieć o Richtercie, i najwyraźniej doszedł do tego samego wniosku co ja teraz: w futerale z Richterem znajdował się drugi obraz. Caravaggio. Tamtej nocy w hotelu na Place de l’Odéon na Moncadę czekał ktoś jeszcze. Osoba, która miała odebrać obraz dla Jermołowa i Baleńskiego. Tyle że nigdy go nie dostała, ponieważ zabrałam go ja.

Myślałam, że, idąc za radą hakera, ukryłam informacje o miejscu swojego pobytu, ale równie dobrze mogłabym poinformować o nim, wrzucając zdjęcia na Instagram. *Bardzo mądrze, Judith*. Drzwi pubu otworzyły się za moimi plecami i zadrżałam. Na szczęście to był tylko koleś z paczką bensonów i egzemplarzem „Daily Mail”. Skinął głową w moją stronę i usiadł przy najdalszym stoliku. *Jeśli Misza skrada się jak komandos po okolicy, przynajmniej będę miała świadka*, uznałam. *A jeśli Dave ma futerał, jeśli tu wróci, i jeśli Jermołow zostawi Dave’a i jego żonę w spokoju – błagam! – to nie obchodzi mnie zbytnio, co będzie ze mną*.

Dave’a nadal nie było. Mężczyzna z gazetą zniknął, a barman wyszedł, by wyłączyć grzejniki. Drżałam, kalkulowałam, chowałam głowę w kurtkę, by było mi ciepłej, ale nie mogłam się ruszyć. To był rodzaj pokuty, niekończąca się chwila w angielskim chłodziu. I rodzaj niemego zaklęcia: jeśli będę tak po prostu siedziała, Dave’owi nic się nie stanie. Wreszcie usłyszałam za plecami oczekiwany stukot jego laski.

– Judith? Szukałem cię w środku – powiedział łagodnie. – Po co tu marzniesz? Chodź, wejdźmy do baru.

– Gdzie jest twoja żona?

– Napisała mi, że idą coś zjeść do Wagamamy. Dobrze się złożyło, co?

– Masz?

– Wejdź do środka.

Bar był już pusty, ale właściciel jeszcze nie zamykał, choć wyglądał na zde gustowanego, kiedy przerwaliśmy mu oglądanie meczu Tottenhamu z Man City i zamówiliśmy dwie herbaty. Miałam tak zmarznięte dłonie, że ledwie byłam w stanie utrzymać filiżankę.

– Gdzie to masz?

– Tutaj. Kiedy się tu przeprowadzaliśmy, pozbyliśmy się wielu rzeczy. Zdziwiająco, ile gratów człowiek znajduje przy przeprowadzce.

Futerał leżał na ławie, obok jego kurtki. Dave zostawił go tam, gdy poszedł mnie szukać. Wyglądał na bardzo zadowolonego. Chryste.

– Kiedy sprzedawałeś obraz, no wiesz, tamten, jak opisano go w katalogu?

– „Właściciel anonimowy”, oczywiście.

Oboje zaśmialiśmy się z żartu.

– Ale podczas transakcji, kiedy płacili ci za obraz, mieli twoje dane, numery rachunków, wszystko?

– Oczywiście. To było legalne, prawda? – Dave znów wyglądał na spanikowanego.

– Sprzedaż była w porządku, nie martw się. Próbuję się tylko dowiedzieć, skąd mieli twój adres.

– Więc wiesz, od kogo są te maile?

– Tak.

– Czy to ma związek z twoją ostatnią prośbą? O kontakt z hakerem?

– Tak.

– I?

Cóż mogłam mu powiedzieć? Że naraziłam go na niebezpieczeństwo? Człowieka, który zawsze był dla mnie tak dobry?

– Kiedy byłeś teraz w mieszkaniu, jesteś pewien, że nikt się koło niego nie kręcił?

– Posłuchaj, nie będę pytał, o co chodzi. Ale jeśli moja żona...

– Dobra. Masz jeszcze... no wiesz?

Zafrasowana twarz Dave'a nieco się wypogodziła, a w jego głosie zabrzmiał poważny, profesjonalny ton.

– Tak, mam licencję na moją śrutówkę. Trochę ostatnio poluję na bażanty. Jest aż tak źle?

– Było, ale teraz już będzie lepiej. Kiedy wróci twoja żona, zamknij dokładnie drzwi na klucz. Jeśli ktoś przyjdzie, ktokolwiek, i o mnie zapyta, powiedz, że mnie widziałeś i dałeś mi to – skinęłam głową w kierunku zapinanego na suwak, czarnego, nylonowego futerału na siedzeniu za mną – i że natychmiast wyszłam. Wsiadłam do taksówki, która na mnie czekała. Nie otwierałeś futerału i nie wiesz, co było w środku. Poza tym czy mógłbyś wyjechać na kilka dni?

Spojrzał na mnie w zamyśleniu, a potem przytaknął.

– Pewnie tak.

W tej chwili bardziej niż kiedykolwiek doceniałam fakt, że moja przyjaźń z Dave'em opierała się na milczeniu.

– W takim razie wyjeżdżam jutro, z samego rana. Przepraszam cię, naprawdę – powiedziałam.

– Pójdę już, ale... Wszystko w porządku? No wiesz, w kwestii pieniędzy?

– Kocham cię. – Słyszac to, Dave uniósł brew. – Mówię serio. Ale mam się dobrze, dziękuję.

– Mam jeszcze coś. – Podał mi grubą, brązową kopertę A4. Czułam, że w środku są kartki.

– Pomyślałem, że może mogłabyś rzucić na to okiem – zaproponował

nieśmiało. – Piszę książkę.

– Naprawdę? O czym?

– Chyba o sobie. W ten sposób pomagam centrum, wiesz, temu dla gości, którzy służyli w wojsku.

Dave stracił nogę podczas wojny w Zatoce. Pomoc innym, którzy stracili jeszcze więcej, była zupełnie w jego stylu.

– Jedna z... chyba powinienem nazwać ją terapeutką, zasugerowała, żebym coś napisał. O obrazach. O tym, jak mogą pomóc.

Och, czyżby?

– Brawo, Dave! To wspaniale. Z przyjemnością przeczytam, jeśli mi pozwolisz. Dziękuję. Chociaż pewnie najlepiej będzie, jeśli przez jakiś czas nie będę się z tobą kontaktować. Ale obiecuję, że ją przeczytam. I mam coś dla ciebie.

Wręczyłam mu książkę, którą kupiłam na stacji Paddington. Dave uwielbiał krwawe, oparte na faktach kryminały.

– *Cień przy moim boku. Nowe życie Teda Bundy'ego.* Jak za dawnych czasów.

Kiedy wyszedł, z głośników telewizora nagle rozległ się krzyk. Pobiegłam za nim do drzwi i zawołałam, kiedy szedł już ulicą. Odwrócił się do mnie w poświacie latarni.

– Man City. Wygrali dwa do zera.

Uniósł rękę, jakby chciał mi zaszutować. Patrzyłam, jak odchodzi, a potem ostrożnie zaniósł futerał na górę. Przeglądając w tandetnym pokoju swój dobytek, czułam się jak żebraczka. Zostało mi około czternastu tysięcy euro w gotówce, futerał i mnóstwo drobiazgów, które zawsze mogą się przydać. Na przykład zegarek, mój piękny vacheron. Spojrzałam na niego i spostrzegłam, że już prawie jedenasta. Nie było sensu o tej godzinie wracać do Bath i dalej, do Londynu. W portfelu miałam kwit do szafki w przechowalni bagażu w Lille, gdzie zostawiłam Caracala. Rozłożyłam go wcześniej w kabinie damskiej toalety i wcisnęłam do plastikowej kosmetyczki Hello Kitty kupionej w Relais H. To oznaczało, że będę musiała wrócić przez Lille. Wielkie zawracanie dupy, ale uznałam, że nie ma mowy, bym próbowała przejść przez kontrolę bezpieczeństwa na francuskim dworcu z trzema dowodami tożsamości i bronią.

W pubie na dole było cicho. Barman wyłączył kanał sportowy i słyszałam jedynie delikatny szum zmywarki. Podskoczyłam na dźwięk zwalniającego pod budynkiem samochodu, nad wyraz głośny w głębokim, wiejskim mroku, i instynktownie podeszłam do drzwi. Wstrzymałam oddech, czekając na trzaśnięcie drzwi frontowych i ciężkie kroki na schodach, ale kierowca zmienił bieg i zniknął w ciemnościach nocy. Nie włączając górnego światła, na kolanach podeszłam do okna i odchyliłam lekko zasłonę. Zobaczyłam jedynie wiejską uliczkę spowitą w poświacie latarni i kilka okien, z których biła niebieska łuna od telewizora.

Przeciągnęłam się i próbowałam się zrelaksować, ale w myślach stale powtarzałam słowa tamtych maili. Coś mi umknęło. Dlaczego Jermołow miałby to zrobić? To było zbyt... nieudolne. Jeśli chciałby nastraszyć Dave'a, po prostu by to zrobił. Tak jak rozprawił się z moim mieszkaniem, galerią, z biedną Maszą. Maile wyglądały na dzieło kogoś z mniejszą ilością środków, a nie człowieka dysponującego małą, prywatną armią. Cieszyłam się, że ostrzegłam Dave'a, by był ostrożny, ale coś mi tu nie grało. Dlaczego sprawca nie wysłał kogoś, by włamał się do mieszkania Dave'a? Może pomyślał, że Dave, jeśli miał obraz, mógłby się przestraszyć i spróbować się ze mną skontaktować. Z tego, co powiedział mi haker, w ten sposób sprawca mógłby mnie namierzyć. A jeśli maile to jedynie przynęta, która miała mnie zbić z tropu? Może nawet teraz jakiś samochód sunął autostradą na północ, w kierunku Liverpoolu, do mojej matki...

„Zmiękczenie”. Sprawca starał się mnie zdezorientować, zwabić, złapać w pułapkę. Nie mogłam mu na to pozwolić. Teraz miałam obraz, więc układ sił uległ zasadniczej zmianie. Musiałam jedynie zachować spokój, ale im dłużej sobie to powtarzałam, tym bardziej czułam się poirytowana. *Z jakiego, kurwa, powodu miałabym być spokojna?* Zmusiłam się, by wziąć prysznic, na który czekałam od rana. Owinęłam włosy ręcznikiem, założyłam koszulkę i majtki. Dokładnie wytarłam dłonie i, nie nałożywszy żadnego kremu, ponownie podeszłam do futerału. Jak się spodziewałam, główna kieszeń, w której kiedyś znajdował się Richter, była pusta. Używając pęsety do rzęs, ostrożnie zrobiłam małą dziurkę w materiale, potem rozdarłam go, milimetr po milimetrze, wzdłuż dłuższego boku, aż byłam w stanie wyjąć spod podszewki cienką, woskowaną kopertę. Była zaklejona taśmą. Zagotowałam wodę w stojącym w pokoju czajniku i w napięciu umieściłam kopertę piętnaście centymetrów nad dziobkiem, by para zmiękczyła klej. W końcu odkleiłam taśmę, a kiedy zobaczyłam, co było w środku, pomimo potwornej absurdalności sytuacji, w jakiej się znajdowałam, zaśmiałam się.

Jak tylko się obudziłam, wyszłam pobiegać. Sześć, osiem kilometrów w szybkim tempie i lodowatej mżawce, wzdłuż przelotowej trasy do Bath, w spalinach ciężarówek, wśród pogardliwych spojrzeń kierowców szkolnych autobusów. Pokonywałam asfaltową trasę, aż zaczęło mnie palić w płucach i poczułam, że oczyściłam umysł. Kiedy przemoczona wróciłam do pubu, właściciel walczył z odkurzaczem i słuchał Radia 2. Zamówiłam pełne angielskie śniadanie: kiełbaski, bekon, grillowane pomidory, gęstą fasolkę w sosie pomidorowym, grzyby, jajka sadzone i smażony chleb, a potem, korzystając ponownie z telefonu w pubie, zamówiłam taksówkę do Bath. Godzinę później Caravaggio i ja znów byliśmy w drodze. Niedaleko stacji poszłam do Costa Coffee i usiadłam w rogu z telefonem na kartę i okropnym karmelowym frappuccino. Wytarłam rękawem cukier ze stolika i położyłam na nim notes, w którym przed wyjazdem z Wenecji zapisałam wszystkie kontakty. A potem wybrałam numer

doktora Kazbicha. Nie spodziewałam się, że odbierze, i rzeczywiście – usłyszałam długie, powolne, przerywane dźwięki europejskiego sygnału, a następnie włączyła się poczta głosowa. W taksówce ćwiczyłam treść wiadomości:

Doktorze Kazbich, wie pan, kto dzwoni. Mam to, czego szuka pana mocodawca. Będę się z panem kontaktować. Proszę nie szukać w Anglii, inaczej to zniszczę. Widziałam, jak to się robi, więc wie pan, że potrafię.

Po drugiej stronie ulicy szwendali się znudzeni nastolatki z prowincji, naśladowujący najlepiej, jak potrafili, londyńskie trendy, a dalej pięć ładnych amerykańskich turystek na wycieczce przechadzało się, ściskając egzemplarze *Opactwa Northanger*. Wstukałam z pamięci numer Dave'a i napisałam do niego:

Daj znać, czy wszystko w porządku. Zadzwoń za kilka dni. Jak zwykle dziękuję za wszystko. Całuję.

Obracając mały telefon jak kartę do gry, zaczęłam, aż Dave odpisał:

Na razie wszystko gra. Trzymaj się. Ściskam.

Potem weszłam do toalety z wygodnym, nisko umieszczonym uchwytem dla niepełnosprawnych, owinęłam komórkę w papier toaletowy i wcisnęłam ją do kosza na podpaski. *Powodzenia w poszukiwaniach, Misza.*

Kto wiedział, że tamtej nocy Moncada ma być w hotelu na Place de l'Odéon? Ja. Oraz sam Moncada i Renaud Cleret, ale żaden z nich nie był już w stanie nic powiedzieć. I Romero da Silva, kolega Renauda z włoskiej policji. No i człowiek, który miał odebrać obraz. Kim był i kto go przysłał? Musiał działać na polecenie Baleńskiego lub Jermołowa. Ale Jermołow wiedział też o mnie, o Gentileschi. Logicznie rzecz biorąc, owa tajemnicza osoba musiała być łączącym ogniwem. Świadkiem, który, jakimś sposobem, skojarzył fakty i powiedział o mnie Jermołowowi. Czy w takim razie był to Kazbich, czy ktoś inny? Wiedziałam, że dopóki nie znajdę odpowiedzi na to pytanie, nie będę bezpieczna. Zwrot obrazu nie wystarczy. Dlatego musiałam pojechać do Paryża. Przez to cholerne Lille.

Dwa dni później, idąc przez ogrody Tuileries w kierunku Place de la Concorde, przypominałam sobie pierwszą rozmowę z Renaudem Cleretem – na mrozie, na ławce we wspomnianych ogrodach. To dziwne, jak działa pamięć, co z niej ulatuje, a co zostaje. Renaud mnie wykorzystał, a ja odpłaciłam mu należycie, lecz kiedy żwir na równych alejkach chrząścił mi pod butami, myślałam jedynie o naszych dobrych momentach, jak robiliśmy wspólnie zakupy na targu obok mojego dawnego mieszkania, niedaleko Panteonu, jak Renaud człapał za mną po mokrej trawie w ogrodzie Luksemburskim, jak wspólnie czytaliśmy w milczeniu gazety, a słońce malowało wzory na parkiecie w moim mieszkaniu. A przecież terapeuta mógłby zasugerować, że mam trudności z angażowaniem się w związek, skoro jedyna moja relacja, która choć trochę przypominała związek, skończyła się dekapitacją. Dotarłam do ławki, na której Renaud otulił mnie swoją marynarką i szantażem zmusił do pomocy. Przez chwilę stałam przy niej w spalinach samochodów, a potem powoli przeciągnęłam ręką po jej zielonym, drewnianym oparciu.

Zaraz po przyjeździe do Paryża zaopatrzyłam się w nowy telefon i laptopa, płacąc, oczywiście, z kurczących się zapasów gotówki. Czytałam doniesienia prasowe na temat śmierci Moncady na długo przed tym, jak Jelena pokazała mi swoją teczkę z wydrukami, ale teraz raz jeszcze przejrzałam rubryki kryminalne. Wydawało się, że policja jest dziwnie niezainteresowana sprawą. Francuska prasa ledwie wspomniała o dochodzeniu w sprawie zabójstwa nieznanego mężczyzny w paryskim hotelu, a następnie poinformowała, że ofiara była narodowości włoskiej. Nic więcej. We włoskich gazetach nie było na ten temat żadnej wzmianki. Przeszukałam doniesienia prasowe pod kątem informacji o dochodzeniach prowadzonych mniej więcej w czasie, gdy zginął Moncada, ale bez rezultatu. Grzebanie się w transgranicznych dokumentach dwóch rozmiłowanych w biurokracji państw było tak nudne, że aż chciało się płakać. Z wytycznych dotyczących wywożenia z kraju ciała zmarłego cudzoziemca wywnioskowałam jedynie, że śledztwo przeprowadzi policja włoska, choć niekoniecznie z dostępem do francuskiej dokumentacji. (Swoją drogą, okazuje się, transport zwłok wiąże się z szaleniem rozbudowaną i zagmatwaną papierkologią, więc jeśli twoja babcia umrze podczas wycieczki autokarowej po Dordogne, jej zwłoki bardzo łatwo mogą się zawieruszyć, co samo w sobie jest niezwykle niepokojące.)

Również w sprawie Ivana Kazbicha nie poczyniłam żadnych postępów. Poza jedną maleńką wzmianką na temat jego galerii w Belgradzie, która wystawiała tradycyjne ikony obok mało ambitnych, współczesnych dzieł, obecność Kazbicha w Internecie przypominała czarną dziurę: żadnych zdjęć, żadnych informacji.

Zastanawiał mnie fakt, iż mężczyzna, który przez tak długi czas był aktywnym i znaczącym marszandem, wystarczająco rozpoznawalnym, by pracować dla kogoś takiego jak Jermołow, zostawił po sobie tak niewiele śladów. Po wielu godzinach straconych na sprawdzaniu nawet mało prawdopodobnych, choć teoretycznie powiązanych haseł, nadal nie miałam zupełnie nic. Kilka razy wracałam na Place de l'Odéon z nadzieją, że widok hotelu przywoła jakieś wspomnienia, ciąg zdarzeń, ale jeśli nawet istniały jakieś ukryte wskazówki, to były one zamknięte w głębokich zakamarkach mojej pamięci.

Tak więc przechadzałam się bez celu po Paryżu, zwiedzając jego turystyczne atrakcje i rozmyślając, gdzie jeszcze szukać informacji. Nie pomagał mi fakt, że Paryż przestał być moim domem. Miasto, które kiedyś tak bardzo kochałam, zdradziło mnie z duchami. Jeśli mieszkaliśmy gdzieś przez pewien czas, wówczas po powrocie miejsce to przypomina palimpsest, na którym pozostają zapisane cienie jego dawnych odsłon. Zakurzony, zatłoczony, zakorkowany Paryż drażnił się ze mną, stawiając mi przed oczami moje poprzednie wcielenia, z których wszystkie wołałam od mojego obecnego. Mieszkałam tu przez krótki czas jako studentka, potem wróciłam, by otworzyć galerię, spędziłam kilka intensywnych, intymnych tygodni z Renaudem, kochankiem i prześladowcą. Bez względu na to, jak bardzo starałam się unikać dawnych duchów, nadal wracały, by mnie nawiedzać.

Pewnego popołudnia, na rue de Turenne, w dzielnicy Le Marais, leniwie przerzucałam w butiku stertę absurdalnie drogich, szarych bluz, kiedy w lustrze za plecami dostrzegłam odbicie Yvette. Stylistka przez pewien czas była moją, powiedzmy, przyjaciółką – w każdym razie okazała się dość użyteczna. Towarzyszyła mi podczas jednego z naszych regularnych polowań w klubie dla swingersów La Lumière, tej nocy, kiedy niestety byłam zmuszona zastrzelić jego właściciela. Na szczęście jej nie musiałam zabijać.

Sklep był mały, a ona stała pomiędzy mną a drzwiami, usilnie przekonując sprzedawczynię, że wybiera stroje do „sesji”. Włosy Yvette były teraz splecione w piramidę kobaltowych dredów pasujących odcieniem do sięgających uda kowbojek Vetements, które z pewnością buchnęła z planu. Uśmiechnęłam się na myśl o tym, że nadal działa w show-biznesie, ale pochyliłam głowę nad bluzami, modląc się, by wyszła, nie zauważywszy mnie. Oczywiście, natychmiast mnie zobaczyła.

– Lauren?

Yvette, tak jak Steve, знаła moje prawdziwe drugie imię. Przybrałam zaskoczony wyraz twarzy, obciągając rękaw, by zakryć zegarek – jedyną rzecz, jaką miałam na sobie, którą mogła rozpoznać z okresu naszej znajomości.

– Przepraszam? – odrzekłam po angielsku.

– *Mais, c'est toi, non?*

– Przepraszam, nie mówię po francusku. – Uśmiechnęłam się uprzejmie, jak bezradna, jednojęzyczna Angielka.

– Ach, przepraszam – odpowiedziała Yvette po angielsku z mocnym francuskim akcentem i wróciła do negocjacji. Podeszłam do drzwi i skinęłam głową w stronę sprzedawczyni.

– Dziękuję! – zaszczębiotałam radośnie. Yvette posłała mi długie, uważne spojrzenie, kiedy ją mijałam, a potem czułam jej wzrok na plecach przez całą drogę wzdłuż ulicy. Przynajmniej różnił się on od spojrzeń, które, jak podejrzewałam, śledziły każdy mój krok. Miałam wrażenie, że podczas spacerów po moim utraconym mieście towarzyszą mi nieustannie zbiry Jermołowa, co powodowało już u mnie nerwowe tiki.

Zapłaciłam z góry gotówką za dwutygodniowy pobyt w Herse d’Or, niedaleko stacji metra Bastille i cudownych ogrodów na Place des Vosges. Wybrałam ten hotelik, bo rozbawiło mnie skojarzenie jego nazwy z angielskim „hearse”, czyli „karawan”, a poza tym pokój był stosunkowo tani, około stu euro za noc. Mój plik banknotów kurczył się w zastraszającym tempie, a nie wiedziałam, na jak długo jeszcze będzie mi musiał wystarczyć. Drzwi pokoju były zaopatrzone w zamek oraz łańcuch, ale podejrzewałam, że nie na wiele się zdadzą, jeśli Misza zechce mi złożyć wizytę. Również ściany były tak cienkie, że każdej nocy oblewał mnie paranoiczny pot i budziłam się na dźwięk najdrobniejszego ruchu na półpiętrze. Przy każdym przyjsciu i wyjściu pytałam chińskiego konsjerża, czy ktoś chciał mnie odwiedzić albo zostawił jakąś wiadomość. Wiedziałam, że widzi we mnie jedynie irytującą lokatorkę przeszkadzającą mu w nieustającej grze w pokera w sieci, ale lubiłam sobie wyobrazać, że patrzy na mnie jak na romantyczną, beznadziejnie zakochaną dziewczynę czekającą na randkę. Po rozmowie z kenijskim hakerem byłam pewna, że z technicznego punktu widzenia prawdopodobieństwo zlokalizowania mnie przez Jermołowa jest niskie, ale logika to kiepska ochrona przed bezsennością. Było jeszcze tak wiele niewyjaśnionych wątków, tyle jeszcze do odkrycia. O czwartej rano nawet Yvette wydawała mi się zagrożeniem. Próbowałam ustalić sobie plan dnia – bieganie nad rzeką, spacer na rue Vivienne za Palais Royale, by skorzystać z komputera w tamtejszej bibliotece, przegnębiający lunchowy piknik z produktów kupionych w miejscowym minimarkecie Franprix – ale po kilku dniach byłam cała obolała ze strachu.

Stąd pomysł na orzeźwiający, przyjemny spacer do Luwru, który skończył się tym, że siedziałam na ławce i gapiłam się jak wiejski głupek. Przyszłam z biblioteki na rue Vivienne, gdzie przeglądałam mikrofilmy z artykułami z francuskiej prasy, w których figurowało słowo „oligarchowie” (byłoby o wiele łatwiej, gdybym złożyła wniosek o dostęp internetowy, ale w moim obecnym, gotówkowym wcieleniu było to niemożliwe). Próbowałam zrozumieć, chociaż trochę, co osoba związana z Jermołowem lub Baleńskim mogła robić tamtej nocy

na Place de l'Odéon. Nie liczyłam zbytnio, że coś znajdę, ale w jednym z artykułów w „Le Figaro”, ulubionej gazecie Renauda, wspomniano nazwisko Baleńskiego. Człowiek ze Stanu został sfotografowany rok wcześniej podczas nabożeństwa żałobnego w intencji Oskara Ralewskiego, mieszkającego w Paryżu polskiego prawnika, który wraz z pilotem zginął w katastrofie swojego małego prywatnego samolotu w drodze do Szwajcarii. We mszy, która odbyła się w soborze Świętego Aleksandra Newskiego na rue Daru, wziął również udział niejaki Paweł Jermołow. Obaj oligarchowie pilnowali, by nie sfotografowano ich razem, ale ta historia idealnie łączyła się z faktem, że firma Ralewskiego reprezentowała całą chmarę rosyjskich nuworyszy. W artykule cytowano książkę pewnego brytyjskiego dziennikarza – sensacyjną analizę dotyczącą przenikania rosyjskich pieniędzy na najwyższe szczeble europejskiej polityki. Autor sugerował, że śmierć Ralewskiego MOGŁA NIE BYĆ WYPADKIEM. Z braku lepszego zajęcia postanowiłam wstąpić do angielskiej księgarni na rue de Rivoli, by sprawdzić, czy mają egzemplarz tej książki. Wstałam i przeciągnęłam się, niczym pajęczynę strzepując z szyi zapamiętany zapach marynarki Renauda.

Notka biograficzna przedstawiała Bruce'a Eakina jako, ni mniej, ni więcej, „niezależnego bojownika internetowego”. Jaskraworóżowa okładka jego książki obiecywała rewelacje z poufnych źródeł na temat „sekty” oligarchów i została opatrzona ilustracją przedstawiającą dymiącą broń i chwiejący się stos euro, na wypadek gdyby ktoś nie zrozumiał przekazu. Przerzucając strony, odniosłam wrażenie, że poszukiwania zaprowadziły autora najwyżej na strych rodziców, gdyż większość z jego „rewelacji” była dość przewidywalnym kolozem informacji powszechnie dostępnych w Internecie. Na szczęście na końcu zamieszczono indeks, więc sprawdziłam, gdzie znajdę fragment dotyczący Ralewskiego. Prawnik miał bliskie relacje zawodowe zarówno z Baleńskim, jak i Jermołowem oraz wieloma ich rodakami. Eakin drobiazgowo analizował szczegóły wypadku. Robił, co mógł, by nadać okolicznościom złowieszczy charakter, ale biorąc pod uwagę fakt, że samolot zderzył się z alpejskim szczytem podczas nagłej burzy z piorunami, przy zerowej widoczności, pomyślałam, że biedny Ralewski mógł mieć zwyczajnie pecha. Autor zamieścił też w publikacji reprodukcję zdjęcia Baleńskiego. Kolejny raz przyjrzałam się ziemistej twarzy. Obok Baleńskiego, ściskając mu dłoń, stał wyższy, siwy mężczyzna. Podpis pod zdjęciem brzmiał: „Baleński z Edouardem Guiche'em, współnikiem w kancelarii Saccard Rougon Busch, na nabożeństwie żałobnym w intencji Ralewskiego”. Wróciłam do indeksu, ale Guiche w nim nie figurował. Czując na plecach surowe spojrzenie dziewczyny za kasą, odłożyłam dzieło Eakina na półkę i przeszłam się po dziale z książkami o sztuce. Często przychodziłam do tej księgarni za studenckich czasów, zanim słyszane wokół francuskie dźwięki zaczęły się układać w sensowne treści, i pochłaniałam, ile tylko się da, z nieosiągalnych dla mnie finansowo publikacji, aż

wzrok podobnej dziewczyny wyganiał mnie z księgarni.

Co umyka z pamięci, a co w niej zostaje? Guiche był starszym prawnikiem w kancelarii, która reprezentowała Baleńskiego we Francji. Skoro Jermołow wziął udział w nabożeństwie, to być może ta sama kancelaria obsługiwała również jego? Niby niewiele, ale to było pierwsze prawdziwe powiązanie, jakie odkryłam. Wróciłam do kasy i kupiłam książkę Eakina. Następnie wypięłam gorącą czekoladę w kawiarni Angelina's, tak gęstą, że łyżka stawała, szybko zajrzałam do sieci i już byłam w drodze do Place des Victoires, na skraju 1. dzielnicy, gdzie kancelaria Saccard Rougon Busch zajmowała dom w stylu Ludwika XIV, z widokiem na pomnik króla. W Internecie wspomniano o firmie jako należącej do „zaklętego kręgu” francuskich prawników specjalizujących się ponoć „w przejęciach i usługach dla najbardziej wymagających klientów”. Pomysł, by ot tak zadzwonić do drzwi i po prostu zapytać o *monsieur* Guiche'a, wydawał się niezbyt rozsądny, więc zaczęłam się na niego opodał wejścia. Oglądałam witryny sklepowe w eleganckich butikach na placu i ukradkiem zerkałam na drzwi, które od czasu do czasu otwierały się, by wpuścić serię niemal identycznych mężczyzn w dobrze skrojonych ciemnych garniturach. Po około godzinie mój wysiłek został nagrodzony i dostrzegłam samego Guiche'a, jak rozmawia z koleżanką z pracy, wsiada z nią do czekającej taksówki i odjeżdża. Nie mogłam się oprzeć pokusie, by wskoczyć do kolejnej i kazać kierowcy ich śledzić, ale zatrzymanie taksówki w Paryżu jest niemożliwe, więc powlokłam się z powrotem do „Karawanu” i kopałam dalej.

Po jakimś czasie trafiłam na strony internetowe Francuskiego Towarzystwa Adwokatów, z których dowiedziałam się, że Edouard Guiche został współnikiem po śmierci Ralewskiego i że przez ostatnie dziesięć lat jego kancelaria, za pośrednictwem szwajcarskiej firmy, dokonywała transakcji na rynku nieruchomości, handlując, między innymi, budynkami mieszkalnymi w Paryżu, Clermont-Ferrand i na Lazurowym Wybrzeżu. Szperałam dalej i odkryłam, że Baleński figurował jako dyrektor owej szwajcarskiej firmy i różne francuskie miasta wystawiały jego pracownikom pozwolenia na pracę. Wszłam na kilka rosyjskich stron, ale mój zasób słownictwa nie był wystarczający, by zrozumieć ich treść. Wszystko wydawało się stosunkowo trywialne jak na „oligarchę”, gdyż każda osoba posiadająca majątek i zainteresowania Baleńskiego lub Jermołowa prawdopodobnie miałaby rozsianą po całym świecie armię gotowych na każde zawołanie prawników. Nie spodziewałam się, że Guiche doprowadzi mnie wprost do rozwiązania zagadki z Place de l'Odéon, ale w poszukiwaniach tajemniczego świadka wydarzeń tamtej pamiętnej nocy nie miałam innych tropów.

Dlatego też przez następne dni wracałam na Place des Victoires. Trzeciego dnia, około piątej po południu zobaczyłam, jak Guiche wychodzi z biura i rusza w kierunku rzeki. Szedł energicznie, niosąc pokaźną teczkę. Nie wiedziałam wiele

o technikach obserwacji, poza tym, czego się nauczyłam z powieści szpiegowskich, ale śledzenie go nie było trudne, zwłaszcza że jego robione na zamówienie brogry Aubercy podbito mosiądzem i stukwały na płytach chodnikowych jak szpilki. To było naprawdę zabawne. Guiche ruszył w kierunku Hôtel de Ville, przeprowił się przez most Pont Marie na Wyspę Świętego Ludwika, a potem szedł Quai d'Anjou, trzymając się lewej strony. Odwiedziłam wyspę tego wieczoru, gdy pierwszy raz rozmawiałam z Renaudem, i przy ostatnim spotkaniu, kiedy upuściłam jego głowę w nurt Sekwany.

Guiche zatrzymał się, wyjął telefon i wystukał numer. Rozmawiając, cały czas rozglądał się po ulicy i rzece, jakby kogoś szukał. Czyżby mnie zauważył? W końcu schował telefon i wyjąwszy pęk kluczy, które błyszczały na tle jego ciemnej marynarki, ruszył dalej, teraz już wolniej. *Wraca do domu?* Zatrzymał się przed budynkiem na końcu *quai*, niedaleko północno-wschodniego rogu wyspy, i wtedy wydarzyło się coś dziwnego. Guiche postawił teczkę i zaczął otwierać zwykłe, czarne, frontowe drzwi, gdy zawołał go młody mężczyzna zbliżający się od strony Pont de Sully. Guiche odwrócił się, najwyraźniej rozpoznał chłopaka i gestem kazał mu odejść. Zbliżyłam się, wciąż obserwując rzekę, i wyjąwszy własny telefon, udawałam turystkę filmującą przepływające łodzie. Włączyłam aplikację z lusterkiem i obserwowałam obydwu mężczyzn przez ramię.

Przybysz, który zaczął Guiche'a, był właściwie chłopcem, miał około dwudziestu lat. Ciemne włosy, szalenie piękna twarz, a do tego ciało tancerza. Gdy próbował odwrócić opornego prawnika w swoją stronę, kurtka chłopaka (zeszłoroczny model Valentino, agresywne ćwieki na kołnierzu) delikatnie się rozchyliła i przez chwilę mogłam podziwiać smukłe linie i wyrzeźbione mięśnie. Lekki grymas wokół jego zbyt czerwonych ust przywiódł mi na myśl pięknego, drwiąco uśmiechniętego *Amora* Caravaggia. Na nadgarstku chłopaka błysnęła złoty zegarek, ale spodnie i buty wyglądały na tanie. Ciekawe. Guiche odwrócił się, by z nim porozmawiać. Nie wyglądało mi to na kłótnię, raczej chłopak prosił o coś prawnika, bo na jego twarzy pochlebstwo mieszało się z błaganiem. Adwokat potrząsnął głową, otworzył drzwi, ale po chwili zmienił zdanie i odwrócił się, by coś powiedzieć. Chłopak przytaknął i ruszył drugą stroną ulicy w tę stronę, skąd przyszłam. Drzwi się zamknęły. Odwróciłam się, schowałam telefon i przeszłam przez ulicę w kierunku budynku. Zamarłam, kiedy drzwi otworzyły się z lekkim kliknięciem. Jednak Guiche nie widział nikogo poza chłopakiem. Stał w bramie i patrzył, jak tamten odchodzi – do chwili, gdy młodzieniec skręcił w lewo, w kierunku rue Saint-Louis-en-l'Île i zniknął mu z oczu. Jak tylko usłyszałam, że drzwi ponownie się zamknęły, pobiegłam śladem chłopaka i skręciłam w główną ulicę. Teraz, o zmierzchu, była pełna ludzi wracających do domu z zakupami i turystów wychodzących wcześniej do restauracji. Rozglądałam się w poszukiwaniu błyszczącej bransolety zegarka. Chłopak był już w połowie mostu.

Zmierzał w kierunku Notre Dame. Przyspieszyłam i z ulgą zauważyłam, że zatrzymał się, by zapalić papierosa. Zblazowany spoglądał w dół na Sekwanę. Wiedział, że jest ładny.

Podczas gdy chłopak palił, wyjęłam tani, jaskrawopomarańczowy szal z mieszanki jedwabiu i wełny, który kupiłam wcześniej na jednym ze stojących wzdłuż rzeki straganów. Planowałam użyć go jako kamuflażu, kiedy śledziłam Guiche'a. Wiedziałam, że jeśli teraz chłopak mnie zobaczy, zwróci na niego uwagę i zapamięta, więc kiedy zdejmę szal, ponownie stanę się niewidzialna. Przynajmniej tak twierdzi John le Carré. Chłopak skończył papierosa, wrzucił niedopałek do wody, odruchowo sprawdził telefon i ruszył dalej. Musiałam przyznać, że śledzenie ludzi to niezła frajda. Jak pisał Baudelaire, to jak „być w środku świata i w ukryciu zarazem. Obserwator – to księżę, który wszędzie zachowuje incognito”¹. Chyba to właśnie uczucie lubiłam najbardziej – wrażenie kompletnej anonimowości, kiedy zupełnie nikt nie wie, kim jesteś i gdzie.

Z łatwością śledziłam chłopaka do fontanny Saint-Michel, a potem wąskimi uliczkami Dzielnicy Łacińskiej, straszącej szyldami budek z kebabami. Zrobiło się zimno, toteż ucieszyłam się, kiedy wszedł do jednego z barów i mogłam się schronić w pachnącym fryturą ciepło. Udawałam, że czytam tablicę z menu, podczas gdy chłopak witał się przez ladę z mówiącym po arabsku młodym sprzedawcą, który smażył frytki. Czekałam w kolejce, oni zaś gawędzili, nie zważając na coraz bardziej zniecierpliwionych klientów. W końcu obsługujący wrzucił ramionami, zrobił zawinięty w pitę kebab z kurczaka z dużą porcją sałatki i frytek i podał go chłopakowi, kiwając głową i mrugając porozumiewawczo. Kiedy ten sięgnął po danie, zauważyłam, że jego zegarek to rolex. Wyglądał na oryginalny. Dlaczego facet z takim zegarkiem żebrze o szoarmę? Wyszedł na zewnątrz i stanął przy jednym z dwóch wysokich stolików. Pijąc kawę, patrzyłam, jak rozkłada kebab i ostrożnie wkłada kawałki do ust, najwyraźniej nie chcąc pobrudzić ubrania ani rąk. Potem ruszyliśmy dalej, najpierw do pobliskiego McDonalda, gdzie wskoczył, by skorzystać z toalety, a potem znowu przez rzekę, w kierunku Centre Pompidou, i dalej na wschód. Stanowił łatwy cel, ponieważ co kilka przecznic zatrzymywał się, by zerknąć na telefon. Trasa była jednak długa i chociaż miałam sucho w ustach po espresso, nie chciałam się zatrzymywać po wodę, by go nie zgubić. Wałęsał się przez mniej więcej godzinę. Kiedy w końcu usiadł przed kawiarnią w Belleville, było po ósmej. Znajdowaliśmy się w części miasta, do której kiedyś w życiu bym się nie wybrała. Nawet stoliki kawiarniane wyglądały tak, jakby patrzyły z pogardą na to, co się stało z ich dzielnicą. Niechętnie rozwiązałam szal i zajęłam miejsce na końcu tarasu. Kelner zupełnie się nie spieszył, by przyjąć jakiegokolwiek zamówienie, w końcu jednak dostałam okropne beaujolais, a chłopak ricarda. Wiedziałam, że zostawia ładny zapach w ustach. Sączyłam swoje wino powoli, czekając na kolejny krok śledzonego

„obiekty”. Miałam wrażenie, że trwało to rok. Chłopak stukał bez celu na telefonie, a ja czytałam najnowszego Houellebecqa, od czasu do czasu rzucając ukradkowe spojrzenia i wykrzywając twarz po każdym łyku.

Miałam pewność, że do tej pory chłopak mnie nie zauważył, ale na tarasie zajęte były tylko dwa inne stoliki i kiedy przewracałam kartkę, poczułam na sobie jego spojrzenie. Wystudiowany brak zainteresowania mógłby wydać się podejrzany, podniosłam więc głowę i na chwilę nasze spojrzenia się spotkały. Jego grube, czarne rzęsy zatrzepotały zalotnie. Ponownie spojrzałam w książkę. Chwilę później chłopak wstał. Już wcześniej położyłam na spodku kilka monet, by móc ruszyć natychmiast razem z nim, ale odczekałam parę sekund, związując włosy w kucyk i patrząc, jak zdecydowanym krokiem idzie na róg ulicy. Wcześniej szwendał się dla zabicia czasu, lecz teraz miał coś konkretnego do załatwienia. Trzymałam się jakieś trzydzieści metrów za nim, mając go stale na oku. Ominęłam kobietę w stroju w jaskrawe afrykańskie wzory, pchającą skrzypiący wózek dziecięcy, i samochód chłodnię, z którego wypakowywano towar przed sklepem z mięsem halal. Chłopak skręcił w ślepią uliczkę, wzdłuż której ciągnęły się szare budynki mieszkalne. Zobaczyłam przed sobą okropny nowoczesny blok tworzący pionową ścianę bez przejścia, ohydny nawet według standardów Dwudziestej *arrondissement*. W drzwiach, pod migającym neonem siedział przy stole stary Arab w burej dzellabie, pochłonięty układaniem pasjansa. Witając się z chłopakiem, niepokojąco błysnął złotymi zębami. Młody wszedł do holu, skręcił w prawo, w stronę tabliczki oznaczającej wyjście, i zszedł piętro niżej. *Może tam mieszka?*, pomyślałam.

Portier nie podniósł wzroku znad kart.

– Koleżanka Oliviera? – zapytał bez ogródek.

– E, tak.

Kimkolwiek jest Olivier.

– Dwadzieścia.

Podaliśmy mu banknot i weszłam za chłopakiem do środka.

Za życia Caravaggia ludzie wciąż jeszcze odkrywali nowe, nieznanne światy, nie zdając sobie sprawy z tego, że jedna z takich krain kryje się pod powierzchnią codziennego życia w całej Europie, od słowiańskich stepów po maleńkie, otoczone murkami angielskie pola. Ci, którzy ją znali, nazywali ją „krajem cieni”. Stosowane w niej metody nie wykraczały poza atrament sympatyczny i łacińskie szyfry, a tempo akcji dorównywało prędkości konia w galopie, jednak jej mieszkańcy, zwani „szpiegami”, byli w stanie na nowo wyznaczać granice królestw, masakrować całe miasta, wybrać papieża i oczernić królową. Idąc za chłopakiem, pomyślałam, że poradzilibyśmy sobie w tym świecie – my, których żywiołem jest *la nuit*. Rozpoznawaliśmy swoich, dochowywaliśmy sekretów, przynajmniej do rana. Szukałam tego świata, kiedy pierwszy raz mieszkałam w Paryżu, potem

odnalazł mnie w nim Renaud, a teraz, u stóp obsikanych, betonowych schodów, za opuszczoną pralnią samoobsługową, kolejny raz znalazłam się w domu.

Miejsce zupełnie nie przypominało modnych klubów, do których chodziłam z Yvette, chociaż w Londynie czy na Manhattanie byłoby hipsterską żyłą złota. Kiedy mijałam dwubębnowe pralki i obskurną łazienkę, piwnica wyglądała jak każda inna – nie licząc czerwonej tapety z wypukłym wzorem. Za to tłum w klubie natychmiast mi się spodobał. Mieszanka zagubionych swingersów z przedmieść, burżuazyjnej bohemy z kulturalnego centrum Paryża oraz odurzonych transwestytów ubranych jak banda bibliotekarek w dzielnie wypolerowanych czółenkach w rozmiarze jednaście i z zarostem schowanym pod staromodnym podkładem, zanurzonych w kulturze, która nagle wymaga obcięcia fiuta, by udowodnić szczerą intencję. Ogólnie rzecz biorąc, przygnębiający widok, ale to też mi się podobało.

Lokal był raczej burdelem niż prawdziwym klubem dla swingersów. Kilku zdenerwowanych mężczyzn w stanie zaprzeczenia – w tanich garniturach wyglądali na kierowników średniego szczebla – wybierało sobie partnerów spośród grupki ciotowatych chłoptasiów, dąsających się i zrządzających przy barze. Wcale się nie dziwiłam, kiedy mój „obiekt” do nich dołączył. Wyglądał na takiego. Po jakimś czasie przeprosił kumpli i wśliznął się do pomieszczenia – z pewnością był to darkroom – z dość młodym gościem, który przechodząc za chłopakiem przez aksamitne kotary, obracał na palcu obrączkę. Pojawili się ponownie nie więcej niż dziesięć minut później, kiedy zdążyłam już odkryć, że stary dobry Olivier serwuje maker’s mark. Kochaś prysnął natychmiast, gotowy odpalić swoją renówkę i z poczuciem winy wrócić na przedmieścia. Chłopak wyszedł zaraz potem. Nie chciało mi się go dalej śledzić, bo zebrałam już wystarczająco dużo informacji i nie brakowało mi materiału do przemyśleń. Poza tym miałam ochotę na kolejnego drinka. A nawet kilka. Uświadomiłam sobie, że mogę się całkiem niepostrzeżenie stoczyć. Nigdy nie podejrzewałam u siebie skłonności do alkoholizmu, ale każdy by się zgodził, że miałam cholernie dużo spraw, o których chciałam zapamiętać.

Sącząc drinka, myślałam o Guiche’u i chłopaku. Jaka mogła ich łączyć relacja? Guiche pracował dla Baleńskiego i, prawdopodobnie, dla Jermołowa i najwyraźniej nieźle na tym zarabiał, skoro mieszkał na Wyspie Świętego Ludwika. Nie wyobrażałam sobie, by chłopcy do wynajęcia należeli do jego kręgu towarzyskiego. Kiedy pierwszy raz spotkałam Baleńskiego – było to tego lata, gdy bawiłam na jachcie Steve’a – wiedziałam o plotkach dotyczących jego życia prywatnego i o imprezach z chłopcami w domu oligarchy w Maroku. Może Guiche był gejem, ale co z tego? Rosja przejawiała jawną nietolerancję wobec homoseksualizmu, ale tu była Francja. Zamówiłam kolejnego burbona, czystego.

Musiałam się dowiedzieć, kto powiedział Jermołowowi o mojej przeszłości. Kazbich prawdopodobnie zdążył mu już przekazać, że mam obraz, ale nie miałam

zamiaru oddać swojej jedynej karty przetargowej, zanim nie znajdę zdrajcy. Próbując zwrócić szkic, mogłabym zginąć, a przynajmniej zostać aresztowana. Związek Guiche'a z chłopakiem wydawał się jedynym powiązaniem, jakie mogłam wykorzystać. Dawno nie czułam się tak bezsilna, a winę za to ponosił Jermołow, który uznał mnie za zbyt niedoświadczoną, by wycenić jego obrazy. Ale teraz miałam coś, czego pragnął: dzieło, które miało zawisnąć obok dwóch prac Botticellego i dopełnić kolekcję. Myśl o tym, że do tej pory udało mi się umknąć gorylom Jermołowa, napełniła mnie rodzajem gorzkiej satysfakcji. *Kim on jest, by mnie tak nisko oceniać? Nie tylko ty potrafisz być bezwzględny.* Wzniosłam drżącą ręką toast za Alvina i wychyliłam resztę drinka, ale byłam wściekła i trzymałam szklankę tak nieudolnie, że wysunęła mi się z dłoni i roztrzaskała na barze. Kropła bursztynowego napoju kapnęła mi na kolana.

– Postawić ci jeszcze jednego?

Odwróciłam się. Młody chłopak, mniej więcej w moim wieku, brodaty. Z ust pachniało mu kapustą. Ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę, był numerek w darkroomie.

– Nie, dziękuję. – Próbowałam unieść kąciki ust, ale mój uśmiech już dawno uciekł z krzykiem z budynku, więc postanowiłam zejść ze stołka, zsuwając najpierw tyłek, co nie wyglądało najlepiej. Facet uprzejmie przytrzymał moją torebkę, kiedy się ogarniałam, ale ja nie miałam już na nic ochoty.

– Ja tylko... idę na fajka – wydusiłam z siebie. Chwiejnym krokiem ruszyłam w stronę drzwi, czując podchodzące do gardła alkoholowe wymiociny. Powstrzymałam je, dopóki nie wyszłam na ulicę, gdzie wylały się ze mnie do rynsztoka pod beznamiętnym spojrzeniem starego, arabskiego portiera.

Stawałam się chyba niezłym detektywem. A na pewno miałam kaca. Zrezygnowałam z pomysłu, by zadzwonić do firmy Guiche'a i poprosić go do telefonu. Nawet gdyby mnie połączono, było mało prawdopodobne, by Guiche zechciał rozmawiać o swoich klientach z obcym człowiekiem, a gdybym mu powiedziała, że mam Caravaggia, poszedłby prosto do Jeromołowa. Musiałam znaleźć chłopaka, sprawdzić, czy jest sposób, by przez niego zbliżyć się do Guiche'a bez wzbudzania podejrzeń, i wy badać, co adwokat wie na temat wieczoru, kiedy zginął Moncada. Jeśli się okaże, że nic, będę musiała opracować plan B. O jedenastej wieczorem wróciłam do klubu Oliviera, ale piłam już tylko wodę.

Młode męskie prostytutki znowu siedziały grupą przy barze. „Mojego” chłopaka nie było wśród nich, ale rozpoznałam jednego, z którym rozmawiał poprzedniej nocy: chudy jak szczapa, w białych, obcisłych dżinsach i sztywnej koszulce ze skórzanym kołnierzykiem, z fantazyjnie nażełowanymi i zaczesanymi do góry włosami i nadąsaną twarzą o mało wyrazistych rysach. Z mojej skromnej podróźnej garderoby wybrałam bluzkę z największym dekoltem i włożyłam pod nią stanik push-up, by wyglądać tak, jakbym rzeczywiście chciała się zabawić. Robiłam do kolesia słodkie oczy, aż w końcu przysiadł się do mnie przy barze, posyłając kumplom lekki grymas zniesmaczenia. Wyglądał na jakieś dziewiętnaście lat i było jasne, że widzi we mnie starszą kobietę podrywającą młodych chłopaków.

– *Bonsoir, mademoiselle.* – Przynajmniej nie powiedział *madame*.

– *Bonsoir.* Widziałam cię zeszłej nocy. – Uśmiechnął się skromnie, najwyraźniej przekonany, że wróciłam, by spróbować tego, co ma do zaoferowania w darkroomie. – Miałam nadzieję, że będziesz mógł przedstawić mnie swojemu koledze – wyjaśniłam wprost. – Rozmawiałeś z nim wczoraj. – Szybko opisałam chłopaka najlepiej, jak potrafiłam, wspominając o złotym roleksie, co wyraźnie ułatwiło mojemu rozmówcy identyfikację.

– Czego od niego chcesz? – zapytał podejrzliwie.

– Oczywiście tego samego, czego myślałeś, że chcę od ciebie.

Zaczął się wycofywać.

– Przykro mi, chyba się pomyliłaś – odpowiedział lekceważącym tonem.

Położyłam na barze banknot. Więcej, niż mogłam sobie pozwolić, ale nie miałam czasu się targować.

– Chciałabym z nim porozmawiać. Może mógłbyś spróbować...?

Podniósł głowę i zbliżył do mojej twarzy swój kartoflany nos, podczas gdy pięćdziesiątka powędrowała do tylnej kieszeni jego spodni.

– Mógłbym... popytać.

– Dziękuję, to miło z twojej strony.

Wyszedł z klubu, prawdopodobnie po to, by zadzwonić, ponieważ w piwnicy nie było zasięgu. Wrócił jakieś dziesięć minut później. Na świeżym powietrzu jego twarz nabrała nieco koloru i przez chwilę wyglądał młodo i radośnie.

– Kolega mówi, że za chwilę może do ciebie dołączyć. Za jakieś pół godziny? – Spojrzał wymownie na moją torebkę. Niechętnie wyjęłam z portfela dwudziestkę. Chłopak skinął głową i życzył mi miłego wieczoru. Zastanawiałam się, co powiedział tajemniczemu nieznajomemu, z którym za chwilę miałam się spotkać.

Piłam wodę, obserwowałam tłum i słuchałam, jak Jacques Dutronc śpiewa *J'aime les filles*. Po chwili ktoś położył mi dłoń na ramieniu. To był on.

– Kolega mówił, że cię tu znajdę. Szukałaś mnie?

W nieco aroganckim przechyleniu głowy i uśmiechu na lekko skrzywionych, śliwkowych ustach wyczytałam, że szybko ocenił mój wiek, poziom samotności i desperacji. Spodobał mi się ten jawny profesjonalizm, więc zaproponowałam mu drinka. Przedstawił się jako Timothy, wymawiając swe imię jak nazwę szamponu „Timotee”, co wydało mi się bardzo zabawne. Miał na sobie to samo ubranie co poprzedniego wieczoru – cieniutką koszulkę pod jaskrawą marynarką i starannie wyeksponowany zegarek. Więc jego kochanek albo kochankowie byli bogaci, ale on niekoniecznie. Wspaniale. Szarmancko zaproponował drugą kolejkę, ale ja wzniosłam toast połową butelki perrier.

– Daj spokój, nie jestem groźny.

– „Chyba że chcesz, żebym był”. Wiem, wiem.

Stuknęliśmy się szklankami.

– Zdrowie twojej matki.

– I mojego fiuta i wszystkich kurew na nim?

Uniosłam brwi.

– Dobrze. Gdzie ona jest? Twoja matka?

– Pochodzę z Maroka – powiedział na wpół wyzywająco, na wpół dumnie.

– Nigdy nie byłam w Maroku.

Opowiadał mi o nim przez chwilę, malując pocztówkowy obrazek piasków As-Sawiry i atrakcji placu Dżamaa al-Fina, a potem zapytał, czy chciałabym pójść do pokoju na tyłach.

– Prawdę mówiąc, nie do końca o to mi chodziło.

– Och.

Chciałam go poznać, poobserwować, zanim wspomnę o Guiche'u.

– Miałam raczej nadzieję na... towarzystwo. Na całą noc.

Chłopak się rozpromienił.

– Da się załatwić. To będzie dla mnie przyjemność.

– Ile?

Wyglądał na szczerze urażonego pytaniem.

– Naprawdę, będzie mi bardzo miło spędzić wieczór w towarzystwie tak pięknej damy.

Pamiętałam takie zagrywki z moich nocy w Gstaad – nigdy nie sprawiaj wrażenia, że robisz to dla pieniędzy. Chociaż, oczywiście, robisz to dla pieniędzy.

– Jak chcesz – odparłam. – Pójdziemy w bardziej ustronne miejsce?

– Oczywiście.

Pomógł mi włożyć płaszcz, nie spoglądając nawet na tłum obserwujący nas z drugiego końca baru. Na ulicy udało mu się zmusić odźwiernego, by zatrzymał dla nas taksówkę, do której ceremonialnie pomógł mi wsiąść. Był całkiem niezłym aktorem, zwłaszcza że wątpiłam, by lubił dziewczyny. Poprosiłam taksówkarza, by zawiózł nas na Place des Vosges i po chwili usadowiliśmy się w jednym z barów nocnych na rue de Turenne, na przytulnym tarasie z elektrycznymi piecykami. Wewnątrz było jak zwykle pusto. Zamówiłam butelkę czerwonego wina i szczerze dolewałam chłopakowi.

W trakcie pogawędki dowiedziałam się, że Timothy marzy o pracy w branży modowej, przez chwilę był kelnerem w Hôtel Costes, a teraz „czeka na odpowiednią okazję”. Twierdził, że tymczasowo mieszka u wujka w Aubervilliers. Standardowa „nocna” rozmowa, ale tak rozbijającą przyjemnie było pogawędzić z kimś, kto nie był chińskim konsjerżem, że od czasu do czasu niemal zapomniałam, po co tam przysłam. Kiedy chłopak wlał już w siebie większość wina, zapytał, czy chciałabym pójść na imprezę.

– Jasne.

Ponownie odbyliśmy rytuał z taksówką, przejechaliśmy rzekę i ruszyliśmy na zachód, wzdłuż *quais*.

Nocny Paryż jak zwykle roztaczał swój urok, ale blask miasta czynił czarną dziurę w mojej klatce piersiowej jeszcze czarniejszą. Nastrój na imprezie, która odbywała się na *peniche* zacumowanej niedaleko Musée d’Orsay, nie był lepszy od mojego. Po pokładzie kręcili się głównie podobni do Timothy’ego zblazowani, młodzi geje, a pomiędzy nimi ich piszczące przyjaciółki, ale płaciłam za tę noc, więc udawałam, że dobrze się bawię. Trochę potańczyłam, pogadałam ze znajomymi chłopaka. Po chwili wyjęto kokę i zaczęły się ostentacyjne wycieczki do śmierdzącej toalety, ale jak zwykle się nie skusiłam. Siedziałam na podłodze, na wilgotnej poduszce i kiwałam głową w takt muzyki, śledząc kątem oka, co się dzieje. Przechwałki i wylewne zwierzenia przybrały na sile, gdyż wszyscy zaczęli więcej mówić, a mniej słuchać. Timothy złożył kilka wizyt w toalecie i wkrótce zaczął się chwalić swoim zegarkiem, który, jak wyjaśnił, dostał po superszalonym weekendzie w Tangerze.

– Powinniście zobaczyć chatę tego gościa! – mówił do każdego, kto go słuchał, czyli tylko do mnie. – To jakiś pieprzony zamek! Mury, strażnicy i całe to

gównu! I każdemu z nas dali taki zegarek. – Pomachał ręką w rytm muzyki. – Chore!

– Kto to był?

– Nie wiem, jakiś Rusek. Wszyscy ci Rosjanie są od cholery bogaci. Zabrał mnie tam mój przyjaciel Edouard.

Bingo.

– Edouard?

– To facet, z którym się spotykam. Jest prawnikiem. Pochodzi z bardzo eleganckiej rodziny. Oczywiście jest żonaty.

– Jak oni wszyscy – skomentowałam cierpko. Timothy błędnie zinterpretował mój ton i nagle zbliżył twarz do mojej, ze szczęką zaciśniętą z nadmiernego zatroskania.

– Co się stało? Miałaś jakąś przygodę z żonatym facetem?

– Coś w tym stylu. Oni wszyscy są tacy sami, prawda?

Jego wcześniej wysoki poziom serotoniny nagle opadł.

– Właśnie, ale tak to już jest, nie? Myślą, że mogą nas, kurwa, kupić. To znaczy, Edouard jest całkiem w porządku, ale czasami traktuje mnie jak prostytutkę, wiesz?

– Ale ty jesteś prostytutką.

Te słowa przez chwilę wisały między nami. Bałam się, że go straciłam, ale Timothy zaraz zaczął się śmiać, więc ja też. Chwyciłam pierwszą z brzegu butelkę piwa i wzniosłam toast.

– Pieprzyć ich! – krzyknęłam. – Pieprzyć żonaty!

Dał mi przelotnego chmielowego buziaka i powiedział, że mnie kocha, a potem poszedł dumny wciągnąć kolejną kreskę i zniknął w gwarным tłumie muskularnych gości w koszulkach bez rękawów, wyglądających jak spłukani modele Abercrombiego. Postawiłam nietkniętą butelkę piwa i poszłam na pokład, gdzie ludzie palili i rozmawiali ciszej. Wieża Eiffla mrugnęła do mnie.

Myślałam, że Guiche jest kochankiem Timothy’ego a okazało się, że jest jeszcze lepiej, bo Guiche zabrał go do domu Baleńskiego w Tangerangze – na imprezę z rodzaju tych, które nie wzbudziłyby zachwyty pełnokrwistych Rosjan pokroju pana Putina. Ani współników Guiche’a z Saccard Rougon Busch. Nie miałam zbyt wiele, ale liczyłam, że jeśli uda mi się wykorzystać Timothy’ego i skłonić go, by mnie przedstawił Guiche’owi, może nakłonię prawnika, by powiedział mi coś o osobie, która czekała na Caravaggia w noc zabójstwa na Place de l’Odéon, o źródle, od którego Jermołow dowiedział się o mojej przeszłości. Potem wymyślę, co zrobić z obrazem, obecnie spoczywającym na dnie mojej walizki w hotelu Herse.

Z luku wyłoniła się potargana mahoniowa głowa Timothy’ego.

– Hej! Gdzie poszłaś?

– Tutaj – odpowiedziałam. – Chcesz się zbierać?

Pomyślałam, że mogłabym przekonać Timothy’ego, by został u mnie przez kilka dni. Wujek w Aubervilliers nie mógł konkurować z urokami „Karawanu”. Poza tym ja płaciłam.

– Idziemy do ciebie? – W jego głosie zabrzmiało lekkie znużenie.

– Jasne. – Wyciągnęłam cztery dyskretnie zwinięte pięćdziesiątki. – Ale, jak wspomniałam, szukam tylko towarzystwa. – Wiedziałam już, że z dziewczynami umawia się wyłącznie dla pieniędzy, ale jakaś mniej praktyczna kobieta mogłaby poczuć się zawiedziona, widząc na twarzy chłopaka ewidentne poczucie ulgi. Tak czy inaczej, liczyło się tylko to, by przeciągnąć Timothy’ego na swoją stronę, a żeby to osiągnąć, musiałam wymyślić odpowiednią historię.

Stary wyga Timothy miał w swojej modnej marynarce szczoteczkę, kondomy i blister diazepamu na wygaszenie haju. Od tygodni nie spałam tak dobrze jak tamtej nocy. Znowu czułam się zdeterminowana i czujna i nawet fizyczna obecność Timothy’ego, która normalnie by mi przeszkadzała, działała na mnie uspokajająco. Niecierpliwiłam się i chciałam działać dalej, ale wiedziałam, że jeśli chcę dotrzeć do Guiche’a, nie mogę pospieszać chłopaka, dlatego przez następne kilka dni robiłam wszystko, by zostać jego najlepszą kumpelą. Moje podejrzenia, że Timothy jest splukany, okazały się trafne – w każdym razie bez skrupułów sępił jedzenie i korzystał z darmowego lokum, więc poznawaliśmy się, jedząc tanie obiady w 11. dzielnicy i od czasu do czasu paląc ukradkiem jointa w oknie mojego hotelu. Z tym że ja się nie zaciągałam. Wiedziałam, czym się zajmuje Timothy, ale nigdy więcej o tym nie wspominaliśmy. Unikanie tego tematu pozwoliło mu zachować pewien poziom godności i sprawiło, że w innych kwestiach stał się obiecująco podatny na moje wpływy.

Z tego, co się zorientowałam, urodził się we Francji, ale dorastał w Rabacie, gdzie przez jakiś czas studiował na uniwersytecie. Matka miała nadzieję, że zostanie inżynierem, ale uroda Timothy’ego i jego skłonność do mężczyzn zawiodła go do Marrakeszu, gdzie żył na koszt różnych staroświeckich francuskich turystów i angielskich ekspatriantów, którzy dodawali pikanterii swoim romansom, udając, że homoseksualizm w Europie jest wciąż nielegalny. Jeden z jego klientów przywiózł go na wycieczkę do Paryża, gdzie wujek Timothy’ego, który – nawiasem mówiąc – istniał naprawdę, załatwił mu *carte de séjour* i pracę kelnera w Hôtel Costes. Chłopak mówił, że chce odłożyć pieniądze na naukę w szkole dla projektantów mody, ale nie miał do tego serca, podobnie jak do podawania turystom tadżinów. Nie wytrwał długo w kelnerskim fachu, za to poznał w hotelu Edouarda i na kilka miesięcy wprowadził się do jego mieszkania na Wyspie Świętego Ludwika, gdzie pierwszy raz go zobaczyłam. Timothy dużo opowiadał o swoim kochanku. Eduard zabierał go na imprezy, do restauracji, na wycieczki, ale nigdy nie dał chłopakowi nic więcej oprócz kieszonkowego. Potem, mniej

więcej sześć miesięcy przed naszym spotkaniem, Edouard oznajmił Timothy'emu, że chłopak nie może już mieszkać u niego, ponieważ żona prawnika wraca z ich podmiejskiego domu, a poza tym ma wiele pracy. Najzwyczajniej wyrzucił chłopaka, który stoczył się ponownie w *la nuit*. Timothy był zaskoczony nagłym przejawem troski Edouarda o zachowanie dyskrecji. Nadal spotykał się z prawnikiem, który ze swojej strony wciąż mu „pomagał”, ale nie wolno mu już było nocować w jego mieszkaniu. Dnie spędzał, odsypiając poprzednią noc, potem się odstawiał i do otwarcia klubów snuł po Saint-Germain albo avenue George V. Nie można powiedzieć, by Timothy'emu brakowało motywacji, bo na ćwiczenia i dbanie o wygląd poświęcał więcej czasu niż ja. Potrafił swobodnie rozmawiać o modzie, wspominając o „Nicolasio” czy „Demnie”, jakby znał ich osobiście, a nie tylko z Instagrama. Miał dwadzieścia jeden lat i, jak większość ludzi z pokolenia młodszego niż moje, z niezachwianą pewnością siebie czekał na moment, gdy zostanie odkryty.

W rewanżu opowiedziałam mu, że przyjechałam do Paryża, by dokończyć badania do doktoratu, stąd moje codzienne wycieczki do biblioteki. Ożywił się nieco, słysząc, że piszę na temat historii sztuki – podobno Edouard był „bardzo wkręcony” w sztukę – ale na tym etapie nie chciałam, by zbyt interesował się moją pracą, więc wyjaśniłam mu, że badam zagadnienia techniczne związane z zastosowaniem barwników i materiałów w dawnych obrazach. Był równie głuchy na luki w mojej opowieści, jak ja na nieścisłości w jego historii. Polubiłam go na tyle, by pozwolić mu spać za darmo w moim pokoju hotelowym w centrum Paryża, a on w zamian miał nie zadawać żadnych pytań. Przynajmniej tak mi się wydawało, aż pewnego dnia wróciłam z porannego biegania i znalazłam go na podłodze w otoczeniu moich rzeczy, liczącego gotówkę z dna mojej torby. Był tak pochłonięty swoim zajęciem, że nie usłyszał odgłosu moich nitek na schodach. *Och, nie, znowu... Jeśli zajrzał pod podszewkę...*

Szykowałam się, by od razu kopnąć go w twarz, a potem improwizować, ale w porę zauważyłam za jego plecami nietkniętą wyściółkę pustej walizki. Na razie Caravaggiowi i caracalowi nic nie groziło. W tym samym momencie Timothy spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami człowieka przyłapanego na gorącym uczynku, wzruszył ramionami i położył pieniądze z powrotem na okropnym dywanie, więc zamiast go uderzyć, wybuchnęłam śmiechem. Zamierzałam jeszcze poczekać z realizacją swoich planów względem Guiche'a, ale teraz uznałam, że najwyraźniej nadeszła odpowiednia chwila.

– Ty mały, nędzny naciągaczu! – wrzasnęłam po angielsku.

– Co?

Przeszłam z powrotem na francuski.

– Co ty, do diabła, wyrabiasz?

– Szukam, co mógłbym ukraść. Przepraszam. Tak naprawdę nic bym nie

wziął. Pójdę już.

– W porządku. Czyli jesteś splukany?

– Tak.

– Więc coś byś wziął.

– No dobra, wziąłbym. Tak. Pomyślałem, że musisz być bogata, masz naprawdę ładne ubrania. – Spojrzał smutno na stertę pomiętych kaszmirów, jedwabi i skór.

– Prawda, że są piękne? Powinieneś był spytać.

– Ale nie chciałaś nawet...

– Nie zrobiłbyś tego za darmo?

Szczerze się skrzywił.

– Dlatego nie prosiłam! Posłuchaj, jesteś miłym gościem, masz nosa do ludzi... – schlebiałam mu.

– Jasne.

– Więc kiedy się poznaliśmy w klubie, widziałeś, że byłam smutna. Byłam naprawdę pijana.

– Jesteś Angielką.

– Pamiętasz, jak powiedziałam ci, że miałam przygodę z żonatym facetem? – Przerzucalam rzeczy, aż znalazłam książkę Eakina i pokazałam mu zaznaczony fragment.

– Kochałam go, byliśmy razem trzy lata. Miał odejść od żony, ale... – Przełknęłam parę gorzkich łez.

– A teraz nie żyje – dokończył poważnie Timothy.

– Tak. Minęło już kilka lat. Ale kiedy wspomniałeś o twoim facecie... Edouardzie? On znał... – *Cholera, jak miał na imię ten Polak?* – Oskara. Po prostu nie mogłam w to uwierzyć. To było dla mnie jak... znak. Chciałabym z nim porozmawiać, choć raz. Nie mogłam pójść na pogrzeb Oskara, z powodu jego rodziny.

– Potrzebujesz domknąć tę historię. – Naoglądał się wystarczająco dużo reality show, by znać scenariusz takiej rozmowy.

– Właśnie.

– Zbiegi okoliczności nie istnieją – kontynuował z powagą. Oboje się świetnie bawiliśmy, każde na swój sposób.

– Dlatego pomyślałam... gdybyś mi pomógł... mogłabym, no wiesz, trochę cię wesprzeć. – Zerknęłam znacząco na stertę banknotów na podłodze.

– Pomogę ci, oczywiście, że ci pomogę.

– A potem zobaczymy. Dziękuję.

Być może empatia Timothy'ego była wystudiowana, ale moja historia najwyraźniej go przekonała. Po tej małej obopólnej improwizacji zachęciłam go jeszcze bardziej, zabierając go na lunch w Thoumieux i kupując mu parę

szybyłek z wąskimi noskami od Saint Laurenta, co sprawiło mu wielką przyjemność. Skończyłam opłakiwać biednego Oskara, sakramentalnym „Nie jestem gotowa, by o tym rozmawiać”, co Timothy „absolutnie zrozumiał”. Potem wznieśliśmy toast za nowe buty kieliszkiem Kir Royale, a Timothy napisał wiadomość do Edouarda. Usiedliśmy na zewnątrz, by zapalić, ale październikowe powietrze było chłodne. Edouard nie odpowiadał.

– Jak dawno z nim rozmawiałaś?

Oczywiście wiedziałam, że Timothy zaczepił Edouarda kilka dni wcześniej, ale spotkanie nie poszło dobrze.

– Mówiłem ci, jakiś czas temu. Ostatnio dziwnie się zachowuje. Napiszę do niego na WhatsApp.

– Najlepiej, jeśli nie będziesz o mnie wspominał. Nie chcę być niedyskretna. Po prostu umów się z nim, a ja, no wiesz, przyjdę razem z tobą, tak od niechcienia.

– Mógł wyjechać. Dużo podróżuje. – Timothy był zirytowany. Zobaczyliśmy w sklepie Saint Laurenta bordową aksamitną marynarkę i chłopak wiedział, że jeśli nie uda mu się zaaranżować naszego wzruszającego, wspominkowego spotkania z Edouardem, będzie musiał się obejść smakiem.

– W porządku. Zmarzłam, wracam do hotelu. Zobaczymy się później.

Obsługa hotelowa w Herse nie była zbyt kompetentna. Caracal czał się pod materacem od mojego przyjazdu. Wykorzystałam nieobecność Timothy’ego, by sprawdzić, czy lufa jest czysta, i nasmarować ją olejem do konserwacji broni, którego fiolkę trzymałam w kosmetyczce z akcesoriami do makijażu, a następnie upewniłam się, że pistolet jest zabezpieczony. Wsuwałam go z powrotem pod materac, gdy Timothy wpadł do pokoju.

– Napisał, że może spotkać się ze mną jutro! – Rozpromieniony położył się dokładnie na caracalu. – Oddzwonił do mnie i zaprosił na artystyczny raut w Fundacji Louisa Vuittona.

– Zaprosił cię na imprezę? Wspominałeś, że ostatnio dba o dyskrecję.

– Właśnie. Najwyraźniej zmienił zdanie. To może być nowy początek, nie sądzisz?

– Więc go poznam?

– Tak, oczywiście. Zapytałam, czy mogę przyprowadzić koleżankę, i wpisał nas na listę gości. Mnie z osobą towarzyszącą – dodał Timothy z dumą. – Wspaniale. Przedstawię cię i zobaczymy, co się wydarzy. „Będę cię wspierał” – wyszeptał bezsensownie. Podejrzywałam, że myśli już o marynarce, ale na jego twarzy dostrzegłam błysk żalostnej nadziei.

– Kochasz Edouarda?

Timothy odwrócił się na brzuch. Ostatnie promienie zachodzącego, paryskiego słońca podkreśliły jego wydatne kości policzkowe.

– Kiedyś wyobrażałam sobie nasze wspólne życie. Gdybyś widziała jego

dom!

Słyszałam tak wiele o mieszkaniu na Quai d'Anjou, że mogłabym tam z zawiązanymi oczami zorganizować imprezę. Współczesne dzieła sztuki, prysznic w formie deszczowni, pokój gosposi na najwyższym piętrze urządzone w stylu marokańskiej palarni. W swojej naiwnej przekupności Timothy poinformował mnie nawet o grubości eleganckiej pościeli od Frette i stojących w garderobie kosmetykach Toma Forda. Kancelaria Edouarda najwyraźniej świetnie prosperowała, również dzięki rosyjskim kontaktom.

– Zna bardzo wielu ludzi – kontynuował Timothy. – Jest bardzo miły. Wiesz, on myśli o innych. Po prostu ostatnio bardzo pochłonęła go praca. Ale wyznał, że musi mi coś powiedzieć, coś ważnego. No i ta impreza, no wiesz, pokażemy się publicznie. Może się rozwodzi?

Chciałam mu powiedzieć, że oni nigdy się nie rozwodzą, a przynajmniej nie dla tanich chłopaków do wynajęcia, ale to, co zostało z mojego serca, jeszcze nie całkiem zamieniło się w lód.

– Cholera, co ja na siebie włożę? – Timothy był nadal ubrany w bluzę i koszulkę, które miał na sobie trzy dni temu na imprezie na barce, a jego bokserki Calvina Kleina wyglądały na nieco sfatygowane po parnych nocach spędzonych na drążku zasłony prysznicowej.

– Nie martw się, jutro kupię ci więcej ciuchów. Naprawdę doceniam twoją pomoc. To wiele dla mnie znaczy. – Otarłam szybko kąciki oczu.

Timothy przyciągnął mnie do siebie i przytulił.

– W porządku, Judith. Naprawdę, zależy mi na tobie.

W jego głosie wybrzmiewała niezwykła szczerłość, zwłaszcza jak na faceta, który cztery godziny wcześniej próbował mnie okraść.

Kazałam Timothy'emu pojechać do Lasku Bulońskiego metrem. Marudził, ale po tym, jak zapłaciłam za jego zakupy, zostało mi zaledwie kilka tysięcy w gotówce – a nawet się jeszcze nie zbliżyłam do osoby, która mnie wsypała. Własną garderobą się nie martwiłam. Zdążyłam się już nauczyć, że kiedy ubierasz się zbyt sztywnie, zaraz przyczepią ci etykietkę nowobogackiej. Najważniejsza jest niezachwiana pewność siebie, dlatego książkę może pójść na kolację w starej koszulce polo. Przynajmniej tak czytałam w „Tatlerze”. Czarne spodnie MiuMiu, z wysokim stanem i śmiesznymi, dziecinnymi guzikami, oraz biała męska koszula Comme des Garçons, a do tego buty na płaskim obcasie wydawały się odpowiednią kreacją. Dziś w sukienkach koktajlowych paradują tylko kelnerki. Timothy prezentował się imponująco w marynarce i botkach, do których założył czystą koszulę i fular od Paula Smitha jako delikatny angielski akcent. Ze wzruszeniem obserwowałam jego staranne przygotowania, a kiedy się ogolił (dwa razy!) i delikatnie nałożył Touche Éclat, musiałam przyznać, że efekt był piorunujący. Mógłby zostać modelem. Miałam nadzieję, że się dogada z Edouardem i dostanie swoją życiową szansę.

Konstrukcja Gehry'ego, przypominająca zachodzące na siebie muszle (taki trochę Sydney Opera House po trzęsieniu ziemi), majaczyła nad szczytami parkowych drzew. Pokaz w siedzibie Fundacji Louisa Vuittona upamiętniał dwudziestolecie powstania pekińskiej Dzielnicy 798, toteż galerię rozświetlały złote i czarne znaki pisma chińskiego przechodzące w logo koncernu i odwrotnie. Wchodząc do środka, zanurzyłam się w przeszłości – a dokładniej: w życiu Elisabeth Teerlinc. Kiedy podchodziliśmy do osoby witającej gości, pod stopami chrzęściły nam kawałki porcelany, co było odwołaniem do instalacji Ai Weiweia, który w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku sfotografował się w chwili, gdy upuszczał wazę z dynastii Han. Kelnerzy w złocistych mundurkach Mao nosili tace z koktajlami serwowanymi w czarkach do herbaty, na których wypisano komunistyczne slogany. Poprosiłam o wodę i ostrożnie obserwowałam tłum, gotowa wśliznąć się w skórę Elisabeth, gdyby rozpoznał mnie ktoś z kręgów artystycznych. Kiedy dostaliśmy napoje, Timothy pociągnął mnie przez tłum, nie zerkając nawet na eksponaty. Poruszając się przeciwnie do ruchu wskazówek zegara, zrobiliśmy kółko wokół pomieszczenia i w końcu chłopak dostrzegł Edouarda. Prawnik ubrany był w ciemny garnitur i rozpiętą pod szyją, białą koszulę. Przez kilka minut obserwowałam, jak rozmawiają, a Guiche nachyla się, jakby opowiadał jakąś historię. Wyglądał jak książkowy przykład geja udającego hetero – nienachalnie przystojny, profesjonalny i pewny siebie. Gdybym nie słyszała o ich wyczynach w Tangerze, nigdy bym nie uwierzyła, że tych dwóch łączy coś więcej niż niezobowiązująca, luźna znajomość.

Timothy poprowadził Edouarda z dala od szepczących gości, w cień wielkiej, gumowej rzeźby przedstawiającej grubego, podskakującego Buddę i dał mi sygnał lekkim skinieniem głowy. Wtedy do nich podeszłam. Chłopak odwrócił się, by się przyjrzeć eksponatowi, a ja zwróciłam się do Edouarda:

– *Monsieur Guiche*? Dobry wieczór. Czy mogłabym...

Miałam zamiar zapytać, czy moglibyśmy zamienić słowo na osobności, ale Guiche nie przywitał mnie tak, jak się spodziewałam. Gdy mi się przyjrzał, oficjalny uśmiech zastąpił mu na twarzy, a on sam zatoczył się w tył, jakbym go uderzyła.

– *Monsieur Guiche*?

Zerknął nad moim ramieniem i wyraz szoku na jego twarzy zastąpiła trwoga.

– Wy? Tutaj? Co jest, *do cholery*?!

Byłam zdumiona jego językiem i gwałtownym tonem.

– Ja...

Ale Guiche nie mówił do mnie. Odsunął mnie bezceremonialnie na bok i kiedy odwróciłam głowę, by podążyć za jego wzrokiem, zza wałków tłuszczu na nodze obracającego się w piruecie Buddy mignęła mi przed oczami łysa głowa ze znajomym tatuażem poniżej ucha. Misza. Byłam zwrócona do niego plecami i kiedy ruszył w stronę Guiche'a, czmychnęłam w bok. Moje ciało zareagowało szybciej niż mózg, który nie zdążył jeszcze przetworzyć informacji i wywnioskować, co oznacza obecność ochroniarza Jeleny. Zaczęłam się przeciskać przez grupę otaczającą tace z drinkami przy wyjściu, ale wtedy odezwał się mój wewnętrzny głos: *Nie bądź głupia!*. Zawróciłam, dałam nura pod chudą, wyplecioną z siatki ogrodzeniowej ręką figury w masce Madame Mao i ruszyłam dziarsko, ale nie biegiem, w kierunku schodów, skąd wyłaniali się kelnerzy. Korytarz przechodził w kuchnię, gdzie brygada ludzi w białych fartuchach układała na talerzach miniaturowe sajgonki z homarem.

– *Madame? Les toilettes sont par la* – krzyknął usłużnie jeden z kucharzy, ale ja odstawiłam tylko szklankę z wodą i minęłam go z impetem. Wiedziałam, że musi tam być wyjście ewakuacyjne, ponieważ widziałam czerwony napis...

– *Madame! Vous ne pouvez pas...*

– *Désolée, excusez-moi* – rzuciłam beztrudno, popychając drzwi i wymykając się, zanim mnie zdążyli zatrzymać. Na zewnątrz panował już półmrok. Biegłam bez celu, a mój pośpiech podszyty był dziwną euforią. Czułam się niebywale silna, pierwszy raz od dawna zjednoczona z własnym ciałem. Pędziłam przez trawnik, chcąc oddalić się od budynku najbardziej, jak to możliwe. Po około dwudziestu sekundach zerknęłam przez ramię na otwarte drzwi ewakuacyjne, zza których wystawała zdeorientowana głowa w toczku kucharskim. Widziałam kolejkę samochodów i czekających szoferów, którzy zabijali czas pogawędką i papierosem. Promienie laserów z dachu przebiegały po okolicy i w pewnym momencie

znalazłam się w ich zasięgu, a logo przepłynęło po mojej białej koszuli. Skuliłam się, aż światło ześliznęło się ze mnie, a potem podreptałam jak krab w stronę zagajnika przyszyżonych drzew, przeszłam pod drutem ogrodzeniowym – *Czy są tu strażnicy? Nieważne* – i popędziłam slalomem, omijając drzewa, aż dotarłam do kolejnej ulicy, tym razem przy Lasku Bulońskim. Ruszyłam jedną z alej przecinających park i w końcu doszłam do skrzyżowania. Spojrzałam na znaki i wybrałam drogę prowadzącą do Étoile. Ścieżki były puste, ale od czasu do czasu przejeżdżał powoli samochód, a ja podskakiwałam za każdym razem, gdy widziałam blask świateł. *Poluj na towar*, pomyślałam. Lasek Buloński był kiedyś centrum spotkań paryskiego półświatka, gdzie piękne kurtyzany – zwane powszechnie „łowczyniami diamentów” – relaksowały się w ozdabianych falbanami powozach. Minęłam miarowo kołyszącą się furgonetkę, świadczącą o tym, że paryżanie kultywują tradycję. Dalej droga się rozwidlała, ale nie było żadnego znaku. Na próżno wypatrywałam przejeżdżającej taksówki, aż w końcu na chybił trafił wybrałam ścieżkę w prawo. Oczami wyobraźni widziałam, jak Misza pędzi przez miasto, wpada przede mną do hotelu, kiwa porozumiewawczo do chińskiego konsjerża i wchodzi po schodach do mojego pokoju.

Przestań. To mógł być zwykły zbieg okoliczności. Przecież Jermolow mógł przyjechać do Paryża na wystawę Vuittona. Ot, kolejny przystanek na szlaku wielbiciela sztuki. To nie musiało nic znaczyć. Ta, jasne.

Było już zupełnie ciemno i trzęsłam się w mojej przepeconej bawełnianej koszuli. Nagle poczułam zapach kielbasy i żołądek podszedł mi do samego gardła. Skręciłam za róg i potknęłam się o pulchną kobietę siedzącą na krzeselku turystycznym. Zajmowała niemal cały wąski pas chodnika między ulicą a drzewami.

– Och, bardzo przepraszam. Proszę mi wybaczyć.

– Szukasz towarzystwa, kochana?

– Nie, ale dziękuję. Po prostu się zgubiłam. Czy może mi pani powiedzieć...

Kobieta wstała i wtedy zauważyłam, że musi mieć blisko metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Mimo to dopiero po minucie, przyjrząwszy jej się w słabym świetle stojącej na stoliku latarenki, uświadomiłam sobie, że mam przed sobą mężczyznę. Faceta pełną gębą, w kiepskiej, czerwonej, nylonowej peruce i opinającej sztuczne cycki sukience mini w panterkę.

– Zgubiłaś się?

– Próbuję dość na Étoile. Trochę się spieszę. – Wiedziałam, że najszybciej dotrę z powrotem do Marais, jadąc pierwszą linią metra do stacji Bastille.

Kiedy mój wzrok przyzwyczaił się do światła, zauważyłam, że „kobieta” miała wszystko elegancko przygotowane: na stole stała do połowy opróżniona butelka czerwonego wina, dwa kieliszki, talerze, srebrne sztucce, bagietka i słoiczek musztardy. Obok dostrzegłam kuchenkę turystyczną z patelnią, na której

radośnie skwierczały pikantne kielbaski z jagnięciny. Pod drzewami stała zaparkowana furgonetka z zachęcająco otwartymi drzwiami. W środku mignął mi podwójny materac, lodówka turystyczna i przyklejony do wewnętrznej klamki mały wazonik sztucznych róż.

Moja kopertówka była w stanie pomieścić jedynie portfel i klucze, ale już nie komórkę, wsunęłam więc do niej rękę, by wyszperać jakąś gotówkę.

– Czy mogłabyś zamówić mi taksówkę? Zapłacę za połączenie.

– Serio? Kochana, skąd ty się urwałaś?

Naprawdę nie miałam czasu na pogaduchy. Misza zapewne wklepywał sobie mój Crème de la Mer, czekając w Herse, by mnie zabić. Odwróciłam się, by odejść, ale poczułam na ramieniu wielką dłoń.

– Dokąd idziesz?

Wyprostowałam się.

– Powiedziałaś ci, spieszę się. – Moja cierpliwość była na wyczerpaniu. – Nie obchodzi mnie, czy chowasz w stringach maczetę, czy co tam jeszcze, po prostu weź kasę i daj mi spokój.

Odsunęła się, wyrzucając w górę owłosione ręce.

– Okej, okej. *Ça va, quoi*. Znaczy... jeśli chcesz, to cię zawiozę.

– Podwieziesz mnie?

– Pięćdziesiąt euro. Mam motorower.

– Eee, dzięki. Przepraszam za kłopot.

– No dobra. I tak dzisiaj wieczorem nic się nie dzieje. Jakaś durna impreza odciąga wszystkich klientów. Masz ochotę na kielbaskę?

– Dzięki, nie mogę. Naprawdę, muszę już lecieć.

– Jak chcesz. Mam dodatkowy kask.

Przykrywając kielbaski talerzem i sprawnie chowając wszystko do furgonetki, wyjawiała mi, że nazywa się Destiny, „przez y”. Wtedy poczułam, że właściwie to mam ochotę na małą kanapkę. *A gdybym tak tu została i zamieszkała w tej furgonetce, w lesie, gdzie nikt by mi nie zawracał głowy?* Mogłabym zbierać zioła, zdobyć dla Destiny lepszą perukę, rozkręcić biznes. To by mogło być całkiem niezłe życie.

– Proszę, załóż to, kochanie. – Destiny wyprowadziła zza drzewa stary motorower i podała mi kask. – Zazwyczaj zostawiam samochód tutaj, tak jest wygodniej. Policja go przypilnuje.

– Właściwie muszę się dostać do 11. dzielnicy. Możesz mnie tam zawieźć?

– Nie ma problemu. Daj mi tylko chwilę. – Sprawdziła w bocznym lusterku, czy ma umalowane usta, i poprawiła wystające spod kasku sztywne, nylonowe loki.

– Kiedyś pracowałam na taksówce. Wskakuj.

Nie każdego wieczoru ma się okazję sunąć Polami Elizejskimi na motorowerze, z transwestytą jako kierowcą i ciepłym wiatrem we włosach.

Przejażdżka byłaby całkiem przyjemna, gdybym nie czuła, że każdy postój na światłach to przystanek w drodze do mojej śmierci. Kiedy mijałyśmy stację Bastille, ścisnęłam biodra Destiny tak mocno, że obawiałam się, iż narobię jej siniaków. Wpadłam na szalony pomysł i chciałam ją poprosić, by weszła ze mną na górę, do pokoju, ale nie zasługiwała na taki los, więc kazałam jej się zatrzymać na rogu, wręczyłam pięćdziesiąt euro i pomachałam radośnie, a ona popędziła z powrotem.

Zapytałam konsjerża, czy ktoś mnie szukał, ale w odpowiedzi usłyszałam jedynie burknięcie. Wchodząc do pokoju, czułam, jak przyspiesza mi tętno, ale nadciągający atak paniki, którego doznałam na widok Miszy w siedzibie fundacji, ustąpił miejsca innemu, bardziej znajomemu odczuciu – miałam wrażenie, że rozszerzają mi się źrenice i następuje nagły wyrzut adrenaliny. Możliwe, że na moich ustach pojawił się nawet delikatny, podły uśmiezek. *Hej, kochanie! Zapomniałaś, że wściekłość może być taka przyjemna.*

Pokój był pusty i wyglądał dokładnie tak jak przed naszym wyjściem. Jedynym odgłosem było moje własne sapanie. Kiedy usiadłam na łóżku i spuściwszy głowę między kolana, łapałam oddech, poczułam dziwne rozczarowanie. Euforia mijała i ciszę z powrotem wypełniał lęk. Mokrymi od potu dłońmi wymacałam caracala, wyciągnęłam go spod materaca i wsunęłam za pasek spodni. Spakowałam paszporty i pieniądze, a potem, by odciążyć walizkę, bezwzględnie usunęłam z niej połowę ubrań. Zaszło mi w ustach, więc wypłam parę łyków wody z kranu, jednocześnie wrzucając do kosmetyczki przybory toaletowe. Ciekawe, że pakowanie szczoteczki wydaje się takie ważne, chociaż można ją kupić wszędzie. I wtedy usłyszałam kroki. Wreszcie.

Drzwi nie miały od środka zasuwki, a z korytarza otwierało się je (nie zawsze za pierwszym razem) na kartę, ale podejrzewałam, że Misza nie miałby problemu z przekonaniem konsjerża, by dał mu kartę. Klik. Pauza. Wyobraziłam sobie migające czerwone światło. Przyłgnęłam plecami do ściany i chwyciłam broń w obie ręce, dla lepszej stabilizacji. Byłam gotowa. *Cel, spust, strzał.*

Nie strzelałam zbyt dobrze, ale paryskie pokoje są maleńkie, więc Timothy miał szczęście, że zawołał mnie, zanim otworzył drzwi, bo bym mu odstrzeliła głowę.

– Judith? Gdzie się podziewałaś? – Minęła chwila, nim zdążył się zorientować, że przedmiot, który trzymałam w dłoniach, to faktycznie broń, a ja zrozumiałam, że to nie pierwszy pistolet, jaki widział w swym życiu. Najwyraźniej wydarzenia, które miały miejsce w Rabacie, były bardziej dramatyczne, niż to wynikało z jego relacji. W jednej chwili postarzał się o całą dekadę.

– Proszę, odłóż to, dobrze? – powiedział powoli wysokim głosem. – Po prostu to odłóż.

Zastanowiłam się.

– Za chwilę. Zamknij drzwi i stój spokojnie.

Zrobił, co mu kazałam.

Nadal możesz to zrobić. Zobaczysz, jak eksplodują mu płuca, na ustach pojawia się krwawa piana. Będziesz patrzeć, jak się miota, jak tonie we własnej krwi. Chwyć pewnie broń i pociągnij za spust. Przecież już to robiłaś.

Z trudem opuściłam pistolet, dosłownie tnąc lufą gęste powietrze. *Nie teraz.*

– Twój przyjaciel mnie rozpoznał – powiedziałam.

– O czym ty mówisz?

– Edouard Guiche. Poznał mnie, a to oznacza, że masz wybór: albo mnie przekonasz, że nic o tym nie wiesz, albo wyślę twoją twarz na drugą stronę korytarza. Nie spiesz się.

– To ma coś wspólnego z tym Rosjaninem, prawda?

– Ty mi powiedz.

– Edouard był dzisiaj wspaniały, jak dawniej. Powiedział mi, że jutro musi wyjechać na jakiś czas, ale zaprosił mnie, bym spędził z nim noc. Chciał mi coś dać. Obiecał, że teraz wszystko będzie inaczej. I wtedy...

– Co się stało?

– Skąd mam wiedzieć? Ty podeszłaś, a potem nagle zniknęłaś. Nie wiedziałem, co się dzieje. Edouard rozmawiał po rosyjsku z tym wielkim facetem. Wiesz, on zna rosyjski. – W głosie Timothy’ego słychać było nieskrywaną dumę.

– Nieważne. Mów dalej.

– Poszedłem zobaczyć, gdzie się podziałaś, a kiedy wróciłem, oni już wyszli. Próbowałem dzwonić do Edouarda, ale ma wyłączony telefon, więc wróciłem tutaj. Kiedy tak uciekłaś, nie wiedziałem, co robić. A on powiedział, że coś dla mnie ma – dodał z rozdrażnieniem.

Westchnęłam i odgarnęłam włosy z twarzy. Timothy odskoczył w tył. Zapomniałam, że nadal mam w dłoni caracala. Wyciągnęłam broń przed siebie i demonstracyjnie zabezpieczyłam.

– Przepraszam. Usiądź na chwilę, okej?

Reakcja Guiche’a na mój widok mogła oznaczać tylko jedno: to on czekał tamtej nocy na Place de l’Odéon. To on miał odebrać drugi obraz z futerału. Nie wziął go, ponieważ go ubiegłam. Ale wówczas nie mógł wiedzieć o mnie nic więcej – ani o mojej przeszłości, ani o tym, co robiłam. Nie dostarczył obrazu Jermołowowi, a dziś Misza zobaczył nas razem. I teraz był z Guiche’em. Powoli odłożyłam broń.

– Lepiej, jak sobie pójdziesz – oświadczyłam. – Zabierz swoje rzeczy i idź. Nie chcę cię w to wplątywać.

– Nie rozumiem... O co tu chodzi? Proszę, powiedz mi, dlaczego to robisz. Czego chcesz od Edouarda?

Przez chwilę zastanawiałam się nad odpowiedzią.

– Powiedziałaś, że Edouard wydał ci się... czuły.

– Tak. Może to drobiazg, ale widziałem, jak na mnie patrzył...

Nadal mogłam go wykorzystać. Jeśli Misza i Guiche mnie szukali, Timothy mógł być moim zabezpieczeniem. A mówiąc wprost: zakładnikiem.

– Wydaje mi się, że Edouard może być w niebezpieczeństwie – oznajmiłam w końcu.

– Powinniśmy zawiadomić policję?

– Nie możemy. To znaczy, ja nie mogę. Ale muszę się z nim spotkać.

– W takim razie zostanę z tobą. Jeśli Edouardowi coś grozi, chcę mu pomóc.

– Niewykluczone, że były to pierwsze całkowicie szczerze słowa Timothy'ego od chwili, gdy go poznałam.

– Dobrze, w takim razie musimy już iść.

Timothy włożył swoje rzeczy do torby od Saint Laurenta, w której trzymał ubrania, i skonsternowany poszedł za mną posłusznie na rue de la Roquette, gdzie po kilku nerwowych minutach udało mi się zatrzymać taksówkę. Poprosiłam kierowcę, by zawiózł nas na Pont de Sully, na Wyspie Świętego Ludwika, gdzie pierwszy raz widziałam Timothy'ego.

Na wyspie panował duży ruch. Restauracje i kawiarnie pełne były gawędzących i palących papierosy ludzi, ubranych w płaszcze i tłoczących się przy grzejnikach. Rzuciłam okiem na zegarek i stwierdziłam, że jeszcze wcześniej – ledwie minęła dziesiąta. Znalazłam stolik i zamówiłam dwa kieliszki białego wina.

– Idź za róg i zadzwoń do drzwi. Napisz do mnie, jeśli cię wpuści.

Timothy zniknął. Zastanawiałam się, czy nie wróci z Miszą – i czy w ogóle wróci – ale po kilku minutach przyszedł, sam, i wśliznął się na siedzenie obok mnie.

– Światła na górze są zgaszone i nikt nie otwiera. Próbowałam jeszcze raz zadzwonić na komórkę Edouarda.

– W takim razie poczekamy.

– Okej, a ty mi powiesz, o co chodzi.

Pomyślałam o Jelenie chichoczącej histerycznie nad sałatką. *Za dużo wiem.*

– Timothy, naprawdę, nie mogę. Powiem tylko tyle, że moim zdaniem ktoś może ścigać Edouarda.

– Czy to ma coś wspólnego z tym Rosjaninem, dla którego pracuje? Myślisz, że Edouarda może spotkać to samo co twojego chłopaka? Tego, którego pokazywałaś mi w książce?

– Tak jakby. Posłuchaj, wiem, że to się wydaje szalone, ale mówię poważnie. Musimy poczekać na Edouarda.

Dla zabicia czasu zamówiłam dwa talerze moules-frites. Timothy opróżnił oba, raz po raz zerkając za róg w poszukiwaniu oznak życia w mieszkaniu Edouarda. Lokal powoli pustoszał, a my siedzieliśmy dalej, aż po kilku

wymownych spojrzeniach kelner zdecydowanym gestem położył na naszym stole rachunek, po czym wrócił z miotłą i zaczął chować krzesła do środka. Przenieśliśmy się na most i przez kolejną godzinę siedzieliśmy z torbami na murku. Timothy co jakiś czas sprawdzał telefon. W mieszkaniu nikt się nie pojawił.

– Zbliża się druga. To bez sensu – stwierdziłam w końcu.

– Powiedział, że musi wyjechać, ale najpierw chciał się ze mną zobaczyć, pamiętasz? Może będzie w domu rano – zasugerował chłopak.

– Pewnie tak.

Powlekliśmy się pieszo do hotelu Ibis niedaleko Place d'Italie, gdzie poleciłam Timothy'emu, by zameldował się na swoje nazwisko. Dałam mu gotówkę, żeby zapłacił za pokój. Nie chciałam się zastanawiać, ile mi zostało. W ubraniach padliśmy na skromne podwójne łóżko, jak zwykle kulturalnie trzymając się każde swojej strony, ale żadne z nas nie zmrużyło oka. Pewnie dlatego, że ściszałam w dłoni caracala. Patrzyłam, jak za cienką żaluzją pojawiają się pierwsze światła samochodów, i rozmyślając, czekałam na rano. Powiedziałam Kazbichowi, że mam Caravaggia. Obraz, który pierwotnie miał zostać odebrany przez Guiche'a. Mogłam wyjawic Edouardowi, że mam dzieło, i zaproponować, że mu je zwrócę w zamian za informacje o osobie, która wydała mnie Jermołowowi. Wierciłam się pod cienką kołdrą, zmęczona własną bezradnością. *Kto to może być?* Nazwiska wirowały mi w głowie. Jak brzmiał ten wers z Brodskiego? Coś o tym, że prędkość światła jest równa szybkości spojrzenia²? Pieprzeni Rosjanie. Masza nie żyła. Misza był w Paryżu. Przyjechał do Guiche'a, więc może... O, kurwa.

– Timothy! Wstawaj, natychmiast! Musimy wracać.

O ósmej rano na bulwarze było nadal dość ciemno, ale już powstał korek. Puste taksówki czekały zapraszająco na postoju, lecz my pobieглиśmy w kierunku rzeki, zanurzając się w typowe zapachy paryskiego poranka: dochodzące z piekarni aromaty maślanych wypieków i amoniakową woń sera z otwieranych przez kobietę w fartuchu delikatesów. Dwadzieścia minut później, kiedy szurając nogami w suchych liściach kasztanowca, dotarliśmy na Quai d'Anjou na północnym skraju wyspy, niebo za nami zaczęło się rozjaśniać. Rzeka była ciemna, spieniona i lekko wzburzona. Woda zagłuszała hałas ruchu ulicznego w okolicach Hôtel de Ville, choć nadal słyhać było typowe odgłosy nerwowego trąbienia i przekleństw, dobiegające od strony pojazdów tłoczących się przy wjeździe na plac. Dlatego kiedy usłyszeliśmy w dali głuchoe łupnięcie, w pierwszej chwili nie wydało nam się niczym niezwykłym. Można by pomyśleć, że to taksówka oderwała otwarte drzwi furgonetki dostawczej albo ktoś na skrzyżowaniu zajechał drogę pechowemu motocykliście. Nawet się nie zatrzymaliśmy, tylko zerknęliśmy w stronę jezdni. I wtedy rozległ się krzyk. Jakaś kobieta zaczęła szlochać spazmatycznie, po czym kilku znajdujących się w pobliżu przechodniów, niczym na odtwarzanym na przyspieszonych obrotach filmie, zaczęło biec, unosząc nas ze sobą wzdłuż brzegu rzeki. Krzyki nie ustawały; dźwięk urywał się tylko na chwilę, gdy kobieta brała oddech, by po chwili wznowić swój histeryczny lament. Wiedziałam, że komuś stała się krzywda i ktoś potrzebuje pomocy, ale myślałam, że to zwykły wypadek – do chwili, gdy poczułam, że Timothy zwalnia kroku, i zobaczyłam jego spoconą twarz, wykrzywioną przerażeniem i niedowierzaniem.

– Co się stało? Dobrze się czujesz?

Zatrzymał się w miejscu i wskazał przed siebie. Wtedy zrozumiałam, dlaczego nie rozpoznałam tamtego odgłosu. Nigdy wcześniej nie słyszałam dźwięku, który powstaje, gdy spadające z szóstego piętra ciało uderza o bruk.

– Czy to kamienica Edouarda? – szepnęłam.

Timothy z grymasem bólu na twarzy znowu wskazał budynek, poruszając przy tym bezgłośnie ustami.

– Chodź, szybko – rzuciłam.

Pociągnęłam go za rękaw przez tłum mówiących jeden przez drugiego gapiów. Ktoś robił telefonem zdjęcie ciała, ktoś inny z zakłopotaniem obejmował płaczącą kobietę. Jakiś mężczyzna klęczał, okrywając zwłoki swoim płaszczem. Dostrzegłam rękaw ciemnej marynarki i złoty zegarek na nadgarstku. Może Timothy rozpoznał zegarek? Nadal stał przerażony i wskazywał ciało, a jego usta wciąż poruszały się, nie wydając dźwięku. Nie wiem, w jaki inny sposób mógłby rozpoznać swojego kochanka, gdyż głowa Guiche'a eksplodowała na bruku jak dynia.

W stronę rynsztoka płynęła szeroka strużka krwi. Zdałam sobie sprawę, że kobieta musiała przechodzić tędy dokładnie w momencie upadku ciała, gdyż była nią opryskana od kolan po czoło, jakby nachyliła się nad fontanną. Nawet jej starannie ułożone o poranku włosy były nakrapiane purpurą. Nagle została uwikłana w cudzą tragedię.

Wydarzenia wokół mnie jakby zwolniły, w przeciwieństwie do moich myśli. Uzmysłowiłam sobie trzy rzeczy. Po pierwsze: miałam rację. Po drugie: spóźnił się. Po trzecie: jeśli Guiche skoczył, to możliwe, że jego mieszkanie będzie puste, a jeśli został wypchnięty, to mało prawdopodobne, by sprawca nadal w nim był. Mogliśmy dostać się tam niezauważeni, gdyż wokół panował nieopisany chaos, a drzwi do budynku stały otworem. Ruszyłam w stronę schodów, ciągnąc Timothy'ego za nadgarstek. Jedno półpiętro, drugie.

– Szóste piętro? – zapytałam, choć znałam odpowiedź. Timothy opowiadał mi o wspaniałym widoku z mieszkania.

Stopnie wyłożone były grubym czerwonym dywanem, przytrzymywanym starodawnymi mosiężnymi drążkami. Wchodziliśmy w ciszy, nie licząc zdławionego oddechu Timothy'ego. Podwójne drzwi z numerem 5A były lekko uchylone, więc stało się jasne, że Guiche nie skoczył. Popchnęłam je powoli i zobaczyłam długi, wyłożony parkietem korytarz i ciągnące się po obu stronach drzwi.

– Nie martw się, nikogo tu nie ma – szepnęłam, chociaż nie byłam tego aż tak pewna, jak się starałam zasugerować. Timothy nadal gapił się otępiały, jakby doznał udaru. Potrząsnęłam nim, aż jego smutne oczy odnalazły moje.

– Wiesz, gdzie jest kuchnia? Pewnie, że wiesz. Pójdź tam, nalej sobie wody, dosyp cukru i wypij. Potem stań przy drzwiach. Jeśli ktoś przyjdzie, powiedz, że jesteś przyjacielem... Po prostu przyjacielem. Możesz to zrobić?

Przytaknął.

– Dobrze. Edouard ma gabinet, prawda? Albo pokój z biurkiem?

Kolejne skinienie głowy. Beznadzieja, sama zrobiłabym to szybciej.

– Idź już.

Powlókł się do pierwszych drzwi na prawo. Usłyszałam odgłos puszczonej wody.

Timothy wspominał o fantastycznym amfiladowym salonie z widokiem na rzekę. Powinien być po lewej, w głębi mieszkania. Przeszłam cicho korytarzem, otworzyłam trzecie drzwi po lewej i znalazłam za nimi małą jadalnię, z której mogłam zajrzeć do salonu z jednej strony i pokoju przypominającego bibliotekę z drugiej. Jedno z trzech szerokich okien otwarto na oścież, a biała, lniana zasłona powiewała na zewnątrz. Mieszkanie było czyste i nowoczesne. Zauważyłam w nim tylko kilka prawdziwych antyków, resztę stanowiły meble współczesne. W bibliotece stało niewielkie, zamykane na klucz osiemnastowieczne biurko

z drewna orzechowego, a nad nim, na lśniaco białej ścianie wisiał obraz Prampoliniego. Timothy słusznie zachwycał się gustem Edouarda. Na biurku leżała koperta opatrzona literą „T”. Schowałam ją do kieszeni. W pokoju panował nienaturalny porządek – poza obrazem nie było w nim żadnych ozdób, a całą tylną ścianę, aż po sufit, zajmowały białe metalowe szafki na akta. Przez chwilę w skupieniu nasłuchiwałam. Kobieta przestała krzyczeć, ale wzmagający się gwar sugerował, że tłum na dole robi się coraz większy. Lada chwila zjawi się policja i pogotowie. Ostrożnie spróbowałam otworzyć szuflady biurka. Zamknięte. Zastanowiłam się, gdzie ja ukryłabym swoje tajemnice w tak ascetycznym pomieszczeniu.

Chociaż kusilo mnie, by pomajstrować spinką przy zamkach szuflad, nie miałam czasu na żmudne przeszukiwanie pokoju. *Szukaj na widoku. Najciemniej jest zawsze pod latarnią.* Co Edouard miał do ukrycia? Swoje potajemne związki z chłopcami? Raczej nie – od tego miał telefon. Zrobiłam krok w tył i rozejrzałam się po czystych, gładkich powierzchniach. W najdalszym rogu dostrzegłam przerwę pomiędzy krawędzią szafki a szufladą. Rzuciłam się do niej i szuflada wysunęła się płynnie. W środku znajdowały się segregatory z nazwiskami i datami, uporządkowane alfabetycznie od „A” do „D”. Zabójca prawdopodobnie zaskoczył Guiche’a, gdy ten szukał jakiejś teczki. Przeleciałam szybko wzrokiem etykiety i znalazłam napisane cyrylicą „B”, jakby małe łacińskie „b” z poziomą kreską na górze. BALEŃSKI. Wytargałam ciężki segregator na podłogę, poprzesuwałam pozostałe, by powstała przerwa była mniej widoczna, i podniosłam się z pakunkiem pod pachą dokładnie w momencie, gdy usłyszałam syreny. Omiotłam wzrokiem szuflady i stwierdziłam, że teczka Jermołowa jest zbyt wysoko. Musieliśmy wiać.

– Timothy! – Szłam już korytarzem do wyjścia, a nieporęczny segregator wysuwał mi się spod pachy. *Cholera.* Ze schodów dobiegały coraz głośniejsze, nerwowe głosy. Timothy stał w kuchni bez ruchu, ze szklanką wody w ręce.

– Mówiłeś, że jest tu służbówka. *Chambre de bonne?* Gdzie?

Obok lodówki znajdowały się drzwi. Jedną ręką z trudem otworzyłam zasuwę. Po drugiej stronie zobaczyłam pralnię i wąskie schody.

– Na górę, już. Zabierz szklankę.

Zamknęłam drzwi tak delikatnie, jak tylko się dało, i popchnęłam Timothy’ego w górę, po ciemnych, wąskich schodach.

– Idź dalej.

Stopnie prowadzące na strych wykonano z drewna i wchodząc po nich, stukaliśmy obcasami, ale miałam nadzieję, że sąsiedzi zachowywali się na tyle głośno, by zagłuszyć ten hałas. Kiedy wchodziliśmy do baśniowego *fumoir*, potknęłam się o marokański cynowy stolik wielkości talerza perkusyjnego, który potoczył się z brzękiem w stos kilimowych poduszek. Timothy wpadł na mnie i rozlał na moje stopy całą wodę.

– Jezu. Skup się na moment. Oddychaj, powoli.

Słyszałam głosy piętro niżej. Jacyś ludzie przemieszczali się z pokoju do pokoju i nawoływali. Nie były to pełne skupienia, zdecydowane głosy policjantów, tylko urywane, nerwowe krzyki. Zamarliśmy, gdy drzwi do kuchni się otworzyły.

– *Allo? Il y a quelqu'un?* – zapytał ktoś po francusku, a kiedy nikt nie odpowiedział, ten sam głos dodał: – Nikogo tu nie ma. Zaczekamy na policję?

– Może nie powinniśmy niczego dotykać?

– Masz rację. Powinniśmy poczekać na dole. Lepiej niczego nie przestawiać.

Dowody, pomyślałam. W dzisiejszych czasach każdy wie, jak zachować się na miejscu zbrodni. *Dzięki ci, Netflixie*. Oczekaliśmy chwilę i gdy drzwi się zatrzasnęły, a głosy ucichły, zeszliśmy szybko po schodach. Na dole znalazłam plastikowe wiaderko od mopa, wetknęłam do niego segregator i wręczyłam je Timothy'emu.

– Zdejmij marynarkę i daj mi ją. Teraz zejdz schodami dla służby. Na dziedzińcu są drzwi. – Wskazałam je przez małe okienko, którego parapet zdobiły małe lampki z kolorowego szkła, przypominające latarnie na drzewach pomarańczowych na Ibizie.

– Wracaj do hotelu. Nie podnoś głowy, po prostu idź, tak jak przyszliśmy. Dogonię cię za kilka minut. Możesz to zrobić? – Kolejne nieme skinienie głowy.

Z wielką niechęcią powierzałam mu segregator, ale jeśli Misza czekał na zewnątrz, w życiu nie udałoby mi się wymknąć z dokumentami.

– Idź.

Miałam nadzieję, że w pomiętej koszulce, z wiadrem w dłoni zostanie wzięty za sprzątacza. Założyłam jego aksamitną marynarkę na swój żakiet i pędem zeszłam ze schodów, szperając w torebce w poszukiwaniu okularów przeciwsłonecznych. Główna klatka schodowa była pusta, ale tłum przy drzwiach urósł. Kolejni amatorzy makabry robili zdjęcia. Jedna z kobiet, ubrana w szorty i fioletowy bezrękawnik, stała na palcach, by zobaczyć ciało. Turystka.

– Co się stało? – zapytałam ją po angielsku.

– Chyba ktoś popełnił samobójstwo – odpowiedziała energicznie, z silnym australijskim akcentem.

– O Boże. To okropne – szepnęłam i zaraz się oddaliłam.

Na rogu ulicy odwróciłam się jeszcze raz, by spojrzeć na zbiegowisko. Podjechała karetka, ale gapie zablokowali drogę. Dwaj ratownicy w odblaskowych kamizelkach próbowali przedrzeć się przez tłum z noszami.

– Proszę się odsunąć! – krzyczeli poirytowani. Kiedy ludzie się rozstąpili, spostrzegłam wytwornego starszego mężczyznę. Stał z brzegu i patrzył w górę na otwarte okno salonu Edouarda. Kazbich. Czyli jednak nie samobójstwo. Nie zostałam dłużej. Ruszyłam powoli ulicą, przeszłam na drugą stronę rue Saint-Louis-en-l'Île i zaczęłam niezgrabnie biec. Jak szybko Misza i Kazbich mnie

znajdą? Podejrzewałam, że dziesiątki zbirów Jermołowa mogły teraz szukać po mieście drogiego obrazu. Na szczęście pokój wynajęliśmy na nazwisko Timothy'ego, więc mogłam w nim zostać przez kilka godzin – dość, by przejrzeć papiery. Uspokojona tą myślą, zwolniłam krok do szybkiego chodu. Poszłam okrężną drogą, zawracając kilka razy i wypatrując wśród przechodniów znajomych twarzy i wszelkich sygnałów sugerujących, że jestem śledzona. Zabawa z Guiche'em w kotka i myszkę nie była już taka fajna, odkąd zostałam myszką.

– To nie była prawda, co? – Timothy odezwał się pierwszy raz, od kiedy wróciłam do hotelu.

– Słucham?

– To, co mówiłaś o swoim chłopaku, prawniku. To nie była prawda.

– Cóż, sam stwierdziłeś, że zbiegi okoliczności nie istnieją – odparłam zjadliwie. Segregator leżał między nami w wiadrze. Ręce mnie świerbiły, żeby do niego zajrzeć. W czasie, gdy my siedzieliśmy w hotelowym pokoju, policja przeszukiwała mieszkanie, przesłuchiwała świadków, oglądała nagrania z telefonów gapiów. Nie miałam czasu na pocieszenie Timothy'ego w żałobie. A jednak się pohamowałam. On nie był niczemu winien, nic nie zrobił. Gdybym zareagowała wcześniej, może skontaktowalibyśmy się z Guiche'em i go ostrzegli. A teraz nie żył. *To nie twoja wina, Judith.* Odezwałam się najłagodniej, jak potrafiłam:

– Doświadczyłeś potwornego wstrząsu. Wiem, że muszę ci wszystko wyjaśnić, i zrobię to, ale najpierw weź gorący prysznic. A potem powinieneś odpocząć. – Gdyby udało mi się nakłonić go do połknięcia dwóch tabletek niezawodnego diazepam, zanim zacznie płakać, mogłabym w końcu zajrzeć do papierów. Na razie, pod wpływem przerażającego widoku, Timothy stał się milczaco ufny. Nie chciałam myśleć o tym, co by się stało, gdyby spanikował i próbował wyjść z hotelu. *Kiedy dowiem się więcej, będę musiała wykombinować, co z nim zrobić.* Tymczasem Timothy powłókł się do małej kabiny prysznicowej, a ja uchyliłam lekko okno i wydmuchując dym przez szczelinę, wypaliłam papierosa. Potem znalazłam w minibarku brandy. Musieliśmy się wymeldować do jedenastej przed południem, więc wymknęłam się na dół, nadal w wymiętym ubraniu z poprzedniego wieczoru, i wręczyłam niewzruszonej recepcjonistce kolejną porcję gotówki. Po powrocie zastałam Timothy'ego skulonego i drżącego pod kołdrą. Wyciągnął do mnie ramiona i kiedy go objęłam, zaczął łkać, kwiląc i gwałtownie łapiąc powietrze. Niezręcznie gładziłam go po włosach, jednocześnie sięgając po brandy i tabletkę.

– No już, będzie dobrze. Wypij to. Znajdziemy coś, co pomoże ci zasnąć, okej? Tak, weź to. To na uspokojenie... – powtarzałam bezsensowne, obce mi słowa pocieszenia. Timothy połknął tabletkę, szlochając i łkając, a potem tuliłam go, aż poczułam przez koszulkę, że jego rozdygotane serce powoli zaczyna się

uspokajać. Trwało to tak długo, że niemal zasnęłam, ale jak tylko oddech Timothy'ego stał się miarowy, wyswobodziłam rękę i sama wskoczyłam pod prysznic. Najpierw puściłam gorącą wodę, potem lodową. Umierałam z głodu. Wepchnęłam pospiesznie do ust zawartość małej paczuszki herbatników maślanych z minibarku, jednocześnie wkładając czysty sweter i majtki. Przykryłam Timothy'ego kołdrą, położyłam na podłodze stertę dokumentów i zaczęłam je przeglądać.

Wyglądało na to, że są posegregowane tematycznie – niektóre napisano specyficzną prawniczą francuszczyzną, inne po rosyjsku. Przeglądałam metodycznie cały stos, szukając czegokolwiek na temat obrazów. Niczego nie znalazłam, tym bardziej że ledwie rozumiałam, co czytam. Pierwsza partia zajęła mi około dwóch godzin. Było w niej wiele dokumentów dotyczących obrotu nieruchomościami (nic nowego) oraz wnioski o wizy i pozwolenia na pracę. Potem, w oddzielnej teczce, znalazłam informacje o pochodzeniu obrazu. Napisane na komputerze streszczenie dołączono do oryginalnych dokumentów po francusku, rosyjsku i w trzecim języku, który mógł być serbsko-chorwackim. Jako pierwsze rzuciło mi się w oczy nazwisko Kazbicha. Była to kopia proveniencji obrazu nieznanego mi artysty o nazwisku pełnym liter „j” i „v”. Pracę opisano jako pejzaż olejny, sygnowany przez autora w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku i sprzedany z prywatnej kolekcji za pośrednictwem galerii w Belgradzie w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym. Galeria Kazbicha mieściła się w Serbii. Baleński kupił pejzaż za pięćdziesiąt tysięcy dolarów amerykańskich. Oprócz tego w ciągu mniej więcej sześciu miesięcy nabył około dziesięciu dwudziestowiecznych dzieł, wszystkie z „prywatnych kolekcji”. Każda partia dokumentów była spięta razem: na wierzchu znajdowało się zdjęcie obrazu, a pod spodem dokumentacja. W latach dziewięćdziesiątych w Serbii toczyła się wojna, a zamieszanie i chaos często działają ożywczo na rynek sztuki. Kurs rodzimej waluty spada, a ludzie potrzebują pieniędzy na ucieczkę, więc zastawiają rodzinne pamiątki. Część obrazów została zaprezentowana na wystawach – wśród dokumentów znalazły się kopie katalogów galerii i muzealnych broszur oraz dowody sprzedaży, w tym wiele spisanych ręcznie i pochodzących z czasów powstania obrazów. Standardowa dokumentacja informująca nabywcę, co się działo z obrazem na rynku, i poświadczająca jego wartość. A więc Kazbich od wielu lat robił interesy z Baleńskim. Kilka razy pojawiło się nazwisko innego kolekcjonera kupującego za pośrednictwem Kazbicha: Dejan Raznatović. Nie tylko kupował, ale również sprzedawał, i nie tylko dzieła dwudziestowieczne, ale też kilka cennych rosyjskich ikon. Prawo zdecydowanie tego zabraniało. Zapisałam nazwisko.

A potem, na początku dwudziestego pierwszego wieku, stary doktor Kazbich stał się sławny – dzięki małemu obrazowi Cézanne'a, również pejzażowi. Baleński

kupił go za dwadzieścia milionów, a mniej więcej rok później sprzedał niejakiemu Pawłowi Jermołowowi, znowu z Kazbichem w roli pośrednika. Ten sam proceder powtórzył się w przypadku dzieł Giacomettiego, Klimta i być może jednego z obrazów, które widziałam w domu Jermołowa we Francji. A więc Baleński przetrząsał obrazy do Jermołowa. Czyżby oligarchowie kontaktowali się przy okazji handlu sztuką, a Kazbich służył im za pośrednika? Rozłożyłam na obskurnym hotelowym dywanie dokumenty dotyczące proveniencji i przejrzałam je zgodnie z ruchem wskazówek zegara, czekając z przygotowanym długopisem, aż coś zwróci moją uwagę. Rothko. W dwa tysiące piątym roku Kazbich sprzedał Baleńskiemu obraz Rothka, który najpierw przeszedł przez kolekcję włoskiego banku, a potem Raznatovicia.

Timothy nadal spał. Przeciągnęłam się i przespacerowałam po niewielkim pokoju. Było tak wiele zmiennych, tak wiele możliwości do rozważenia. *Powoli.*

Kupowanie przez korporacje lub banki obrazów nie jest niczym niezwykłym. Sztuka to towar jak każdy inny i rozmaite instytucje inwestują w nią swoje fundusze. Emeryci z Dorkin mogą być właścicielami skrawka płótna Francisa Bacona, nawet o tym nie wiedząc. Pracując w domu aukcyjnym, dowiedziałam się, że istnieją wielkie magazyny obrazów, gdzie dzieła w złożonych ramach stoją latami spowite ciemnością, w kontrolowanej temperaturze, by pojawić się na kilka tygodni w sali aukcyjnej i zniknąć ponownie, czego przykładem były obrazy Botticellego z kolekcji Jermołowa. Marszandzi potrafią przetrzymać prace bez końca, czekając, aż rynek będzie na nie „gotowy”. Jednak z tym obrazem Rothka coś było nie tak. Wiedziałam o tym, ponieważ podczas mojego wcześniejszego pobytu w Paryżu udający prywatnego windykatora Renaud Cleret pochwalił mi się, że na zlecenie klienta tropi falsyfikat Rothka. To była jego przykrywka, dzięki której szantażem zmusił mnie do odszukania Moncady. Musiałam się upewnić, czy Renaud nie kłamie, dlatego szczegółowo przestudiowałam zawartość *catalogue raisonné* Rothka, czyli autoryzowanego kompendium prac artysty. Stąd wiedziałam, że obraz sprzedany przez Kazbicha – wysoki na dwa metry panel w odcieniach czerni i srebra, podzielony na cztery zachodzące na siebie równoległoboki – nawet nie leżał obok owego katalogu. Przejrzałam proveniencje. Włoski bank, Società Mutuale di Palermo, rzekomo nabył dzieło w latach sześćdziesiątych, zaraz po tym, jak się pojawiło w jednej z nowojorskich galerii. Dołączono nazwisko właściciela galerii z Chelsea (tej na Manhattanie) wraz z fotokopią katalogu wystawy. Bank strzegł swojego cennego nabytku przez dwadzieścia pięć lat, dopóki nie kupił go Raznatović, za pośrednictwem Kazbicha, by następnie odsprzedać go Baleńskiemu.

Ale – jak to już tłumaczyłam Jelenie w Wenecji – genealogię obrazu można sfalszować. Fotografie, potwierdzenia zakupu wypisane na starej maszynie do pisania, na papierze postarzanym w piecyku, fałszywe strony podrzucone do

archiwów, podrobione dzieła dołączone do partii autentycznych płócien i sprzedane przez licytatora, byle tylko się pojawiły w dzienniku... Istniały setki sposobów na oszukanie rynku, ponieważ, w odróżnieniu od innych towarów, wartość obrazu ostatecznie zależy od subiektywnej oceny nabywcy. Jeśli proveniencja jest wystarczająco dobra, marszandzi często mogą przymknąć oko na oczywiste błędy, w dobrej lub złej wierze. Dlatego byłam niemal pewna, że to Kazbich „przepuścił” podejrzanego Rothka przez Włochy i Serbię, a na koniec umieścił go w prywatnej kolekcji Baleńskiego.

Następna transakcja również miała związek z Włochami i tym samym łańcuchem proveniencji, ale tym razem doszło do niej w roku dwa tysiące ósmym, gdy nastąpił światowy krach finansowy. Bank z Palermo najwyraźniej chciał poprawić swoją płynność, tym razem sprzedając pracę weneckiego barokowego malarza Antonia Bacciego za niezwykle, chociaż całkiem prawdopodobną sumę czterech milionów. Raznatović musiał być człowiekiem o imponujących zasobach finansowych. Zaczęłam szybciej przerzucać papiery, jakby opuszki moich palców już wiedziały, co zaraz znajdą.

Z ulicy dobiegł dźwięk syren. Wstrzymałam oddech, aż ich zawroźnienie zaczęło się oddalać. Zapłaciłam za pokój w Herse z góry i ubrania, które tam zostawiłam, nadal były rozrzucone po pokoju. Zastanawiałam się, czy pokojówka w ogóle zauważy, że się wyprowadziłam. Czy policja będzie szukać tajemniczej młodej pary widzianej na miejscu tragicznego upadku znanego prawnika? W to również wątpiłam. Wróciłam do papierów.

I wreszcie go znalazłam! Mój stary druh, Michelangelo Merisi da Caravaggio, portret kobiety, na płótnie. Pośrednikiem był Kazbich, a nabywcami Baleński i Jermołow. Kupili go wspólnie za, bagatela, dwieście milionów euro. Połowa kwoty została zapłacona zaraz po transakcji poprzez fundusz na wyspach Turks i Caicos, reszta przez kuriera, po otrzymaniu obrazu. Pokwitowanie sporządzono w trzech językach, według wszelkich norm i standardów, z miejscem na podpis odbiorcy i kuriera. Guiche złożył już swój zamaszty podpis piórem, ale pole dla dostarczającego pozostawało puste. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę fakt, że obraz leżał bezpiecznie zapięty w futerale, około trzydziestu centymetrów od miejsca, w którym siedziałam.

Guiche wiedział, że jest „na celowniku”. Timothy wspomniał, że od kilku miesięcy jego kochanek był rozkojarzony i zaniepokojony, dlatego unikał chłopaka i trzymał go z dala od swojego mieszkania. Przeanalizowałam chronologię zdarzeń. W listopadzie zeszłego roku wyjeżdżam z Paryża z obrazem. Oczywiście, Guiche nie jest w stanie go dostarczyć. Jermołow jest przekonany, że ja go mam, i czeka, aż się ujawnię. Wiosną otwieram w Wenecji Gentileschi – *ten cholerny esemes przed wyjazdem z Paryża!* – ale nie słyhać o niej w Internecie ani poza nim aż do wczesnego lata, kiedy organizuję wernisaż Xaoc. I wtedy, bingo: pojawia się

Kazbich. Razem z Jermołowem próbują zastawić na mnie pułapkę, ale bez powodzenia. Na kilka dni znikam im z oczu. Jermołow podejrzewa Guiche'a i każe go obserwować. Zrozumiałam, jakim torem szły jego myśli: przyjeżdżam do Paryża, prawdopodobnie z obrazem, i tam spotykam Guiche'a. Prawnik nadal utrzymuje, że nic nie wie, ale Jermołow i Baleński podejrzewają, że jesteśmy w zмовie. Caravaggio wart dwieście milionów mógł zdeprawować każdego.

Guiche'owi po prostu skończył się czas. Zastanawiałam się, co faktycznie się wydarzyło. Czy Misza po prostu wypchnął go z okna na nadrzeczny bruk, czy pozwolił mu z godnością samemu wyjść naprzeciw śmierci? Może samobójstwo było bardziej opłacalne pod względem podatkowym niż morderstwo? Kazbich stał w tłumie gotów zameldować wykonanie zadania. Gdzie był teraz Misza? Bez wątpienia szukał mnie. Na szczęście w tej chwili byłam bezpieczna. Odsunęłam na bok paranoiczne myśli i czytałam dalej. Kartkując proveniencję obrazu Caravaggia, nie mogłam się nie uśmiechnąć. Nie tylko ja ciężko pracowałam w archiwach. Wyprodukowany przez Kazbicha dokument czytało się niczym powieść.

Być może wpadł na ten pomysł, widząc na liście aktywów sycylijskiego banku obraz weneckiego mistrza Bacciego. Chociaż większość badaczy jest przekonana, że Caravaggio nigdy nie odwiedził miasta, niektórzy twierdzą, że jednak spędził tam trochę czasu. Jego pierwszy nauczyciel, Peterzano, był uczniem Tycjana, a ten z kolei uczył się u Giorgionego, którego silne wpływy – i w tej kwestii znawcy są zgodni – widać w pracach Caravaggia. Podobnie jak Caravaggio, Giorgione nie przykładął większej wagi do szkicowania, wyżej od kształtów stawiając kolory. Skrajności palety Caravaggia i blask nadnaturalnego światła, które rozpałał na swych płótnach, przypisuje się właśnie wpływom weneckim. Według Kazbicha młody malarz odwiedził miasto podczas podróży do Rzymu, w tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym drugim roku. W środowisku od dawna krążyły pogłoski, oparte na kilku pracach naukowych, że jednym z najważniejszych portretów namalowanych przez Caravaggia był wizerunek „kobiety, u której mieszkał”. Na ich podstawie twórczy doktor stworzył klasyczną historię biednego artysty płacącego rachunki swoimi pracami. W dokumentacji znalazłam odbitkę fotografii, którą Jelena pokazała mi w Wenecji, oraz – wyglądający autentycznie – osiemnastowieczny spis rzeczy wykonany przy przeprowadzce, w którym dzieło zostało opisane, jednak bez podania nazwiska autora. Potem obraz pozostawał podobno w tym samym miejscu, sprzedawany jako element wyposażenia budynku, który przez lata wielokrotnie zmieniał właścicieli. W kwestii określenia twórcy dzieła Kazbich poszedł na całość. Wśród dokumentów znalazł się list „dziewiętnastowiecznego podróżnika”, amerykańskiego miłośnika sztuki, w którym autor spekuluje, że obraz na ścianie jego pokoju hotelowego mógł wyjść spod pędzla Caravaggia. Były również dwa raporty IFAR-u, czyli

Międzynarodowej Fundacji ds. Poszukiwania Dzieł Sztuki, która oferuje usługi poświadczenia oryginalności dzieł. Formalnie raporty IFAR-u nie są certyfikatami autentyczności, ale zapaleni nabywcy często traktują je jako ostateczne i decydujące. Jednak fundacja nie jest nieprzekupna. Angażowani przez nią eksperci mają możliwość zachowania anonimowości, mogą więc przygotować sfabrykowany raport bez uszczerbku dla swojej reputacji – jeśli tylko cena jest zadowalająca. Kazbich twierdził, że szukał obrazu latami i zdobywszy go niby przypadkiem, poprzez zmarłego krewnego właściciela *pensione*, przedstawił dzieło do zaopiniowania IFAR-owi.

Odkąd zobaczyłam tę pracę, wiedziałam, że nie może być prawdziwa. Bezcelność całego przedsięwzięcia była wprost niesłychana. Takie rzeczy się jednak zdarzały. Obrazy starych mistrzów czasami znajdowano na strychach. Falszerz Han van Meegeren swoim „Vermeerem” pokazowo oszukał znanego konesera sztuki Hermanna Göringa. Nalałam sobie coli i pociągnęłam łyk kleistego syropu, czego natychmiast pożałowałam. Najwyraźniej Kazbich, jak wszyscy fałszerze dzieł sztuki, opierał się na łatwowierności swych ofiar. Na chęci posiadania, łączącej nieuchronnie oszusta i oszukanego i pieczętowanej przez ofiarę własnymi pieniędzmi. Im więcej pieniędzy, tym silniejsze pragnienie, by wierzyć. Owa potrzeba jest nie mniej cenna niż samo dzieło. Gdyby Kazbich zaproponował niższą cenę, wątpię, czy kolekcjoner tak wymagający jak Jermołow dałby się nabrać. A jednak dał się oszukać i kiedy pokrzyżowano mu szyki, był gotów zabić, byle tylko odzyskać upragniony obraz.

Musiałam podjąć decyzję. Nadal nie odkryłam tożsamości osoby, która połączyła Gentileschi z Judith Rashleigh i dała Jermołowowi władzę nad moim życiem, a szczątki jedynej osoby, która mogła udzielić mi odpowiedzi na to pytanie, były właśnie składane w całość w paryskiej kostnicy. Nic nie stało na przeszkodzie, żebym wpakowała kulkę w głowę Timothy’ego, tylko co potem? Kazbich prawdopodobnie nadal był w Paryżu, więc mogłam zostawić obraz w bezpiecznym miejscu, skorzystać ze swoich kont i spędzić resztę życia w oczekiwaniu, aż tajemniczy świadek zapuka do moich drzwi. Mogłam też przyjąć propozycję Jeleny, przekazać jej Caravaggia i złożyć swój los w jej ręce. Poznałam jednak wystarczająco dobrze metody Jermołowa, by wiedzieć, że, nawet jeśli mogę zaufać Jelenie, to będzie ona bezradna wobec działań swojego męża. Może więc po prostu wyjmę caracala, wyjdę z hotelu i znajdę jakieś spokojne miejsce, by włożyć sobie lufę w usta i nacisnąć spust?

Zaczęło się ściemniać. W minibarku została już tylko paczuszka orzeszków i prawdopodobnie dlatego postanowiłam odłożyć samobójstwo na później – to byłby żałosny ostatni posiłek. Timothy poruszył się i obrócił przez sen. Pomyślałam, że wkrótce się ocknie i że jeśli miałabym go zastrzelić, to powinnam to zrobić, póki nie jest świadomy. Szybko odegnałam od siebie tę myśl i postanowiłam poszukać czegoś więcej na temat powiązań między Jermołowem, Balańskim i Kazbichem. Kiedy ostrożnie skradałam się do walizki po komputer, poczułam bolesne mrowienie w nogach.

Otworzyłam laptopa, którego kupiłam po przyjeździe do Paryża, i sprawdziłam, co łączy Kazbicha z Raznatoviciem. Już z wcześniejszej kwerendy na temat doktora wiedziałam, że – poza drobną wzmianką na temat jego belgradzkiej galerii – w Internecie praktycznie nie ma po nim śladu. Żadnych zdjęć, żadnych informacji. Na szczęście Raznatović zdecydowanie nie był tak dyskretny. W zasadzie, gdyby kogoś interesowali byli wojskowi przekwalifikowani na gangsterów, to w tej kategorii Raznatović byłby prawdziwym Mickiem Jaggerem. Urodził się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku i w czasie wojny, która wybuchła w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym, służył w okrytych złą sławą Czerwonych Beretach. Potem, w przeciwieństwie do swojego szefa Miloševicia, odnalazł się w postjugosłowiańskiej rzeczywistości i ogłosił się przywódcą gangu. Po upadku Jugosławii byli czetnicy, jak nazywano kolegów Raznatovicia, zaczęli rządzić Serbią według swojej własnej, brutalnej i anarchistycznej wizji sprawiedliwości. Inicjacja przed wstąpieniem do paramilitarnej serbskiej milicji – a później w szeregi gangu – polegała na powolnym podcięciu gardła ofiary (najlepiej muzułmanina). „Za pierwszym razem jest trochę dziwnie”, zacytował Raznatovicia jeden z dziennikarzy, „ale potem cieszysz się i świętujesz”. Od zwykłych skrytobójczych morderstw – przeciętna stawka: piętnaście dolarów za osobę – Raznatović i jego gang przeszli do handlu bronią. Sprzedawali serbskie AK47 za jedyne dwieście dolarów, a ręczne granatniki przeciwpancerne za dwa tysiące. Serbia stanowiła wręcz idealną bazę dla grup szmuglujących broń do strefy Schengen, wewnątrz której przekraczanie kolejnych granic nie stanowiło już problemu.

Na jednym ze zdjęć Raznatović pozował ze znanym rosyjskim pisarzem, na kolejnym ze swoimi kolegami na polu namiotowym, na jeszcze innym w Saint-Tropez – z cygarem i typową pięknnością w bikini. Wtedy mógł jeszcze bezpiecznie opuszczać kraj. Był bohaterem poważnych artykułów w zagranicznych gazetach, wymieniano go w publikacjach think tanków, cytowano jako bohatera narodowego bądź wskazywano jako międzynarodowego przestępcę. Miał nawet

swoje własne hasło w angielskojęzycznej Wikipedii, w którym wspomiano o jego bogactwie, legalnych przedsiębiorstwach i, co ciekawe, o jego zainteresowaniu serbską sztuką ludową, zwłaszcza ikonami. Był głównym fundatorem założonego niedawno muzeum w Belgradzie i podobno nadal mieszkał w stolicy. Gdybym szukała materiałów do pracy naukowej, mogłabym oglądać zdjęcia zasobów muzeum Raznatovicia przez cały ranek, ale mnie interesowały inne jego zasoby – mianowicie te, dzięki którym Baleński zbił fortunę.

Albowiem również Baleński, zanim zaczął żyć zgodnie z prawem, gromadząc aktywa na Zachodzie, zajmował się handlem bronią. W kleptokracji postsowieckiej Rosji, gdzie nie istniało rozróżnienie na gangsterów i przedstawicieli władzy, kwitł czarny rynek. Bruce Eakin i jego badający fenomen rosyjskiej mafii koledzy twierdzą wręcz, że wojna w Czeczenii była jedynie przykrywką dla nielegalnego handlu bronią, i to na niewyobrażalną skalę. Na wojnie państwo mogło upłynnić zbędne uzbrojenie, oficjalnie wpisując sprzedany sprzęt do rubryki „zniszczone”. Baleński robił interesy z Raznatowiciem przez Kazbicha. A ponieważ Raznatović osiągnął swoją obecną pozycję również dzięki handlowi bronią, nasuwa się pytanie, czy Kazbich szmuglował li tylko uroczaje pejzaże z połowy stulecia. Gdyby tylko Eakin postarał się trochę bardziej, mógłby dostać Pulitzera.

Kolejne pytanie brzmiało: dokąd Kazbich szmuglował dzieła sztuki? Jedyńm powiązaniem, jakie odkryłam, był Moncada, ale potem pomyślałam o banku na Sycylii. Zajrzałam do Google’a, aby sobie odświeżyć wiedzę, którą nabyłam od swego przyjaciela Renauda (to, że kogoś wygooglujesz, nie oznacza, że za nim tęsknisz), i szybko utwierdziłam się w przekonaniu, że Kazbich może być uwikłany w pranie brudnych pieniędzy. Obrazy bowiem to dość sprytny sposób na przechowywanie funduszy – władze mogą ci zabrać wirtualne pieniądze z konta, ale żeby zrobić to samo z obrazem, muszą fizycznie wejść w jego posiadanie. Może dlatego trzecim najważniejszym towarem na włoskim czarnym rynku – po broni i narkotykach – są dzieła sztuki. Wartość tego segmentu szacuje się na osiem miliardów euro, a Tutela del Patrimonio Culturale – oddziałowi włoskiej policji zajmującemu się odzyskiwaniem skradzionych dzieł sztuki – udaje się skonfiskować nawet sześćset tysięcy prac rocznie. Możliwe, że Kazbich był pośrednikiem w procedurze wymiany broni za obrazy, a Raznatović i Moncada dostarczali towar.

Jelena była pewna, że Jermołow ma swoje tajemnice. Wiedziałam o Baleńskim, ale on wywodził się z dawnej szkoły, dobiegał osiemdziesiątki i był reliktem minionej epoki. Jermołow należał do nowego pokolenia, stanowił „cywilizowane” oblicze postsowieckiego bogactwa. Jeśli wraz z innymi miłośnikami sztuki był zamieszany w przemyt broni, mogłam to wykorzystać. Jelena nie byłaby w stanie mnie ochronić, nawet gdyby dostała ten swój cholerny

obraz, ale ta informacja mogła mi zapewnić nietykalność. Tylko jak to rozegrać? Jak dotrzeć do Jermołowa w jednym kawałku i wytrwać w tym stanie wystarczająco długo, by zdołać go zaszantażować?

I właśnie w tym ekscytującym momencie moich rozważań Timothy postanowił się obudzić. Po kilku chwilach oszołomienia zdał sobie sprawę, że to nie koszmar senny, i znów zaczął płakać. Cóż, mnie ten okropny hotel również przyprawiał o łzy. Przyniosłam mu wodę i przez chwilę próbowałam go uspokoić, a potem przypomniałam sobie o liście wyjętym z biurka Guiche'a. Nadal tkwił w kieszeni mojego rzuconego niedbale żakietu. Podałam go Timothy'emu i obserwowałam jego twarz, kiedy rozkładał pojedynczą kartkę. Na łóżko posypała się sterta banknotów, a następnie deszcz monet. Timothy zignorował je, przeczytał w milczeniu list i podał mi kartkę.

Przepraszam – napisał Guiche. I dziękuję Ci za radość, jaką mi dałeś. Proszę, przyjmij to i spróbuj być szczęśliwy. Powinieneś studiować. Wiesz, że w Ciebie wierzę. Ale proszę Cię bardzo, wyjedź z Paryża. E.

Troszczył się o Timothy'ego do końca, do ostatniego, kliwego pożegnania. Zgarnęłam gotówkę i dokładnie ją przeliczyłam. Prawie trzy tysiące euro: dwa tysiące w setkach, reszta w innych banknotach, jakby w ostatniej chwili postanowił dać chłopakowi pieniądze i musiał je zebrać w pośpiechu. Timothy nie odezwał się ani słowem. Patrzyłam na niego przez chwilę, a potem położyłam mu dłoń na ramieniu, ale ją zrzucił. Patrząc beznamiętnie w zmierzch, założył ręce na piersi i schował dłonie pod pachami.

Gdybym zwróciła obraz zaraz po tym, jak namierzyłam go w Anglii, to by się nie zdarzyło. Guiche by żył. Timothy'ego czekałaby przyszłość z mężczyzną, który go kochał.

- Judith? – odezwał się nagle.
- Słucham.
- Pamiętasz imprezę, o której ci opowiadałem? Tę w Tangerze?
- Tak.
- Była tam para hetero, chłopak i dziewczyna. Zwyczajni turyści, Francuzi. Ktoś spotkał ich w mieście i przywiózł na imprezę. Mieli zrobić pokaz.
- Pokaz?
- Uprawiali seks, na oczach wszystkich. Zwyczajny seks. Dziewczyna wydawała się bardzo zaangażowana, ale chłopak wyglądał na smutnego, chociaż im za to płacili. Wszyscy na nich patrzyliśmy.
- I?
- Byli parą, oboje jasnowłosi. I tak sobie pomyślałem... – Głos mu się załamał, ale powstrzymał łzy.
- O czym sobie pomyślałeś, Timothy?
- Najgorsze było to, że nie oglądaliśmy seksu. Oglądaliśmy miłość. Oni byli

w sobie zakochani. I pomyślałam... – Był niezdrowo podekscytowany i zaczął mówić szybko, chcąc wypowiedzieć słowa, zanim pojawią się łzy. – Pomyślałam, że on chciał to zepsuć, ten Baleński. Dlatego im zapłacił. Bo wiesz, oni się kochali. A on chciał to po prostu zepsuć.

Wiedziałam, do czego zmierza, ale ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałam, były cklive opowieści o zbrukanej niewinności. Objęłam go.

– Posłuchaj. To, co się stało, było straszne, okropne. Jest mi bardzo, bardzo przykro, że musiałeś brać w tym udział. Ale Edouard cię kochał, naprawdę. Chciał, żebyś żył dalej. Przecież tak napisał, prawda? Dlatego, że się o ciebie troszczył. I tak zrobimy. Pomogę ci, obiecuję.

Zaczął szlochać, więc go objęłam i przytuliłam. Wiedziałam, że nie płacze z powodu Edouarda i utraconej miłości. To nie byłoby w jego stylu – zrozumiałam to w chwili, kiedy zobaczyłam go w tamtym koszmarnym klubie. Przypomniałam sobie ten dumny krok, gdy wyszedł z darkroomu, wyraz jego twarzy, gdy patrzył na mnie z podłogi przyłapany na próbie kradzieży. Zawsze wiedziałam, kim jest, a on wiedział, kim jestem ja – i to niewypowiedziane porozumienie cały czas między nami istniało. Tak to jest, kiedy spojrzysz w otchłań czyjejś duszy i ujrzysz w niej siebie.

– Będzie dobrze – wyszeptałam wreszcie. – Nie martw się, wszystko będzie w porządku. – Tuliłam go mocno, dopóki jego oddech się nie uspokoił.

Nie, uznałam. Nie ma mowy, żebym go zabiła. Dużo bardziej mógł mi się przydać żywy. Wyglądało na to, że dokonałam wyboru. Postanowiłam, że Jermołow już nigdy nikogo nie skrzywdzi. Chociaż nie była to moja główna motywacja. Chodziło raczej o przyjemność, jaką spodziewałam się poczuć, gdy mąż Jeleny się dowie, że mogę go powstrzymać. Chociaż Timothy był ciężarem, potrzebowałam go, by zrealizować plan, który kiełkował w mej głowie. Przywykłam do działania w pojedynkę, ale teraz wiedziałam, że nie obejdę się bez pomocy. A może sama też chciałam mu pomóc? Wzruszające. Za chwilę zacznę sprzedawać swoją krew, żeby nie zabrakło mu na waciki.

– To dużo pieniędzy – zaczęłam. – Mógłbyś je wykorzystać. Nie chciałbyś wrócić do Maroka? – Musiałam pozwolić mu podjąć decyzję. Wybrać lojalność.

Potrząsnął smutno głową.

– Chcesz zostać we Francji?

– Żartujesz?

– Mam pomysł. Możemy zrobić coś razem, a jeśli się uda, odegramy się na tych, którzy skrzywdzili Edouarda. Pomścimy go – dodałam. Czulałam, że to przemówi do dramatycznego temperamentu Timothy'ego.

– Okej.

– Ale to będzie... dość niebezpieczne.

– Okej.

– Jeśli się uda, będziesz miał z tego pieniądze. Dużo pieniędzy.

– Mam gdzieś pieniądze.

Spojrzelśmy sobie w oczy. Drgnął mu kącik ust i dostrzegłam na jego twarzy cień cierpkiego, a zarazem łobuzerskiego uśmiechu.

Uniosłam pytająco brwi.

– Wystarczająco dużo, by opłacić szkołę – powiedziałam. – I nie tylko.

– Edouard chciał dla mnie jak najlepiej – odparł z kamienną twarzą.

– Tymczasem – oznajmiłam, sięgając po gotówkę – pożyczam trochę. Na bilet autobusowy. Zaczynij się pakować.

Z duszą na ramieniu odwróciłam się z powrotem do komputera i weszłam na stronę międzynarodowego dworca autobusowego w Paryżu. Najbliższy kurs do Belgradu był o ósmej, ale na ten byśmy już nie zdążyli. Miałam jednak nadzieję, że znajdą się wolne miejsca na następny, o jedenastej. Liczyłam, że po przyjeździe do Serbii będę mogła do woli korzystać z mojej karty kredytowej, jednak na razie, póki Kazbich deptał mi jeszcze po piętach, wolałam zachować ostrożność. Potem, aby nie zdradzać miejsca naszego pobytu, odwróciłam laptopa tak, by kamera pokazywała ścianę obskurnego hotelu, i zadzwoniłam Skype'em do Jovany, liderki belgradzkiego Xaoc Collective.

Jovana była doktorem historii sztuki, specjalistką od renesansu, i nigdy nie pozowała na wielką artystkę. Twierdziła, że ledwie potrafi narysować ludzika z kresek, za to była geniuszem komputerowym i doskonale znała rynek. Zarządzała kooperatywą jak starą włoską manufakturą. Ona wymyślała projekty, a artyści z grupy je wykonywali, po czym wszyscy się dzielili zyskami. Była jak serbski Damien Hirst, tylko mądrzejszy i z oryginalnymi kolczykami w ciele. Poznałyśmy się na Biennale, w Pawilonie Macedońskim, gdzie Xaoc prezentowali jeden ze swoich ogromnych kolaży, które później w pomniejszonej wersji wykonali dla mojej galerii. Trzydzieści metrów ręcznie wyszywanej kołdry ozdobionej pocztówkami przedstawiającymi prawosławne ikony i maleńkimi cynowymi imbryczkami. Od początku podziwiałam Jovanę, która o finansach i psychologii sprzedaży mówiła z taką samą swobodą i powagą jak o wpływie sztuki flamandzkiej na wschodnioeuropejskie malarstwo religijne. Kiedy pracowałam w domu aukcyjnym, z naiwnym przerażeniem obserwowałam, jak bezcenne dzieła sprowadza się do poziomu zwykłej inwestycji, lecz w trakcie rozmów z Jovaną wiele się nauczyłam. Jovana podchodziła do sztuki z zaangażowaniem, ale bez złudzeń. Widziała rynek takim, jakim jest i jakim zawsze był, ale wierzyła, że i w nowych dziełach znajdzie się miejsce na świeże pomysły, nawet jeśli trzeba je przemycić podstępem, niejako „za plecami” dla klientów.

Jovana nie odpowiadała, więc czekając na połączenie, zaczęłam się pakować. Przy okazji rozmontowałam pistolet, by wyrzucić go po kawałku podczas podróży. Nie zamierzałam go już używać. Za trzecim podejściem Jovana odebrała.

Kiedy jej twarz pojawiła się na ekranie, zauważyłam, że z przekłutej brwi zwisa jej plastikowa, odczepiona od breloczka figurka Michaela Jacksona. Wyjaśniłam, że wybieram się do Belgradu, i zapytałam, nad czym pracuje Xaoc.

– Och, Elisabeth! – Widziałam, jak Jovana zaciera ręce z zadowolenia. – To coś... pikantnego. Myślałam o... żebyś dobrze to powiedziała... abieckie.

Sztuka wstrętu. Wymiociny, odchody, krew, rzeź, okaleczenie. Prace, które mają za zadanie wywołać obrzydzenie i w ten sposób zakwestionować nasze pojęcie piękna. Tak przynajmniej brzmi slogan marketingowy. W rzeczywistości jest to zwykła, wulgarna pogoń za pieniędzem, a powstałe przy tej okazji dzieła, jeśli czymś się wyróżniają, to tylko banałem. Ale to już nie pojawia się w tekstach reklamowych.

– Barrrdzo trrendy – kontynuowała Jovana. – Mam nagrania naprawdę obrzydliwych rzeczy. Na przykład pacjentów po tracheotomii... Łączymy to ze scenami gwałtu z dark webu i umieszczamy obrazy w małych teleskopach.

Okej, Jovana. Dark web, porno z gwałtem, kumam.

– Nie, nie, to nie teleskopy – poprawiła się. – Te urządzenia, w których układają się różne wzory.

– Kalejdoskopy?

– Właśnie. Potem zawijamy je w papier, jak te duże cukierki z niespodzianką, które Anglicy dają sobie na święta... *christmas crackers*. – Nachyliła się, by mi to zademonstrować, a kołyszący się Michael wykonał nad jej okiem moonwalk. – Otwierasz je i znajdujesz w środku coś... niewinnego i zarazem coś bardzo, bardzo obrzydliwego.

– Czyli z jednej strony chodzi o zszokowanie odbiorcy, a z drugiej o spojrzenie na to, co zniekształcone i niemoralne z nowej perspektywy, tak?

– Dobrze powiedziane! – Jovana pociągnęła łyk dietetycznej coli. – Byłabyś zainteresowana?

– Zdecydowanie! Mam też dla ciebie kilka innych pomysłów. W jednym chodzi o stworzenie nowej wersji starego dzieła, a drugi to instalacja filmowa. Odegranie czegoś, rodzaj sztuki z sobowótami. Trochę w stylu Cindy Sherman.

– Brzmi nieźle. Masz klienta?

– Dwóch, potencjalnie.

– Świetnie. Super będzie cię znowu zobaczyć. Chcesz się u nas przekimać?

– Dzięki, może... Byłoby fajnie zobaczyć, nad czym pracujecie.

– Jasne, jasne. To kiedy będziesz w Belgradzie?

– Jutro.

Autokar toczył się przez Europę, a Timothy na zmianę spał i gapił się w okno. Ja też się gapiłam. Gdzieś za granicą słoweńską zapytał mnie smutno, dlaczego jedziemy do Belgradu.

– Po pierwsze dlatego, że to ostatnie miejsce, w którym będą nas szukać – odpowiedziałam powoli. Wyjaśniłam, że chcę przekazać wiadomość mężczyźnie o nazwisku Raznatović i jeśli uda mi się go znaleźć i nakłonić, by przystał na moją propozycję, to ludzie, którzy zabili Guiche’a, zrozumieją, że muszą nas traktować poważnie. A przy okazji stworzymy dzieło sztuki! – dodałam radośnie. Wiedziałam, że moje słowa brzmią jak rojenia wariata, jednak szok wywołany śmiercią Guiche’a najwyraźniej wpędził Timothy’ego w stan zbliżonego do śpiączki osłupienia, bo siedział z obojętnym wzrokiem, jakby uznawał, że wiem, co robię.

Uspokoiliłam go, że nie będzie musiał bardzo się angażować, ale sztuką zajmiemy się później, jak znajdę Raznatovicia.

– Po prostu rób, co ci powiem – powiedziałam surowo, chociaż nie byłam pewna, czy faktycznie zrozumiał.

Po osiemnastogodzinnej podróży do Belgradu mogę powiedzieć niewiele więcej ponad to, że było ciasno, niewygodnie, brudno, monotennie i wyczerpująco. Czyli tak, jak można się było spodziewać po takiej eskapadzie. Kiedy dotarliśmy do Białego Miasta, odstawiłam Timothy’ego do hotelu Square Nine i kazałam mu ruszyć tyłek do siłowni. Liczyłam, że może endorfiny podniosą go trochę na duchu.

Umówiliśmy się z Jovaną dopiero na dziesiątą wieczorem, więc wybrałam się na wycieczkę po mieście. Cienki płaszcz, który spakowałam, zupełnie nie chronił mnie przed lodowatym wiatrem znad Dunaju, ale nie miałam zamiaru zakładać ohydneho angielskiego polaru. W centrum Belgradu modne były raczej futra z norek. W swoich wojażach pierwszy raz zawędrowałam tak daleko na wschód i musiałam przyznać, że rzeczywiście było tu jakoś inaczej, chociaż na początku nie potrafiłam określić dlaczego. W mieście stało wiele okazałych osiemnasto- i dziewiętnastowiecznych budynków poprzetykanych kamienicami z lat trzydziestych, z masywnymi balkonami. Na wysadzonymi drzewami skwerze zauważyłam hipsterską kawiarnię Koffein, gdzie wypiłam macchiato i znalazłam w przewodniku adres galerii Kazbicha. W wydrukowanym na brązowym papierze menu kawiarni proponowano tradycyjne bałkańskie pieczywo i konfiturę jagodową podawaną w uroczych, ozdobionych koronką słóiczkach. Otaczały mnie standardowe brody, flanelowe koszule i macbooki. Równie dobrze mogłabym być w Shoreditch. Idąc w stronę Starego Miasta, lawirowałam pomiędzy przekupniami. Kobiety o okrągłych twarzach i w ubraniach przypominających bałkańskie stroje ludowe sprzedawały wyszywane obrusy i koronkowe serwetki, a zwaliłci

mężczyźni – rozmaite pamiątki wojenne. Jak na tak wielkie miasto i wczesnowieczorną porę na ulicach panował zaskakująco upiorny bezruch. Pomijając sprzedawców, w każdym przejściu i na każdym rogu ulicy tłumy ludzi po prostu... stały, z dziwną cierpliwością kamerdynerów i pokojówek. Wiatr rozwiewał im siwe włosy lub chusty na głowach, a oni trwali – tak jakby czekali na coś od tak dawna, że sami już zapomnieli na co. Naprzeciw biura Kazbicha znajdowała się elegancka, współczesna galeria, w której prezentowano retuszowane zdjęcia z początku dwudziestego wieku. Przedstawiały one karłowate dzieci, których czarne loki ozdobiono cynobrowymi kokardami. Na środku ulicy parkan z dykty zasłaniał ziejącą dziurę, a kiedy spojrzałam w górę, na rogu ponurego, szarego biurowca dostrzegłam wyraźne ślady po kulach. Na znajdującym się obok przystanku autobusowym wisiał plakat reklamujący ostatni sezon *Rodziny Kardashianów*, jakby mieszkańcy tego miasta nie dość jeszcze wycierpieli.

Galeria doktora była pokrzepiająco elegancka i staromodna: okno wykuszowe ozdobiono szprosami z ciemnego drewna, a na prostej, czarnej, aksamitnej zasłonie umieszczono dwie niewielkie bizantyjskie ikony przedstawiające Ukrzyżowanie, oprawione w srebrną ażurową ramę. Powieszono je po obu stronach wielkiego monochromatycznego płótna z wizerunkiem nagiego kulturysty, którego masywne uda oplatały marmurową kolumnę. Zajrzałam przez szybę w drzwiach i zobaczyłam cztery podobne obrazy w ciężkich połączonych ramach, również zawieszane na przemian z ikonami (tyle dobrego, że wyglądały na autentyczne). Dochodziła ósma i galeria była zamknięta, ale cofnęłam się parę kroków w kierunku wykopu i zrobiłam telefonem kilka zdjęć wystawy. Jovana będzie potrzebowała inspiracji do nowego zlecenia.

Budynek, w którym Jovana pracowała ze swoją ekipą, uchodził za największy artystyczny squat w Europie. Dwudziestopiętrowy ziggurat z betonu w kolorze czekolady dodatkowo onieśmielał swoim oficjalnym, urzędowym klimatem. Gmach był kiedyś dumą serbskiej administracji państwowej i tropikalny mural z tukanami i orangutanami w dawnym lobby nie zdołał wypędzić duchów żółtozębnych biurokratów w sowieckich garniturach z beżowego poliestru, zapachu podłej kawy i całej tej ponurej, dusznej sztuczności wypełniającej fałszywą siedzibę fałszywego państwa, którego jedyną walutą było okrucieństwo. Wnętrze, jakby powiedziała Jelena, przypomniało mi o gęsią skórkę. Pracownie grupy znajdowały się na dziesiątym piętrze. Jovana ostrzegła mnie, że windy są zepsute, więc zaczęliśmy wchodzić po schodach.

Ucieszyłam się, widząc, że Timothy się otrząsnął i spogląda czujnie dokoła, ale sam budynek, mimo wypisanych na ścianach zapewnień, że punk nie umarł, szybko wprowadził mnie w przygnębienie. Na każdym piętrze musieliśmy przejść przez szeroki, niski, pokryty graffiti korytarz. *Dlaczego anarchia zawsze wygląda*

tak samo? Dochodzące z jednego z wyższych pięter odległe, stłumione pulsowanie jakiegoś kawałka electro sprawiało, że cisza wydawała się jeszcze bardziej przytłaczająca. Nagle usłyszeliśmy za plecami jakiś łopot. Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy tłum zakapturzonych postaci biegnących pomiędzy odrapanymi betonowymi ścianami. Bez słowa przyspieszyliśmy kroku, lecz tamci zrobili to samo. Pokonując kolejne schody, wsunęłam zegarek wyżej, pod rękaw płaszcza. Czuliśmy, że się zbliżają.

– Ilu ich jest? – wysapał Timothy.

– Dużo.

Zaczęliśmy biec. Dotarliśmy na następne półpiętro i puściliśmy się kolejnym, obsikanym korytarzem. *Czy mają noże?* Korytarz kończył się parą ogromnych stalowych drzwi, zamkniętych na kłódkę i ociekających czerwoną wściekłością w sprayu.

– Cholera! – Odwróciliśmy się, dysząc.

– Może damy radę przemknąć pod ścianą, z dwóch stron? Miniemy ich najszybciej, jak się da, a potem zbiegniemy na dół.

Byli pięćdziesiąt metrów od nas, po chwili dwadzieścia. Twarze zakryte, dzikie.

– Poczekaj, aż będą bardzo blisko. Gotów?

I wtedy z boku otworzyły się drzwi i fala hip-hopu odbiła się od sufitu. Dzieciaki zwolniły, zdjęły kaptury i uśmiechając się szeroko, weszły do studia. Kobieta w krótkiej odblaskowej kurtce wysunęła głowę i ruchem ręki zaprosiła ich do środka. Taniec nowoczesny. Spóźnili się na zajęcia. Jeden z nich pokazał nam kciuki w górę i za plecami kolegów wykonał krótki moonwalk. Drzwi się zamknęły, muzyka przycichła. *Jezu!*

Timothy stał zgięty w pół, z głową między nogami, i dyszał ciężko.

– Nie dam rady.

– Rozumiem, ale to były tylko dzieciaki.

– Mimo wszystko. Nie dam już rady.

Ukucnęłam i podniosłam jego twarz, zmuszając, by spojrzał mi w oczy.

– Posłuchaj, wszystko jest w porządku. Oni nie mieli zamiaru na nas napaść.

Jesteśmy przewrażliwieni.

– Serio? Tak bez powodu? Nic nam nie grozi?

Naprawdę nie miałam siły na kolejną mowę motywacyjną.

– Nie bądź dupkiem. Mamy tu coś do załatwienia. Weź się w garść. Dasz radę.

Smętnie skinął głową.

– Chodź. – Pociągnęłam go w bok, szukając innej klatki schodowej. Sama też się czułam wstrząśnięta. Nie, nie wyrostkami, to była głupota, ale falą opiekuńczości, którą nagle poczułam w stosunku do Timothy’ego, pragnieniem, by

go uściskać i powiedzieć, że wszystko będzie w porządku.

Zatrzymaliśmy się na chwilę, by odsapnąć, po czym zapukałam do drzwi pracowni. Kolejne okienko w stalowych drzwiach, a w nim radosna twarz, niemal niewidoczna za dywanem kolczyków.

– Cześć, jestem Elisabeth, byliśmy umówieni z Jovaną. – Posłałam Timothy’emu spojrzenie przypominające mu, że ma siedzieć cicho.

– Jasne, wejdźcie. Chcecie herbaty? Mamy miętową i fiołkową.

– Poproszę fiołkową, dzięki, hmm...

– Vlado.

W studiu było jeszcze chłodniej niż na smaganym wiatrem bulwarze. Rozpoznałam pracownię grupy, którą widziałam na stronie internetowej – pokrytą kablami i podzieloną zwisającymi prześcieradłami na małe boksy. Kręciło się tam około dwudziestu osób, większość ubrana w mundury wojskowe z metalowymi emblematami, jak Vlado. Kilkoro zajmowało się opartymi o ściany płótnami, inni po prostu palili i gawędzili, a większość gromadziła się wokół rzędu laptopów stojących na okazałym stole pośrodku sali. W centrum błyszcząły cukierkoworóżowe dredy Jovany.

– Elisabeth! Świetnie cię znowu widzieć! – Mówiła po angielsku bezbłędnie, ale z komicznym akcentem. Przyłożyłam policzek do otaczającego jej lewe oko tatuażu – pełnego zawijasów napisu cyrylicą w kolorze indygo.

– To Timothy, mój stażysta z Paryża. Timothy, pomożesz Vladowi z herbatą?

Timothy patrzył obojętnie, więc powtórzyłam to samo po francusku i wtedy oddalił się, powłócząc nogami.

– Okej, Jovano, trzy sprawy. Po pierwsze, czy możemy u was przekimnąć kilka nocy? Od jutra. Skoro mam okazję, chciałabym przyjrzeć się waszej pracy, a byłoby to też świetne doświadczenie dla Timothy’ego. Oczywiście zapłacę.

– Jasne, nie ma problemu. Ale to nie hotel pięciogwiazdkowy – dodała z powątpiewaniem Jovana.

– Dzięki, to będzie dla nas zaszczyt. Po drugie, mam tutaj spotkanie i potrzebuję projektu, i to dość szybko. Najlepiej na jutro. Po prostu zrób go na swoim laptopie, potrzebny mi tylko zrzut ekranu. Mam szansę na zlecenie od pewnego klienta. Tutaj, w Belgradzie – wyjaśniłam uroczyście.

– Fantastycznie!

W pracowni nie było chyba bieżącej wody, ale, oczywiście, wi-fi działało idealnie i już po kilku minutach Jovana przesuwała po ekranie zrobione przeze mnie zdjęcia witryny Kazbicha.

– Chciałabym, żebyś dodała coś takiego. – Pokazałam jej zdjęcie weneckiej ikony, które ściągnęłam jeszcze w hotelu.

– Żaden problem.

– Dziękuję, ale zanim zaczniesz – pociągnęłam łyk gorącej kwiatowej herbaty z wręzonego mi kubka z księżną Cambridge – jest trzecia sprawa, i to dość duża. Instalacja dla innego klienta, w Szwajcarii. Tematycznie trochę związana z waszym materiałem o gwałcie w filmach porno.

– Super.

– Ale chciałam go trochę złagodzić. To, o czym mi opowiadałaś, brzmiało dość ekstremalnie.

Jovana posłała mi karcące spojrzenie.

– Fundacja Prady pokazuje niedługo w Mediolanie *Jody, Jody, Jody* Kienholzów – powiedziała. – Widziałaś to?

Owszem, niestety. Wykorzystywanie dzieci, nawet w służbie sztuki, to nie moja bajka.

– Zrobili tę instalację w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku – ciągnęła Jovana. – Jeśli chcesz iść z duchem czasu, musisz robić rzeczy ekstremalne. Taki jest biznes.

Kiedy to obrzydzenie stało się miarą wartości artystycznej? Nikt już się nie bulwersuje na widok gówna, zużytych tamponów czy plastikowych genitaliów. Co jeszcze spodziewamy się zobaczyć w galerii? Wygląda na to, że jeśli jedyną rzeczą, jaką masz do zaproponowania jako artysta, jest wywoływanie poczucia odrazy, to jesteś skazany na staczanie się coraz niżej. Jak tylko ludzie oswoją się z tym, co robisz, musisz posunąć się dalej.

– Ale to naprawdę okropne – zaprotestowałam.

– Właśnie – odparła spokojnie Jovana. – To jak, decydujesz się?

– Chyba tak. Byłabyś zainteresowana?

– Zawsze.

Nazajutrz o jedenastej wróciłam do galerii Kazbicha z pierwszą partią pracy Jovany na telefonie. Moje ubrania zaczynały wyglądać niechlujnie, ale nie miałam do tego głowy. Do niezawodnych spodni MiuMiu założyłam czarny kaszmirowy sweter pod szyję i związałam włosy w wysoki kok. Prosto i poważnie.

– W czym mogę pomóc? – Dziewczyna za biurkiem wydawała się zaskoczona moim nagłym wejściem, bo szybko schowała do szuflady czasopismo i popielniczkę. Miała na sobie czarną filcową sukienkę bez rękawów, a pod spodem koszulę w stylu lat siedemdziesiątych w kolorowe tureckie wzory, ze spiczastym kołnierzykiem. Dość przekonujący strój, ale torebka u jej stóp była plastikowa, a cera nieświeża. Najprawdopodobniej nie była belgradzką księżniczką bawiącą się w kuratora, ale pracującą na pół etatu studentką.

– Mam pewną sprawę – odparłam ostrożnie. W głębi ducha spodziewałam się, że za chwilę zza drzwi, niczym Nosferatu, wyłoni się Kazbich. Wręczyłam dziewczynie jedną z wizytówek Gentileschi. – Nazywam się Elisabeth Teerlinc. Mam dzieło, które, moim zdaniem, mogłoby zainteresować jednego z państwa

stałych klientów.

Otworzyłam montaż Jovany i podałam dziewczynie smartfona. Zerknęła na niego pobieżnie, znacznie bardziej skupiona na trzech banknotach po sto euro, które wetknęłam pomiędzy telefon a futerał.

– Liczyłam na to, że będzie pani mogła się z nim skontaktować. Przyjechałam tylko na dzień lub dwa, a podejrzewam, że będzie poważnie zainteresowany moją ofertą. – Stanowczym ruchem schowałam telefon i pieniądze z powrotem do torebki i pozwoliłam, by cisza między nami nabrzmiała.

– Jak brzmi nazwisko klienta?

– Dejan Raznatović – odpowiedziałam niewinnie.

Skrzywiła twarz w udawanym zaskoczeniu.

– Ja... nie wiem, o kim pani mówi.

Wyjęłam z torebki papierosy.

– Daj spokój, dobrze wiesz, o kim mówię. Nie bój się, wszystko jest w porządku. Doktor Kazbich odwiedził mnie w mojej weneckiej galerii. Wiem, że pracuje również dla pana Jermołowa. – Wyciągnęłam w jej stronę paczkę, w której przypadkiem zawieruszyły się kolejne dwie setki. Średnia pensja w Serbii wynosi niecałe czterysta euro miesięcznie. Wysunęłam papierosa, zapaliłam go i podałam dziewczynie paczkę. Wzięła jednego, schowała paczkę do szuflady i wyjęła popielniczkę. Poczekalam, aż zaciągnie się kilka razy, i napomknęłam, że próbowałam dzwonić do doktora Kazbicha, ale nie udało mi się z nim skontaktować. A ponieważ przyjechałam do Belgradu, by odwiedzić znajomych artystów z Xaoc Collective, pomyślałam, że zajrzę do galerii osobiście.

– Zna pani Xaoc? – Twarz dziewczyny się rozpromieniła.

– Jasne. – Jovana i spółka byli w Serbii sławni jak gwiazdy rocka. – Właśnie byłam w ich pracowni. Urządzają tam niezłe imprezy.

– Właściwie, mogłabym spojrzeć...

– Oczywiście, że tak – zachęciłam ją konspiracyjnym tonem.

– Czy mogłabym zobaczyć tę... hmm... pracę.

Uniosłam brew i podałam jej telefon wraz z futerałem.

– Naturalnie.

Dziewczyna usiadła za biurkiem i zaczęła klikać na komputerze, udając, że przeszukuje bazę klientów galerii.

– W ten weekend organizują imprezę – rzuciłam od niechcena. – Nieoficjalną. Będzie grał Vladimir Acic.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Ja nie dam rady przyjść, ale na pewno mogłabym ci załatwić wejście. Musisz mi tylko podać swoje nazwisko...

Zmrużyła oczy i przyjrzała mi się uważnie. Czyżbym przesadziła? Udałam, że zainteresował mnie jeden z renesansowych kulturystów, i postawiłam torebkę na

biurku, tak aby dziewczyna mogła zobaczyć metkę.

– Te prace są całkiem ciekawe. Jesteś artystką?

– Tak, głównie rzeźbię.

Bingo.

– Naprawdę? W takim razie zdecydowanie powinnaś poznać Jovanę. – Posłałam jej siostrzany uśmiech. A przynajmniej miałam nadzieję, że taki był, gdyż nie ćwiczyłam go często.

– A więc... hmm... tak, mamy niejakiego pana Raznatovicia.

– Możesz do niego zadzwonić? Pamiętaj, żeby zapisać mi swoje nazwisko dla Jovany.

Sekretarka wykonała kilka telefonów i po piętnastu minutach byłam umówiona z Dejanem. Chociaż dziewczyna mówiła po serbsku, widziałam, że była zdenerwowana. Wychodząc z galerii, pomyślałam, że przekażę jej nazwisko Jovane. Kto wie, może okaże się, że naprawdę ma talent? Z drugiej strony, coś mi mówiło, że Vladimir odwoła swój występ.

Timothy'emu nie spodobało się nasze nowe lokum. Powiedziałam mu, że udokumentowanie aktywności w squacie byłoby wspaniałym przyczynkiem do stworzenia portfolio do szkoły projektantów mody, ale najwyraźniej go nie przekonałam, co, moim zdaniem, świadczyło tylko o jego braku wyobraźni. Tyle dobrego, że teraz jego uwaga skupiła się na nędznych karimatach i śpiworach, które składały się na naszą sypialnię, i przestał opłakiwać Edouarda.

Dużo bardziej niż stan Timothy'ego martwił w tamtej chwili brak ciepłej wody w kranie i konieczność odbycia toalety w dawnej biurowej kuchni. Zagotowałam wodę w czajniku, umyłam się gąbką i patrząc w kieszonkowe lustro, umalowałam się najlepiej, jak mogłam. Bielizna Eres z cienkiej czarnej siateczki i jedyny elegancki strój w mojej walizce, czyli grafitowa jedwabna sukienka Lanvin z głęboką fałdą z tyłu, którą przed wyjazdem z hotelu kazałam pokojówce wyprasować, prezentowały się całkiem nieźle, ale irytował mnie brak jakiegoś efektownego akcentu. Zeszłam bosą dziewięć pięt, niosąc w ręce swoje sandały Alaïa z dziurkowanej skóry, przystanąłam na kafelkach ze sztucznego marmuru, wyczyściłam podeszwy stóp wilgotną chusteczką, i na koniec nieelegancko wciągnęłam czarne pończochy. Dejan miał niemal pięćdziesiąt lat, a mężczyźni w tym wieku potrafią docenić ten detal.

Wybrany przez Raznatovicia lokal znajdował się na zakręcie rzeki, poniżej murów starego belgradzkiego zamku. Dawne nabrzeża i magazyny przekształcono w ciąg modnych restauracji i barów z widokiem na Dunaj. Tuż przed ósmą dołączyłam do tłumu dziewczyn idących wzdłuż kei chwiejnym, choć pełnym determinacji krokiem. Wszystkie niezdarnie pokonywałyśmy na obcasach brukowaną ulicę. Może polityczna izolacja Serbii namieszała w jej gospodarce, ale na polu eugeniki dokonała cudów. Większość dziewczyn miała ponad sto

osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, figurę modelki i niekończące się uda koni wyścigowych, bez względu na pogodę opięte kusymi sukienkami lub spódniczkami mini. Były naturalnie ładne, przynajmniej pod warstwami makijażu i sztucznymi rzęsami, ale moją uwagę przykuły ich włosy. Życie w tym kraju hartowało ducha, więc i to, co się działo w zakładach fryzjerskich, dziewczyny znosiły ze stoickim spokojem. Rozjaśnianie, suszenie, tapirowanie, zakręcanie lokówką, lakierowanie. Może i zimna wojna dawno się już skończyła, ale jeśli chodzi o fryzury Serbek, można by odnieść wrażenie, że czas się cofnął i mur berliński nadal stoi na swoim miejscu. Dziewczyny prezentowały się wspaniale i nie zamierzały przegrać wyścigu do szczęścia z powodu niedbale przedłużonych włosów.

Wyglądało jednak na to, że tego wieczoru to ja spotkam się z najgorętszą partią w mieście. Kiedy dotarłam do niewielkiej peruwiańskiej restauracji z sushi i podałam kierownikowi sali nazwisko Raznatovicia, przez chwilę myślałam, że się facet udławi. Prowadząc mnie przez zatłoczony lokal do stolika w głębi restauracji, na podwyższeniu, które wyglądało jak zaaranżowana naprędce strefa VIP, przynajmniej cztery razy zwrócił się do mnie per „łaskawa pani”. Zamówiłam kieliszek czerwonego wina i zapaliłam papierosa – dla czystej, perwersyjnej przyjemności palenia w pomieszczeniu. Natychmiast przybiegło do mnie trzech kelnerów z popielniczkami.

– Łaskawa pani pozwoli.

Dejan Raznatović był ogromny, nawet jak na serbskie standardy. Miał na oko sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i ramiona tak szerokie, że blokowały dopływ światła. Do czasu, gdy poznałam Steve’a, tylko raz czy dwa byłam w porządnej restauracji. Od tamtej pory siadywałam przy stolikach w wielu drogich lokalach i z wieloma ważnymi osobami, ale aura, jaką roztaczał Raznatović, była niespotykana. Kiedy przywitał się ze mną i podaliśmy sobie ręce, zdałam sobie sprawę, że przygląda nam się cała obsługa. Nawet niezbędny w takim lokalu didżej wychylał się ze swej budki. W obecności Raznatovicia powietrze wydawało się cięższe, jakby jego energia wypełniała przestrzeń pomiędzy atomami. To nie była jedynie reakcja na sławę i bogactwo, lecz strach. Poza posturą, w postaci Raznatovicia nie było niczego bandyckiego – granatowy garnitur uszyty na miarę, a spinki do mankietów dyskretne – ale kiedy goście wokół powoli wrócili do rozmów, zauważyłam, że chociaż wszyscy na sali wiedzieli, kim jest, nikt nie odważył się spojrzeć mu w oczy. Nagle uderzyła mnie fala pożądania tak przemożna, że poczułam, iż nogi mam jak z waty – i pozwoliłam, by Dejan zobaczył to w moich oczach. W tym samym momencie kelner wydał z siebie skrzeczący odgłos i starając się odsunąć krzesło dla potężnego gościa, upuścił mu na stopę popielniczkę, a następnie, próbując złapać równowagę, chwycił się obrusa i posłał po nim strużkę wina. Przez chwilę wszyscy troje spoglądaliśmy na bałagan.

– Lubi pani sushi, pani Teerlinc?

– Bardzo miło z pana strony, że mnie pan tu zaprosił – odparłam dyplomatycznie.

Raznatović położył na stole banknot i powiedział do kelnera coś po serbsku, a następnie odsunął moje krzesło.

– Chyba pójdziemy gdzie indziej.

Na deptaku przed restauracją parkował srebrny aston martin. Dejan otworzył mi drzwiczki, zaczekał, aż wsiądę, a potem przez chwilę sadowił się na niskim fotelu kierowcy. Strasznie chciało mi się śmiać. Ruszyliśmy, a za nami czarny range rover z przyciemnianymi szybami, którego kierowca również beztrąsko zignorował przepisy dotyczące parkowania. *Pewnie ochrona*. Jechaliśmy pod górę stromą ulicą, która – jak się domyśliłam – prowadziła do zamkowego parku.

– To bardzo miło z pana strony, że spotkał się pan ze mną w sprawie estymacji – zaczęłam. Chciałam zobaczyć, czy zna ten termin. „Estymacja” to nieformalna, szacunkowa wartość, jaką dzieło może osiągnąć na aukcji.

– Jeśli praca jest tak interesująca, jak się wydaje, to raczej bardzo miło z *pani* strony.

A więc mówimy tym samym językiem. To dobrze.

– Jesteśmy na miejscu. Mam nadzieję, że droga nie będzie dla pani zbyt stroma. – Bez zażenowania patrzył na moje nogi. *Coraz lepiej.*

Raznatović zaoferował mi swe ramię, by ułatwić mi wejście w sandałkach po niemal pionowej uliczce. Na tle jego szerokiego rękawa moja dłoń wyglądała jak mała plamka. Za nami z range rovera wysiadł młody mężczyzna. Zaczekał na instrukcje i po chwili ruszył w kierunku znajdujących się przed nami drzwi, podczas gdy my podążyliśmy za nim spacerowym tempem. Wnętrze lokalu oświetlone było lampami oliwnymi. Znajdowało się w nim kilka drewnianych stołów z wyściełanymi zielonym aksamitem ławami, a na nich wykrochmalone płócienne obrusy i srebrna zastawa. Atmosfera restauracji była dość nieformalna – miałam wrażenie, jakbyśmy cofnęli się w czasie. Wiekowy kelner o sumiastych, niebieskawych wąsach powitał nas, trzymając srebrną tacę, a na niej maleńkie kieliszki z grawerowanego kryształu napełnione śliwowicą. Raznatović uniósł swój uprzejmie w kierunku garstki gości, po czym wychylił go do dna. Poszłam w jego ślady i poczułam, jak przepyszny moszcz śliwkowy palącą strużką spływa mi do gardła.

– To jedna z najstarszych restauracji w Belgradzie – wyjaśnił Dejan, kiedy zajmowaliśmy miejsca. Wymawiał nazwę miasta po serbsku, zastępując „l” głosek „o”. – Powinna pani spróbować tataru z koniny.

– Na pewno jest pyszny.

Raznatović złożył zamówienie i kiedy napełniono nam kieliszki, poprosił o pokazanie zdjęć, które skompilowała dla mnie Jovana. Zaczęłam swoją przemowę:

– Muszę panu wyjaśnić, że poznałam doktora Kazbicha w Wenecji, gdzie mieści się moja galeria. Mamy kilku wspólnych znajomych z kręgów artystycznych. Rozumiem, że interesują pana ikony, więc kiedy się pojawiło to dzieło, pozwoliłam sobie nawiązać z panem kontakt.

– Doktor Kazbich dał pani mój numer? – Dejan wydawał się rozbawiony.

– Nie – odparłam, patrząc mu w oczy. – Poszłam do jego galerii i poprosiłam sekretarkę. Była bardzo uprzejma.

– Ależ pani przedsiębiorcza. Jest pani Brytyjką, tak?

– Moja rodzina mieszkała w Szwajcarii – streściłam życiorys Elisabeth w jednym zdaniu, po czym kontynuowałam swój wykład: – A zatem... Koncepcja przypomina to, co bracia Chapmanowie zrobili z dziełami Goi. Oczywiście zna pan ich prace? Ikona pochodzi z trzynastego wieku, z Wenecji. Jest niezwykle rzadka, ale bardzo zniszczona. Została wystawiona na sprzedaż prywatnie, przez rodzinę, która jest w jej posiadaniu. Xaoc planują podzielić ją na fragmenty i stworzyć tryptyk. Coś w tym stylu. – Pokazałam mu serię przygotowaną przez Jovanę.

Nie wiedziałam, czy jest ekspertem w dziedzinie ikon, ale nie martwiłam się, że rozpozna dzieło, ponieważ nie istniało. Razem z Jovaną skomponowałyśmy obraz z kilku mniejszych ikon z kolekcji weneckiego muzeum Ca' d'Oro, przedstawiających typową, ciemnowłosą Madonnę o migdałowych oczach, w połączanej szacie, trzymającą niezręcznie na kolanach pucułowate Dzieciątko. Umieściłyśmy na twarzach rysy sugerujące pęknięcia i zniszczony filigran w lewym dolnym rogu. Pomysł polegał na tym, że Xaoc mieli pociąć rzekomy obraz na kawałki i złożyć go ponownie w trzech częściach, a następnie nałożyć na tryptyk wybrane przez klienta fotografie. Przygotowaliśmy kilka przykładowych kompozycji w oparciu o obrazy renesansowych kulturystów z galerii Kazbicha, wykonane markerem serbskie graffiti i jeden z najbardziej szokujących obrazów z projektu Jovany dotyczącego sztuki wstrętu. W zasadzie całość nie wyglądała źle, chociaż dla mnie liczyło się głównie to, że dzięki temu projektowi miałam okazję spotkać się z Dejanem i przekazać mu wiadomość.

– To będzie praca na zamówienie, więc, naturalnie, w kwestii szczegółów wykonawcy są... elastyczni. – Angielski Dejana był niemal bezbłędny, ale miałam nadzieję, że to określenie zbije go nieco z tropu. Przyglądał się pracy przez kilka minut, trzymając kciuk nad ekranem.

– Gdzie jest ikona w tej chwili?

– W Wenecji, w domu właścicieli. Jest własnością rodziny od niepamiętnych czasów. Mogłabym zaaranżować spotkanie, gdyby zechciał ją pan obejrzeć. – Doskonale wiedziałam, że nie może opuścić Serbii.

– Zdobyliście pozwolenie na wykorzystanie dzieła w ten sposób?

– Nie jest to konieczne. Ikona pozostaje w rękach rodziny, która dysponuje nią według uznania.

– Jaka byłaby cena?

– Siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów plus moja prowizja i honorarium dla Xaoc, z którego również otrzymam dziesięć procent. Szacuję, że przy ponownej sprzedaży wartość wzrośnie przynajmniej dwukrotnie.

– A koszt sprowadzenia ikony do Serbii?

Jest naprawdę dobry.

– Jeden z członków rodziny przyleci do Belgradu. Będę mu towarzyszyć. Z formalnego punktu widzenia sprzedaż odbędzie się na serbskiej ziemi. Nie będzie problemów w kwestii dziedzictwa narodowego.

– Pomyślała pani o wszystkim.

– Inaczej nigdy nie przyszłoby mi do głowy, by się z panem kontaktować.

Rozmowę przerwał nam kelner, który postawił przed nami dwie miseczki z ciemnoczerwonym mięsem oraz kapary, natkę pietruszki, posiekane jajka i cebulę, które zmieszał z mięsem na naszych oczach. Dejan pokazał mi, jak rozsmarowywać tatar na tartines z chleba tostowego, po czym ugryzłam kęs. Konina miała aksamitny, pikantny smak dziczyzny, a jednocześnie zaskakiwała świeżym, wyraźnym posmakiem żelaza.

– Smakuje pani? – zapytał z troską Dejan. – Nie jest zbyt intensywna?

– Absolutnie. Pyszna!

Mówiłam szczerze. Nagle odniosłam wrażenie, jakbym od bardzo dawna nie miała w ustach prawdziwego jedzenia. Od tataru przeszliśmy do gotowanych ziemniaków pływających w koperkowym maśle oraz pomidorów zapiekanych z papryką i czosnkiem. Na koniec kelner zmienił nam talerze na małe szklane miseczki z bitą śmietaną z dodatkiem konfitury z wiśni, a w filiżankach ze srebrnym brzegiem podał pachnącą kardamonem kawę. Niewiele mówiliśmy.

– Nie przyjmę pani oferty – oznajmił nagle Dejan, sącząc kawę. Pod wpływem wina i otaczającego mnie ciepła zdążyłam lekko odpłynąć myślami, więc musiała upłynąć chwila, nim się ponownie skupiłam na kwestiach biznesowych.

– Przykro mi to słyszeć, ale na szczęście mamy innych klientów. Dziękuję za wspianą kolację. – Wykonałam gest, jakbym zbierała swoje rzeczy i szykowałam się do wyjścia, ale on spojrzał mi w oczy i rozszyfrował mój blef. Oboje się uśmiechnęliśmy.

– Proszę poczekać. – Położył swoją wielką dłoń na moim nadgarstku. Poczulałam w żyłach ciepło bijące z opuszków jego palców.

– Nie kupię tej pracy, ponieważ, jak sama pani stwierdziła, ikony mnie fascynują. Posiadam kilka i bardzo je sobie cenię. Ta praca działałaby na mnie... niepokojąco.

– Chce pan być uprzejmy. Uważa pan, że to okropna praca, rozumiem.

– Może chciałaby je pani zobaczyć?

– Pyta mnie pan, czy chciałabym pana odwiedzić i obejrzeć ikony?

Uśmiechał się szeroko.

– Tak, myślę, że byłaby pani zachwycona.

– Dziękuję, byłoby cudownie.

Kiedy z powrotem wcisnął się w fotel kierowcy, myślałam, że mnie pocałuje, ale nie musiał się silić na konwenanse – i wiedział o tym. Przez jakieś dwadzieścia minut jechaliśmy w milczeniu, z range roverem widocznym w bocznych lusterkach. Za każdym razem, gdy Dejan zmieniał bieg, czułam, że samochód siada lekko pod jego ciężarem. Byłam tak mokra, że bałam się, czy moje soki nie przesiąkły przez materiał sukienki. Zjechaliśmy z autostrady na ponurą, prostą drogę wysadzaną jedynie pasmem rachitycznych drzew, następnie skręciliśmy w dół w kolejną i zawróciliśmy w kierunku, gdzie, według moich obliczeń, rzeka wypływała poza granice stolicy. Uświadomiłam sobie, że jedziemy daleko za miasto, i nikt nie wie, gdzie jestem ani z kim. Ta myśl sprawiła, że przez moment poczułam euforię.

– To pański dom?

Reflektory oświetlały drogę i otwierającą się bramę. Wydawało mi się, że widziałam już sporo przykładów wszelkiego rodzaju kiczu, ale u Raznatovicia było naprawdę paskudnie. W jednej chwili miałam wrażenie, że widzę różową, gipsową wersję zamku Chenonceau, z trzema okrągłymi wieżami górującymi nad sztucznym jeziorem, a w drugiej – czystej wody churrigueryzm, z bogatymi, kaskadowymi zdobieniami. Był nawet prawdziwy most zwodzony oraz naturalnych rozmiarów gipsowy tygrys syberyjski z wyszczerzonymi kłami, pilnujący trzymetrowej stalowej bramy.

– Podoba się pani?

– Jest bardzo... imponujący.

Posłał mi pełne goryczy spojrzenie.

– Miałem drugi dom, w Czarnogórze, dużo piękniejszy. Prosty, kamienny. W stylu weneckim. Nad fiordem, tuż za Kotorem. Pewnie bardziej by się pani podobał.

– Tak, gdyby nie umowa o ekstradycji... Co za pech.

– To niezbyt uprzejme, Elisabeth.

– Przepraszam.

Wcisnął przycisk na desce rozdzielczej. Kiedy powoli zaczął się opuszczać zwodzony most, przygryzłam wargę.

– Względy bezpieczeństwa. Nie jest zbyt subtelny, ale użyteczny.

Ruszyliśmy dalej. Kiedy zatrzymaliśmy się na ciasnym dziedzińcu, trzech młodych mężczyzn w bojówkach i ciężkich skórzanych kurtkach podbiegło do samochodu. Silnik jeszcze pracował, gdy dwóch z nich sprawnym, wytrenowanym ruchem otworzyło drzwiczki, a trzeci podszedł z gotowym do strzału karabinem AK47 i kontrolował wjazd, dopóki nie usłyszeliśmy odgłosu podnoszonego mostu.

Po niedawnym faux pas uznałam, że uprzejmie będzie udać, że tego nie zauważyłam. Faktycznie jednak czułam się, jakbym wkraczała na teren fortecy. Przypomniałam sobie czytany fragment na temat początków kariery Raznatovicia: „Za pierwszym razem jest trochę dziwnie, ale potem cieszysz się i świętujesz”. Dejan odezwał się po serbsku, na co jeden z mężczyzn pomógł mi wysiąść i poprowadził mnie przez wąskie drzwi do jednej z wieżyczek.

– Tędy, proszę. – Gestem wskazał, że powinnam pójść przed nim. Wspięłam się po spiralnych schodach wyłożonych mozaiką w krzykliwych kolorach i weszłam do okrągłego pokoju, gdzie ze zdumieniem dostrzegłam ścianę pełną półek z książkami i dwie dość zniszczone aksamitne kanapy ustawione po dwóch stronach pięknego, choć postrzępionego perskiego dywanu. W kominku palił się ogień, a drewno – być może jabłoń – wydzielało intensywny aromat. Na dość ciężkim mahoniowym stole w stylu Ludwika XVI stała butelka i dwa proste kieliszki. Rozejrzawszy się nieco, zauważyłam, że pokój jest naprawdę urokliwy: białe róże w niebieskiej chińskiej misie, wyszywane poduszki, pobielone wapnem ściany mieniące się w blasku ognia delikatnie złotym odcieniem i wielki, kuty z brązu i pozłacany kandelabr w stylu imperialnym. Gdyby nie schowana za okiennicami reszta okropnego budynku, mógłby to być pokój z dziewiętnastowiecznej powieści rosyjskiej. Zwłaszcza że dostrzegłam też trzy ikony w ramach z matowego srebra.

– Czy mogę zdjąć marynarkę? – zapytał Dejan, stając przede mną z korkociągiem w ręce.

– Oczywiście. – Byłam przekonana, że już to zrobił na dole, ponieważ wypukłość, którą zauważyłam w restauracji na jego biodrze, zniknęła.

– To mój prywatny apartament. Wieża z kości słoniowej.

Wzdrygnęłam się lekko, ale nie dziwiło mnie, że tak się urządził.

Wzięłam kieliszek, który mi podał, i wskazałam ikony.

– Proszę mi o nich opowiedzieć.

– Najpierw niech pani powie, co sądzi o winie. Gruzińskie, z Kachetii.

Pachniało drewnem cedrowym i wiśniami.

– Bardzo dobre, dziękuję.

– No więc te dwie pochodzą z Ochrydy, a ta Madonna ze Skopje. Wszystkie wykonano w trzynastym wieku. To był najbardziej... rewolucyjny okres w dziejach serbskiego ikonopisarstwa. Serbia stała się niepodległym królestwem i święty Sawa wypędził greckich biskupów z ich... biskupii?

– Biskupstw.

– Nudzę panią?

– Ani trochę.

– No więc twórcy ikon rozwinęli swój własny styl. Nadal malowali je głównie Grecy, ale w ich dziełach pojawiła się nieznana wcześniej prostota. Było

więcej kolorów, więcej... gwałtowności.

– Są bardzo ładne.

– Zabawne: wino jest „bardzo dobre”, a moje bezcenne ikony „ładne”. Tak mówią ludzie związani ze sztuką. Powściągliwość?

– Właśnie.

– Im cenniejsza rzecz, tym słabszy...

– Przymiotnik? – Miał rację. Mnie ta poza też zawsze śmieszyła. W domu aukcyjnym ci, którzy znali się na sztuce, określali prace Gainsborougha mianem „całkiem uroczych”.

– Dziękuję.

Kiedy usiadł obok mnie, stara kanapa ugięła się pod jego ciężarem.

– I co teraz? – Pociągnął łyk wina.

– Teraz?

– Możemy się pieprzyć, a potem mi powiesz, co tutaj robisz, albo powiesz mi, co tutaj robisz, a potem będziemy się pieprzyć.

– W takim razie zacznijmy od pieprzenia.

Wyjął szklankę z mojej dłoni i postawił ją obok swojej. Kiedy odwrócił się i mnie pocałował, poczułam na jego języku intensywny aromat wina. Chwycił mnie jedną ręką w tali, z łatwością podniósł i położył na sofie. Otworzyłam usta szeroko, łapczywie. Miał potężną, masywną klatkę piersiową i chociaż nie leżał na mnie całym ciężarem, czułam na udzie jego pęczniejącego fiuta. Rozpięłam mu koszulę, zanurzyłam dłonie w gęstych włosach na piersi, odnalazłam sutek i ścisnęłam go delikatnie. Pieściliśmy się jak para nastolatków – zachłannie, trochę niezdarnie.

– Zdejmę z ciebie tę śliczną sukienkę.

Ześliznęłam się z sofy i odwróciłam do niego plecami. Jego wielkie dłonie sprawnie poradziły sobie z rzędem schowanych w jedwabiu haftek, a potem ze stanikiem.

– Piękności. – Musnął palcami moje plecy od szyi aż po pośladki, a potem zrobił to samo ustami. W końcu ukląkł za mną i ścisnął obiema rękami mój tyłek. Moja złakniona, mokra cipka ociekała sokiem i niemal bolała z pożądania. Zdjęłam majtki i już chciałam się oprzeć na stole, kiedy on chwycił mnie w pasie, w jednej chwili się wyprostował i uniósł mnie całą nad siebie. Odchylił głowę i dotknął językiem moich warg sromowych. Zaczął mnie ssać tak intensywnie, że przez chwilę poczułam się jak w stanie nieważkości, zawieszona pomiędzy niebem a ziemią, pulsująca. Potem położyłam kolana na jego ramionach, zaparłam się dłońmi o sufit i zaczęłam poruszać biodrami, podczas gdy on lizał mnie od jednej dziurki do drugiej. Wsunął we mnie język, a ja odepchnęłam się od sufitu, by wszedł we mnie głębiej, i wygięłam się w tył nad jego głową. Mogłam dojść w tym momencie, ale było mi zbyt dobrze.

– Postaw mnie.

Opuścił mnie na podłogę tak samo łagodnie, jak wcześniej podniósł, a ja uklęknęłam, by wziąć jego fiuta do ust.

– Oooch...

Że też Bóg nie stworzył wszystkich penisów na podobieństwo członka Dejanowego! Na całej długości gruby jak moja pięść, obrzezany, ze skórką delikatną jak jedwab. Polizałam najpierw delikatną żołądź, muskając ją i ssąc, aż westchnęła, zadrżała i nabrzmiała jeszcze bardziej. Potem chwyciłam całego fiuta w dłoń i zaczęłam masować długimi posuwistymi ruchami, a następnie wzięłam go głęboko do ust. Położyłam palce Dejana na swoim gardle, by poczuł, jak się we mnie zagłębia, i zaczęłam poruszać głową szybciej, oblewając go śliną, by mógł słyszeć mlaszczący odgłos. Napierałam, aż zaczęłam się krztusić i poczułam odruch wymiotny. Faceci uwielbiają, kiedy podczas robienia im laski czujemy się niekomfortowo. Dejan wsunął palce między moje rozpuszczone włosy, chwycił mnie za tył głowy i zaczął wpychać mi fiuta do ust, a ja smarowałam jego jądra i krocze moimi sokami. Wciąż ssąc, kolistym ruchem otaczałam żołądź językiem, a potem, powoli, najwolniej jak to możliwe, rozluźniłam usta i dłoń, by po chwili przyssać się do niego ponownie i zatrzepotać językiem w rozkosznej torturze.

Dejan milczał. Widziałam nad sobą jego skupioną twarz. Odchyliłam głowę i ostatni raz wzięłam do ust całą jego męskość.

– Teraz możesz mnie zerżnąć.

Wstałam, ocierając się o jego masywne uda, objęłam go za szyję, wygięłam biodra lekko w tył i oplótłam go nogami w pasie. On chwycił mnie władczo za pośladki, zrobił kilka kroków w tył, oparł się plecami o ścianę i wszedł we mnie. Jedno powolne pchnięcie, drugie i trzecie, aż krzyczałam w środku, by wszedł we mnie cały. Ugryzłam go w pierś, a wtedy on odwrócił się i przycisnął mnie do ściany całym swoim ciężarem. Napierał na mnie raz za razem, aż poczułam, jak zaczynam pulsować, od łechtaczki daleko w głąb, i syknęłam mu do ucha: „Już!”. Pchnął mnie jeszcze kilka razy, by zawładnąć mną całkowicie, i kiedy zalana falą rozkoszy wygięłam się do tyłu, poczułam, jak wypełnia mnie coraz bardziej. Gdy eksplodował w orgazmie, uniósł mnie lekko, żebym widziała, jak tryska na mnie spermą. Wsuwał tylko główkę między moje śliskie, obrzmiałe wargi, aż w końcu jęknął i opuścił mnie na siebie, wypełniając mnie resztą swych soków.

Oboje drżeliśmy. Zmęczona zlizalam słoną strużkę potu spływającą po głębokim rowku pomiędzy mięśniami na jego klatce piersiowej. Nadal opleciona wokół niego pozwoliłam mu zanieść mnie na kanapę, gdzie uklęknął, nachylił się i zaczekał, aż się łagodnie zsunę. Potem sięgnął po jeden z kieliszków, napełnił usta winem i przylgnął do moich warg, a ja się od niego napiłam.

– Dobrze się czujesz, Elisabeth? – zapytał z wzruszającą troską.

– Chyba tak. Jeszcze nie wiem. – Musnęłam dłonią jego fiuta, który teraz

chował się w gęstych włosach łonowych. – To było... zaskakujące.

– Kłamiesz, prawda?

– Tak.

Usiadł i zaczął wkładać koszulę i spodnie. Poszłam w jego ślady, wyszperawszy między poduszkami swoją bieliznę. Kiedy oboje byliśmy jako tako ubrani, Dejan ponownie napełnił kieliszki i zwrócił się w moją stronę.

– Teraz powiesz mi, dlaczego się ze mną spotkałaś i po co pokazałaś mi ten okropny projekt.

– Często kupujesz obrazy poprzez Ivana Kazbicha, prawda?

– Tak. Przecież wiesz.

– Podejrzewam, że czasami coś mu też sprzedajesz. – Zauważyłam, że bawełniana rękaw koszuli nagle opina się na bicepsie.

– Może – odpowiedział Dejan z zaciśniętymi ustami.

– Chcę, byś mu przekazał wiadomość, dla jednego z jego zleceniodawców. Dam ci ją na kartce i sobie pójdę. Kazbich wie, że mam coś, czego szuka. Przekażę to jego mocodawcy w Szwajcarii, za tydzień. Pod warunkiem że spotkanie przebiegnie na moich warunkach.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

Mogłam powiedzieć, że miałam nadzieję, iż nie pieprzyłam się z nim na próżno, ale to nie byłaby prawda, nie mówiąc o tym, że byłby to przejaw grubiaństwa.

– Kazbich sprzedaje falsyfikaty i w ten sposób mocno ryzykuje... Może nabruździć ci w interesach.

– Błefujesz.

– Może tak, a może nie. – Właściwie o niczym nie miałam pojęcia i musiałam się modlić, żeby kupił mój błef. Spędziliśmy miły wieczór, ale moim celem było wmówienie Jermołowowi i Baleńskiemu, że wiem, co knują. Tylko wiadomość przekazana im bezpośrednio przez Dejana Raznatovicia mogła ich przekonać, że widziałam papiery Guiche'a i odkryłam, co ich łączy. Jeżeli wyjdę stąd żywa, a Dejan przekaże im wiadomość ode mnie, uwierzą, że wiem wystarczająco dużo, by ich pogrążyć. Dlatego zgodzą się na spotkanie dokładnie w takiej formie, w jakiej je zaplanowałam. Informacja o tym, że wiem o ich machinacjach na obszarze „sztuka za broń”, mogła ich skłonić do zabicia mnie, ale to i tak planowali. Gdyby udało mi się ich przekonać, że znam ich tajemnice, zyskałabym czas, którego potrzebowałam, by się z nimi skonfrontować.

– Jesteś bardzo dociekliwa. – W głosie Dejana słyszałam rozczarowanie. – Albo bardzo głupia.

Miał rację. Nie musiałby wołać nikogo na pomoc, bo te wielkie łapy złamałyby mój kark jak słomkę. To była najbardziej ryzykowna część mojego planu, ale tym samym najbardziej podniecająca. Zgromiłam go spojrzeniem

i zaryzykowałam lodowaty uśmiech.

– To niezbyt uprzejme. Jestem pewna, że nie mógłbyś... Nie po tym, jak się przed chwilą... – powiedziałam seksownym głosem.

Odwzajemnił mój uśmiech.

– Czyżby? Myślisz, że to byłby mój pierwszy raz? Jesteś... zabawna. Ale i odważna.

– Dziękuję, ale, jak już wspomniałam, twoje sprawy mnie nie interesują. Chcę tylko przekazać Kazbichowi wiadomość i oddać przedmiot, którego szuka. To wszystko, zapewniam cię.

Dejan wstał.

– Ktoś cię odwiezie do domu.

– Zrobisz to, o co cię proszę?

– Może... pewnie tak. – Podał mi torebkę, z której wyjęłam kartkę z instrukcją. – Chciałbym spędzić z tobą więcej czasu, ale musisz mi wybaczyć, jestem bardzo zajęty.

– Oczywiście. – Wyniosłość w jego głosie i nagły powrót do formalności trochę mnie zabolowały.

Wcisnął przycisk dzwonka przy drzwiach prowadzących na schody i kiedy usłyszeliśmy kroki, wstałam. Nie otwierając drzwi, Dejan powiedział coś po serbsku.

– Zvezdan zawiezie cię, gdzie chcesz. Do widzenia, Elisabeth. – Pocałował mnie w rękę.

– Do widzenia, Dejanie. Dziękuję ci bardzo za poświęcony czas.

Poszłam za chłopakiem przez dziedziniec, gdzie minęliśmy strażnika, który otworzył zakratowaną bramę, a potem zszedł z nami po rampie do podziemnego garażu. Stał tam zaparkowany aston, a obok SUV porsche i dwa range rovery – ciemny, który jechał za nami (w świetle lampy jarzeniowej zauważyłam, że ma jasną tapicerkę), i biały, z czarnym, skórzanym wnętrzem. Wstrzymałam oddech. Chłopak nacisnął klawisz na breloczku z kluczami i kamień spadł mi z serca. Czarny z białą skórą. Gdyby wybrał ten drugi, to by znaczyło, że ma zamiar mnie zabić. Przecież nie pobrudziłby tapicerki krwią.

Kiedy mniej więcej godzinę później ochroniarz wysadził mnie pod squatem, w budynku dudniła muzyka. Chłopak otworzył mi drzwiczki i z poważną miną podał torebkę, po czym sztywno się uklonił i ruszył z powrotem do miasta. Nie był brzydki, a ja czułam się tak radośnie, że gdyby nie jego szef, mogłabym go zaprosić na górę. Zdjęłam buty i powlokłam się na dziesiąte piętro. Pod wpływem chłodu i wspinaczki po schodach zaczęłam powoli trzeźwieć. Kakofonia house i techno odbijała się od ścian. Wszystkie pracownie i studia były otwarte i pełne ludzi – tańczących, pijących, całujących się i palących. Jakiś brodaty wielkolud minął mnie na dzieciennym rowerku trójkołowym, machając do mnie, podczas gdy

kolega filmował go telefonem. Dwie piękne serbskie wojowniczkę w martensach i skórzanych legginsach przeszły obok, stukając ciężko obcasami i ściskając w dłoniach zapalone zimne ognie. Wysłałam na dach w poszukiwaniu ciszy i wyjęłam telefon. Poniżej mrugały światła dziwnego, pełnego życia miasta.

Najpierw napisałam do Carlotty, że chętnie odwiedzę ją w St. Moritz, dokąd zapraszała mnie podczas wesela. Potem zebrałam się w sobie i po kolei wypróbowałam numery, które Jelena zapisała mi w Wenecji: pierwszy, na rosyjską komórkę, która okazała się wyłączona, a potem, licząc, że jest w Londynie, ten z kierunkowym czterdzieści cztery. W Anglii było już po północy i jeśli nie spała, raczej nie była trzeźwa, ale po drugim dzwonku odezwała się podchmielonym głosem.

– Jeleno, tu Elisabeth z Wenecji. Prosiłaś mnie o coś, ale mogę dać ci coś lepszego. O wiele lepszego. Nic nie mów, tylko natychmiast oddzwonić do mnie na nowy numer. Zaraz ci go podam. Ale musisz zadzwonić z innego aparatu. Możesz to zrobić?

– *Da.* – Z tonu jej głosu trudno było wyczytać, czy była bardziej zaskoczona, czy wystraszona.

Na dachu stały stare, używane stoliki piknikowe. Czekać na telefon Jeleny, kolejne dwadzieścia minut spędziłam na zestawianiu kilku z nich razem, tak aby stworzyć rodzaj parawanu. Potem skuliłam się za nim, trzęsąc się w cienkiej sukience i boso. Sperma Dejana skrzepła nieprzyjemnie na moich udach. W końcu Jelena zadzwoniła. Rozmawialiśmy tak długo, że ręka, w której trzymałam telefon, zeszywniała mi z zimna, i kiedy skrzypiąc stawami, schodziłam na dół po Timothy'ego, musiałam odgiąć zziębnięte palce i ją rozetrzeć.

Pracownia Xaoc była zatłoczona jak klub. Przepchnęłam się między spoconymi ciałami do kuchni, gdzie Jovana smażyła na ogromnej patelni jajecznicę, przyprowadzając ją popiołem z papierosa. Rozpromieniona spojrzała na mnie rozmarzonym wzrokiem i uśmiechnęła się szeroko. Nagle zapragnęłam pocałować ją w usta, ale przypomniałam sobie, że formalnie rzecz biorąc, jestem jej szefową i mogłoby to zostać uznane za molestowanie.

– Jak poszło? – krzyknęła przez ramię.

Pokazałam kciuki w dół, na co ona wzruszyła ramionami.

– Ale drugi projekt nadal aktualny! – krzyknęłam. – Możemy omówić go jutro?

Skinęła głową, dodając tabasco i mieszając jajecznicę szpatułką.

Timothy tańczył w pracowni, wywijając jakąś laską w dziwnym rock and rollu. Z szala w ludowe wzory upiął sobie bluzkę z jednym rękawem. W zestawieniu z jego ciemnymi włosami nadała mu cygański charakter. Odzyskawszy swój blask i wigor, znowu wyglądał młodo i wydawał się naiwnie radosny. Nigdy wcześniej nie widziałam go takim i ten widok mnie naprawdę

ucieszył. To, co dla niego zaplanowałam, było okropne, ale przecież traktował seks jak biznes. Byłam pewna, że po wszystkim dojdzie do siebie.

Klepnęłam jego partnerkę w ramię i zajęłam jej miejsce. Pozwoliłam, by obracał mną w tańcu najlepiej, jak mógł w tym kłębowskiu ciał.

– Dobrze się bawisz?

– Cudowne miejsce! – krzyknął w odpowiedzi swoją kanciastą angielszczyzną.

– To dobrze, korzystaj. Jutro wyjeżdżamy.

– Wyjeżdżamy?

Uścisnęłam go.

– Tak, kochany, jedziemy do Szwajcarii.

CZEŚĆ TRZECIA
DYSERSJA

Chociaż przez większą część życia byłam splukana, wystarczyło kilka lat bogactwa i bycie zamożną zupełnie mi spowszedniało. Wiedziałam, że jeśli nie stanie się nic niespodziewanego i Dejan przekaże moją wiadomość, za dwa dni spotkam się z Jermołowem, w związku z czym nie widziałam potrzeby dalej stosować się do ostrzeżenia hakera, że mogę zostać namierzona poprzez kartę płatniczą. Dla zabawy kupiłam bilet jako Judith Rashleigh i korzystając z usług linii Air Serbia, odbyliśmy z Timothyem krótki lot klasą biznes z Belgradu do Mediolanu. Po podróży autokarem i pobycie w squacie oboje rozkoszowaliśmy się ciepłym posiłkiem i szerokim wyborem bezpłatnych napojów serwowanych przez smukłą stewardesę w szykownych skórzanych rękawiczkach. Timothy chciał koniecznie zatrzymać się na chwilę w Mediolanie na zakupy, ale mnie zależało, by jak najszybciej ruszyć w góry, więc zamówiliśmy taksówkę bezpośrednio z lotniska Malpensa.

Prowadząca do Engadyny przełęcz Maloja ciągnęła się serpentyną, lecz kierowca prowadził samochód z wprawą i zimną krwią, co jakiś czas zjeżdżając na pobocze, by przepuścić rozklekotany autobus pełen Filipińczyków o beznamiętnym wyrazie twarzy lub przerażonych turystów. Śnieg pojawił się mniej więcej w połowie trasy – w postaci dwumetrowych zasp po obu stronach drogi. Minęliśmy farmy z kamiennymi domami jak z bożonarodzeniowych pocztówek, ze zwisającymi z dachów szpiczastymi soplami, i gęste zagajniki powykrzywianych sosen, zgiętych pod ciężarem śniegu i przez lata smaganych alpejskimi wiatrami. Na skraju doliny minęliśmy długie jezioro, upstrzone biegaczami narciarskimi w odblaskowych czapkach i strojach z lycry, którzy poruszali się niezgrabnie po jego zamrożonej tafli, potem wioski o wdzięcznych nazwach Sils Maria i Silvaplana, i w końcu niebiesko-biała fasada hotelu Kempinski powitała nas w St. Moritz. Nie spodziewałam się, że miasto będzie tak nowoczesne. Budynki ze szkła i stali wyglądały brzydko na białym tle majestatycznych gór, a kiedy pełziliśmy w korku złożonym z porsche i SUV-ów audi, miałam dość czasu, by spostrzec, że w kurorcie nie hołduje się wiejskiej prostocie. Odziane w futra puszyste kobiety w norkowych etolach przytrzymujących hidżaby i ozdobionych kryształkami trampkach na koturnach ślizgały się po chodnikach, zaglądając do sklepów z zegarkami, biżuterią i okularami przeciwsłonecznymi. Wszystko, co nie było opatrzone znakiem firmowym znanej marki, zdobiły diamenty. W witrynie jednego z butików wisiał śpiwór z futra białego lisa, a w innym czarne, satynowe, pikowane kurtki narciarskie z napisem „Sexy”, wyszywanym dżetami na piersi. Idealne na chłodny styczeń w Rijadzie.

Zakwaterowaliśmy Timothy’ego w Eiderhofie – betonowym bloku o standardzie hostelu, zaraz przy stacji kolejowej. Zapłaciwszy za trzy noce,

poszliśmy do pokoju numer dziewięć, jednoosobowego z łazienką z prysznicem, po czym ja zajęłam się studiowaniem rozkładu budynku, a Timothy sprawdził, czy nie ma w nim monitoringu. Byliśmy w Szwajcarii, więc hotel był czysty. Na dole dałam Timothy'emu trochę pieniędzy. Przyjął je z nietypowym dla niego podejrzliwym spojrzeniem.

– Zobaczmy się później – próbowałam go uspokoić. – Powinieneś pójść na zakupy i sprawić sobie jakieś porządne ubranie. Niedaleko jest sklep Moncler.

Perspektywa zakupów nieco go ożywiła, chociaż na ośnieżonych stopniach, pomiędzy krzepkimi, szwajcarskimi instruktorami narciarstwa w czerwonych kurtkach sprawiał wrażenie bardzo młodego i samotnego.

Przypomniałam mu, o której ma być gotów tego wieczoru i że będę go obserwować. Potem przedarłam się przez korek uliczny do czekającej taksówki i pojechałam po inne sprawunki. Najpierw wpadłam do sex shopu, który zauważyłam przy wjeździe do miasta, wygodnie połączonego ze stacją benzynową i samoobsługową restauracją. *Szwajcarska organizacja*. Z działu męskiego wybrałam czarną winylową kamizelkę i także szorty. Poza tym wśród rekwizytów, które planowałam umieścić na miejscu zbrodni, znalazły się żyłka do wędki ze sklepu turystycznego, stary dobry scyzoryk szwajcarski, ciężka skamielina z budki z pamiątkami oraz butelka whisky. W końcu ruszyłam z anielsko cierpliwym taksówkarzem na poszukiwanie Carlotty.

Odnalezienie górującego nad centrum miasta domu zajęło nam trochę czasu – głównie dlatego, że Norman Foster zamaskował go, nadając mu formę skały. Budynek mógłby się znaleźć w czasopiśmie „Architectural Digest”, ale z zewnątrz przypominał wymarzone gniazdko Bilbo Bagginsa, bardziej lepiankę niż solidną budowlę. Kiedy zapłaciłam już astronomiczną sumę za podróż i ostrożnie wniosłam walizkę po wąskiej ścieżce wysadzonej czarnym torfowcem, musiałam przyznać, że wewnątrz dom był rzeczywiście imponujący. Carlotta czekała na mnie w kuchni, urządzonej chyba w standardzie NASA, skąd przez szklaną ścianę można było podziwiać cudowny widok na szczyt po drugiej stronie doliny. Zdziwiłam się, widząc ją ubraną w dżinsy i tyrolską kamizelkę włożoną na granatowy, kaszmirowy golf, ale przecież jej umiejętność dostosowania się do otoczenia była jedną z niewielu cech, które nas łączyły. Po powitalnych okrzykach i pocałunkach zaproponowała mi filiżankę herbaty, aczkolwiek znalezienie w szafkach ze szcotołkowanej stali kubka i herbaty w torebkach najwyraźniej stanowiło dla niej nie lada wyzwanie.

– Nasz Filipińczyk się połamał – wyjaśniła.

– Ojej.

– Niestety... Wysłałam go do Hanselmann's, by kupił ulubiony żytni chleb Franza, a on się pośliznął i złamał nogę.

– To okropne.

– Tak, Franz jest naprawdę wkurzony, bo mieliśmy dzisiaj wydać kolację, ale trudno, możemy pójść do Cecconiego.

– Trzyma się jakoś?

– Tak, Franz uwielbia tę restaurację.

– Aha, to świetnie.

Zadowoliliam się szklanką najlepszej kranówki, jaką kiedykolwiek piłam, po czym usiadłyśmy obok siebie na ławie pokrytej skórą renifera i podziwialiśmy widoki. Wymagało to dużej umiejętności, ponieważ artystycznie udrapowana skóra co chwila groziła zsunięciem się na podłogę.

– To bardzo miło z twojej strony, że mnie zaprosiłaś! – oznajmiłam z entuzjazmem. – Cóż za wspaniały dom!

– Tak, strasznie nam się tutaj podoba. Franz bardzo chciał kupić stary, przerobiony ze stajni dom w Zuoz, ale ja zaprotestowałam. Nie mam zamiaru siedzieć na wsi z bandą starych Niemców, więc zatrzymaliśmy ten domek. Cholera!

– Co się stało? Wszystko w porządku?

Carlotta wpatrywała się w złotą sztabkę przypiętą do jej lewego nadgarstka.

– Jedną chwileczkę.

Zniknęła i wróciła po chwili, wymachując strzykawką.

– Nie za wcześnie? – zapytałam nerwowo.

– To moje in vitro – wyjaśniła Carlotta. – Muszę robić sobie zastrzyki. Przygotuj mi dawkę.

Podawała mi dwie szklane ampułki i kazała odciąć końcówki i zmieszać zawartość w strzykawce, podczas gdy sama podciągnęła sweter, odsłaniając gładki, opalony brzuch, i chwyciła skórę między dwa palce. Odwróciłam głowę, gdy wciskała tłok.

– Potrzebuję wacika. Wyrzuć to, proszę.

Rozejrzałam się bezradnie w poszukiwaniu kosza.

– Próbuję zająć w ciążę – oznajmiła na wypadek, gdybym miała wątpliwości.

– Mieliście problemy? – zapytałam ze współczuciem.

– Nie. Jestem w stanie zrobić to całkowicie naturalnie, ale w ten sposób można mieć bliźniaki, a wtedy musisz być gruba tylko raz. Polisa ubezpieczeniowa. – Mrugnęła porozumiewawczo. – Franz będzie musiał całkowicie przerobić intercyzę.

– No tak. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze i oboje będziecie zadowoleni.

– Na pewno, chociaż czasami muszą usuwać te dodatkowe, niezdolne do życia płody. Znałam jedną kobietę z Londynu, której usunęli niewłaściwy płód i jej dziecko urodziło się bez ręki.

– Jezu, Carlotto.

– Dziecko miało wszystko tył na przód czy coś w tym stylu. Obrzydlistwo. Tak czy inaczej, ta kobieta...

– Proszę cię, zamilknij! Dlaczego nie zrobicie tego normalnie?

– Właściwie nie miałabym nic przeciwko, tylko musiałabym skłonić Franza, żeby mnie faktycznie puknął.

– Przecież mówiłaś, że nie ma problemów.

– Nie ma, ale jest obrzydliwy. Na przykład każe mi sikać do szklanki, a potem to pije i wali sobie konia. Dla mnie mniej zachodu, ale dzieci z tego nie będzie – podsumowała ze smutkiem.

– Tak przy okazji... co się stało z Hermannem?

– Dostał dziesięć lat, zrobił ogromny przekręt. I tak miał szczęście. – Najwyraźniej to wspomnienie ją rozweseliło. – Chodź, musimy się przebrać. Franz jest na torze saneczkowym Cresta, mamy się spotkać o siódmej.

„Swojski” styl Carlotty nie obejmował strojów wieczorowych. Pojawiła się w czarnej skórzanej sukience koktajlowej Balmaina ozdobionej sznurem szmaragdów, który zniknął w imponującym dekolcie właścicielki, oraz botkach Louboutina z wężowej skóry, na dziesięciocentymetrowych, zdobionych ćwiekami obcasach. Moja podróżna garderoba nie oferowała takich możliwości, ale przy pomocy dwustronnej taśmy do ubrań, którą znalazłam w łazience Carlotty, udało mi się przerobić nieco pomiętą sukienkę Lanvin na mini, do której niechętnie włożyłam pożyczone od gospodyni czarne kozaki do połowy uda. Przyglądając się swojemu odbiciu w lustrze, przypominałam sobie, że w czasach swej niewinności tak właśnie pojmowałam elegancję. Wciąż pamiętałam swoją pierwszą podróż na Riwierę i ekscytację, gdy się stroiłam w mini i szpilki. *Naprawdę wyszłam wtedy z Leanne w żółtej sukience?* Byłam naiwna, w tylu różnych sprawach... Torebka Chanel potrafiła sprawić, że czułam się wniebowzięta.

– Chodź, kochana! – przerwała mi rozmyślenia Carlotta, owijając się czymś, co dawniej mogło być jaguarem. Ja, niestety, nie miałam porządnego zimowego płaszcza. – Jutro pójdziemy na zakupy! – pisnęła gospodyni i wspaniałomyślnie pożyczyła mi ciemną kurtkę z norek, którą wybrała z ogromnej, wiszącej w holu kolekcji. Przynajmniej wiedziała, gdzie ma szafę. Zgodnie z zasadami najważniejsze rzeczy trzymała w widocznym miejscu, na wypadek pożaru.

Kierowca Franza napisał, że na nas czeka, więc podreptałyśmy po mchu do najmodniejszego w okolicy SUV-a z przyciemnianymi szybami. Po nagłym wyjściu na mroźne, wieczorne powietrze przez całą drogę do miasta rozkoszowałyśmy się ciepłem panującym wewnątrz auta.

– Franz przyprowdzi dla ciebie swojego kolegę – oznajmiła leniwie Carlotta. Jej ciemnoczerwony błyszczyc mienił się w świetle ekranu smartfona.

– Ktoś miły?

– Cóż... Tomas jest kompletnym nudziarzem, ale należy do niego połowa

Frankfurtu. Wiesz, powinnaś poważnie pomyśleć o przyszłości. Świetnie, że masz swoją galerię, ale...

– Prawdę mówiąc, nie szukam męża. – Zawsze wiedziałam, że to nie dla mnie. Nigdy nie przemawiał do mnie pomysł bycia czyjąś własnością.

– Lepiej nie czekać z tym zbyt długo. Po trzydziestce możesz zapomnieć o znalezieniu porządnej partii. Pamiętasz tę modelkę z imprezy?

– Musisz mi przypomnieć.

– No wiesz, we Włoszech. Była z tym kolesiem z telewizji.

Podczas obiadu na łodzi Bałeńskiego nie skupiałam się zbyt na towarzystwie, ponieważ miałam na głowie inne rzeczy – na przykład pilnowanie, by jego ochroniarze nie wyrzucili mnie za burtę za wykradzenie informacji z jego gabinetu. Mimo to pamiętałam zwisającą z ramienia amerykańskiego producenta modelkę reklamującą kostiumy kąpielowe.

– Mieszkała z tym gościem, ale nie przypilnowała, żeby się z nią ożenił, i w końcu zostawił ją dla jakiejś siedemnastolatki. A może to nawet był chłopak? A potem dopadł ją urząd podatkowy i musiała się przeprowadzić z powrotem do Pittsburgha. Wyobrażasz sobie? Do Pittsburgha! Widziałam na Facebooku.

– Biedactwo.

– To tylko potwierdza moje słowa. Musisz podejść do tego poważnie, kochana.

– Rozumiem.

– Dziewczyna pozuje teraz do jakichś katalogów.

Wzdrygnęłam się lekko, kiedy mąż Carlotty zamówił jako aperitif żółtawego rieslinga, ale poza tym kolacja przebiegła w przyjemnej atmosferze. Tomas, który, jak się okazało, był rówieśnikiem Franza, przynudzał niegroźnie o cenach nieruchomości na świecie, a Carlotta co chwila przerywała jego wykład wygłaszanymi na bieżąco komentarzami na temat stałych bywalców restauracji Ceconiego. Kelnerzy w białych marynarkach obsługiwali nas niemal bezszelestnie i niezauważalnie, a gnocchi al cervo były puszyste i wysmienite. Po kolacji wpakowaliśmy się ponownie do samochodu i pojechaliśmy do klubu Dracula.

W czasach, kiedy próbowałam się nauczyć czegoś o świecie, w którym chciałam żyć, Dracula wydawał mi się mitem. Błyszczące czasopisma rozpływały się nad imprezami w tajemniczej jaskini, dostępnymi jedynie dla członków klubu saneczkowego Cresta Run i ich gości. Franz został saneczkowym „Ghost Riderem”, jeszcze zanim jego obecna żona pojawiła się na tym świecie, więc wpuszczono nas przed grupą młodych kombinatorów i zaprowadzono do wąskiego stołu niedaleko baru. Z wysokiego sufitu zwisły czarno-czerwone zasłony, a na ścianach rozwieszono oprawione w ramy zdjęcia toru i zawodników. Didżej puszczał Adele. Kelnerzy nosili półtoralitrowe butelki dom perignon z syczącymi fajerwerkami do tortu, a każdą taką dostawę witały okrzyki radości. Przy stoliku

obok hałaśliwa grupa demonstrowała, jaka jest szaaalooona, tańcząc chwiejnie na ławie. Nie zdziwiłam się zbytnio na widok Stefanii, którą znałam z imprezy Tagego na Ibizie. Skinęłam w jej stronę głową, a ona posłała mi przelotny grymas, udając, że mnie poznała. Miałam nadzieję, że dobrze się jej powodzi w tym sezonie. Muzyka grała zbyt głośno, by można było rozmawiać, ale Franz i Tomas wyglądali na zadowolonych – kiwali głowami jak para starych żółwi, czekając na moment, gdy będzie można iść spać. Może kiedyś Dracula był miejscem dzikich imprez, ale czasy Guntera Sachsa dawno minęły.

Wytrzymałam mniej więcej pół godziny, po czym powlokłam swoje znużone ciało do toalety, zamknęłam się w kabinie i napisałam do Jeleny.

Jakieś wieści?

Baleński wylądował.

Domyśliłam się, że na prywatnym lotnisku w Celerinie.

Gdzie jesteś? Ja w Draculi.

W Pałacu.

Badrutt's Palace w centrum St. Moritz to jeden z najstarszych i najbardziej szpanerskich hoteli w kurorcie. Jelena powiedziała mi, że Baleński zawsze się tam zatrzymuje.

Jadę.

Po powrocie do stolika zauważyłam, że krąg gości się nieco poszerzył. Byłam zadowolona, widząc, że Carlotta bryluje w towarzystwie, i równie szczęśliwa, że jej nie słyszę. Zaczepił mnie Amerykanin o imieniu Jeff. Przez chwilę słuchałam zniecierpliwiona jego opowieści o narciarstwie ekstremalnym w Kolorado, w miejscach, gdzie można się dostać tylko helikopterem, w końcu jednak odcięłam się od jego głośnego słowotoku, uciekając się do najprostszego rozwiązania: po prostu się odwróciłam i za plecami Tomasa zaczepiłam Carlottę.

– Co ty wyprawiasz? – syknęła. – To Jeff Auerbach, prezes KryptoSocial!

Jeff zniknął w tłumie bardziej zainteresowanych nim łowców znajomości.

– Nie wygląda na urażonego. Powiedziałam ci, kochana, że chcę spędzić czas z *tobą*. Masz ochotę pójść w inne miejsce?

– Dokąd?

– Pomyślałam, że możemy zabrać chłopaków do Pałacu na kieliszeczek przed snem. Franz wygląda na zmęczonego.

Tak naprawdę Franz sprawiał wrażenie, jakby spał.

– Jasne, jeśli chcesz. – Carlotta szturchnęła męża palcem w klatkę piersiową, nieco mocniej, niż to było konieczne. – Kochanie, chcesz pójść na drinka i zagrać w tryktraka?

– Zawsze możemy się wymknąć do King's – podsunęłam. King's był najstarszym klubem w St. Moritz i znajdował się w podziemiach Pałacu.

W drodze do miasta wszyscy sprawdzali telefony. Dostałam od Jeleny trzy

wiadomości:

Nadal czekam.

Jest. Przy barze.

Gdzie jesteś?

Odpowiedziałam, a potem napisałam do Timothy'ego:

Czas ruszać. Bar w Pałacu.

Hostel, który dla niego wybrałam, znajdował się dziesięć minut drogi piechotą od hotelu.

Idę.

Wchodząc dumnym krokiem do hotelowego lobby, cieszyłam się, że mam na sobie wysokie kozaki Carlotty. Pasowały do mojego wojowniczego nastroju. Jelena siedziała na krześle, najwyraźniej zajęta swoim telefonem. Ponieważ Jermołow przyjechał do St. Moritz, nie mogła przebywać w ich domu, więc ustaliłyśmy, że wynajmie pokój w hotelu, co robiła już kilka razy, odkąd byli w separacji. Zapytałam ją wcześniej, czy nie będzie problemem, że Baleński zobaczy ją w Pałacu, ale zachnęła się tylko.

– Ha! Jako była żona Pawła jestem praktycznie niewidzialna. I to zupełnie normalne, że odwiedzam St. Moritz na początku sezonu. Poza tym dałaś mu chyba inny powód do rozmyślań, czyż nie?

Jelena była w pełnym rynsztunku i wydawała się dość trzeźwa, chociaż podejrzewałam, że przezroczysty napój w jej szklance to czysta wódka. Nie przywitała się ze mną, tylko skinęła głową w bok, w kierunku baru. Carlotta poszła pomiędzy gablotami, w których wystawiono diamenty w cukierkowych kolorach, do na wpół pustej sali, gdzie ożywiony po drzemce Franz rozkładał planszę do tryktraka. Chwyciłam Tomasa za rękę.

– Nigdy nie byłam w tutejszym barze. Podobno widok jest zachwycający. Może tam się napijemy?

Tomas poszedł za mną do bardziej zacisznej, wyłożonej boazerią części hotelu, z wielkim oknem panoramicznym, za którym Alpy lśniły w całym swoim niezmaconym majestacie. Poprosiłam o koktajl z szampanem. Kiedy barman go przygotowywał, przytuliłam się do Tomasa. Wyglądał na zdziwionego, ale się nie opierał. Schowana za jego wydatnym brzuchem i marynarką zerknęłam przez ramię. Jelena naprawdę minęła się z powołaniem. Baleński był trzy metry od niej.

Jego skrzacie plecy w połowie zakrywało oparcie fotela w stylu art déco, ale wszędzie poznałabym tę fryzurę. Gdy patrzyłam na tego skurczonego i pomarszczonego człowieka, trudno mi było uwierzyć, że on i Jermołow byli w dużej mierze odpowiedzialni za całą serię konfliktów zbrojnych. Chociaż nie jestem najodpowiedniejszą osobą, by ich oceniać, zastanawiałam się, ile ludzkich istnień mieli na sumieniu.

Zapytałam Tomasa, czy od dawna bywa w St. Moritz, a gdy zaczął

opowiadać przydługą anegdotę o dawnych czasach, kiedy to jako młody byczek miał w Pałacu swoją sportową szafkę, przyciągnęłam go do siebie, tak by mieć lepszy widok na lobby. Ochroniarz Baleńskiego siedział po jego prawicy i pił colę, a na stoliku kawowym przed nim leżała dziwna skórzana torba. Po lewej stronie Baleńskiego siedziała konkurencja Timothy’ego – szczupły chłopak o słowiańskiej urodzie, z wydatnymi kośćmi policzkowymi, tlenionymi włosami i pełnymi ustami, które wyglądały jak po wstrzyknięciu kwasu hialuronowego. Baleński rozmawiał przez telefon, ignorując obu towarzyszy, lecz jego lewa ręka spoczywała dyskretnie na kolanie chłopaka. Tomas, najwyraźniej rozochocony, opowiadał mi teraz o swoim domku górskim w Kitzbühel, dając między wierszami do zrozumienia, że chętnie by mnie w nim ugościł.

– Brzmi cudownie – odpowiedziałam z udawanym entuzjazmem i pozwoliłam, by musnął, niby to przypadkiem, skórę pomiędzy moją sukienką i okropnymi butami. Nadal bacznie obserwowałam Baleńskiego. Jego lekko pomarszczona główka uniosła się nieznacznie, kiedy do hotelu wszedł Timothy – w czarnych dżinsach, eleganckim, białym kaszmirowym swetrze, z nową pikowaną kurtką ze skórzanym kołnierzem przerzuconą przez ramię i złotym roleksem połyskującym niedyskretnie na nadgarstku. Jakimś cudem udało mu się podrobić górską opaleniznę, a końcówki jego idealnie zmierzwionych włosów muskały zaróżowione delikatnie policzki. Nie obawiałam się już, że Baleński mnie zauważy – patrzył tylko na Timothy’ego, który zamówił drinka, odwrócił się, by się rozejrzeć po sali, a następnie odegrał małe przedstawienie, udając zdziwienie na widok Rosjanina.

Powtarzałam z Timothyem jego kwestię przez całą drogę do Mediolanu, ale koniecznie chciałam zobaczyć go w akcji. Musiałam się upewnić, że wykona swoje zadanie, czyli umówi się na randkę z Baleńskim w obecności świadka. Miał zagadnąć staruszka po francusku i przypomnieć mu, że spotkali się już wcześniej w marokańskim domu oligarchy, gdzie Timothy towarzyszył Edouardowi Guiche’owi, a następnie spędzić kilka chwil, rozprawiając ze współczuciem o tragicznej śmierci prawnika. Potem miał przekierować rozmowę na neutralne tory, napomknąć, że przyjechał do kurortu z grupą przyjaciół, którzy urządzają imprezę podobną do tej, którą Baleński zorganizował w Tangerze, i zapytać, czy może ten chciałby wpaść. Miał grać smutnego i atrakcyjnego, nieco zagubionego, ale nie załamane, zranionego, ale wciąż niegrzecznego. I kuszącego. Miałam nadzieję, że Baleńskiemu będzie w hotelu towarzyszył przynajmniej jeden ochroniarz. Ważne, by goryl Rosjanina był świadkiem spotkania, a jeszcze lepiej – by zobaczył, jak Baleński bierze od Timothy’ego numer telefonu. Patrząc na tę scenę, przypominałam sobie chwilę, gdy kilka tygodni wcześniej poznałam Timothy’ego w Belleville: ta sama zadziorna niefrasobliwość, obietnica rozkoszy. Nie rozumiem, dlaczego ludzie uważają, że prostytutka to zajęcie niewymagające

umiejętności. Już po kilku minutach Timothy zajął *pole position* po lewej stronie Baleńskiego, zostawiając blondyna daleko w tyle, a zaraz potem staruszek położył swoją dłoń dobrotliwie na ramieniu nowego ulubieńca i wklepał do telefonu jego numer. Tomas wyglądał na rozczerowanego, kiedy mu oznajmiłam, że czuję się trochę zmęczona, ale uprzejmie podał mi płaszcz, gotów dołączyć do Carlotty i Franza. Staliśmy w lobby, czekając aż Franz skończy grę, a Timothy minie nas, wychodząc z Pałacu. Potem przekonałam wszystkich, że czas się pożegnać i wrócić do domu. Jelena nadal siedziała na posterunku, pewnie trzymając w ręce pustą szklaneczkę. Kiedy wychodziliśmy do czekającego na nas samochodu, odstawiła szkło i uniosła w górę jedną otwartą dłoń oraz kciuk drugiej. Sześć. Jelena poinformowała pracowników męża, że jest w St. Moritz i potrzebuje wziąć z domu kilka rzeczy przed jego przyjazdem, a ci potwierdzili, że spodziewają się go tego wieczora, tak jak zaplanowałam. Miałyśmy czas do szóstej, by przygotować scenę dla naszego przedstawienia.

Nazajutrz o ósmej rano pływałam nago w wąskim luksusowym basenie w piwnicy Carlotty i w rytm uderzeń rąk o wodę przepowiadałam sobie w myślach etapy mojego planu. Przemyślałam każdy z nich, uwzględniając, oczywiście, odpowiedni strój.

Wykąpana i ubrana w dzinsy i swój najgrubszy sweter zastałam Carlottę w kuchni, gdzie gosposia wyciskała sok marchwiowo-imbrowy, a Franz czytał „Financial Timesa”.

– Chcecie iść na narty?

– Narty? – zapytała Carlotta, jakbym zaproponowała coś niezwykle ekscentrycznego.

– Tak, pomyślałam, że mogłabym kupić sobie jakiś sprzęt, a potem spróbować zarezerwować lekcję w szkółce narciarskiej.

– Nie, dzisiaj rano mam prawdziwe urwanie głowy. Idę na pilates, a potem Franz chce zjeść lunch w Trais Fluors. No a wieczorem idziemy do Klary na fondue!

– Świetnie, w takim razie zobaczymy się później.

– Będiesz potrzebowała kluczy. Chcesz, żeby szofer cię zawiózł?

– Nie, wolę się przejść. *Ciao*, kochana.

Owinąwszy się z wdzięcznością pożyczonymi norkami, ruszyłam w dół stoku, ślizgając się od czasu do czasu jak mała dziewczynka i rozkoszując górskim powietrzem w płucach. Napisałam do Timothy’ego, by dołączył do mnie na lodowisku w Kulm. Czekając na niego, zamówiłam dla nas po filiżance gorącej czekolady i obserwowałam, jak trzy małe, przepięknie ubrane Włoszki niezdarnie ćwiczą piruety pod okiem cierpliwej nauczycielki. Na widok ich małych, białych łyżew poczułam irracjonalną zazdrość.

– *Ça va?*

Timothy był odmieniony. Przerażenie i letarg, w których pozostawał pogrążony przez ostatnie dni, zniknęły i chłopak wydawał się gotowy na największe wyzwania. Może była to zasługa alpejskich widoków i uniżonych kelnerów z maleńkimi, żółtymi, wyszywanymi serwetkami i srebrnymi czarkami z czekoladą? Może myślał, że jeśli wszystko dobrze pójdzie, to może być jego przyszłość? Sama sobie kiedyś taką wymarzyłam.

– Czy Baleński kontaktował się z tobą?

Skrzywił się, jakbym go uraziła.

– Za kogo mnie masz? Czy można przepuścić taką okazję?

– No dobrze, więc wiesz, co cię czeka? O ile wszystko pójdzie zgodnie z planem.

– Tak, oczywiście, Judith. Mówiłaś mi to już ze sto razy.

– To nie będzie przyjemne.

Spojrzał lekceważąco.

– Robiłem gorsze rzeczy.

– Jeśli nie przyjdę, Jelena cię znajdzie i da ci pieniądze. Będzie dobrze, obiecuję.

– Nie panikuj.

– Masz co na siebie włożyć?

– Tak!

– Dobrze, idę teraz do Jeleny. Mam nadzieję, że zobaczymy się później. Czekaj na mnie o szóstej i nie wychodź z pokoju, okej?

– Jasne, nie wyjdę. Już mi o tym mówiłaś. Powodzenia.

Uścisnęliśmy się przelotnie, ale nie doszukiwałam się w jego dotyku jakiejś serdeczności czy ciepła. Może potrzebował mnie, żebym pocieszyła go w pierwszym momencie szoku i żałoby po Edouardzie, ale od tej chwili łączyły nas wyłącznie interesy. Rozumiałam to i akceptowałam.

Przed Kulm wsiadłam do taksówki i pojechałam do wioski Pontresina, oddalonej około dwudziestu minut drogi. Jelena opisała dom jako *klottiedz*, czyli domek wiejski. W pewnym sensie określenie było trafne, gdyż po wojnie secesyjnej amerykańscy milionerzy faktycznie nazywali swoje letnie domy z pięćdziesięcioma sypialniami „domami wiejskimi”. W lesie sosnowym ze stoku wyrastały trzy szklane klify: dziesięciometrowe okna osadzone w grubej, pokrytej tynkiem wapiennym ścianie w kolorze wiśni. Między drzewami przebiegała mała kolejka linowo-szynowa, którą dostarczano do domu produkty, a poniżej wycięto wąską nartostradę, umożliwiającą dojazd do posiadłości ze stoków. Podejrzywałam, że Jermołow kazał ją stworzyć specjalnie dla siebie. Odesłałam taksówkę, ale Jelena się spóźniła i kiedy w końcu przyjechała, moje nagie dłonie straciły już całkiem czucie.

– Elisabeth! Kochana, jak miło cię widzieć! – zaszczębiotała na potrzeby

zainstalowanych w kamiennej ścianie kamer, które obserwowały teren wokół posiadłości, po czym mnie uścisnęła i powiedziała: – Zadzwoiłam do nich i powiedziałam, że muszę zabrać kilka rzeczy. *To* mi jeszcze wolno.

Podaliśmy jej zwężoną z szafy w pokoju gościnnym Carlotty pogniecioną torbę Hermèsa, w której był telefon i wskazówki. Jovana dała mi huawei P9, jej zdaniem najlepszy do tego zadania, i przed opuszczeniem squatu kilka razy przećwiczyliśmy konfigurację połączenia.

Jelena wpisała kod na umieszczonym w ścianie panelu. Po chwili otworzyły się drzwi – wyglądały mi na wejście służbowe – a za nimi ukazał się niewielki hol i umieszczona we wnęce winda.

– Musimy się pospieszyć – wyszeptała, kiedy drzwi się zamknęły i ruszyliśmy w górę. – Kamery obracają się co trzy minuty.

– Cóż, mam nadzieję, że się rozciągałaś.

W odpowiedzi Jelena wysunęła jedną stopę spod fałd swego sobolowego futra i uniosła ją powoli i bez wysiłku do poziomu brody.

– *Grand battement* – wyjaśniła z satysfakcją, a ja poczułam, jak wzbiera we mnie radość i ekscytacja.

– Zaraz wracam, kochana. Możesz zaczekać w holu – zawołała teatralnie, kiedy drzwi windy się otworzyły. – Potem pójdziemy się spotkać z Carlottą.

Stałyśmy w okrągłym pokoju z drewnianym kopułowym sufitem. Rząd powieszonych na ścianie jelenich poroży ładnie korespondował z serią chińskich figurek koni w stylu z prowincji Gansu stojących na cokołach pod wielkim, misternym żyrandolem, który widziałam w jakimś czasopiśmie, kiedy szukałam informacji na temat kolekcji Jermołowa. Zrobiony z kości słoniowej i elementów przypominających spiżowe miecze, zwisał z sufitu na zatrważającej wysokości trzech metrów, a delikatne i naturalne kościane formy kontrastowały z brutalną dosadnością kutego metalu. To ten żyrandol podsunął mi pomysł. Planowałyśmy sfilmować moje spotkanie z Jermołowem i Baleńskim, ale musiałyśmy zainstalować sprzęt tak, żeby nie wychwyciły tego kamery monitoringu. Nie chciałam włączać w to wszystko Jeleny, ale to był najłatwiejszy sposób, by bez problemu dostać się do domu Jermołowa. Obiecałam, że zmuszę jej męża, by oddał jej najważniejszy element swojej kolekcji, czyli Botticellego Jamesona, ale w tej chwili Jelena wydawała się mniej zainteresowana dziełami niż możliwością popisania się swymi umiejętnościami.

Weszła po umieszczonych na lewo od windy schodach i kilka chwil później pojawiła się, już bez płaszcza, na biegnącej wokół holu galerii, z której odchodziły drzwi do innych pomieszczeń. Nie licząc stukania jej obcasów o drewnianą podłogę, dom spowijała upiorna cisza. Nie tyle słyszałam, co czułam szum agregatu schowanego gdzieś w głębi budynku. Pomyślałam, że taki dom musi żłopać paliwo jak smok.

– Zrzucę ci ubrania! – Jelena zatrzymała się na półpiętrze. Naprzeciw niej zabytkowy zegar stojący z porcelanową tarczą wskazywał za kilka sekund południe. Złapałam jej buty, a następnie sfrunęły ubrania, niesione lekko przez niewidzialne prądy powietrza, i wylądowały u moich stóp – wszystkie z wyjątkiem cienkiej, białej, jedwabnej bluzki, która niefortunnie zawisała na żyrandolu.

– Och, ale jestem głupia! – wykrzyknęła dramatycznie Jelena. Wskazówka minutowa przesunęła się na dwunastą i zegar zaczął wybijać południe.

Jelena przeskoczyła zwinnie przez balustradę, złapała się jej niczym baletowego *barre*, a potem wyciągnęła jedną nogę w kierunku żyrandola. *Arabesque*. Liczyłam pod nosem sekundy. Zahaczyła butem poroże i przyciągnęła żyrandol do siebie niczym huśtawkę, po czym obróciła się na nodze opornej o sto osiemdziesiąt stopni, jednocześnie zginając kolano i unosząc rękę nad nogą pracującą. *Pozycja druga*. Na niemożliwie wąskim gzymsie wspięła się *en pointe*, utrzymując resztę ciężaru na napiętej wygiętej ręce, a potem skłoniła się z gracją w pasie i przyciągnęła do siebie żyrandol zagiętą do góry stopą. Obserwowałam ją z prawdziwym współczuciem, tak że aż sama napięłam mięśnie. Gdyby żyrandol się zakołysał, Jelena skrzyłaby sobie kark. Trzymając kabel w zębach, wolną ręką umieściła telefon na miejscu i obróciła go w dół, w stronę holu. Półtorej minuty. W boleśnie powolnym tempie odczepiła palec stopy od płataniny kości słoniowej i kutego metalu. Wiedziałam, że jeśli zabraknie jej siły, spadnie na podłogę i złamie kręgosłup. Modliłam się, żeby była trzeźwa. Zacisnęłam powieki, czekając na jej okrzyk, ale nie mogłam wytrzymać, więc otworzyłam oczy i zobaczyłam, jak łąduje bezpiecznie na podłodze antresoli. Dwie minuty.

– Utknęła! – krzyknęła do mnie bez cienia zadyszki. – Będę musiała posłać kogoś po drabinę! – Delikatny jedwab był niemal niewidoczny na tle kości słoniowej, ale od góry telefon był zakryty.

– *Prada* – oznajmiła Jelena, wróciwszy na dół, ponownie odziana w sobole. Przeszło mi przez myśl, że jeśli Baleński i Jermołow mnie zabiją, co było absolutnie możliwe, to przynajmniej dokonam żywota pod baldachimem z markową metką. Nagle wydało mi się to niezwykle zabawne. Nie wiem, co pomyślała sobie Jelena, ale kiedy nasze spojrzenia się spotkały, uśmiechnęła się i po chwili śmiałyśmy się tak histerycznie, że musiałyśmy się nawzajem podtrzymywać, podczas gdy łzy radości wsiąkały nam w luksusowe futra.

Jelena dwa razy pokazała mi kod wejściowy, a potem poszłyśmy zjeść z Carlottą lunch. Wróciłam do St. Moritz, spakowałam swoje rzeczy – z wyjątkiem tych, których potrzebowałam na wieczór – i wysłałam Jovanie potwierdzenie: o szóstej po południu ekrany w Belgradzie ożyją. Potem wysłałam snapcode do Kenii.

Została mi do zrobienia ostatnia rzecz, najtrudniejsza: musiałam zadzwonić do matki. Wiedziałam, że mogę już nie mieć kolejnej okazji. Nadal buzował we

mnie entuzjazm po spotkaniu z Jeleną, ale jednocześnie narastał lęk, na razie jeszcze niewielki, połączony z dreszczykiem emocji związanych z podejmowanym przeze mnie ryzykiem.

W tym momencie rozmowa z matką wydawała mi się bardziej onieśmielająca niż konfrontacja z Baleńskim i Jermołowem. Gdybym miała opisać swoje uczucia wobec niej, określiłabym je mianem „złożonych” lub „ambivalentnych”, tyle że słowa te straciłyby swoje znaczenie, zanim jeszcze wyszłyby z moich ust. Matka nigdy mnie nie chroniła, ale przecież ledwie była w stanie zadbać o samą siebie. Było mi jej żal, nienawidziłam jej, ale zawsze starałam się być jej posłuszna. Ponieważ z powodów, których nie byłam wówczas jeszcze gotowa przeanalizować, mimo wszystko ją podziwiałam. Była słaba, ale bystra. Byłyśmy do siebie podobne. Świetnie improwizowałyśmy.

Chcę mieć to już z głowy.

Położyłam się na łóżku obok Caravaggia i wstukałam jej numer.

– Hej, mammo.

– Judy! Jak się masz, kochanie?

W naszym domu rzeczy pojawiały się i znikaly – jak powoli wyciekająca przez dziurę woda. Rządziła tym procesem jakaś przedziwna logika: choinka stała do maja, a potem któregoś dnia po powrocie ze szkoły nagle się orientowałam, że zniknął telewizor.

– W porządku. Ciężko pracuję.

– Czyli jest dobrze?

Kiedyś pojawił się wypiekacz do chleba, który matka dostała za naklejki z Tesco. Dom pachniał jak w reklamie – przez chwilę.

– Bardzo dobrze, mammo. A co u ciebie?

Czasami były to głośniki stereo, dowód na to, że poderwała kogoś w barze. Nie dziwiłam się, że mama chciała się trochę zabawić, nawet jeśli robiła to przy piosenkach Crystal Gayle.

– Och, nic specjalnego. Po staremu. Kupiłam nową kanapę.

Najbardziej nie mogłam znieść tego jej karnawału groteskowych starań, morza ubrań walających się po salonie, okropnych plam na kanapie.

– To cudownie.

Pieniądze, które wysyłałam matce od czasu przeprowadzki do Włoch, pozwoliły jej zrezygnować z dorywczych prac. Comiesięczne przekazy wystarczały, by żyć sobie wygodnie i nie wzbudzać niczyich podejrzeń. Chciałam kupić matce mieszkanie za pieniądze Gentileschi, ale planowałam poczekać do momentu, gdy się już zadamowię w Wenecji, a galeria zyska renomę. Tymczasem pytałam, czy chciałaby gdzieś pojechać, spełnić jakieś swoje marzenie, ale jej wystarczyło, że mogła od czasu do czasu kupić coś przez Internet i pójść do pubu. Powoli zdałam sobie sprawę, że nie chce nowego mieszkania. Odpicowana

komunalna klitka, pieniądze na alkohol i brak zmartwień były wszystkim, czego potrzebowała do szczęścia. Bolało mnie to i zdumiewało, ale matka naprawdę była zadowolona z życia.

Wódka i stacja Radio 1 w jej starym radiobudziku, podświetlone na czerwono cyferki odmierzające minuty w blasku popołudniowego słońca.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Było tak wiele rzeczy, które chciałam powiedzieć matce, ale w życiu nie powiem. Zwłaszcza że moje życie skończy się chyba trochę wcześniej, niżbym sobie życzyła.

– Ładną masz pogodę? – spytała w końcu. Mama nigdy nie podróżowała na południe od Birmingham. Myślała, że mieszkam w tropikach.

– W porządku, teraz, zimą, jest trochę chłodniej.

– To miło. – W tle słyszałam telewizor. „Zajęte mamy jeżdżą w Boże Narodzenie na Islandię!” Reklama, choć był dopiero listopad. Wzięłam głęboki oddech.

– Chciałam tylko sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku.

– Tak, kochanie.

– To na razie. Nie będę nabijać rachunku.

– Jasne. Pa, Judy. Kocham cię.

Kiedyś tak nie mówiła. Nauczyła się tego z telewizji. Chciałam powiedzieć jej to samo, ale kciuk zakończył rozmowę, zanim usta zdołały wypowiedzieć słowa. Usiadłam i rozejrzałam się po pokoju, ale nie zobaczyłam niczego, co mogłabym rozbić.

Po co to wszystko robiłam? By chronić Dave’a? By pomóc Timothy’emu? Nie całkiem o to chodziło. Jermołow odebrał mi najważniejszą rzecz, jaką kiedykolwiek posiadałam. Nie pieniądze, nie galerię, nie Maszę. Jermołow mnie rozpracował, zajrzał za mój mozołnie wykuty pancerz, którego konstrukcja zajęła mi tyle czasu. Sztuka była jedyną czystą rzeczą, jaką znałam, a on odarł mnie z wiary w nią tak skutecznie, jak konserwator usuwa z obrazu warstwę werniksu. By się uwolnić, musiałam wywieść go w pole, ale chciałam mu zostawić coś brzydkiego, wulgarnego, prostackiego, podłego. Coś, co sama stworzyłam. Myślał, że mnie zdemaskował, ale się mylił. Tak sobie przynajmniej wmawiałam.

Wzięłam podgłówek z łóżka, objęłam go i ścisnęłam tak długo, aż zrobiło mi się ciemno przed oczami, a myśli ucichły.

Żadnej ochrony, żadnych świadków, żadnego spektaklu – takie postawiłam warunki. Przyciemniane szyby w domu Jermołowa w Pontresinie wydawały się nieruchome jak tafle lodu, jednak zatrzymałam się na zewnątrz na kilka boleśnie lodowatych minut, wypatrując śladów zasadzki. Bez Jeleny ten wielki gmach nabrał gotyckiego klimatu, a piękne, porośnięte sosnami i otulone błyszczącym płaszczem śniegu stoki mogłyby stanowić scenografię horroru. Jermołow z łatwością mógłby ulokować w lesie snajpera, ale musiałam założyć, że nie zaryzykowałby zlikwidowania mnie, nie zdobywszy informacji na temat miejsca, gdzie ukryłam Caravaggia. Winda wyłożona była maleńkimi kafelkami z masy perłowej. Jadąc w górę, liczyłam je i podziwiałam ich chłodny blask. Chociaż dom wydawał się pusty, tak jak mi obiecano, wstrzymałam oddech i kolejny raz wsłuchałam się w ciszę. Świadomość, że otaczają mnie zanurzone w mroku, potężne szczyty Alp, czyniła ją jeszcze głębszą.

Weszłam do holu o piątej pięćdziesiąt pięć i ostatnie pięć minut przeczekałam w ciemności. Potem wysłałam z telefonu wiadomość do urzędnika ukrytego pod zwisającą na żyrandolu bluzką. Patrzyłam, jak zapala się maleńka czerwona dioda. Jeden z artystów-techników Jovany zainstalował na nim zmodyfikowaną wersję aplikacji Livestream, którą mogłam zdalnie uruchomić. Cokolwiek się stanie, Jovana i jej ekipa będą to mogli obejrzeć i zarejestrować jako plik wideo. Denerwowałam się trochę z tego powodu, gdyż nigdy nie lubiłam współpracy. Musiałam zaufać zapewnieniom Jovany. Film stanowił zabezpieczenie, plan B. Miałam nadzieję, że nie będzie potrzebny.

Kiedy urządzenie zostało uruchomione, zajęłam się skomplikowanym systemem włączników przy windzie. Podnosiłam i opuszczałam światła, aż w końcu osiągnęłam odpowiedni poziom dramaturgii. Nasłuchiwałam odgłosu podjeżdżającego samochodu, ale grube ściany i warstwa śniegu izolowały mnie od świata tak skutecznie, że słyszałam własny oddech. A potem rozległ się cichy, jednostajny odgłos zjeżdżającej windy. Jadąc nią, naliczyłam trzydzieści dwa lśniąco kwadraty, jeden na sekundę, co znaczyło, że zjawią się za nieco ponad pół minuty.

Przez chwilę przepychali się zabawnie, gdyż każdy chciał wysiąść z windy pierwszy.

– Gdzie ona jest? – zapytał po rosyjsku Baleński.

– *Zdies'* – odpowiedziałam, po czym przeszłam na angielski. – Jak wspomniałam, mam obraz.

Baleński podszedł bliżej, wystarczająco blisko, bym poczuła intensywny zapach wody kolońskiej na klapach jego ciężkiego kaszmirowego płaszcza.

– Gdzie on jest?

– Proszę go po prostu oddać, pani Teerlinc. Im szybciej skończymy tę maskaradę, tym lepiej. – W głosie Jermołowa pobrzmiwało raczej znużenie niż złość. Czyżby umówili się z Baleńskim, że zagrają dobrego i złego gliniarza?

– Oddam go, ale musi pan spełnić kilka warunków. Oczywiście jest pan tutaj, ponieważ pana... znajomy, Iwan Kazbich, przekazał panu wiadomość. Od Dejana Raznatowicia, z Serbii. Jak pan wie, pojechałam, by się z nim spotkać. Wiem, że wymieniał pan dzieła sztuki za broń. Mnie to kompletnie nie obchodzi, ale bardzo wielu innych ludzi z pewnością by to zainteresowało. Chcę, żeby przestał pan wpieprzać się w moje życie. Całkowicie. Oddam panu obraz, a w zamian pan – wskazałam Jermołowa – odda swojej żonie Botticellego Jamesona. Obu panom gwarantuję milczenie. Niezbyt skomplikowane, prawda?

Jermołow parsknął, co trochę zbiło mnie z tropu.

Baleński podszedł jeszcze bliżej, ale na szczęście zapach drzewa sandałowego w wodzie kolońskiej przytłumił jego nieświeży oddech.

– Pani chyba nic nie rozumie. To nie są żarty. A pani nie ma dowodów na poparcie tych absurdalnych insynuacji.

– A jednak przyszli panowie się ze mną spotkać.

– Przyjechaliśmy po obraz. Niech go pani odda, natychmiast.

Baleński opuścił wzrok, a ja podążyłam za jego spojrzeniem. Z płaszcza wystawała mu krótka, lśniąca lufa. To nie była damska broń. Cóż, w takim razie plan B.

– Wie pan, że ten obraz to falsyfikat? – zwróciłam się do niego, obserwując obie twarze w słabym świetle. Jermołow wcale nie wyglądał na zaskoczonego.

Wie! Więc dlaczego?

Kalkulowałam wszystko od nowa – nawet wtedy, gdy twarz Baleńskiego najpierw zastygła, a potem eksplodowała w gniewie. Krzyknął coś po rosyjsku, tak szybko, że nie zrozumiałam. Jermołow wzruszył tylko ramionami, a jego jasne oczy nadal wyrażały spokój. W tyradzie Baleńskiego wyłapałam nazwisko Kazbicha.

– Tak, warto zadać doktorowi Kazbichowi kilka pytań – wtrąciłam się. – Tylko dziecko mogłoby uwierzyć w taką proveniencję. Wasz obraz to bezwartościowy chłam.

Dlaczego Jermołow nie reaguje?

Baleński uniósł broń. Zgodnie z planem ubrałam się na to przedstawianie bardzo starannie. Podkrađłam Carlotcie czarne spodnie i czarny, taliowany żakiet Dolce z dodatkowym akcentem w formie usztywnionej baskinki oraz wysokim, eleganckim kołnierzem z białej skóry. Piersi miałam ciasno owinięte płótnem, ale i tak wydawało mi się, że Baleński widzi, jak bije mi serce. Nie bałam się. Nie skończyłam nawet trzydziestki, ale miałam już naprawdę dość bycia pomiataną. A ponieważ w momencie, gdy widzisz broń wycelowaną w twoje serce, nagle

odkrywasz bogactwo życiowych możliwości, zrobiłam to, co każda dziewczyna zrobiłaby w tak przerażających okolicznościach: zaczęłam się rozbierać.

Kiedy rozpięłam pierwszy guzik, Baleński wydał z siebie długie, drżące westchnienie – bynajmniej nie z powodu szansy na zobaczenie moich cycków. Pod żakietem miałam na sobie Caravaggia.

Spisy dzieł sporządzone za życia lub tuż po śmierci Lombardczyka zawierają wiele zagubionych obrazów – płócien, które zniknęły albo zostały zniszczone z powodu niewiedzy. Zaginione obrazy czasem się znajdują – na strychu w Tuluzie czy w salonie w Dublinie. Autentyczność niektórych została potwierdzona i zawisły one ponownie na ścianach, inne zaś, niewierzytelnie, powoli doprowadzały do obłędu swych właścicieli, fanatycznie przekonanych o ich wartości. W swojej proweniencji Kazbich zacytował jeden z takich spisów: „obraz wykonany dla kobiety, u której mieszkał”. Zaadaptował znaną konwencję, w której artysta płaci w naturze – na przykład szkicuje naprędce dzieło na serwetce, by zapłacić za wino. W tym przypadku Caravaggio namalował podobno kobietę, u której mieszkał – być może była również jedną z jego niezliczonych kochanek – używając jako płótna swojej luźnej koszuli.

Ten ostatni element stworzonej przez Kazbicha legendy wyjaśniały serbskie ikony. Kiedy w Anglii otworzyłam futerał, ze zdziwieniem zauważyłam, iż rzekomego Caravaggia wykonano na ubraniu. A przecież w ufundowanym przez Rznatovicia belgradzkim muzeum znajdowały się przykłady szat duchownych z okolicznych klasztorów – kap i komż wyszywanych ręcznie przez pokolenia cierpliwych zakonnic. Nie znam się zupełnie na historii tekstyliów, ale jestem przekonana, że Kazbich prawdopodobnie zwędził jedną z nich, bo gdy ostrożnie rozłożyłam obraz, dostrzegłam maleńkie dziurki po starannie usuniętych haftach. W ten sposób z autentycznej starej szaty otrzymano gładkie płótno mogące uchodzić za fragment koszuli, zwłaszcza że widać było na nim trwałe zagięcia i fałdy. Miałam też rację w kwestii użycia kredy i żółcieni neapolitańskiej, która została rozcieńczona i wykorzystana jako werniks do utrwalenia kredowego rysunku. Sprytne. Portret wzorowany był na wizerunku dziewczyny o szelmowskim wyrazie twarzy z obrazu *Wrózenie z ręki*, jednego z pierwszych dzieł, którymi Caravaggio zadziwił głodnych sensacji rzymskich kolekcjonerów sztuki. Kazbich zgrabnie powiązał twarz zapomnianej weneckiej gospodyni z powszechnie znanymi rysami młodej Cyganki. Najprawdopodobniej liczył, że ogień chciwości załatwi resztę.

Baleński wpatrywał się w mój stworzony z falsyfikatu napierśnik.

– Możesz mnie zastrzelić – powiedziałam – ale nigdy nie zdołasz wywabić krwi. Chcesz się przekonać?

Poruszał ustami, lecz nadal trzymał pistolet w ręce.

– Mogę też go podrzeć, ten stary materiał jest bardzo delikatny. Wtedy

będziesz mógł mnie zastrzelić, ale nadal nie dostaniesz swojego obrazu.

– Czego chcesz? – W jego głosie słychać było wahanie. – Pieniędzy?

– Nie potrzebuję pieniędzy. Chcę, żebyś przestał mnie prześladować. Zostaw mnie w spokoju. A on – ruchem głowy wskazałam Jermołowa – ma oddać żonie obrazy Botticellego. Wyjdę stąd tak, jak przyszłam, z tym czymś na sobie. Kiedy Jelena Jermołow będzie miała pewność w kwestii obrazów, możecie dostać ten z powrotem. O ile będziecie chcieli, bo zapewniam was, że nie ma żadnej wartości.

Jermołow tłumił śmiech. Takiej reakcji się nie spodziewałam.

– *Ona bezumna* – wyszeptał Baleński.

– Taak... – odparł Jermołow po angielsku. – Może i oszalała, ale, jak wiesz, nie jest głupia. Pozbądź się jej, jeśli chcesz. Wiesz, że obraz jest bezwartościowy.

Baleński odwrócił się do niego sztywno jak mechaniczna zabawka. Ręce zwisły mu bezwładnie po bokach. Spojrzał na Jermołowa, który wzruszył ramionami, a potem na broń, jakby zdziwiony faktem, że ją trzyma.

– Musimy porozmawiać. – Baleński do tej pory z trudem zachowywał spokój, ale teraz widać było w jego postawie szaleńczą desperację. Nie wyglądał onieśmielająco, raczej absurdalnie. Tak absurdalnie, jak może wyglądać wściekły starzec z naładowaną bronią.

– Wcale nie musicie. – Chwyciłam dłońmi za dekolt koszuli, czując, jak naciągane płótno obrazu trzeszczy. – Chcesz go czy nie? Mam policzyć do dziesięciu?

Wiedziałam, że Baleński nie może mnie zastrzelić. Nawet strzał w głowę skutkowałby zniszczeniem obrazu, bo zanim zdołałby zdjąć ze mnie płótno, byłoby ono całe upaprane moim mózgiem. Wiedziałam, że rzeczywista wartość dzieła nie ma tu nic do rzeczy. Liczyło się pożądanie – waluta, z którą miałam do czynienia przez długi czas. Baleński nie mógł mnie zabić z powodu chęci posiadania obrazu, pasji, której ślepotą czyniła ją jeszcze bardziej obezwładniającą.

I wtedy Baleński strzelił.

Na ułamek sekundy zaległa cisza, po czym odgłos strzału odbił się ogłuszającym echem od ścian i coś ciężkiego uderzyło mnie w klatkę piersiową. Nie miałam nawet czasu, by się zdziwić, kiedy czaszka Baleńskiego odbiła się od mojego obojczyka, a broń upadła na podłogę z brzękiem tłuczonej porcelany. Staruszek wydał z siebie cichy, stłumiony dźwięk, jakby westchnienie. Zauważyłam, że Jermołow podtrzymuje go od tyłu lewą ręką, w prawej trzymając ciężką popielniczkę z pozłacanego brązu. Ręka Baleńskiego zwisała bezwładnie, kolana się ugięły, więc Jermołow schylił się i ostrożnie położył ciało na kamiennej podłodze. Potem odgarnął kołnierz płaszcza Baleńskiego i wprawnym ruchem przyłożył za jego uchem trzy palce, by sprawdzić puls. W holu zapadło krępująco długie milczenie.

– Lepiej zadzwońmy po karetkę – powiedział w końcu. – Wygląda na to, że

pan Baleński doznał ataku serca. Zdaje się, że upadając, uderzył się w głowę. To straszne.

Bezgłośnie postawił popielniczkę obok ciała, a następnie równie cicho podniósł broń.

Synapsy w moim mózgu eksplodowały jak fajerwerki czwartego lipca, ramiona mi drżały i cała się trzęsłam. Nie do wiary, że strzał był niecelny. Podłogę pokrywały maleńkie kawałki porcelany. Koń. Baleński trafił konia, a potem zginął od ciosu popielniczką. *Czyli można tu palić? Hura. Jezu, Judith.*

– Trafił konia – rzuciłam bez sensu.

Jermołow trzymał broń w prawej dłoni, lewą zaś sięgnął do kieszeni po telefon.

– Czy... – Zaszło mi w ustach, więc zebrałam ślinę i spróbowałam ponownie, ale udało mi się wydusić z siebie jedynie żałosny, wysoki pisk. Zacisnęłam gardło, by zapanować nad głosem. – Czy Edouard Guiche też doznał zawału, kiedy twój zbir wypchnął go z okna na szóstym piętrze? Ten sam, który zabił Maszę? Czy mnie też to czeka? – Mówiłam za szybko i chyba mnie nie rozumiał, bo wyglądał na dezorientowanego. Nie wyjął telefonu.

Caravaggio nasiąkł potem, ale mnie było potwornie zimno.

– Powinieneś wiedzieć, że to, co zrobiłeś, zostało sfilmowane – kontynuowałam. – Relacja na żywo, w czasie rzeczywistym. Jest cała masa świadków. Facet ma z tyłu głowy dziurę wielkości twojej cholernej pięści. To ma być zawał?

Nie uznałam za stosowne wspomnieć, że Jovana i jej ekipa myślą, iż oglądają inscenizację.

Dłoń Jermołowa zacisnęła się na moim gardle, zanim zdążyłam zarejestrować jej ruch. Język zaczynał mi się cofać, ale zdołałam wydusić:

– Możesz robić, co chcesz, ale to w niczym ci nie pomoże.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz?

– Puść.

Poluzował chwyt, ale nie puścił.

– Popełniłeś właśnie morderstwo, przed kamerą. Rozumiesz?

Palce wokół mojej szyi bardzo powoli się rozluźniły, moje pięty ponownie dotknęły podłogi. Łapczywie wciągnęłam powietrze.

Zdumiewające, jak działa wściekłość. Dobrze ją znałam z własnego życia. Głos Jermołowa był zimny jak styczniowy step, ale ton niemal swobodny.

– Dlaczego miałbym ci wierzyć?

Uśmiechnęłam się tak uroczo, jak tylko potrafiłam.

– Panie Jermołow. To nie jest rozmowa kwalifikacyjna. Ale w porządku. Pomimo pańskich działań zdobyłam obraz i dowiedziałam się o pana małym biznesie w Serbii. Odszukałam Raznatovicia, a potem sprowadziłam pana tutaj.

Może pan uważać, że jestem naiwna, ale dlaczego miałby mi pan nie wierzyć?

– Gdzie jest ta kamera? – zapytał powoli.

Cofnęłam się o krok.

– Tam, na górze. – Ruchem głowy wskazałam kościany żyrandol. – Podejrzewam, że jest pan dobrym strzelcem i prawdopodobnie trafiłby ją pan za pierwszym razem, ale jest już za późno. Jak wspomniałam, to, co się przed chwilą wydarzyło, było transmitowane na żywo. Co prawda nie w Internecie, ale zostało nagrane. Ma pan więc wybór.

Broń zwisała z jego rozluźnionej dłoni.

– Co ty wyprawiasz? – syknął. – Ty mała, głupia suko.

– Możesz mnie udusić albo zastrzelić i sprawdzić, co się stanie. Z powodu tego pieprzonego obrazu zamordowałeś dwoje ludzi. Och, przepraszam, już troje. Więc, proszę, oto on.

Zsunęłam z ramion żakiet, a potem powoli zdjęłam przez głowę płótno i rzuciłam je na bok. Żeby na mnie pasowało, musiałam założyć pod spód dwa sportowe staniki. Ruchem głowy wskazałam leżący obok Baleńskiego zwój materiału.

– Jest twój.

Jermołow zmienił płytę.

– Nie byłem w żaden sposób odpowiedzialny za śmierć Edouarda Guiche'a i nie mam pojęcia, kim jest Masza. Nie interesuje mnie to... coś.

– Dlaczego mam ci wierzyć? Dlaczego za niego zapłaciłeś, skoro go nie chcesz? Dlaczego...?

Nagle poczułam się słabo, więc położyłam się na podłodze obok ciała Baleńskiego. Jermołow odwrócił się i przeszedł wzdłuż pomieszczenia z pięściami zaciśniętymi w kieszeniach. Wyglądał jak kiepski aktor odgrywający moment podejmowania ważnej decyzji.

– Muszę się napić. Masz ochotę?

– Tak, dziękuję.

– Może najpierw wyłączysz kamerę? – Jego głos brzmiał łagodnie, zachęcająco. Tak się mówi do niebezpiecznych szaleńców. – Nic ci nie grozi. Potem zrobię ci drinka.

Oboje byliśmy niepewni zamiarów drugiej strony i próbowaliśmy się nawzajem udobruchać.

– Potrzebuję swojego telefonu. Jest tam, w torebce. – Wytarłam rękę w spodnie i wysłałam sygnał do urządzenia, które miało zatrzymać streaming i wygasić link. Jermołow przyglądał mi się z zainteresowaniem. Potem napisałam wiadomość do Jovany.

Zrobione. Udało się?

Chyba tak. Ale dziwna akcja! – odpisała.

Prawda? Pogadamy jutro, dzięki.

Odłożyłam telefon, położyłam się i zamknęłam oczy. Jermołowa nie było tak długo, że zaczęłam się zastanawiać, czy aby nie dzwoni po posiłki. Mógł wrócić z granatnikiem i żelazną dziewczicą i nawet bym nie zauważyła. *Wiedział, że to falsyfikat. Wiedział. Więc po co to wszystko?* W głębi domu trzasnęły drzwi. Przypomniałam sobie Carlottę i jej zagubienie we własnej kuchni.

– Proszę.

Usiadłam i wzięłam z rąk Jermołowa zimny kieliszek. Ulubiony drink Jeleny.

– Dzięki.

Zapałił papierosa i podał mi paczkę.

– W takim razie opowiedz mi o tym filmie. – Nadal mówił do mnie jak do wariatki.

Pociągnęłam łyk, rozkoszując się smakiem zmrożonej wódki.

– Zamówiłam go dla ciebie. Może być dziełem sztuki albo dowodem. Nie ma jeszcze tytułu. Jeśli chcesz go kupić, cena wynosi dwieście tysięcy euro, do tego moja prowizja, dziesięć procent.

– Powiedziałaś, że to był przekaz na żywo, że byli świadkowie.

– Tak. Słyszałeś o społecznej fotografii krytycznej? Świadkowie stają się artystami. Myślą, że ta scena to inscenizacja, artystyczny komentarz na temat siły kapitału w podboju świata. Czy jakieś podobne bzdety. Dość surrealistyczna koncepcja.

– Taak... – W jego głosie wyczułam sceptycyzm. Cóż, może faktycznie mój wywód brzmiał jak rojenia obłąkanego.

– No więc kupujesz taśmy, unikatowe dzieło sztuki, ale drugi warunek nadal obowiązuje. Obrazy Botticellego wędrują do twojej żony. Decyzja należy do ciebie.

– A robisz to, ponieważ...?

– Ponieważ chcę, żebyś przestał się... wtrącać. Zostaw mnie w spokoju. I może skończ z zabijaniem ludzi.

– Nie bądź nudna. Nikogo nie zabiłem. Ani tej Maszy, ani Guiche’a.

– Zniszczyłeś moją galerię w Wenecji. – Sięgnęłam za plecy Baleńskiego po obtłuczoną popielniczkę.

– Po co miałbym to robić?

– Żeby mnie zastraszyć? Bo chciałeś dostać obraz?

– Tego fałszywego Caravaggia? To on go chciał.

Rzeczywiście, Baleński wyglądał na przerażonego, wściekłego, zdezorientowanego, ale Jermołow – wręcz przeciwnie. Wydawał się znudzony. A znudzenie ciężko udawać, bo wtedy zwykle przesadzamy. Kiedy sobie to uzmysłowiłam, nagle dotarło do mnie, że Jermołow mówi prawdę. Byłam

zdruzgotana.

Wygórowane poczucie własnej wartości. Przez cały okres rozwoju swojej twórczości, święcąc kolejne triumfy, Caravaggio odbierał sukces jak więzienie. Pragnienie zaspokojone stawało się pragnieniem wzgardzonym. Świadczy o tym klaustrofobiczna głębia jego obrazów, w których świat zostaje zredukowany do jednego pokoju. A mimo to dzieła Caravaggia potrafią nas zwieść – nawet wtedy, gdy nam wmawiają, że widzimy jasno. Można by spytać: skoro nie ma niczego innego, to jak możemy zostać omamieni? A jednak – jesteśmy tak pochłonięci oglądaniem dzieła, że przestajemy dostrzegać równoległe rzeczywistości przedstawianej sceny. Tymczasem malarstwo to oszustwo. Musimy strzec się tego, co wydaje nam się, że widzimy. Głowa opadła mi na podłogę. Przez ułamek sekundy w pamięci mignął mi kilim z mojego weneckiego mieszkania. Przypomniałam sobie przeczytane kiedyś zdanie, że przekaz dzieła sztuki pojawia się jako nagły ślad na powierzchni psychiki. I faktycznie – nagle wszystko okazało się tak idiotycznie jasne. Od owego momentu w Paryżu, kiedy Renaud udusił Moncadę. Umieściłam siebie w centrum wydarzeń, chociaż tak naprawdę zawsze byłam jedynie satelitą na obrzeżach zupełnie odmiennej rzeczywistości. Odmiennej od tego, co mi się zdawało. Inni – Kazbich, Baleński, Jermołow, Moncada – grali w alternatywną grę. Tyle że obraz był zamazany i po prostu nie mogłam się w niej rozeznąć.

Jęknęłam. Szkoda, że Baleński mnie nie zastrzelił. Myliłam się. Myliłam się we wszystkim.

Opowiedzenie tej historii zajęło Jermołowowi kilka godzin. Leżeliśmy oparci na łokciach jak uczujący Rzymianie, a on snuł swoją opowieść. Wcześniej jego wielki dom lekko mnie przerażał, ale teraz, kiedy piliśmy wódkę na podgrzewanej podłodze, wydawał się przytulny jak kokon okryty pierzyną śniegu. Słuchając Jermołowa, czułam, że się kurczę, wysuszona własnym zarozumiałstwem.

– Od dawna wiedziałem, że Baleński to oszust – wyjaśnił Jermołow. – Tak jak Kazbich.

– Też do tego doszłam. Po pierwsze, Baleński wziął od niego fałszywego Rothka.

Jermołow był na tyle uprzejmy, by okazać szczerzy podziw.

– Odkryłaś to? Wspaniale!

To był dobry moment, żeby zapytać, dlaczego tak nisko ocenił moje umiejętności, ale bardziej niż pochlebstwa potrzebowałam od niego informacji. Zignorowałam komplement i zapytałam, dlaczego nadal się zadawał z Baleńskim.

– Mieliśmy wiele biznesowych powiązań. Wcześniej pracowaliśmy razem w Rosji. To dość skomplikowane.

– Oczywiście.

– Kiedy przyszedł do mnie z Caravaggiem, od razu wiedziałem, że to falsyfikat. Tylko ignorant uwierzyłby w tę historię. Ale on... on nie znał się na obrazach, nie kochał ich. Były dla niego zwykłymi przedmiotami, towarem na sprzedaż. – Nachylił się do mnie konfidencjonalnie. – Jedyнным obrazem, który naprawdę uwielbiał, był jego portret, autorstwa Safronowa.

– Ała. – Nikas Safronow specjalizował się w malowaniu stylizowanych, pretensjonalnych portretów. Namalował rosyjskiego prezydenta jako Franciszka I. – Stylizowany na Napoleona?

– Na Piotra Wielkiego. Paradne.

– Podwójne ała. Więc dlaczego na to przystałeś? Dlaczego zgodziłeś się kupić Caravaggia?

– Baleński potrzebował pieniędzy. Był splukany.

– Splukany?

– To się zdarza. Rząd zamroził jego aktywa. Gdyby wrócił do Rosji, zostałby aresztowany. To nie jest rzadka sytuacja.

– Ty tego zdołałeś uniknąć.

Jermołow już od jakiegoś czasu był świadomy, czego dowiedziałam się z dokumentów Guiche'a. Kazbich sprzedawał Baleńskiemu nie tylko obrazy. Używając dzieł sztuki jako przykrywkę, handlował również bronią, a jego dostawcą był Raznatović. Jermołow nie był w to uwikłany. Nie wiedziałam jednak, że

Baleński stał się niewygodny dla władz rosyjskich. Jego fortuna, zdobyta podstępem i brutalną siłą w czasach postsowieckiej gorączki złota (normalna sprawa wśród rosyjskich oligarchów), nie pasowała do zaprowadzanych w Moskwie nowych porządków i jego aktywa zostały zamrożone. W konsekwencji Baleński żył na kredyt i tak rozpaczliwie potrzebował pieniędzy, że wpadł na pomysł sprzedaży fałszywego Caravaggia. W swój plan wtajemniczył Kazbicha, który miał sprzedać obraz – rzekomo Baleńskiemu i Jermołowowi – w zamian za co otrzymałby część wyłudzonych pieniędzy. Udział Baleńskiego w „inwestycji” miał przekonać Jermołowa, stąd panika starego, gdy powiedziała, że obraz to falsyfikat. Stary oszust był gotów mnie zastrzelić, byle tylko Jermołow nie poznał prawdy. Może nawet w szaleńczym widzie miał nadzieję, że po zabiciu mnie przekona „wspólnika”, że obraz jest prawdziwy.

– Ale skoro wiedziałeś, że to wszystko bujda, dlaczego się na to godziłeś? Dlaczego tu dziś przyszedłeś?

– Polityka.

– Słucham?

– Musiałem trzymać się blisko Baleńskiego. Wiesz, że mam... powiązania polityczne w Rosji. Oni... my... zdecydowaliśmy, że dla wszystkich zainteresowanych będzie lepiej, jeśli Baleński zostanie aresztowany na Zachodzie. Za oszustwo. Sprawa z Caravaggiem wydawała się idealnym rozwiązaniem. Sam zastawił na siebie pułapkę.

– To dlatego zapłaciłeś?

– Wiedziałem, że odzyskam pieniądze. Nie była to duża kwota.

Pięćdziesiąt milionów dolarów. Pewnie dla niego to były drobne.

Przypomniało mi się zdanie, które przeczytałam w książce Bruce’a Eakina: „Dla moich przyjaciół – wszystko, dla moich wrogów – prawo!”.

– A co z ludźmi Baleńskiego? Widziałam go wczoraj wieczorem z ochroniarzem.

– Zostało ich bardzo niewielu. Baleński zachowywał pozory.

Mail, który dostał Dave, włamania. Było w nich coś... amatorskiego. *Gdyby Jermołow rzeczywiście mnie ścigał, nie wymknęłabym się tak łatwo.*

To Kazbich, nieświadomy, że Jermołow go wykorzystuje, na swój sposób rozpaczliwie zabiegał o to, by Rosjanin kupił fałszywy obraz.

– Ale przecież Kazbich był twoim marszandem. Ufałeś mu.

– Owszem, kiedyś. Ale w tej grze nie chodziło o niego. Miałem doprowadzić do końca sprawę z Baleńskim, to wszystko.

– Nie byłeś zły? Przecież cię oszukał. Nie chciałeś się na nim zemścić?

– Z zemsty nie ma żadnego pożytku. – Podnosząc kieliszek, pochwycił moje spojrzenie i przeskoczyła między nami maleńka iskra.

Kazbich wiedział, że byłam w hotelu na Place de l’Odéon, i myślał, że wiem,

gdzie jest obraz. Zasugerował „wycenę”, licząc, że nakłoni Jermołowa, by mnie śledził, ale pomysł spalił na panewce, kiedy odrzuciłam propozycję. Jermołowowi nie zależało na odnalezieniu obrazu, ponieważ pomiędzy przedstawieniem proveniencji a płatnością Baleński wpadł już w pułapkę, ale Kazbich za wszelką cenę chciał doprowadzić sprawę do końca i skłonić Jermołowa do zapłaty reszty kwoty. Zaczął więc wywierać presję – mącąc mi w głowie. Jak się okazało, udało mu się to znakomicie. Jermołow uważał, że to Kazbich był odpowiedzialny za „duchy” w moim mieszkaniu. A potem wmieszała się jeszcze Jelena.

– No właśnie, co z Jeleną?

– Posłuchaj, Judith, nie jestem pozbawiony zasad. Cokolwiek Jelena ci powiedziała, jest matką moich synów. Nigdy bym jej nie groził. To... trudna kobieta. Histeryczna, sfrustrowana. Pije bez opamiętania. Wysyłałem ją do lekarzy, klinik, ale nic to nie dało.

– Widziałam ludzi w gorszym stanie.

Na przykład swoją matkę.

– Przyjmij, proszę, że są sprawy, o których zwyczajnie nic nie wiesz.

– Zamierzasz się z nią rozwieść?

– Tak. I nie oddam jej Botticellego, chociaż doceniam romantyczny charakter twojej prośby. Jelenie niczego nie zabraknie. Nie sądzę jednak, byś zrobiła to – machnął ręką w stronę żyrandola – z myślą o niej.

– Jelena chciała mnie wykorzystać, by zdobyć obrazy. Dlatego przyjechała do St. Moritz. Wydawało jej się, że bez nich grozi jej niebezpieczeństwo. Jeśli chodzi o mnie, to ze względu na to, co o mnie wiesz, co oboje wiecie, zwrócenie Caravaggia by nie wystarczyło. Musiałam się dowiedzieć, jak wpadłeś na mój trop, i zdobyć jakąś kartę przetargową. Dlatego poszłam do Raznatowicia. Myślałam, że razem z Baleńskim handlujesz bronią.

– Wiedziałem o trupach, jednym w Paryżu, a drugim w Rzymie. Ale wiedziałem również, że chociaż zmieniłaś imię i nazwisko, niczego nie ukradłaś.

– A jednak.

Jermołow przewrócił oczami.

– Panno Teerlinc...

– Możesz mówić mi Judith, jeśli chcesz. Tak mam na imię.

– To nie jest gra, Judith. Wiem, co ludzie o nas myślą: oligarchowie to mordercy, którzy zamykają ludzi na Łubiance i wyrzucają kluczyki. Ale nie wszyscy chodzimy z kieszeniami pełnymi polonu. Mam swoje zasady. Nie jestem święty i może dlatego, szczerze mówiąc, twoja okropna przeszłość mało mnie interesuje, ale nie jestem też kreaturą.

– Cóż – odparłam, patrząc na zwłoki Baleńskiego. – Właśnie widzę. Jak się dowiedziałeś o... incydencie w Paryżu?

– Od Kazbicha, ma się rozumieć.

Skąd Kazbich wiedział, kim jestem i co tam robiłam?

– Jelena powiedziała mi, że jesteś niebezpieczny, dlatego podejrzewałam, że to ty zamordowałeś Maszę, splądrowałeś moją galerię i zabiłeś Guiche’a. Myślałam, że chcesz mnie dopaść.

– Skąd taka myśl?

– Misza. Widziałam go w Wenecji, a potem w Paryżu.

– Znam Miszę, ale on pracuje dla Kazbicha, nie dla mnie. Poprosiłem Kazbicha, żeby pilnował Jeleny. Kiedy pije, sprawy łatwo mogą się skomplikować. Nic nie wiedziałem o Maszy. Słyszałem natomiast, że Edouard Guiche popełnił samobójstwo.

– Baleński myślał, że to on ma obraz – wyjaśniłam powoli. – To nie było samobójstwo.

– Guiche nie byłby pierwszym współpracownikiem Baleńskiego, który skończył w ten sposób.

Zamilkliśmy na chwilę.

– Jest jeszcze inny powód – odezwałam się w końcu. – Zrobiłam to, ponieważ...

– Tak?

Jednego nauczyłam się od Caravaggia: dopasowywać technikę do okoliczności.

– Ponieważ mogłam. Ponieważ wmówiłam sobie, że mnie ścigasz. Ponieważ byłam na ciebie wściekła i chciałam cię upokorzyć. Ponieważ to było... ekscytujące.

– Masza była twoją przyjaciółką?

– W pewnym sensie. Znałyśmy się wystarczająco dobrze, by mnie to dotknęło.

– W takim razie przyjmij moje wyrazy współczucia. Również z powodu twojej galerii.

– W zasadzie to nie ma znaczenia. Ty straciłeś figurkę konia.

Na chwilę zapomnieliśmy o Baleńskim, który cichutko przysłuchiwał się naszej rozmowie. Uniosłam kieliszek w kierunku leżącej na podłodze góry kaszmiru.

– Jakim cudem nie krwawi?

– Byłem profesjonalistą. Kiedyś.

– Ty i Jelena byliście dla siebie stworzeni.

– Kiedyś.

Jermołow wstał i przeciągnął się, ukazując sportową sylwetkę. Zauważył, że mu się przyglądam.

– A więc teraz ty i twoja sprytna artystka trzymacie mnie w pięści.

– W garści.

Jermołow wyglądał na rozbawionego.

– Jesteś bardzo skrupulatna. Masz zamiar kontynuować ten dość teatralny szantaż?

– Nie, ale będę potrzebować pieniędzy. Obiecałam je swoim artystom. I jeszcze komuś. Jelena wie o tym. – Ścisnęłam grzbiet nosa. *Później pomyślę o swojej totalnej głupocie.* – No i musimy się pozbyć zwłok Baleńskiego.

– Jak powiedziałem, miał atak serca. Był stary. – Jermołow chodził po holu w tę i z powrotem niczym po klatce.

– Ale twoi ludzie w Moskwie chcieli go przymknąć... to znaczy... wsadzić do więzienia. Nie będą z tego zadowoleni.

– Tak, to... kłopotliwa sytuacja.

– I tutaj wkracza ów ktoś. Myślę, że ci się spodoba.

– Mówisz mi, jak mam się pozbyć ciała?

– Nie zaczynaj.

Tego wieczoru Jermołow wziął z lotniska audi kombi i przyjechał sam, po drodze odbierając Baleńskiego z Pałacu, co ułatwiło nam sprawę. Caravaggio przydał się jako tymczasowy całun. Owinęliśmy nim szyję i głowę Baleńskiego, by zakryć ranę, a potem zapięliśmy ciasno jego płaszcz, by głowa nie opadała. Wiotka, cienka jak pergamin skóra na szyi była wciąż ciepła. Zwieźliśmy ciało windą i włożyliśmy je do samochodu – w bagażniku było aż nadto miejsca. W drodze do St. Moritz nie musieliśmy już nic mówić. W milczeniu jechaliśmy między wiejskimi domami o grubych ścianach i nowoczesnymi apartamentowcami, błyszczącymi na tle śniegu jak stalagmity. Przerywałam ciszę tylko po to, by wskazać drogę do hostelu.

– Będziemy musieli go przenieść – powiedziałam. – Zarzucimy sobie jego rękę na szyję i zaprowadzimy go do pokoju. Wszyscy pomyślą, że jest pijany.

Przypomniałam sobie, jak kiedyś zawlokłam zamroczoną Leanne do jej hotelowego pokoju, po czym zaaplikowałam jej „złoty strzał”.

– Jesteś pewna, że to najlepszy sposób? – zapytał Jermołow.

– Kogo twój rząd nie lubi bardziej niż opozycji?

– Nie rozumiem.

– Homoseksualistów.

Patrzył na mnie w osłupieniu.

– Nie wiedziałeś, że Baleński był gejem?

– Nie miałem pojęcia. – W jego głosie pobrzmiwała duma i, muszę przyznać, odrobina obrzydzenia.

Pomyślałam smutno o kenijskim hakerze Dave'a i szczególnych środkach ostrożności, które podjęłam. Wyobrażałam sobie Jermołowa jako wszechmocnego superłotra, a on nie miał pojęcia o sprawach, o których mógł przeczytać w kolorowych magazynach.

– Cóż, był. Poczekaj, aż poznasz Timothy’ego. Myślę, że twoi przyjaciele w Moskwie będą z ciebie bardzo zadowoleni.

Pokój Timothy’ego znajdował się na drugim piętrze. Zerknęłam szybko do lobby. Odwoziłam go wcześniej do hostelu, wiedziałam więc, że schody są po prawej, a lada recepcji zakręca pod kątem prostym. Nie zauważyłam żadnych gości – tylko kobietę w grubym, żółtym golfie, która siedziała za biurkiem i kartkowała czasopismo. Wejście było dokładnie na linii jej wzroku. Ściągnęłam na telefon mapę i na chybił trafił zaznaczyłam na niej jakiś dom nad jeziorem.

– Wejść i zapytam recepcjonistkę o drogę. Wnieś go, kiedy wyjdziemy na zewnątrz, okej?

– Nie ma sprawy.

Podeszłam do recepcji i łamaną niemieczyzną zaczęłam wyjaśniać, że mam odebrać z hostelu przyjaciela, ale nie wiem, jak dojechać do wynajętego nad jeziorem domku. Kobieta, najwyraźniej zadowolona, że w końcu coś się dzieje na nudnej zmianie, uśmiechnęła się życzliwie i zaczęła studiować mapę na moim telefonie. A ponieważ miałam trudność ze zrozumieniem jej wskazówek, przeszła na angielski i wyprowadziła mnie na zewnątrz, by mi wszystko szczegółowo objaśnić. Kiedy wychodziłyśmy, wyłączyłam w kieszeni telefon, licząc, że czas potrzebny na jego ponowne uruchomienie pozwoli Jermołowowi wykonać zadanie. Trzęsłyśmy się obie na ganku, czekając, aż ekran znów ożyje, po czym recepcjonistka prześledziła palcem trasę, którą powinnam pojechać: w dół wzgórza, trzymając się prawej strony, aż minę po lewej supermarket.

– Stamtąd będzie już widać jezioro.

– Bardzo pani dziękuję! Pójdę na górę i sprawdzę, czy mój kolega jest gotów. – Widziałam koniec płaszcza Baleńskiego ciągnący się po schodach jak smoczy ogon.

– Nie ma za co! Cieszę się, że mogłam pomóc – zawołała recepcjonistka, gdy wbiegałam na górę.

Jermołow czekał na mnie na drugim piętrze. Nawet tak zaszuszony staruszek jak Baleński musiał ważyć jakieś sześćdziesiąt kilo, ale on się wcale nie spocił.

– Tutaj. – Zapukałam lekko w drzwi pokoju numer dziewięć.

Na randkę z Baleńskim Timothy włożył *lederhosen*, za to najwyraźniej zapomniał o koszuli. Zmoczone i zaczesane gładko do tyłu włosy błyszczały w brązowym świetle odbijającym się od taniej sosnowej boazerii. Mężczyźni przywitani się skinieniem głowy.

– Połóż go na łóżku – powiedziałam.

Wszystkie przedmioty z mojej listy zakupów leżały na stoliku nocnym. Z aprobatą zauważyłam, że Timothy otworzył butelkę whisky i napełnił dwie szklaneczki. Miał odbyć numerek z klientem, ale ten zbyt szybko podekscytował i chłopak musiał się bronić. Jermołow spojrzał na szafkę i w lot wszystko

zrozumiał.

- Skąd wiedziałaś? – szepnął.
- Nie wiedziałam. Plan awaryjny. To mogłeś być ty.

Znowu wyglądał na rozbawionego.

- Jesteś bardzo pewna siebie.
- Skrupulatna, jak sam stwierdziłeś.
- Czy ja też byłbym... gejem?
- Ludzie potrafią zaskakiwać. Możemy kontynuować?

Rozwinęłam materiał, odsłaniając podstawę czaszki Baleńskiego, gdzie rana w końcu zaczęła lekko krwawić. Caravaggio przypominał teraz szmatę.

Poprzestawiałam nieco rekwizyty i położyłam na stoliku nocnym skamielinę.

- Musimy go rozebrać – powiedziałam.

Zrobiliśmy to razem z Timothy, podczas gdy Jermołow stał dyskretnie z boku. Potem chłopak wyjął z szafy torbę z „kostiumem” Baleńskiego, a następnie powiesił na jedynym w pokoju krześle ubrania Rosjanina: płaszcz, marynarkę, sweter, koszulę, slipy, skarpetki, ohydny podkoszulek. Nie mogłam patrzeć na ten podkoszulek. Na koniec ubraliśmy martwe ciało w czarny winylowy strój. Podobnie jak Jermołow odwróciłam wzrok, kiedy Timothy rozwiązał przód spodenek i nałożył Baleńskiemu na fiuta prezerwatywę. Jak można się było spodziewać, chwilę mu to zajęło.

- Ile dzisiaj bierzesz, kochany?

– Dwa tysiąki – odpowiedział Timothy. Włożyłam gotówkę do kieszeni Baleńskiego.

- Dobrze, połóż się na łóżku.

Przeturlaliśmy Baleńskiego pod ścianę, a Timothy przyjął pozycję: położył się na brzuchu i odpiął guziki po obu stronach skórzanych szortów.

- Chwila, masz lubrykant?
- Jest w torbie.

Timothy usiadł, wziął butelkę, którą mu podałam, zrobił, co trzeba, i znów się położył.

- Dosięgniesz skamieliny?

Spróbował najpierw prawą ręką, unosząc się na łokciu, potem lewą, ale kąś, pod jakim musiałby uderzyć Baleńskiego, by trafić w ranę, wydawał się nienaturalny.

- A gdybyśmy robili to w pozycji misjonarskiej?

Timothy bez zażenowania położył się na plecach, wsunął sobie poduszkę pod głowę i rozłożył nogi.

– Nie miałyby jak się zaprzeć, a jest stary. – Rozmawialiśmy po francusku. Widziałam, że Jermołow śledzi wszystko z chłodnym zainteresowaniem. Chociaż scenariusz był dziwaczny, miałam wrażenie, że nie pierwszy raz pozoruje czyjaś

śmierć.

– A może tak? – Jednym, wdzięcznym ruchem Timothy wspiął się na kolana.

– Gdyby klęczał za mną? Potem mógłbym się odwrócić.

– Podnieś go – poleciłam Jermołowowi, a potem przyjrzałam się scenie. – Tak. Sięgnij po skamielinę prawą ręką, obróć się pod nim, on pada...

Jermołow posłusznie puścił Baleńskiego, a ten upadł w przód, z obwisłym, pokrytym plamami tyłkiem wystającym obscenicznie z plastikowych spodenek.

– Dobrze. Weź żyłkę. Jedną rolkę włóż mu do kieszeni marynarki. Gotowy? Jesteś pewien?

Timothy się skrzywił.

– Gotów? Teraz.

Widziałam, że uderzając Baleńskiego skamieliną w kark, Timothy się wzdrygnął. Rozległ się głuchy odgłos, jak przy odbiciu piłki tenisowej rakietą. Timothy przełknął głośno ślinę. Przetoczyliśmy Baleńskiego niedbale na podłogę.

– Trzymaj. Ty upuścisz ją bardziej naturalnie. – Wręczyłam mu z powrotem skamielinę. – Daj mi żyłkę.

– Ja to zrobię – wtrącił się Jermołow. – Tobie się wyrwie.

Nie miałam wątpliwości, że dałabym sobie radę, ale byłam mu wdzięczna.

– W porządku, po wszystkim biegnij prosto na górę. Na najwyższym piętrze jest wyjście ewakuacyjne. Kończy się z boku hostelu, więc samochód znajdziesz za rogiem, po lewej.

– Kiedy cię zobaczę? – zapytał nagle po rosyjsku. Dziwny moment, by mnie zapraszać na randkę.

– Jelena czeka na mnie w Pałacu. Trochę mi tu zajmie, więc idź do niej. Przez jakiś czas będziecie musieli ze sobą wytrzymać.

– Oczywiście.

– Zaczekam na zewnątrz.

Znowu trzeba czekać. Modliłam się, by nikt nas nie nakrył, a był przecież szczyt sezonu w St. Moritz. Tłumy narciarzy spacerowały po mieście, sącząc tradycyjnego grzańca. Wzdrygnęłam się na dźwięk kroków na schodach, wyjęłam telefon i udawałam, że coś na nim przeglądam. Minęła mnie rozmawiająca po niemiecku para w grubych kurtkach, jaskrawych spodniach i butach narciarskich. Skinęłam głową w ich stronę, a oni odwzajemnili moje nieme pozdrowienie i zeszli na dół. *No co jest? Co oni tam robią? Szybciej!* Znów rozległy się kroki, tym razem za ścianą. Jermołow minął mnie w milczeniu. Boso.

Zaczęłam walić w drzwi najmocniej, jak potrafiłam. W dłoni trzymałam telefon, zupełnie jak gapie otaczający ciało Guiche'a na Wyspie Świętego Ludwika. Współczesny odruch Pawłowa: najpierw fotka, potem krzyk. Wchodząc do środka, klikałam na ślepo w ekran, jakbym coś sprawdzała – raz, drugi, trzeci. A potem podniosłam wzrok. Timothy siedział na łóżku zgięty wpół, jakby ćwiczył

jogę. Podeszłam bliżej. Spojrzałam na fioletową twarz i przestraszyłam się, że nie oddycha. Czyżby Jeremiasz mnie oszukał? Dokończył robotę i teraz czai się na mnie? *O Jezu!* Ujęłam Timothy'ego pod ramiona i położyłam delikatnie na boku. Stałam na plecach Baleńskiego. Zauważyłam, że prowizoryczna garota wiła się pomiędzy jego pomarszczonymi, wypięłgnowanymi palcami.

– Timothy! Wszystko w porządku! To już koniec! No dalej, oddychaj! Proszę!

Żadnej reakcji. Żyłka rozcięła mu skórę i na wykrochmalonej szwajcarskiej poduszce widać było krew. Czułam, że powoli narasta we mnie fala paniki. Bawełniana pościel była mlecznawoszara, jak woda po kąpieli. Chciałam zanurzyć w niej ręce, wydobyć jego twarz, uratować go. *Tylko nie to! Tylko nie to! Timothy!*

– No, dalej, proszę. – Potrząsnęłam nim. Potem mocniej, i jeszcze mocniej. Zakaszłał. *Och, dziękuję!* Oddychał z trudem, świszcząc. Gwałtownie łapał powietrze i nadal się krztusił. Podtrzymałam mu głowę, aż gardło mu się oczyściło. Posłał mi cudowny, dziecięcy uśmiech.

– *Ça va?*

– *Ça va.*

– Wkrótce się z tobą skontaktuję w sprawie pieniędzy. Trzymaj się.

Wiedziałam, że już nigdy go nie zobaczę. Chociaż była między nami jakaś namiastka ciepła i życzliwości, od początku chodziło tylko o biznes. Może właśnie ta świadomość pozwoliła nam zbudować zaufanie niezbędne do zawarcia naszego krótkotrwałego sojuszu?

Pocałowałam go delikatnie w spuchnięte, zsiniałe usta.

A potem zaczęłam krzyczeć.

Wyjechaliśmy z St. Moritz tej samej nocy. Upewniłam się, że recepcjonistka, usłyszawszy mój pełen przerażenia krzyk, ruszyła pędem po schodach, poczekałam do ostatniej sekundy, a potem puściłam się tą samą drogą, którą pokierowałam Jermołowa. Kolega, o którym wspomniałam na dole, pozostanie anonimowy.

Do Pałacu poszłam pieszo. Chociaż miałam na sobie tylko elegancki żakiet Carlotty, byłam zbyt nabuzowana adrenaliną, by zauważyć paraliżująco niską temperaturę. Weszłam do apartamentu Jeleny, gdzie od razu skierowałam się do łazienki i zamknąwszy drzwi na klucz, skontaktowałam się z moim hakerem.

Zrobione. \$2000 za wrzucenie do sieci?

Jasne.

Potrzebuję numeru konta. Musisz poczekać, aż wrócę po laptopa.

Spoko. Wierzę ci.

Dzięki. Wymaż twarz chłopaka. Poczekać pięć godzin. Potem wrzucaj.

Jak sobie życzysz. Wszystko OK? Jakies akcje z Ruskiem?

Żadnych. Dzięki.

:) Wysyłam nowy kod.

Gdy zabrzączał dźwięk przychodzącej wiadomości, wysłałam zdjęcia Timothy'ego i Baleńskiego *in extremis*. Miałam nadzieję, że ochroniarz Baleńskiego potwierdzi wersję Timothy'ego – zwłaszcza że Baleński mu nie płacił, więc nie musiał być wobec niego lojalny. Timothy zgodnie z planem miał zeznać, że umówił się z Baleńskim na płatny seks. Potem staruszkowi zachciało się ekscesów w stylu Christiana Greya, na co Timothy przystał – do momentu, kiedy żyłka zacisnęła się na jego szyi zbyt mocno. Wtedy w samoobronie zaczął walić na oślep tym, co miał pod ręką. Czekają go kilka ciężkich dni, ale wiedziałam, że ze względu na Baleńskiego ciężko będzie wszcząć sprawę o morderstwo. Charakter przestępstwa powstrzyma rodzinę staruszka od wszczynania awantur, zwłaszcza w jego aktualnej sytuacji finansowej, Timothy zaś w końcu stanie się sławny, kiedy zdjęcia wypłyną w dark webie. Poprosiłam hakera, by zamazał jego twarz, żeby chłopak mógł zachować anonimowość, ale prawdopodobnie niepotrzebnie się tym przejmowałam. Seks za pieniądze nie przeszkadza w zdobyciu sławy, więc Timothy skończy pewnie jako gospodarz własnego reality show. Początkowo zamierzałam dać mu pięćset tysięcy, co zapewniłoby mu niezły start. Suma wydawała mi się rozsądna, ale skoro śmierć Baleńskiego tak się przysłużyła Jermołowowi, pomyślałam, że zdołam go przekonać, by dorzucił coś ekstra.

Za ścianą Jelena i Jermołow gawędzili cicho po rosyjsku. Wzięłam długi prysznic i owinęłam się pikowanym szlafrokiem z monogramem Pałacu. Kiedy z włosami owiniętymi ręcznikiem wyszłam z łazienki, Jelena podbiegła, by mnie uściskać, a Jermołow otworzył butelkę szampana. Nie rozumiałam, dlaczego nagle

tak mnie polubili, ale skorzystałam z okazji i zamówiłam do pokoju podwójne cheeseburgery. Zjedliśmy je na kolanach, pozwalając, by majonez i sos spływały nam po nadgarstkach. Jeleną drżącą dłonią wzniosła kieliszek do toastu. Zauważyłam, że Jermołow się jej przygląda, ale nic nie powiedział.

– Dziękuję ci Elisabeth! Tak wspaniale nam się rozmawiało, po raz pierwszy od wielu miesięcy. Wszystko dzięki tobie!

Rozumiałam, że perspektywa szantażowania męża morderstwem mogła ją wprawić w dobry nastrój, ale ona wyglądała na głęboko szczęśliwą.

– Gdybyśmy tylko porozmawiali wcześniej, wyjaśnili sobie – kontynuowała.
– Wszystko byłoby o wiele łatwiejsze! Nie mam się czego bać.

Wiedziałam, o co jej chodzi.

– Uspokoilem Jelenę, że wszystko będzie załatwione należycie – wtrącił się Jermołow. – Nie ma się czego obawiać.

– Przykro mi z powodu twojego Caravaggia, Jeleno.

– To już nie ma znaczenia.

Spojrzenie, które wymieniła z mężem, było pełne żalu, skruchy i miłości. Efekt popsulo jedynie powolne zsunięcie się Jeleny z krzesła na dywan – z zaciśniętą w dłoni ćwiartką burgera. Ukryta butelka wódki wytoczyła się spod poduszki, która podtrzymywała jej idealną pozę baleriny. Jermołow i ja spojrzeliśmy na siebie.

– Powiedz mi, że tego nie zrobiłaś.

– Raczej ty mi to powiedz.

Odwrociłam Jelenę, która wydała z siebie głośnie chrapnięcie.

– Jezu – westchnęłam. – Myślałam, że...

– Ja też – wtrącił Jermołow.

Śmiałyśmy się oboje przez dłuższą chwilę, aż w końcu Jermołow zapytał, czy jestem gotowa do wyjścia.

– Wracamy do Carlotty? Jasne. Ale najpierw musimy położyć Jelenę do łóżka.

– Nie do Carlotty. Wracam do domu, do Francji. Myślałaś, że spuszczę cię z oczu, zanim twoi przyjaciele artyści wyślą mi swoją „instalację”?

– Jesteś pewny, że nie będzie kopii nagrania?

– Nie. Ale przecież nie zamierzam cię skrzywdzić.

Sposób, w jaki wymówił słowo „skrzywdzić”, upewnił mnie, co miał na myśli.

– Nie mam żadnych ubrań – opierałam się.

– Flirtujesz ze mną?

– Może.

– W takim razie nie będą ci one potrzebne. Masz w torbie swoje dokumenty?

– Mam.

– A więc... Chyba że uważasz, że twoja przyjaciółka miałaby coś przeciwko. Spojrzałam w zamyśleniu na leżącą na brzuchu Jelenę.

– Nie jest moją przyjaciółką. Nigdy nie była.

Zawiózł mnie na lotnisko w samym szlafroku. Pod spodem byłam naga, lecz przekonał się o tym dopiero, gdy wznieśliśmy się w powietrze.

Kiedy zobaczyłam, co Jelena zrobiła z parterem Willi Jermołowa, zapomniałam o wszelkich pozostałościach naszej siostrzanej solidarności. Podczas mojej poprzedniej wizyty było zbyt ciepło, by przesiadywać wewnątrz, ale teraz, zimą, mogłam w pełni doświadczyć grozy kiczu, którego nie ogranicza budżet. Powiadają, że trzeba być Rothschildem, żeby oddać styl rothschildiański, i bawialnie Jeleny całkowicie potwierdzały tę opinię. Przywitała nas *madame* Poulhazan, nieskazitelnie ubrana i uczesana, chociaż była czwarta rano. Jej wyraz twarzy nie zdradzał niczego, ale wyczuwałam, co sądzi na temat mojego szlafroka. Niemniej jednak, kiedy zaprowadziła mnie do mojego pokoju, okazało się, że stoi w nim mnóstwo toreb z najdroższych butików.

– Mam nadzieję, że rozmiar będzie odpowiedni – oznajmiła *madame*. – Musiałam zgadywać.

– Ale jak...?

– Pan Jermołow zadzwonił z samolotu. Powiedział, że pani... śpi. Wyjaśnił, że będzie pani potrzebowała kilku strojów, więc poprosiłam o otwarcie paru butików w Cannes i wysłałam helikopter.

– Naprawdę? Jestem bardzo wdzięczna, ale... W środku nocy? Otworzyli sklepy w środku nocy?

– Wystarczył telefon, żaden problem. Mam nadzieję, że stroje się pani spodobają.

Kładąc się do łóżka w pistacjowym jedwabnym peniuarze, pomyślałam, że owszem, stroje są bardzo gustowne. Przed zaśnięciem napisałam esemes do Carlotty:

Przepraszam, że tak zniknęłam. Dostałam propozycję nie do odrzucenia. Dziękuję ci bardzo za cudowną gościnę. Uściski dla Franza. Powodzenia!

Nie zmartwiłam się stratą starych ubrań. I tak mdliło mnie na ich widok.

Carlotta odpisała natychmiast:

Kto to taki?

Wyobraziłam sobie, jak siedzi podekscytowana w klimatyzowanej sypialni w St. Moritz, ściskając telefon pod kołdrą, podczas gdy pokój wypełnia obrzydliwy odór starości. Zawahałam się.

Rosjanin. Nie znasz go, ale myślę, że by ci się spodobał.

Odesłała mi dwa emotikony: buziaka i pierścionek z brylantem. Kochana Carlotta.

Wielu ludzi myli seks z miłością, lecz nie jest to aż tak niszczące jak mylenie

miłości z porozumieniem. Za to kiedy seks i zrozumienie idą w parze, rezultat może być piorunujący. Przez kolejne pięć dni Jermołow i ja rano zajmowaliśmy się sprawami zawodowymi, a krótkie zimowe popołudnia spędzaliśmy w mojej sypialni. Jovana wysłała mi z Belgradu DHL-em staromodne taśmy wideo z filmem *Śmierć oligarchy*, a Jermołow zgodził się zapłacić za nagranie i dołożyć się do honorarium dla Timothy'ego za rolę w hotelowej inscenizacji.

Na przyniesionym przez *madame* Poulhazan laptopie sprawdziłam stany kont i przejrzałam wiadomości na skrzynce pocztowej niedziałającej już galerii. W odpowiedzi rozesłałam informację, że Gentileschi została zamknięta. W wolnych chwilach, kiedy nie śledziłam sprawy skandalicznej śmierci Baleńskiego, czytałam książkę Dave'a. Jego haker spisał się na medal – zdjęcia trafiły do mediów społecznościowych i natychmiast zostały podchwyczone przez paskudną, rosyjską antygejowską straż obywatelską. Chociaż szwajcarska policja oznajmiła jedynie, że prowadzi dochodzenie w sprawie śmierci osiemdziesięciosześcioletniego mężczyzny, mnożyły się hasztagi, obrońcy praw człowieka twittowali, rosyjska prasa opisała całą historię na pierwszych stronach, a konserwatywne gazety zamieściły sążniste wstępniaki na temat upadku moralnego oligarchy, które Jermołow specjalnie dla mnie przetłumaczył. Jako źródło zdjęć podano ukrywającego swą tożsamość dziennikarza działającego na rzecz ukrócenia korupcji. Widziałam, jak propagandowe kłamstwa w mgnieniu oka stają się prawdą.

O Timothy'ego nie musiałam się martwić. Wykonałam telefon do Panamy i przelałam jego pieniądze na fundusz, do którego będzie miał dostęp, kiedy wróci do Francji. Wybrałam dla niego hasło: „Edouard”. Suma wynosiła siedemset pięćdziesiąt tysięcy. W końcu Timothy miał dostać klucz do głównego wejścia do rezydencji Playboya.

– Co zrobisz z Kazbichem?

Siedzieliśmy z Jermołowem w łóżku. W kominku palił się ogień, a okiennice były otwarte. Niebo nad morzem miało delikatny gołębi kolor z zaskakującym dodatkiem błękitu ftalocyjaninowego. Piliśmy herbatę lapsang i pałaszowaliśmy bliny z dżemem z czeremchy. Dymny zapach herbaty i słodycz dżemu przypominały mi lekcje z Maszą.

– Poinformuję go, że obraz został niestety zniszczony, kiedy Baleński próbował go odzyskać. Podwójna tragedia. On nie wie, że ja wiem. Jest w Belgradzie. Nie chcę go spłoszyć. Zajmę się nim.

– Skutecznie?

– Oczywiście. – Pocałował mnie w skroń, musnął wargami moją kość policzkową, a potem linię szczęki.

– Więc Misza będzie szukał nowego szefa?

– Zapewne. Czy nim też mam się zająć?

- Jak zwykle profesjonalny. Tak, poproszę.
- Zemsta?
- Nie, tylko wyrównanie rachunków.
- A co z tobą, Judith? Co zamierzasz?
- Kiedy przyjdzie przesyłka z Belgradu, chyba wrócę do Wenecji – powiedziałam, chociaż nie bardzo ciągnęło mnie do mojego mieszkania.

Pomyślałam, że jeśli Jermołow chce mnie poprosić, żebym została, to właśnie ma ku temu najlepszą okazję, ale napięcie między nami rozplynęło się jak niebieskie światło nad klifami i zapadliśmy w drzemkę. A potem nadeszła pora, by się ubrać i pójść obejrzeć obrazy. Co wieczór przed kolacją szliśmy do galerii. Każde z nas oglądało dzieła inaczej: Jermołow wybierał jedno i stał przed nim bez ruchu przez mniej więcej dwadzieścia minut, podczas gdy ja... ja chyba zachowywałam się jak nurek, który odważył się wpłynąć do mrocznej, podwodnej jaskini i wynurzył się w kolorowej lagunie. Od dawna nie miałam okazji podziwiać obrazów w taki sposób. Nie musiałam mierzyć i oceniać, kalkulując, co pamiętam, a czego muszę się jeszcze dowiedzieć. Po prostu patrzyłam – patrzyłam całym ciałem, pozwalając, by zmysły spontanicznie chłonęły piękno. Nic, co robiliśmy w sypialni, nic, co robiłam kiedykolwiek z kimkolwiek, nie mogło się z tym równać. Mogłabym to opisać jedynie jako ekstazę. Potem wracaliśmy ramię w ramię przez mrok do błyszczącego przed nami domu i jedliśmy kolację, podczas której Jermołow opowiadał mi o obrazach, tłumacząc, w jaki sposób i dlaczego nabył każdy z nich. Wyjmował albumy, by porównać ilustracje i przeczytać na głos niektóre fragmenty, aż w końcu stół był zavalony zdjęciami i musieliśmy odstawić puste talerze na podłogę, by zrobić więcej miejsca.

– Wiedziałem, że wiedziałaś – oznajmił pewnego wieczoru, który okazał się moim ostatnim w jego domu.

– Co wiedziałaś?

– Że Caravaggio to falsyfikat. Nie rozmawiałem z Baleńskim, odkąd obraz zniknął, więc kiedy zadzwonił do mnie i powiedział, że Kazbich otrzymał wiadomość, iż będziesz z obrazem w St. Moritz, domyśliłem się, że o wszystkim wiesz. – Chodź tutaj.

Spodziewałam się, że mnie weźmie w ramiona, lecz on zaprowadził mnie do małego pomieszczenia pod głównymi schodami. Na trójkątnej ścianie zamontowano ekrany. Włączył jeden z nich i moim oczom ukazała się galeria. Kamera poruszała się, co dwadzieścia sekund pokazując pomieszczenie pod innym kątem, a obrazy na zmianę pojawiały się i znikwały.

– Obserwowałam cię podczas twojej pierwszej wizyty. Patrzyłem, jak oglądasz moje obrazy.

– I?

– Wiesz, mówisz po rosyjsku z okropnym akcentem, ale masz dobre oko.

– Dziękuję.

Więc jednak uważał, że się nadaję. Moje rozgoryczenie znikło. Połączyły nas seks i porozumienie. Może nawet coś by z tego było. Może. Ktoś nieżyczliwy powiedział kiedyś, że sztuczne światło odwzajemnionego potwierdzenia wartości drugiej osoby stanowi najwęższy horyzont ludzkiej duszy. Mimo to dobrze było to poczuć, chociaż raz.

Instalacja dotarła następnego ranka. Zgodnie z umową Jovana skopiowała film na taśmy i dołączyła trzy stare przenośne telewizory Junost, na których mógł być odtwarzany: „inscenizowane” morderstwo przerywane zbliżeniami Baleńskiego w winylowych szortach. Żadne z nas nie czuło potrzeby go oglądać. Obserwując, jak Jermołow dokłada drew do ogniska na klifie, pakowałam małą torbę, z którą przyleciałam z St. Moritz. Zatrzymanie ubrań byłoby niegrzeczne, chociaż trochę ich żałowałam, zwłaszcza pięknej spódnicy Fendi z luksusowej lazurowej satyny, która została usztywniona bukramem i przypominała popularne w latach pięćdziesiątych spódnice z koła. Na podróż wybrałam granatowy kaszmirowy sweter i szare tweedowe spodnie od Chanel, a do tego balerinki Ferragamo i zabawnie obszerny jedwabny, ciemnofioletowy płaszcz Dries Van Noten, który *madame* Poulhazan wybrała z myślą o zarzuceniu go na sukienkę koktajlową.

Zadzwoiłam po kamerdynera (kolejna czynność, do której nie przygotowała mnie moja przedszkolanka), kazałam mu poinformować pana Jermołowa, że wyjeżdżam, i poprosiłam, by zawieziono mnie na stację w Nicei. Miałam wrócić tą samą trasą, którą przebyłam kilka miesięcy wcześniej.

Jermołowa znalazłam w gabinecie. Przywykłam do widoku jego ruchliwych, pajęczych rąk, ale teraz, stojąc w drzwiach, miałam wrażenie, jakbym zobaczyła je po raz pierwszy, wyginające się nad biurkiem, i ponownie mnie zirytowały. Być może dlatego, że cierpiałam na podobną przypadłość. Żadne z nas nie miało talentu do trwania w bezruchu.

– A więc... Czas na mnie.

Nie próbował mnie zatrzymać. Zapytał, czy potrzebuję samolotu, by dotrzeć do Wenecji.

– Żebyś mógł rozbić go w Alpach ze mną na pokładzie? Nie, dziękuję, pojedę pociągiem.

– Jesteś niemiła.

– Nawzajem. Dlatego się dobrze dogadujemy.

– Mogę do ciebie zadzwonić? – Pytał jedynie z grzeczności. Nasza dziwna, cudowna intymność dobiegła końca i oboje o tym wiedzieliśmy.

– Nie ma potrzeby. *Proszczaj*, Pawle. – Nigdy wcześniej nie mówiłam do niego po imieniu.

– *Proszczaj*. Powodzenia.

Usadowiwszy się w pociągu do Mediolanu, rozłożyłam przed sobą na stoliku dokumenty – paszporty Judith, Elisabeth i ostatni, kupiony w Amsterdamie, na którym pojechałam do Francji, Anglii, Serbii i teraz, jeśli celnicy będą się bawić w sprawdzanie, z powrotem do Włoch. Katherine Olivia Gable.

Patrzyłam na znajome znaki, kiedy przekraczaliśmy granicę z Włochami, i czułam się wspaniale. Pod wieloma względami odbywałam tę podróż po raz pierwszy. Kiedyś pragnęłam tak wiele: pieniędzy, wolności i niezależności, ale również pięknych rzeczy i cudownych widoków. Chciałam udowodnić Rupertowi, że nie może mnie traktować jak nie znaczącej prostytutki, i sobie samej, że moje wysiłki się opłaciły. Lecz wyruszyłam w tę podróż do dobrobytu, nie mając żadnego planu.

Możecie mnie nazwać sentymentalną, ale uważam, że nigdy nie zapomina się swojego pierwszego trupa. Zostawiłam powoli wiotczącego Jamesa w Hôtel du Cap, potem Camerona pod rzymskim mostem, Leanne na łóżku w Paryżu, Renauda... Cóż, przynajmniej nadal o nim myślę. A potem Julię, z błyskiem zaskoczenia w oczach, który prawdopodobnie Baleński zobaczył w moich. Masza, Baleński, Moncada i Edouard Guiche... *To nie twoja wina, Judith*. Zapalano światła w wagonach, a steward z trudem przetoczył wzdłuż korytarza wózek z przekąskami pobrząkujący maleńkim dzwoneczkiem.

Wiosną tysiąc sześćset szóstego roku Caravaggio popełnił morderstwo. Kolejne cztery lata – ostatnie lata swego życia – spędził, uciekając. Jego ofiara, Ranuccio z Terni, został zabity na korcie tenisowym. Motywem był sporny punkt w grze, dług hazardowy, zemsta za obrazę, samoobrona – wszyscy o tym mówili, ale nikt nie wiedział na pewno. Caravaggio chwycił za szpadę – symbol jego bolesnego dążenia do bycia uznanym za człowieka z wyższych sfer – i zamachnął się, mierząc w penisa przeciwnika. Ów – jak mówili niektórzy – gest pogardy okazał się zgubny w skutkach, gdyż broń przecięła tętnicę udową ofiary. Niektórzy twierdzili, że zabójstwo wynikało z natury Caravaggia, którego dzikie usposobienie kazało mu celowo wypatrywać okazji, by ryzykować życiem. Cóż, jeśli szukał wrażeń, to je dostał, gdyż musiał opuścić miasto, w którym wyznaczono nagrodę za jego głowę.

Pierwszy obraz namalowany na wygnaniu przedstawiał dziwkę, dziewczynę o imieniu Lena, jako rozradowaną Magdalenę i utrzymany był w kolorach śmierci: czerwonym, białym i czarnym. Większość płótna spowija ciemność. Głowa kobiety jest odrzucona w tył, absurdalnie zmysłowe usta rozchylone, a pod opuszczoną powieką czai się łza, jedyna oznaka skruchy. Obraz tak idealnie pasował do historii życia Caravaggia, że wielu widzów było gotowych przymknąć oko na fakt, że z pewnością nie on go namalował. W przedstawieniu postaci jest coś prostackiego – nieudolnie namalowane cienie na twarzy powodują, że nos Leny wydaje się wielki, niekształtny i w miarę patrzenia coraz bardziej szkaradny. Ludzie jednak tak bardzo chcą zobaczyć w historii Caravaggia coś sensownego, pasję i udręczoną gwałtowność zamknięte w sentymentalną historię skruchy, że nie dostrzegają marności dzieła, w którym patos przechodzi w trywialność.

Obrazem, który Caravaggio faktycznie namalował w czasie, gdy papieskie

zastępy przeczesywały okoliczne wioski w poszukiwaniu zbiega, była druga wersja *Wieczerzy w Emaus*. To ponura, przygnębiająca wizja. Właściciel gospody i jego żona wyglądają na przytłoczonych wiekiem, sam Chrystus też jest leciwy i tak zmęczony, że ledwie jest w stanie unieść dłoń nad stół w geście błogosławieństwa, a posiłek z ubogiego stał się nędzny: ochłap zepsutego mięsa, kilka czerstwych, pokruszonych bochenków chleba. Jest zmierzch i cienie nie malują już na ścianie cudownych wizji. Jedyne nawiązanie do portretu Leny stanowi boczne oświetlenie postaci. Reszta niknie w ciemności. Jeśli z obrazu można w ogóle wyczytać cokolwiek na temat stanu artysty po dokonanej zbrodni, to na pewno nie jest to ujmujący, cukierkowy smutek. Wszyscy obecni przy owym nędznym stole wyglądają na ludzi złamanych przez życie. Kiedy tak się nad tym zastanawiałam, nagle ogarnęło mnie przygnębienie.

Wracając do mieszkania, już w połowie schodów poczułam, że czeka na mnie niespodzianka. Jej zwiastunem był zapach. Runął na mnie, zderzając się z wilgotnym weneckim powietrzem, które wpuściłam z ulicy. Mogłam zawrócić, ale stłumiłam instynkt, który nakazywał ucieczkę. W głębi duszy wiedziałam, że przyszedłam za późno, a poza tym byłam ciekawa. Kiedy w oparach fetoru targalam walizkę po ostatnich stopniach schodów, oczy piekły mnie od wzbierających w nich łez. Bądź co bądź ze wszystkich miejsc tu czułam się najbardziej u siebie.

Kiedy zapaliłam światło, zobaczyłam krzesło i obraz. Replika *Meduzy* wisiała nad łóżkiem, jakby zawsze tam była. Miły akcent. W porównaniu z innymi dziełami sztuki, obrazy Caravaggia są dość brutalne, a zarazem – paradoksalnie – zawsze najpiękniejsze. Jeden wystarczy, by reszta wypełniających pokój prac stała się niewidoczna.

Alvin czekał na mnie w aksamitnym fotelu, odwróconym plecami do drzwi. Jego łokcie w rękawach ciemnej lnianej marynarki spoczywały na podłokietnikach, a on przyglądał się obrazowi.

– Witaj, nieznajomy – powiedziałam bardziej do siebie, aniżeli do niego.

Wyglądał kiepsko. Tak się dzieje z człowiekiem po sześciu tygodniach spędzonych w szafie. Zawinęłam go w trzy torby, aby powstrzymać robaki, ale w tym mieście wilgoć zawsze bierze górę.

Ktokolwiek go ubrał, musiał go najpierw obmyć. Cuchnące worki na śmieci wrzucono do wanny, gdzie zamieniły się w płataninę czarnego plastiku przeplataną białymi pasmami miękkiego, zgniłego ciała. Jego tkanki miękkie rozłożyły się do postaci kompostu, trzustka pewnie sama się zjadła, powodując powstanie niebiesko-zielonych bąbli na kawałkach ciała, które uparcie przywierało do chrząstki. Oddychając płytko przez usta, podeszłam, by rzucić na niego okiem. *Metan i siarkowodór*. Nie na darmo dzieliłam mieszkanie w Londynie ze studentkami medycyny. Głowa z makabryczną firaną poszarpanego krwistoczerwonego języka została zatknięta na jednym z moich wieszaków do

ubrań. Jego druty wbito w oparcie fotela, by wyglądało tak, jakby marynarka zwisała z ramion. Reszta ciała została ułożona na fotelu w formie mokrej kupki, a podniszczone mokasyny postawiono w miejscu, gdzie znalazłyby się stopy. Agrafką z pralni do klapy marynarki przypięto wizytówkę. Zmusiłam się, by dotknąć oślizgłej kości, i przez chwilę trwały tak, patrząc w twarz śmierci. Kiedy schyliłam się, by odpiąć wizytówkę, wieszak się odczepił – a z nim Alvin. Jego pozbawiona oczu głowa sturlała się z fotela, z głuchym łoskotem odbiła się od podłogi i potoczyła w stronę łóżka. Wibracje powstałe w wyniku upadku przeszły mnie jak dźwięk syren i kiedy w końcu umilkły, w pokoju zapadła cisza tak przejmująca, że miałam wrażenie, iż słyszę, jak kurz zgromadzony pod moją nieobecność wzbija się w powietrze.

Poznałam tę wizytówkę. Już kiedyś taką dostałam, w Como, kiedy byłam przesłuchiwana w związku ze zniknięciem Camerona Fitzpatricka. „Inspektor Romero da Silva, Guardia di Finanza”. Na odwrocie widniał odręcznie skreślony numer telefonu i zapisana małymi, starannymi, drukowanymi literami wiadomość:

Musisz do mnie zadzwonić.

Kazbich mnie wsypał. Wiedział o Fitzpatricku i nieświadomie podsunął Jelenie szalony pomysł szantażu. Tylko on mógł zasugerować da Silvie, że należy ponownie zbadać sprawę śmierci Fitzpatricka. Kazbich pracował z Moncadą, którego z kolei Renaud Cleret i Romero da Silva ścigali w związku z praniem przez mafię brudnych pieniędzy. Czy Kazbicha i da Silvę łączyło coś więcej? Kazbich był w Belgradzie, więc było oczywiste, że to da Silva odpowiada za tę powitalną „martwą naturę”. Ale po co powieszono *Meduzę*? Może to ostatnie życzenie Kazbicha, zemsta z za grobu, do którego go wrzucił Jermołow?

Musisz do mnie zadzwonić.

Tak długo czekałam na ten moment. Zrobiłam krok nad Alvinem i zerknęłam przez okno na plac. Żadnych zmasowanych oddziałów policji z tarczami. Da Silva pozwoli mi oddać się w ręce sprawiedliwości bez rozgłosu.

Wzięłam prysznic w mojej pięknej łazience – prawdopodobnie po raz ostatni. Kiedy czyściłam paznokcie, moje palce zacisnęły się na nadgarstku, wijąc się jak węgore, aż musiałam je oderwać i przycisnąć dłonie do głowy, by je uspokoić. *Niedługo na tych nadgarstkach zacisną się kajdanki. Już niedługo.* Nie patrząc na Alvina, włożyłam czystą bawełnianą bieliznę, dzinsy, koszulkę z krótkim rękawem i bluzę. Wzięłam też puchową kurtkę, którą kupiłam dla ochrony przed gęstą wenecką mgłą. Podejrzywałam, że nie będzie mi wolno zatrzymać torby, ale i tak spakowałam do niej kilka rzeczy: szczoteczkę do zębów, dezodorant, krem nawilżający. Czy pozwolą mi zabrać książkę? Związałam mokre włosy w kok na czubku głowy i spojrzałam w lustro. *Witaj, Judith.* Wszystko skończone. Wysłałam na korytarz, by zatelefonować, i usłyszałam dzwonek

telefonu dochodzący z *campo*. A potem da Silva odebrał.

Czekał na dole schodów. Krępy, barczysty, wyższy, niż go zapamiętałam. Nie miał na sobie munduru i przyszedł sam. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, miałam ochotę go uściskać, tak wielką poczułam ulgę, że wreszcie przyjechał mnie przesłuchać w związku ze śmiercią Camerona Fitzpatricka. Teraz jednak ogarnęło mnie poczucie rezygnacji. Dotknęłam ramienia da Silvy.

– *Sono pronta.*

Odwrócił się i przyjrzał mi się łagodnie, od tenisówek po kosmyki mokrych włosów. Uniosłam rękę, by odgarnąć je z twarzy, ale zatrzymała się zachęcająco w połowie drogi. Stare nawyki.

– Powiedziałałam, że jestem gotowa.

– Pomyślałam, że będzie pani chciała pójść w jakieś ustronne miejsce, gdzie będziemy mogli porozmawiać.

– Nie zamierza mnie pan aresztować? – zapytałam głupio.

– Nie.

– Ale... – Machnęłam nerwowo ręką w kierunku mieszkania. Zostawiłam zapalone światło. Za okiennicami czekał Alvin.

– Uważam, że powinna pani z kimś porozmawiać. A dokładniej: ze mną. – Rozchylił połę ciemnej marynarki. Wydawało mi się, że zobaczyłam na jego biodrze kaburę, ale to mógł być cień. Skinęłam głową.

– Czeka na mnie łódź. Tędy, proszę – dodał uprzejmie.

W drodze do Arsenału poczęstował mnie papierosem, lecz odmówiłam. Nie patrzyłam na Wenecję, tylko na własne kolana, zaciskając zęby, składając i rozkładając ręce. Sternik wysadził nas przy bramie siedziby dowództwa marynarki wojennej, strzeżonej przez dwa białe lwy. Kiedy wychodziliśmy na nabrzeże, da Silva asekuracyjnie położył dłoń na moich plecach. Mijałam Arsenał setki razy. Był drugą lokalizacją wystawową podczas Biennale, lecz teraz, w ciemności, prezentował się, jak przystało na twierdzę.

– Woli pani rozmawiać po angielsku czy po włosku?

Usiedliśmy w małym, jasno oświetlonym gabinecie z oknem otwartym na kanał. W korytarzu minęliśmy kilku umundurowanych oficerów, ale da Silva nadal rozmawiał ze mną w cztery oczy. Na stole stały dwie pełne filiżanki espresso, plastikowe szklanki i butelka wody. Żadnego magnetofonu. Pomyślałam smutno, że w ścianach muszą być mikrofony. A może ukryto w nich lustro weneckie? Nie dbałam o to.

– Może lepiej po angielsku. – Byłam zbyt wykończona, żeby się głowić nad gramatyką włoską. Kawa drażniła mi gardło, więc nalałam sobie pół szklanki wody i wypiłam ją łapczywie.

– Bardzo dobrze. – Nadal mówił łagodnym, zachęcającym tonem. – Od czego chce pani zacząć?

Podciągnęłam kolana pod brodę i skuliłam się na krześle. Da Silva czekał.
– To był olejek – zaczęłam. Nie poznawałam dźwięku własnego głosu. –
Wlałam do kąpieli olejek migdałowy.

Olejek migdałowy. Tak właśnie pachniała, migdałami. Moja siostra.

Urodziła się, kiedy miałam dwanaście lat. Mama nazwała ją Katherine, na cześć Katharine Hepburn. Po jej narodzinach przeniosłyśmy się do nowego mieszkania i po raz pierwszy miałam swój własny pokój. Szpital wysłał mamę do domu z kilkoma torbami różnych rzeczy: jednorazowych pieluch i śliniaczków, szamponem do mycia delikatnej główki Katherine i olejkiem migdałowym do smarowania po kąpieli jej śmiesznych fałdek na rękach i nogach. Myślałam, że dzieci są grube, ale Katherine na początku taka nie była. Wyglądała jak malutki worek skóry i kości, jak małpka. Skóra na jej maleńkim, okrągłym brzuszku była tak cienka i napięta, że widać było pod nią pulsujące żyłki. Uwielbiałam jej pulchne, małe, żabie łapki. I gdy kosmyki jej włosów muskały moje usta. Była moją siostrą i zamierzałam się nią opiekować. Chciałam zabierać ją do parku, robić dla niej wianki ze stokrotek i kupić jej maleńki serwis do kawy, jaki sprzedawali w Milly Molly Mandy, z filiżankami z prawdziwej porcelany i małymi, ozdobnymi talerzykami. Mama pokazała mi, jak zmieniać pieluszki i masować Katherine plecy po karmieniu. Leżała między nami na kanapie, kiedy jadłyśmy podwieczorek, i rozśmieszała nas do łez, rozglądając się swoimi wielkimi oczami i przebierając w powietrzu palcami.

Przez jakiś czas mama dobrze się sprawowała. Jeździła z Katherine autobusem do lekarza i wozila ją w wózku na zakupy, przekrzywioną na bok przez sen, w maleńkiej, różowej kurtce z kapturem, którą kupiła za pieniądze z zasiłku. Wiedziałam, skąd biorą się dzieci, ale nigdy nie pytałam, kto był ojcem Katherine. Mama nigdy nie mówiła o moim ojcu i nie miało to żadnego znaczenia. Byłyśmy we trzy i każdego dnia pędziłam ze szkoły do domu, by się zobaczyć z siostrzyczką. Kiedy nie było zbyt zimno, zabierałam ją na huśtawki na końcu podwórka, sadzałam ostrożnie na kolanach i śpiewałam jej wszystkie piosenki, które pamiętałam z dzieciństwa. Kiedy odgrywałam historię Jacka i Jill, wykrzywiła zabawnie buzię, a ja wiedziałam, że tak się uśmiecha.

A potem mama przestała się dobrze sprawować. Zaczęła znowu chodzić do pubu i kiedy Katherine budziła się w nocy, nie było jej przy niej, by ją nakarmić. Nie przeszkadzało mi to. Mogłam to robić. Rozrabiałam odmierzoną starannie ilość mleka w proszku, zgodnie z oznaczeniami na butelce, a potem wstawiałam ją do miski z gorącą wodą, by ją podgrzać. Sprawdzałam temperaturę mleka, upuszczając kilka kropel na nadgarstek, jak to podpatrzyłam u mamy. Kiedy Katherine wypila mleko i ponownie robiła się śpiąca, kołysałam ją na ramieniu. Odsuwałam zasłony w kuchni i pokazywałam jej gwiazdy i światła miasta, a potem kładłam ją pod kocem na swoim łóżku, skuloną obok mnie jak przecinek.

Znowu zaczęłam się martwić o mamę. Nie wstawała rano, czułam od niej ten dziwny zapach, miała błyszczącą, tłustą skórę, a cała jej poduszka była brudna od makijażu. Rano stawałam przy niej w szkolnym mundurku z Katherine na rękach i ciągle się spóźniałam na szkolny autobus, ponieważ nie chciałam wychodzić, dopóki nie upewniłam się, że mama wstała i może się zająć dzieckiem. Zaczęłam wpadać do domu w czasie przerwy na lunch, by sprawdzić, co się dzieje. Otwierałam po cichu drzwi i nasłuchiwałam odgłosów telewizora lub radia, sprawdzałam, czy wózek jest w domu, czy mama wstała i zabrała Katherine na świeże powietrze. Potem całkiem przestałam chodzić do szkoły, ponieważ mamy prawie nie było w domu, a ja nie chciałam zostawić siostry – aż do dnia, gdy zadzwonili ze szkoły i mama zbesztala mnie za leserowanie. Musiałam pójść do dyrektora i powiedzieć, dlaczego chodzę na wagary, ale nie mogłam wyznać prawdy, ponieważ bałam się, że zabiorą Katherine do domu dziecka.

– Jesteś bystrą dziewczynką, Judith – powiedział dyrektor. – Nie zmarnuj swojej szansy. Możesz się dostać na studia.

Nie był niemiły, tylko zdziwiony. Patrzyłam w podłogę, kiedy zapytał, dlaczego przestałam chodzić do szkoły. Żułam kucyk i starałam się wyglądać tak jak wszystkie inne dziewczyny z klasy, które stale zwiewały z lekcji. Powiedziałam, że nie wiem, ale bardzo przepraszam, a on potrząsnął głową i powiedział, żeby to się więcej nie powtórzyło. Musiałam więc zacząć znowu chodzić do szkoły, żeby nie przysłali do domu opieki społecznej i nie zabrali Katherine.

Kiedy to się stało, Katherine musiała mieć około pięciu miesięcy, ponieważ wtedy mama zaczęła karmić ją jedzeniem ze słoiczków. Czasami rozgniatałam dla niej banana, wkładałam go łyżeczką w jej bezzębną buzię i zbierałam wypadające resztki. Katherine potrafiła już siedzieć i nie chciała jeść, dopóki nie trzymała w ręce własnej łyżki, tyle że ciągle ją upuszczała lub dźgała się nią, więc karmienie trwało całe wieki.

Tego dnia, kiedy otworzyłam drzwi, mieszkanie pachniało słodkimi migdałami. Była zima, robiło się już ciemno, ale światła wewnątrz były zgaszone. Mama leżała na kanapie, a obok niej stała pusta butelka po białym winie i do połowy opróżniona butelka dżinu. Musiała zacząć, jak tylko wyszłam do szkoły. Katherine nie było w kołysce w pokoju mamy ani w moim łóżku. Jedyne światło dochodził spod drzwi łazienki. Nie chciałam tam wchodzić. Zaparzyłam herbatę i postawiłam filiżankę na podłodze obok kanapy, potem odsunęłam zasłony w kuchni. Chciałam, by mama się obudziła, lecz ona spała. Musiałam więc wejść do łazienki.

Najpierw myślałam, że wszystko z nią w porządku, bo była ciepła, ale kiedy wyjęłam ją z wanny, zrozumiałam, że to z powodu wody. Była oleista, letnia. Twarz Katherine zrobiła się szara. Mama położyła obok wanny specjalny żółty ręcznik z kapturem, więc owinęłam ją w niego. Jej główka opadła w zagłębienie między

moją szyję a ramieniem, jakby spała. Stanęłam obok kanapy, a potem usiadłam przy stopach mamy, bo trzęsły mi się nogi.

– Mamo – powtarzałam w kółko. – Mamo.

Chyba wiedziała, zanim jeszcze zdążyła otworzyć oczy. Po przebudzeniu przez dłuższą chwilę nie chciała spojrzeć na to, co zrobiła. Kiedy usiadła, od razu wyciągnęła ręce po swoje dziecko i odsłoniła ręcznik. Bo już wiedziała.

– Znalazłam ją – wyszeptałam.

Mama zawinęła Katherine z powrotem, wstała i sięgnęła po buty i płaszcz.

– Pójdę po pomoc – oznajmiła, i już jej nie było. Telefon miała w kieszeni płaszcza. Myślałam, że wychodzi, by zadzwonić po pogotowie, ale nie wróciła. Przez wiele godzin. Byłam przekonana, że nie powinnam nigdzie wychodzić. Tuliłam Katherine i głaskałam ją po plecach przez ręcznik. Myślałam, że to ważne, żebym trzymała jej głowę w górze, więc siedziałam bez ruchu, aż wszystko zaczęło mi drętwieć. Chciało mi się siusiu, ale wiedziałam, że nie wolno mi się poruszyć. Widziałam, jak w bloku naprzeciwko zapalają się światła, ludzie włączają telewizory i zaciągają zasłony. Trzymałam głowę Katherine nieruchomo i w pewnej chwili byłam przekonana, że udzieliło jej się bicie mojego serca.

Po powrocie mama była trzeźwa. Musiała wymiotować i obmyć twarz. O dziwo, miała ze sobą zakupy: torbę z kielbasą peperami, sokiem pomarańczowym i puszką fasolki, która niemal rozerwała plastik. Widziałam, jak stoi z nią w holu i z kimś rozmawia.

– Wstawię wodę – powiedziała, a potem słyszałam głos Mandy z naszego osiedla, która czasem farbowała mamie włosy. Z dłońmi w gumowych rękawiczkach tańczyła do Radia 1, trzymając w rękach farbę Clairol i butelkę wina.

– Dlaczego siedzisz po ciemku, Judith? Wszystko w porządku? – Mama wyglądała na rozpromienioną i zaskoczoną. Nie mogłam się poruszyć. Próbowałam, ale nogi nadal miałam zdrętwiałe i kiedy wstałam, starając się trzymać Katherine w tej samej pozycji, nagle się pode mną ugięły. Mama zaniepokojona zajrzała do łazienki. Woda musiała już wystygnąć, ale nadal czuć było migdały.

– Judy? Gdzie jesteś?

Zapaliła światło w salonie, a ja podałam jej ręcznik.

– Mamo?

Wtedy krzyknęła. Ułamek sekundy wcześniej spojrzała na mnie i dostrzegłam wyraz jej oczu. Jestem podobna do niej. Szybka. Nie przyprowadziła Mandy na pomoc. Przyprowadziła świadka.

Wtedy Mandy weszła do pokoju i też zaczęła krzyczeć. Nagle szary półmrok, który skrywał martwą twarz mojej siostry, rozproszyło światło i hałas, dźwięk syren i mężczyźni w mundurach. Ktoś robił herbatę, a Mandy nadal płakała.

- *Podnieśmy ją.*
- *Chodź, kochanie.*
- *Zmoczyła się.*
- *Wstań, powoli.*
- *Jest w szoku – powtarzała Mandy. – Jest w szoku.*

Mama obejmowała mnie, a kiedy zaczęłam się krztusić i wyrywać, widząc, jak kładą Katherine na wózku, ścisnęła mnie mocniej niż kiedykolwiek. Sama się trzęsła, ale oplatała mnie ramionami, abym nie mogła mówić. Z twarzą przyciśniętą do jej brzucha, w którym nosiła moją siostrę, słyszałam jej głos:

- *To nie twoja wina, Judith. To nie twoja wina.*

Powiedziałam, że nie pamiętam, co się stało. Pracownik socjalny, policjantka i psycholog, wszyscy pytali, czy mamy nie było w domu, kiedy wróciłam ze szkoły, a ja przytaknęłam. Miałam dwanaście lat, więc nie podpadało to pod zaniedbanie. Czy kąpałam siostrę? Potwierdziłam. Nalałam do wanny zbyt dużo olejku, może się pośliznęłam. Powiedziałam, że nie pamiętam niczego, co zdarzyło się później. Oglądałam z mamą wystarczająco wiele oper mydlanych, by wiedzieć, co to jest trauma. Mózg blokuje wspomnienia, których ciężar mógłby nas zmiażdżyć. Wiedziałam, dlaczego mama to zrobiła: poszłaby do więzienia, a ja do domu dziecka. Pośród tych wszystkich pytań, badań, kartek, bukietów i sąsiadów stojących przed domem w dniu pogrzebu, czasami myślałam, że może faktycznie to była moja wina. Nie weszłam do łazienki, za bardzo się bałam.

– *To nie twoja wina – powtarzała mama, a wszyscy mówili, jaka jest dzielna, i pytali, jak sobie radzi. Miasto przeniosło nas do mieszkania na innym osiedlu. Stwierdzili, że nie potrzebujemy już drugiego pokoju, a ja muszę zmienić szkołę. Jednak sprawę opisano w magazynie „Echo”, a poza tym kuzyn jednego z uczniów chodził do mojej starej szkoły, więc po tygodniu wszyscy wiedzieli. Chłopcy, mijając mnie, zaczęli robić w powietrzu znak krzyża, jakbym była wampirem.*

Psycholog zapytał, czy byłam o nią zazdrosna. O moją siostrę z oczami mokrymi jak kwiaty.

– Olejek? – Da Silva patrzył na mnie cierpliwie, z zaciekawianiem. Zdałam sobie sprawę, że przez dłuższy czas milczałam.

– Proszę mi pomóc – szepnęłam. – Nie wiem, czego pan chce.

– Dwa lata temu w Rzymie zabiła pani mężczyznę, którego znała jako Camerona Fitzpatricka. Czy przyznaje się pani do tego czynu?

– Tak.

– Potem wzięła pani obraz, który był w posiadaniu tego mężczyzny, i sprzedała go człowiekowi znanemu pani jako Moncada. Czy przyznaje się pani do tego czynu?

– Tak.

– Moncada został zamordowany jakiś czas później w Paryżu. Wydaje mi się, że była pani przy tym obecna.

– Tak.

– Od tego czasu mieszka pani tutaj pod, proszę wybaczyć mój angielski, pseudonimem?

– Tak.

– Dlaczego zabiła pani Alvina Spencera?

Odpowiadałam otępiała, jakby w stanie fugi, ale to pytanie nieco mnie otrzeźwiło. Coś tu zdecydowanie nie grało. Czy nie powinien w tym miejscu zapytać o kogoś innego? Dlaczego nie zapytał mnie o Renauda, swojego kolegę, towarzysza broni? Miał miejsce zbrodni, przyznanie się do winy, sprawcę w areszcie. Dlaczego nie przyniósł kajdanek?

– Czy potrzebuję adwokata? – zadałam idiotyczne pytanie, które zapamiętałam z filmów o glinach.

– Na razie nie, chyba że woli pani, bym przedstawił jej zarzuty. Proszę odpowiadać na pytania. Dlaczego zabiła pani Alvina Spencera?

– Alvin znał kogoś. Kogoś z przeszłości. Myślałam, że stanowi dla mnie zagrożenie. Ale nie mogłam, nie byłam w stanie... – Umilkłam. Nie byłam w stanie pozbyć się ciała. Nie byłam w stanie, ponieważ wiedziałam, że gdybym spróbowała, rozpadłabym się, a na to nie mogłam sobie pozwolić. Dlatego pomyślałam, że poczekam jakiś tydzień, do momentu, aż się poczuję na siłach. Ale potem pojawiła się Jelena, zginęła Masza... i wtedy też nie miałam na to siły. No to go zostawiłam.

Da Silva sięgnął do kieszeni. Pomyślałam, że wyjmie formalną listę zarzutów, odczyta mi moje prawa. Wszyscy dobrze znamy tę scenę. Ale on wyjął chusteczkę i mi ją podał.

– Proszę. – Miałam mokrą twarz i kołnierz kurtki. Nie czułam łez. Mocno wydmuchałam nos.

– Jest wiele pytań, które muszę pani zadać. Możemy porozmawiać w samochodzie.

– W samochodzie? – Podejrzywałam, że chce mnie przewieźć do Rzymu. Da Silva należał do rzymskiego wydziału Guardia di Finanza. Może nie mógł formalnie przedstawić mi zarzutów tutaj? – Czy muszę z panem jechać?

– Może mi pani towarzyszyć albo mogę panią w tej chwili aresztować. Jak pani woli.

W tamtym momencie czułam się tak, że z radością położyłabym się na podłodze i obudziła w pomarańczowym kombinezonie, ale z drugiej strony, nie miałam przecież żadnych innych planów, więc czemu nie...

– Pojadę.

Da Silva wstał, obszedł stół i uprzejmie odsunął mi krzesło, jakbyśmy zjedli obiad w eleganckiej restauracji. Kiedy się nachylał, zauważyłam, że pod marynarką ma broń, a dokładniej – caracala F. Standardowe uzbrojenie Guardia di Finanza. Kilka lat wcześniej w rzymskim klubie strzeleckim Futura policja zademonstrowała jej możliwości. Była to również ulubiona broń włoskich mafiosów. Dowodem na to był fakt, że, ku zawstydzeniu służb i wzburzeniu „Corriere della Sera”, cały zapas wykorzystanej do pokazu broni zniknął w drodze powrotnej do miasta i nigdy nie został odnaleziony. Pistolet Moncady. Znałam jego ciężar, wiedziałam, jak leży w dłoni. Broń, którą rozłożyłam w Paryżu, nieużywana. Fala adrenaliny zalała moje ciało tak intensywnie, że aż się zachwiałam.

– Źle się pani czuje?

– Nie, w porządku. Trochę kręci mi się w głowie. Możemy iść.

Wtuliłam głowę w kołnierz kurtki i powłócząc nogami, przeszłam przez korytarz. *Zachowaj kamienną twarz.* Nagle odżyło we mnie pytanie, które, zdawałoby się, raz na zawsze pogrzebałam w St. Moritz: skąd Kazbich wiedział? Myślałam, że razem z Moncadą był zamieszany w proceder wymiany broni na dzieła sztuki i od niego usłyszał nazwisko da Silvy. A jeśli Moncada i da Silva byli po tej samej stronie? Jeśli da Silva był podwójnym agentem, gliną pracującym dla mafii? Jeśli cały czas był w to zamieszany? *Świetnie, Judith. Znowu się pomyliłaś.*

Przez cały czas – kiedy da Silva prowadził mnie na łódź i podczas podróży do San Basilio, gdzie zaczyna się jedyna droga z Wenecji na stały ląd – rozmyślałam nad tym pytaniem i rozkładałam całą tę historię na części pierwsze.

Kto wiedział, że tamtego wieczoru Moncada będzie na Place de l’Odéon? Ja i sam Moncada. Oraz Renaud, Guiche, Baleński, Kazbich, da Silva. Ten ostatni pomógł Kazbichowi z „duchami”. To on zawiesił Caravaggia. On wiedział.

Dzieła sztuki za broń. Da Silva należał do tej samej grupy dochodzeniowej co Renaud, zajmował się odzyskiwaniem dzieł sztuki skradzionych na południu Włoch. W trakcie jednej z akcji, podczas zasadzki, w wyniku wybuchu zginęło kilku jego kolegów. Zakładałam, że Renaud zabił Moncadę, by pomścić swoich

kolegów. Doprowadziłam go do Moncady, a on w zamian za to chciał mnie aresztować. Zabiłam go i zniknęłam na jakiś czas, ale kiedy otworzyłam w Wenecji galerię Gentileschi, znaleźli mnie.

Wszystko przez ten głupi esemes.

Mówi Ci coś nazwa Gentileschi?

To pozwoliło Kazbichowi mnie namierzyć. Tylko da Silva rozumiał, co znaczy ta nazwa. Uzmysłowił mi to widok broni – tej samej broni, którą widziałam u Moncady. Świadkiem, którego bezowocnie szukałam, był da Silva.

W porcie poprowadzono nas do samochodu, czarnego sedana z kierowcą. Oświetlały go ustawione pomiędzy dźwigami reflektory, dzięki czemu zauważyłam, że miał rzymską tablicę rejestracyjną. Da Silva kazał mi usiąść z tyłu, obok niego, a potem wcisnął przycisk i oddzielił nas od kierowcy szybą z pleksi, jak w londyńskiej taksówce. Ruszyliśmy w kierunku mostu do Mestre. Da Silva rozparł się na siedzeniu.

– Jak się miewa pańska żona? – zapytałam go nagle.

– Moja żona?

– Opowiedział mi pan o niej, kiedy się spotkaliśmy w Como. Francesca.

To Francesca – Franci – naprowadziła mnie na prawdziwą tożsamość Renauda. Śledziłam ją na Facebooku, zaprosiłam do znajomych i znalazłam zdjęcia Renauda na chrzcinach jej dziecka. Szczerze mówiąc, da Silva nie okazał zdziwienia.

– Ma się... bardzo dobrze. Ale to ja tutaj zadaję pytania.

Usiadłam prosto, powoli rozpuściłam włosy, rozrzuciłam je na ramiona i musnęłam palcem usta.

– O nie, najpierw musi mi pan udzielić kilku odpowiedzi.

– Nie rozumiem.

– *Mówi ci coś nazwa Gentileschi?*

– To chyba nazwa pani galerii, *pani Teerlinc*.

– To cytat. Już kiedyś zadałam to pytanie, w esemesie wysłanym z telefonu mężczyzny, którego znałam jako Renauda Clereta. Doskonale pan o tym wie. A ja chcę się dowiedzieć, skąd wiedział o tym Iwan Kazbich. I skąd pan wiedział, co było w moim mieszkaniu. I dlaczego nie aresztował mnie pan za morderstwo. Chociaż sądzę, że znam odpowiedzi na te pytania.

Stwierdziłam, że jeśli da Silva nie jest skorumpowany, to pomyśli, że zwariowałam i mnie aresztuje, a jeśli gra nieczysto, może kazać swojemu zbirowi wyciągnąć broń i zastrzelić mnie wprost na autostradzie. W tej chwili taka wizja napawała mnie dziwnym spokojem. Wiedziałam jednak, że nie zrobi żadnej z tych rzeczy.

Da Silva wpatrywał się przed siebie.

– A pana kolega? Mój przyjaciel z Paryża? Dlaczego nie zapytał mnie pan

o niego?

Da Silva wcisnął przycisk, otworzył okno i wpuścił do środka lodowate, nocne powietrze Wenecji Euganejskiej. Wyjął papierosa i zapalił. Odmówiłam, gdy podał mi paczkę. Szczerze nienawidzę palenia w samochodach. Zaciągnął się mocno, a z jego ust wypłynęła smużka dymu.

– Powiedzmy, że w tym przypadku wyświadczyła mi pani przysługę.

Przez chwilę rozważałam jego słowa.

– Więc dokąd jedziemy?

– Zobacz pani.

Wjechaliśmy na stały ląd i jechaliśmy autostradą przez noc. Kiedy zatrzymaliśmy się w Autogrill i chciałam skorzystać z łazienki, da Silva zabrał mi telefon. Rozprostowaliśmy nogi, zapaliliśmy i ruszyliśmy dalej. Zanim zmorzył mnie sen, zdążyłam zauważyć, że przekroczyliśmy symboliczną, biegnącą zygzakiem przez Włochy linię, za którą zaczynają rosnać drzewa oliwne. Potem zwinęłam kurtkę i wsunęłam ją pod głowę zamiast poduszki, skuliłam się przy oknie z dala od da Silvy i zasnęłam. Obudziło mnie ciepło promieni słonecznych na powiekach, ale nie otworzyłam oczu. Skupiłam się na ruchach samochodu. Zauważyłam, że częściej hamował i od czasu do czasu wpadaliśmy w szum ruchu ulicznego. Zdrętwiała obróciłam się i zanurzyłam twarz w poduszce. Wkrótce zwolniliśmy i w końcu się zatrzymaliśmy.

– Jesteśmy na miejscu.

Staliśmy na małym, betonowym nabrzeżu, twarze owiewał nam wiatr niosący zapach ryb i oleju silnikowego. Gęstą wilgoć Wenecji zastąpiła lekka morska bryza. Za basenem portowym znajdowała się betonowa promenada, a przy niej dwie smutne, wyschnięte palmy, rząd obskurnych bloków ozdobionych zagraconymi balkonami i łuszczącą się farbą oraz ściśnięty między nimi, otynkowany na biało kościół.

– Tędy.

Kiedy skręciliśmy w stronę miasteczka, zauważyłam, że jest ono otoczone wysokimi, spalonymi słońcem wzgórzami. Z jednego z nich jak zepsuty ząb wyrastała niedokończona autostrada.

– Gdzie jesteśmy? – Czuję się jak Alicja w pieprzonej krainie czarów.

– W Kalabrii. Wytlumaczę to pani, ale najpierw napijmy się kawy.

Da Silva wyjaśnił kierowcy, dokąd jechać, i ten po chwili ruszył, zabierając nasze bagaże. Poszłam za da Silvą wzdłuż promenady. Jakiś staruszek przyglądał nam się obojętnie z balkonu. W głębi miasto nie siliło się już na nadmorski przepych. Większość placówek handlowych była zamknięta – z wyjątkiem supermarketu, salonu z automatami do gry i sklepiku sprzedającego elektroniczne papierosy. Pomiedzy latarniami rozciągnięto jasnoczerwone, błyszczące chorągiewki. Skręciliśmy do opuszczonego baru, gdzie na ekranie telewizora

głośno puszczano teleturniej, a w powietrzu unosił się zapach kawy, brioszek, cytryn i kanalizacji. Usiedliśmy przy stoliku w głębi sali i da Silva skinął głową na barmana. Wyglądało na to, że się znają.

– Jest pani głodna?

– Nie – odparłam niegrzecznie. Barman stał jednak nad nami, więc zamówiłam cappuccino. Kiedy zostaliśmy sami, przez chwilę mieszałam łyżeczką w pianie w tę i z powrotem.

– Wiedział pan od początku, prawda? Wiedział pan, że w Rzymie to byłam ja?

– Nie miałem pewności. Nieźle to pani zagrała. Ale potem pojawiła się pani w Paryżu i... powiedzmy, że działo się jeszcze wiele innych dziwnych rzeczy, w które się pani wmieszała.

Wydawało mi się, że gram w grę, której zasady sama wymyśliłam, a okazało się, że przypadkiem wplątałam się w zupełnie inną. W grę, która zaczęła się dawno temu i której zasad nie znałam.

Da Silva i Moncada. Sztuka za broń. Od samego początku o to właśnie chodziło.

– A więc, tak – kontynuował spokojnie policjant. – Wiem o pewnych pani sprawkach, ale na pewno ma mi pani do opowiedzenia dużo więcej. Mamy czas.

Nagle zabrakło mi tchu i poczułam ścisk w gardle. Pociągnęłam łyk kawy, ale parsknęłam nią na stół. Barman rozejrzył się z pełnym poirytowania niepokojem.

– Przepraszam, muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Stałam w progu i patrzyłam na ulicę. Minęła mnie grupka dzieci, ciepło ubranych, chociaż nie było zimno. Niosły paczki z piekarni. Niektóre rozdarły już cienki papier pakowy, by napchać przekarmione buzie smakołykami. Marcepan. I małe warzywa, marchewki i bakłażany, kiście winogron i miniaturowe panettone ozdobiane kawałkami czekolady. Robią je na południu na Boże Narodzenie. Wyszłam na nabrzeże i przez chwilę patrzyłam na wodę, ale nic mi nie powiedziała. Nie miałam gdzie pójść.

Da Silva czekał na mnie przed barem. Wziął mnie pod rękę.

– Pójdziemy tędy.

Przez jakiś czas szliśmy wzdłuż głównej drogi, aż zostawiliśmy miasteczko za sobą. Minęło nas kilka samochodów. Być może podróżujący nimi myśleli, że jesteśmy parą, która wybrała się na romantyczną przechadzkę. Po mniej więcej dwudziestu minutach da Silva pokierował mnie na drogę gruntową, która schodziła ku morzu. Po obu jej stronach w kolczastych krzewach wały się plastikowe torby i puszki po napojach. W końcu wyszliśmy wprost na kamienistą zatoczkę. W miejscu, gdzie woda styka się z lądem, leżało jeszcze więcej śmieci niż przy drodze. W głąb morza wdzierała się betonowa platforma, na której znajdowała się

budowla wyglądająca jak oczyszczalnia wody. Szum fal zagłuszał hałaśliwe odgłosy maszyn. Z ustawionej na platformie pokaznej konstrukcji z pustaków wystawała szersza niż ja czerwona rura. Sięgała do tankowca przycumowanego jakieś sto metrów od brzegu. Kołysała się na morzu jak macka wielkiej kałamarnicy. Omiotłam wzrokiem pokład statku, ale był równie pusty jak plaża. Da Silva poprowadził mnie do oczyszczalni od strony lądu, poza zasięgiem wzroku załogi statku – tam, gdzie hałas turbin był najgłośniejszy. Poczułam zapach oleju i moczu, a pomiędzy nimi, kiedy wiatr zmienił kierunek, delikatną woń migdałów.

Zrozumiałam, o co chodzi, zanim wyjął caracala.

– Masz wybór – zaczął.

– Tak, tak. Domyśliłam się, że jesteś skorumpowany i mnie zabijesz. Ładne miejsce wybrałeś. W Kalabrii, niedaleko twoich poległych kumpli.

– Właśnie. Albo...

Wydawało mi się, że gram w pewną grę, ale okazało się, że to zupełnie inna rozgrywka. A ja najbardziej nie lubię oszustwa. Jak przystało na pokreconą samotniczkę, wierzę w sprawiedliwość. Dopóki nie zrozumiałam, jak się sprawy mają, czułam rodzaj pełnej zdumienia obojętności, echo znużenia, które sączyło się do mojego wnętrza, kiedy topiłam Alvina. Potulna, mała Judith, sparaliżowana traumą. Ale teraz poczułam wściekłość. Prawdziwą, cholerną wściekłość.

– Więc? Co to za wybór?

Zrobiłam maleńki krok w stronę krawędzi platformy, a potem następny. Da Silva podążał bronią za moim ruchem.

– Nie myśl, że przepłyniesz – szepnęła. – Jutro rano prąd wyrzuci cię w Gallipoli. Dlaczego, twoim zdaniem, jesteśmy tutaj?

– Ponieważ brak ci wyobraźni?

– Albo zakończymy wszystko tutaj, albo wrócisz ze mną do miasta i sprawdzimy, czy uda nam się przez jakiś czas razem pracować. – Jego dłoń była tak opanowana jak jego głos. Dziwne. Przez długie miesiące podejrzewałam, że ktoś chce mnie zabić, a teraz, gdy ktoś faktycznie zamierzał mnie zastrzelić, czułam się zawiedziona.

– Pracować razem? – syknęłam.

– Chcę, byś coś dla mnie zrobiła. A potem będziesz wolna, Judith.

Mogłam pomyśleć o siostrze albo o matce. O wszystkich rzeczach, które zrobiłam, zdarzeniach, które mnie tu przywiodły, o tym, kim byłam i kim się stałam. Ale nie pomyślałam.

– No, dalej. Zrób to. Strzelaj.

Uniósł więc broń i wycelował ją w moje serce.

Ciąg dalszy nastąpi.

Podziękowania zechcą przyjąć

The Tosh,

Errikos

za „kapelusze”

*oraz moi cudowni redaktorzy
Joel Richardson i Tara Singh-Carlson*

za ich bezgraniczną cierpliwość.

¹ Cytat za: Charles Baudelaire, *Malarz życia nowoczesnego*, przeł. Joanna Guze, Gdańsk 1998.

² Cytat za: Josif Brodski, *Laguna*, przeł. Katarzyna Krzyżewska, Kraków 2000.

